

BESTSELLEROWA AUTORKA
„NEW YORK TIMESA”



JOY FIELDING

ZAWSZE KTOŚ
PATRZY

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Podziękowania

JOY FIELDING

ZAWSZE KTOŚ PATRZY

Z angielskiego przełożyła
Maciejka Mazan


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
Someone is Watching

Wydawca
Grażyna Woźniak

Redaktor prowadzący
Tomasz Jendryczko

Redakcja
Maria Wirchanowska

Korekta
Jadwiga Piller
Halina Kozłowska

Copyright © 2015, Joy Fielding, Inc.
Copyright © for the Polish translation by Maciejka Mazan, 2016

Świat Książki
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl, tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-126-8

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Dla tych, których kocham najbardziej na całym świecie:
Warrena, Shannon, Annie, Renee, Courtney, Hayden i Skylar

1

Ranek zaczyna się tak samo jak zwykle. Kolejny monotonie piękny październikowy dzień w Miami, niebo tradycyjnie niebieskie i bezchmurne, spodziewana temperatura maksymalna dwadzieścia sześć stopni. Nic nie wskazuje na to, żeby miał się w jakiś istotny sposób różnić od poprzedniego, nic nie zdradza, że ten dzień, a raczej ta noc, zmieni moje życie na zawsze.

Budzę się o siódmej. Prysznic i ubranie – czarna plisowana spódnica i biała bawełniana bluzka, strój trochę bardziej oficjalny niż zazwyczaj. Czeszę włosy, jasnobrązowe, spływające luźnymi falami do połowy pleców. Nakładam na policzki ciut różu i lekko maluję rzęsy. Robię kawę, pochłaniam muffina i o wpół do dziewiątej dzwonię, żeby recepcjonista przyprowadził mi samochód z podziemnego garażu.

Sama mogłabym pójść po srebrne porsche vintage, ale chłopcy z recepcji uwielbiają nim jeździć, choćby tylko przez te trzydzieści sekund, które zajmuje pokonanie spiralnego podjazdu z miejsca na parkingu do poziomu trzeciego przy wyjściu. Tego ranka dyżur ma Finn, prawie przystojny w spodniach khaki i butelkowozielonej bluzie z krótkimi rękawami.

– Dużo dziś pracy? – pyta, kiedy siadam za kierownicą.

– Kolejny dzień w rajku.

– Powodzenia – mówi, zamykając za mną drzwi i machając ręką.

Jadę na Biscayne Boulevard do kancelarii Holdena, Cun-ninghama i Kravitz, gdzie od niemal dwóch lat pracuję jako detektyw.

Firma, zatrudniająca około trzystu pracowników, z których sto dwadzieścia pięć osób to prawnicy, zajmuje trzy górne piętra imponującego marmurowego wysokościowca w biznesowej dzielnicy w sercu miasta. Normalnie wypiłabym drugą filiżankę kawy, wymieniając uprzejmości z osobami wpadającymi i wypadającymi z pokoju służbowego, ale dziś mam się stawić w sądzie, więc zostawiam samochód na podziemnym parkingu, zamykam glocka w schowku na rękawiczki i taksówką przejeżdżam krótki odcinek na 73 West Flagler Street do sądu hrabstwa Miami-Dade. W tej dzielnicy nie ma gdzie zaparkować, a nie chcę marnować cennego czasu na krążenie i szukanie miejsca. Zostałam powołana na świadka w sprawie dotyczącej szpiegostwa przemysłowego i nie mogę się doczekać składania zeznań. W przeciwieństwie do wielu moich kolegów, którzy wolą pozostawać niewidzialni, lubię występować w sądzie.

Może dlatego, że jako detektyw spędzam sporą część czasu we względnej

samotności. Moja praca polega na zbieraniu informacji, które mogą się przydać w sądzie – na śledzeniu niewiernych małżonków i podejrzanych pracowników, prowadzeniu obserwacji, robieniu zdjęć, filmowaniu tajnych spotkań, odnajdowaniu i przesłuchiwanie przyszłych świadków, namierzaniu zaginionych spadkobierców i zbieraniu faktów, z których część sędzia uzna za odnoszące się do sprawy, a część za obsceniczne, lecz przydatne. Kiedy zgromadzę wszystkie potrzebne informacje, siadam i spisuję raport. Czasem, jak dziś, jestem wzywana do sądu. Pobieżna znajomość prawa bardzo mi się przydaje – kilka lat studiowania kryminologii na Uniwersytecie Miami nie okazało się całkowitą stratą czasu, choć odeszłam, nie zrobiwszy dyplomu. Jak napisano na stronie internetowej, na której zarejestrowałam swoją licencję, osoby wykonujące moją pracę powinny być inteligentne, dobrze poinformowane, wytrwałe, metodyczne, pomysłowe i dyskretne. Bardzo się staram spełniać te kryteria.

Najpierw czekanie w długiej kolejce przed bramką za drzwiami sądu, potem wkurzająco powolny wjazd zatłoczoną windą na dwudzieste pierwsze piętro. Zabawnie pomyśleć, że w 1928 roku, kiedy ukończono ten dwudziestoośmiopiętrowy budynek, był nie tylko najwyższy na Florydzie, ale i na południu Ohio. Co dziwne, jego biała fasada nadal wyróżnia się wśród identycznych szklanych drapaczy chmur, które nad nim górują. Wnętrze to już inna, mniej efektowna historia. Hol nadal czeka na brakujące fundusze, przez co nie można dokończyć renowacji, a wygląd większości sal sądowych jest równie przykry, jak panujący w nich czasem zapach.

– Proszę się przedstawić i wymienić swój zawód – zwraca się do mnie urzędnik, gdy już stanęłam na miejscu dla świadka i złożyłam przysięgę, że będę mówić całą prawdę i tylko prawdę.

– Bailey Carpenter. Jestem detektywem w kancelarii Holden, Cunningham i Kravitz.

– Jak się masz, Bailey? – pyta Sean Holden, kiedy siadam.

Sean jest nie tylko moim szefem, ale jednym z założycieli i wielką gwiazdą firmy, choć ma dopiero czterdzieści dwa lata. Patrząc, jak zapina guziki niebieskiej marynarki w prążki, i myślę, że wygląda imponująco. Nie jest przystojny w tradycyjnym sensie tego słowa, rysy ma toporne, orzechowe oczy małe i trochę zbyt świdrujące, ciemne włosy nieco zbyt kędzierzawe, wargi ciut za pełne. Po prostu ciut za dużo wszystkiego, co zwykle skutecznie onieśmiela przeciwnika.

Sprawa jest względnie prosta. Nasz klient, właściciel miejscowej sieci popularnych piekarni, został pozwany przez byłą pracownicę za bezprawne zwolnienie. Teraz odpowiada na zarzuty, twierdząc, że zwolnił ją, ponieważ przekazywała tajemnice handlowe jego głównemu konkurentowi. Pracownica już zeznała, że jej spotkania z rzeczonym konkurentem miały zupełnie niewinny charakter, że ona i jej mąż znają go od dzieciństwa i że ich spotkania, które

szczegółowo opisałam w raporcie włączonym do dowodów, dotyczyły wyłącznie planowanego przyjęcia-niespodzianki na czterdzieste urodziny jej męża. Dodała też, niepytana, że jest uczciwa i nigdy świadomie nie zdradziłaby zaufania pracodawcy.

I tu popełniła błąd. Świadkowie nigdy nie powinni mówić niczego z własnej woli.

Sean zadaje mi szereg pozornie niewinnych związanych z pracą pytań, po czym przechodzi do sprawy, w której mnie tu wezwano.

– Wiesz, że Janice Elder zeznała pod przysięgą, że jest, cytuję: „uczciwą kobietą, niezdolną do takiej zdrady”.

– Tak, wiem.

– I możesz podważyć to stwierdzenie?

– Mam dowód, który podważa zarówno stwierdzenie, że Janice jest uczciwa, jak i to, że jest niezdolna do zdrady.

Prawnik drugiej strony natychmiast wstaje.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie.

– Pani Elder sama otworzyła drzwi do takich pytań – oznajmia Sean, a sędzia przyznaje mu rację.

– Powiedziałaś, że masz dowody podważające zarówno uczciwość tej pani, jak i jej niezdolność do zdrady? – pyta Sean, powtarzając to, co powiedziałam.

– Tak.

– Co to za dowód?

Zerkam do notatek, choć tak naprawdę ich nie potrzebuję. Sean i ja ćwiczyliśmy te zeznania od wielu dni i znam swój tekst na pamięć.

– W nocy 12 marca 2013 roku – zaczynam – poszłam za panią Elder do hotelu Doubleday Hilton w Fort Lauderdale... – Kątem oka widzę, że Janice Elder pośpiesznie naradza się ze swoim prawnikiem. Dostrzegam panikę w jej oczach.

– Sprzeciw – rzuca znowu prawnik.

I znowu bez skutku.

– Proszę mówić dalej.

– Widziałam, jak pani Elder podchodzi do recepcji i dostaje kartę do pokoju numer 214, wynajmowanego przez pana Carla Segrettiego.

– Co? – wyrywa się mężczyźnie siedzącemu za Janice Elder. To jej mąż Todd, który zerwał się na nogi, a jego opaloną skórę rozświetlił jaskrawoczerwony rumieniec, jak łuna pożaru. – Kręcisz z Carlem?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie. To nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

– Przeciwnie, Wysoki Sądzie...

– Ty kłamliwa dziwko!

– Proszę o spokój.

– Ruchasz się z moim kuzynem?

– Proszę usunąć tego mężczyznę z sali. – Sędzia uderza młotkiem. – Trzydzieści minut przerwy.

– Dobra robota – rzuca Sean kątem ust, kiedy go mijam, wychodząc z sali. Nienawistne spojrzenie pani Elder wypala mi w plecach dziurę.

Na korytarzu, czekając, czy znowu mnie nie wezwą, sprawdzam komórkę. Wiadomość od Alissy Dunphy, współpracownicy firmy. Alissa prosi, żebym zajęła się ewentualnym powrotem Rolanda Petersona, zbiegłego tatusia, który wolał wyjechać z Miami, niż zapłacić byłej żonie kilkaset tysięcy dolarów zaległych alimentów.

– No, to była dość nieprzyjemna niespodzianka – odzywa się jakiś głos, kiedy wrzucam telefon do mojej wielkiej płóciennej torby.

Głos należy do prawnika Janice Elder. Owen Weaver ma pewnie jakieś trzydzieści parę lat, czyli trochę więcej ode mnie. Ma też strasznie dużo równych białych zębów, które nie pasują do jego uroczo krzywego uśmiechu.

– Robię, co do mnie należy – odpowiadam, tylko trochę się usprawiedliwiając.
– Musisz to robić tak dobrze? – Uśmiechają się już nie tylko jego usta, ale i łagodne brązowe oczy i zaczynam mieć wrażenie, że wcale nie mówimy o sprawie.

– Zrób mi przysługę.

– Jeśli zdołam.

– Zjedz ze mną kolację. – Potwierdza moje podejrzenia.

– Co?

– Kolację. Ze mną. W dowolnie wybranej restauracji. W sobotę wieczór.

– Zapraszasz mnie na randkę?

– To takie dziwne?

– No, w tych okolicznościach...

– Chodzi o to, że właśnie mnie wykończyłaś?

– Owszem.

– Mimo to trzeba jeść.

– Też prawda. – Drzwi do sali sądowej otwierają się gwałtownie i Sean Holden rusza do mnie zdecydowanym krokiem. – Przepraszam na chwilę... mój szef...

– Oczywiście. – Owen Weaver sięga do wewnętrznej kieszeni granatowej marynarki i podaje mi wizytówkę. – Zadzwoń. – Uśmiecha się najpierw do mnie, potem do Seana. – Poproszę o dziesięć minut na rozmowę z klientką – mówi do niego i odchodzi.

Sean kiwa głową.

– O co chodziło?

Wrzucam wizytówkę Owena do torby i wzruszam ramionami, jakby ta rozmowa nie miała znaczenia. Sean ogląda się na salę sądową, ja też. Mąż pani Elder stoi przy drzwiach, samotny, z nieprzeniknioną miną i zaciśniętymi pięściami, z muskularnym ciałem tak napiętym, jakby przygotowywał się do skoku. Spogląda na mnie i mówi bezgłośnie „suka”, przenosząc wściekłość z żony na mnie. Nie po raz pierwszy staję się obiektem gniewu na inną osobę.

Pół godziny później pani Elder zgadza się wycofać oskarżenie, jeśli jej klient zrobi to samo. Nasz klient marudzi, ale w końcu się poddaje i obie strony są niezadowolone, co stanowi oznakę udanego kompromisu. W każdym razie Sean i ja cieszymy się.

– Muszę lecieć – rzuca do mnie przed sądem. – Złapię cię później. Aha, Bailey – dodaje, zatrzymując taksówkę. – Gratulacje. Bardzo dobrze ci poszło.

Patrzę, jak taksówka znika wśród innych samochodów, łapię drugą i wracam na Biscayne Boulevard. Choć w sądzie odnieśliśmy zwycięstwo, jakoś mi markotno. Chyba spodziewałam się czegoś więcej niż tylko pochwały na odczepnego. Uczczenie tego lunchem byłoby miłym gestem, myślę, wsiadając do swojego samochodu w podziemnym garażu. Otwieram schowek na rękawiczki, wydaję broń i wrzucam ją do torby, gdzie ląduje na wizytówce Owena Weavera. Zastanawiam się nad przyjęciem jego propozycji. Od rozstania z chłopakiem zbyt wiele sobotnich wieczorów spędziłam samotnie.

Dwadzieścia minut później, skręcając w Northeast 129 Street w Północnym Miami, nadal o tym myślę. Zatrzymuję samochód na cichej willowej uliczce i idę w stronę cytrynowego budynku na końcu rzędu równie staroświeckich, pastelowych, niskich bloków. To tu mieszka Sara McAllister, z którą Roland Peterson spotykał się w czasach, zanim uciekł z miasta, by nie łążyć na dzieci. Podejrzewam, że mógł wrócić właśnie dla niej, i zamierzam to sprawdzić.

Na końcu ulicy znajduje się owalna kępa krzewów, miejsce zaciszne, choć położone blisko drogi. Nie mogłabym sobie wymarzyć lepszego punktu obserwacyjnego. Szybko sprawdzam, czy nikt nie patrzy, wydaję z torby lornetkę i daję nura w zarośla. Kucam wśród kwiatów i podnoszę lornetkę do oczu. Spoglądam na narożnik drugiego piętra w czteropiętrowym budynku i reguluję ostrość.

Zasłony w salonie Sary McAllister są rozsunięte, ale przy zgaszonym świetle trudno dostrzec cokolwiek z wyjątkiem stojącej przy oknie lampy z białym abażurem. Wydaje się, że w mieszkaniu nie ma nikogo, co mnie nie dziwi. Sara pracuje jako sprzedawczyni w Nordstrom i nie wraca przed szóstą. Dochodzę do wniosku, że teraz niewiele zwojuję, tkwiąc w tych krzakach. Rozsądniej będzie wrócić wieczorem.

Na popołudnie mam umówione dwa spotkania, no i muszę się rozprawić z górą zaległych dokumentów. I zadzwonić do Heatha, mojego brata. Nie gadaliśmy od tygodnia i nie mogę przestać się o niego martwić.

Rzucam jeszcze niedbałe spojrzenie na starą ulicę zastygłą w słonecznym blasku, jakby czas się zatrzymał, jakbym patrzyła na fotografię. Już się zaczynam podnosić, kiedy dostrzegam jakiś błysk w oknie po drugiej stronie ulicy, jakby ktoś właśnie odsunął się od szyby. Czy ten ktoś mnie obserwował?

Podnoszę lornetkę, ale nikogo nie widzę. Zawodowe zboczenie, myślę i wyłącze

z krzaków, po czym strącam kwiat hibiskusa z rękawa białej bluzki i otrzepuję kolana z ziemi. Postanawiam, że w nocy zjawię się tu w stosowniejszym stroju. Zresztą wtedy ciemność będzie mnie osłaniać jak tarcza. W swojej głupocie uznaję, że to wystarczające zabezpieczenie przed oczami równie wścibskimi jak moje.

Oto, co pamiętam: ciepłe nocne powietrze, ciemność miękka i przytulna jak kaszmirowy szal, delikatny wietrzyk zalotnie muskający krzewy o słodkim zapachu, w których się ukrywam, koralowe kwiaty zwinięte na noc. Ledwie mogę wyczuć ich słabą woń. Wpatruję się przez lornetkę w okna Sary McAllister, kolana bolą mnie od długiego klęczenia w tej samej pozycji, palce u stóp drętwieją. Zbliża się północ. Czaję się tutaj od wielu godzin i rozdrażnienie zaczyna mnie dusić jak głodny wąż boa. Myślę, że jeśli zaraz czegoś nie zobaczę, czegokolwiek, to dam sobie spokój.

Wtedy właśnie dociera do mnie ten dźwięk – chyba trzask gałązki, choć nie jestem pewna – sygnalizujący, że ktoś jest za mną. Odwracam się, żeby spojrzeć, ale za późno. Ręka w rękawiczce zasłania mi usta, dławiąc krzyk. Czuję smak skóry – starej, brudnej, uwalanej ziemią. A potem ręce wszędzie – na moich ramionach, w moich włosach, wyrywające mi lornetkę. Pięści uderzają mnie w brzuch i skroń; tracę ostrość widzenia, a ziemia ustępuje mi spod stóp. Napastnik szarpnięciem wkłada mi na głowę poszewkę od poduszki. Nie mogę oddychać i wpadam w panikę. Oprzytomniej, myślę, usiłując odzyskać równowagę i opanować strach. Rejestruj wszystko, co się dzieje.

Ale wszystko dzieje się za szybko. Zanim ten ktoś narzucił mi na głowę poszewkę, której biała bawełna zasłoniła nocną czerń, zdążyłam zauważyć jedynie niewyraźny kształt. Tak, to mężczyzna, ale nie mam pojęcia, czy jest młody czy stary, gruby czy chudy, czarny, brązowy czy biały. Czy człowiek, na którego się zaczęłam, zaczął się na mnie? Zauważył mnie w krzakach i podszedł mnie bez pośpiechu?

Jeśli tak, to dobrze, tłumaczę sobie. Jeśli to Roland Peterson, będzie chciał mnie tylko nastraszyć, nie zabić. Zabijając mnie, wpędziłby się w jeszcze większe kłopoty niż te, które już ma. Może mnie trochę sponiewiera, napędzi mi stracha, ale potem zniknie. Im szybciej przestanę się szarpać, tym szybciej da mi spokój.

Ale on nie daje mi spokoju. Odwraca mnie przodem do siebie i szarpie moje ubranie, rozdziera czarną koszulową bluzkę i podciąga stanik w górę, zsuwając go z piersi.

– Nie! – krzyczę, pojmując, co się dzieje. Kolejny cios w szczękę. Smak krwi w ustach. – Przestań! Proszę. Nie rób tego.

Ale moje prośby są stłumione, a jeśli nawet docierają do napastnika, to go nie powstrzymują, ani nawet nie zwalniają jego ruchów, gwałtowności jego ataku. Po chwili szarpnięciem zsuwa mi dzinsy i zdiera majtki z bioder. Wierzgam wściekle i chyba trafiam go w pierś, ale nie mam pewności. Możliwe, że się mylę.

Co się dzieje? Gdzie są wszyscy? Już znam odpowiedź. Nie ma nikogo. Ludzie, którzy tu mieszkają, w większości przekroczyli sześćdziesiątkę. Nikt nie wychodzi po dziesiątej, nie mówiąc już o spacerach o północy. Nawet najbardziej zwariowani psiarze już dawno położyli swoje małe pieszczołki spać.

Mężczyzna przygniata ramieniem moją szyję i ramiona, przyszpila mnie jak motyla, a drugą ręką manewruje przy swoich spodniach. Słyszę dźwięk rozpinanego suwaka i robi mi się niedobrze. Napastnik znowu przy czymś manewruje, coś rozpakowuje. Wkłada prezerwatywę, uświadamiam sobie i zastanawiam się, czy nie skorzystać z tego, że jest zajęty, ale nagły cios w żołądek pozbawia mnie zdolności do wszystkiego z wyjątkiem spazmatycznego łapania powietrza. O ucieczce nie ma co marzyć. Mężczyzna szybko rozsuwa mi nogi i wbija się we mnie. Czuję zimno prezerwatywy z lubrykantem, czuję jego ręce chwytające mnie za pośladki. Usiłuję sprawić, by moje ciało odrętwiało, ale nadal czuję każde brutalne pchnięcie. Wreszcie – kiedy wydaje mi się, że minęła wieczność – koniec. Mężczyzna gryzie mnie w pierś i szczytuje, a ja krzyczę. Po chwili jego usta zbliżają się do mojego ucha, jego oddech przenika cienką poszewkę. Czuć go płukanką do ust, mentolową i gryzącą.

– Powiedz, że mnie kochasz – warczy. Ręką w rękawiczce ściska mnie za gardło. – Powiedz!

Otwieram usta i słyszę, jak pada z nich słowo „bydlak”. Wtedy napastnik zaciska dłoń. Moje nozdrza się rozszerzają, krztuszę się, przerażona, usiłuję chwycić powietrze, dławię się krwią. Umrę tutaj, myślę. Nie wiem, jak długo jestem przytomna. Wyobrażam sobie moich rodziców i po raz pierwszy cieszę się, że nie żyją. Nie będą musieli przez to przechodzić.

Kciuk mężczyzny mocno wbija się w moją tchawicę. Naczynka krwionośne w oczach eksplodują jak fajerwerki. I w końcu, wreszcie, miłosiernie, zewnętrzna ciemność napływa mi pod powieki i już niczego nie widzę.

*

Gdy odzyskuję przytomność, mężczyzny nie ma.

Poszewka znikła z mojej głowy, a nocne powietrze liże moją twarz jak kot. Leżę przez jakiś czas, nie mogąc się ruszyć, usiłując pozbierać myśli, które pogubiłam wśród połamanych kwiatów hibiskusa otaczających moją głowę jak ramy obrazu. W ustach czuję smak krwi, bolesne pulsowanie między nogami, siniaki na piersiach. Jestem naga od pasa w dół i choć oczy mi zapuchły tak, że prawie nic nie widzę, dostrzegam strużki krwi płynące mi po udach. Powoli zsuwam biustonosz na piersi, wyglądam rozchełstaną bluzkę, sięgam przez połamane zarośla po dzinsy. Nie ma majtek ani płóciennej torby, w której noszę broń, pozwolenie na nią, portfel,

komórkę, aparat fotograficzny, dowód osobisty, legitymację i klucze do samochodu i mieszkania. Natomiast znajdują lornetkę.

– Ratunku! – krzyczy ktoś, i dopiero po chwili dociera do mnie, że to ja. – Pomocy!

Wbijam się w dzinsy i usiłuję wstać, ale nogi uginają się pode mną jakby były z ciasta, więc osuwam się na ziemię i pełzną na ulicę, gdzie zaparkowałam samochód.

Cud – moje srebrne porsche nadal tam stoi. Pewnie jest zbyt charakterystyczne, żeby je ukraść. Niewątpliwie to nie najlepszy samochód dla kogoś wykonującego mój zawód, ale należał do mojej mamy i nie zamierzam się z nim rozstawać. Teraz czepiam się klamki jak koła ratunkowego i usiłuję dźwignąć się do pozycji stojącej. Nowoczesny alarm natychmiast wybucha kakofonią wycia, dzwonięcia i gwizdów. Osuwam się na jezdnię, opieram się plecami o drzewiczki, siadam z rozrzuconymi nogami. Oglądam się na mieszkanie, które obserwowałam, i widzę w oknie mężczyznę. Odruchowo podnoszę lornetkę, ale jest za ciężka, nie mam sił. Upuszczam ją na beton.

Przytomność odzyskuję w karetce.

– Wszystko będzie dobrze – mówi sanitariusz.

– Wszystko będzie dobrze – powtarza drugi.

Nieprawda.

*

To się wydarzyło dwa tygodnie temu. Teraz jestem w domu. Ale z całą pewnością nic nie jest dobrze. Nie śpiam – przynajmniej nie bez silnych leków – i nie jem. Kiedy próbuję, wymiotuję. Schudłam co najmniej pięć kilo, na co nie mogłam sobie pozwolić, ponieważ już miałam co najmniej pięć kilo niedowagi. I wcale nie dlatego, że się odchudzam. Nie należę do kobiet katujących się dietami czy choćby zwracających uwagę na to, co jedzą, i nienawidzę ćwiczeń. Mam dwadzieścia dziewięć lat i zawsze byłam szczupłą. W szkole nazywali mnie Patyczak. Jako ostatnia dziewczynka w klasie zaczęłam nosić stanik, ale kiedy moje piersi wreszcie zaczęły pączkować, stały się zaskakująco, a nawet podejrzanie duże i krągłe. „Implanty, ewidentnie” syknęła w zeszłym miesiącu jakaś prawniczka w kancelarii, kiedy mijalam ją i jej koleżanki na korytarzu. W każdym razie wydaje mi się, że to było w zeszłym miesiącu; tracę poczucie czasu. Kolejna pozycja z listy strat. Tuż za pewnością siebie. Tuż przed zdrowymi zmysłami.

Straciłam też urodę. Przedtem byłam ładna. Duże, zielono-niebieskie oczy, wyraziste kości policzkowe, lekko wysunięte zęby, przez który moje wargi wydawały się pełniejsze, długie, gęste włosy. Teraz oczy mam przekrwione od ciągłego płaczu i otoczone siniakami, policzki podrapane i zapadnięte, wargi

spękane i krwawiące, bo je gryzę – stary nawyk z dzieciństwa, który nagle wrócił. Włosy, niegdyś moja duma i radość, zwisają bez życia, wysuszone zbyt częstym myciem, tak jak skóra, zdarta prawie do żywego mięsa po tych wszystkich prysznicach. Ale nawet po trzech czy czterech dziennie nie czuję się czysta. Jakbym przez wiele tygodni tarzała się w brudzie, który tak głęboko wżarł się w moje pory, że przesiąknął do krwi. Jestem skażona. Toksyczna. Niebezpieczna dla wszystkich, którzy na mnie spojrzą. Nic dziwnego, że prawie nie poznaję się w lustrze. Stałam się jak te żałosne kobiety na rogach ulic, zgarbione, z wyciągniętymi drżącymi rękami żebrzące o drobne, stałam się kobietą, którą omija się szerokim łukiem. Kobieta, którą w cichości ducha obwinia się za jej stan.

Ta kobieta mieszka ze mną i nie odstępuje mnie na krok. Chodzi za mną z pokoju do pokoju jak duch Marleya, człapiąc po beżowych marmurowych posadzkach mojego przestronnego mieszkania z dwiema sypialniami. Mieszkamy razem na dwudziestym trzecim piętrze ultranowoczesnego szklanego wieżowca w dzielnicy Brickell, o której często mówi się Wall Street Południa. Ta okolica – finansowe centrum Miami – jest również pełna drogich centrów handlowych i hoteli, nie wspominając już o ponad dziesięciu tysiącach mieszkań w luksusowych apartamentowcach z efektownym widokiem na miasto i ocean. Okna, od podłogi do sufitu w moim salonie, wychodzą na piękną Miami River, natomiast z identycznych okien sypialni widać inne szklane wysokościowce. Niestety wiele mieszkań świeci pustkami – załamanie gospodarki uderzyło szczególnie boleśnie w handel nieruchomościami. Mimo to po drugiej stronie ulicy buduje się kolejny wieżowiec. Wszędzie wznoszą się żurawie. Nowy ptak w narodowym godle, słyszę śmiech matki. Starczy już tych wysokich szklanych budynków, myślę. Ale kimże jestem, żeby protestować? Szklane domy...

Wprowadziłam się tu w zeszłym roku. Ojciec kupił mi to mieszkanie, choć twierdził, że bardzo by się cieszył, gdybym nigdy się nie wyprowadziła z domu. Ale zgodził się, że chyba czas, żebym zaczęła żyć na własny rachunek. Od śmierci mamy minęły dwa lata. Dostałam pracę. Miałam chłopaka. I całe życie przed sobą.

Oczywiście wtedy było wtedy.

A teraz jest teraz.

Teraz nie mam nic. Praca zawieszona, chłopak odszedł, ojciec cztery miesiące temu zmarł na zawał, zostałam sierotą. W każdym razie wydaje mi się, że cztery miesiące temu. Jak powiedziałam, straciłam poczucie czasu. To się zdarza, kiedy się nie wychodzi z mieszkania przez cały dzień, podskakuje przy każdym dzwonku telefonu i wychodzi z łóżka tylko pod prysznic i do toalety, zaś gośćmi są tylko policjanci i jedyny krewny, który nie procesuje się ze mną o majątek ojca.

Dziękuję niebiosom za mojego brata, choć niewiele mi pomaga. Kiedy zobaczył mnie w szpitalu po napadzie, zemdlał – runął jak długi, prawie rozbijając głowę o nosze. Wyglądało to niemal śmiesznie. Lekarze i pielęgniarki rzucili się go ratować

i na chwilę przestałam dla nich istnieć. „Jaki przystojny”, szepnęła jakaś pielęgniarka. Nie mam do niej pretensji, że na widok urody Heatha chwilowo zapomniała o całym świecie. Mój brat, starszy ode mnie zaledwie o jedenaście miesięcy, jest najpiękniejszym z dzieci mojego ojca. Jego ciemne włosy zawsze opadają na oczy w nienaturalnie głębokim odcieniu zieleni, z rzęsami nieprzyzwoicie długimi, dziewczynskimi. Kobiety natychmiast się w nim zakochują. Mężczyźni też. A Heath nigdy nie miał serca odmawiać. Nikomu. Niczego.

W szpitalu zbadano mnie i powiedziano, że miałam szczęście. Dziwnie to zabrzmiało i pewnie moja mina to zdradziła, bo szybko mi wyjaśniono, że szczęście polega na tym, iż napastnik włożył prezerwatywę. Dlatego nie muszę przyjmować tych strasznych leków na AIDS ani pigułki po, żeby zapobiec niechcianej ciąży. Tego mi oszczędził. Taki troskliwy gwałcielem. Niestety nie zostawił także po sobie śladu. Nie będzie próbki DNA, którą można wprowadzić do rozległej bazy danych CSI. Chyba że dam policji coś, na czym można się oprzeć, coś, co sobie przypomnę, cokolwiek...

– Proszę się zastanowić – powiedział policjant w noc napadu. – Czy przypomina sobie pani cokolwiek?

Pokręciłam głową i poczułam, że mózg telepie mi się w czaszce. Bolało, ale próba wydobywania z siebie głosu bolała jeszcze bardziej.

– Czy możemy to powtórzyć jeszcze raz? – odezwał się inny głos, kobiecy. – Czasem im więcej powtórek, tym łatwiej sobie przypomnieć. Coś, z czego nie zdajemy sobie sprawy, może mieć znaczenie...

Jasne, pomyślałam. Znaczenie. Jak sobie chcesz.

– Nazywa się pani Bailey Carpenter i mieszka pani na 1228 Northeast First Avenue. Tak?

– Zgadza się.

– To centrum. Znaleziono panią w północnej części miasta.

– Tak. Już mówiłam, że prowadziłam obserwację mieszkania. Jestem detektywem w Holden, Cunningham i Kravitz.

– To kancelaria prawnicza?

– Tak. Szukałam Rolanda Petersona, który rok temu uciekł z miasta. Reprezentujemy jego byłą żonę i dostaliśmy wiadomość, że Peterson niedawno potajemnie wrócił do Miami, być może by spotkać się z dawną dziewczyną.

– Dlatego obserwowała pani jej mieszkanie?

– Tak.

– Czy sądzi pani, że to Roland Peterson panią zaatakował?

– Nie wiem. Aresztujecie go?

– Na pewno go sprawdzimy.

Pomyślałam, że Roland Peterson – czy jest gwałcicielem, czy tylko wyrodnym ojcem – w tej chwili pewnie wieje, aż się za nim kurzy.

– Czy może pani opisać napastnika?

Znowu pokręciłam głową i poczułam, że mózg ześlizguje mi się w stronę lewego ucha.

– Proszę się nie spieszyć – nie ustępowała policjantka. Zauważyłam, że była w cywilu, czyli widać pracowała w wydziale dochodzeniowo-śledczym. Zdaje się, że ten drugi powiedział o niej „oficer Marx”. – Wiem, że to niełatwe, ale proszę sobie przypomnieć te krzaki.

Czy oficer Marx naprawdę jest tak naiwna, myślę teraz. Nie wie, że pozostanę w tych krzakach do końca życia?

Pamiętam, że wydała mi się zbyt drobna, zbyt krucha na policjantkę. Jej jasnoszare oczy patrzyły zbyt łagodnie, ze zbytnią troską.

– To wydarzyło się tak szybko... Wiem, że wszyscy tak mówią. Wiem, że powinnam być bardziej ostrożna, zauważać, co się wokół mnie dzieje...

– To nie pani wina – przerwała mi.

– Ale trenowałam judo i taekwondo – sprzeciwiłam się. – Przecież nie jestem bezbronna.

– Każdego można zaskoczyć. Nic pani nie słyszała?

– Nie wiem – powiedziałam, starając się sobie przypomnieć i jednocześnie tego nie chcąc. – Coś poczułam. Zmianę w powietrzu. Nie, zaraz, usłyszałam coś, może krok, może trzask gałązki. Zaczęłam się odwracać i wtedy...

W wyciągniętej ręce policjantki nagle pojawiła się chusteczka. Chwyciłam ją i rozszarpałam, zanim zdążyłam podnieść do oczu.

– Zaczął mnie bić. Uderzał w brzuch i twarz. Nie mogłam się uwolnić. Narzucił mi na głowę poszewkę. Nic nie widziałam. Nie mogłam oddychać. Strasznie się bałam.

– Czy zanim panią uderzył, coś pani zobaczyła? Sylwetkę? Jego wzrost?

Usiłowałam sobie przypomnieć. Naprawdę. Ale widziałam tylko mrok nocy, a potem duszącą biel poszewki.

– Widziała pani jego ubranie?

Znowu pokręciłam głową.

– Musiał mieć na sobie coś ciemnego. I džinsy. Nosił džinsy. – Przypomniałam sobie odgłos rozpinanego suwaka i chciałam krzyknąć, żeby go zagłuszyć.

– Dobrze. Bardzo dobrze, Bailey. Jednak coś widziałaś. Pamiętasz.

Poczułam się idiotycznie dumna z siebie i uświadomiłam sobie, jak bardzo nie chcę zawieść tej kobiety o łagodnych szarych oczach.

– Czy widziałaś kolor skóry tego mężczyzny? Był czarny, biały, śniady?

– Biały. Może śniady. Chyba miał brązowe włosy.

– Co jeszcze?

– Wielkie dłonie. W skórzanych rękawiczkach. – Znowu poczułam smak tej skóry i musiałam opanować wymioty.

– Potrafisz określić jego wzrost?

– Chyba średni.

– A postura? Miał nadwagę, był chudy, muskularny?

– Średnia – powtórzyłam. Czy można znaleźć mniej pomocnego świadka? Uczono mnie zapamiętywać najdrobniejsze szczegóły. I całe wykształcenie ulotniło się po pierwszym ciosie. – Był bardzo silny.

– Walczyłaś z nim.

– Tak. Ale on ciągle mnie bił, więc nie zdołałam się zbliżyć na tyle, żeby wejść w prawdziwy kontakt. Nie widziałam jego twarzy. Była zamazana. A potem narzucił mi na głowę poszewkę...

– Zauważyłaś jego buty?

– Nie. Tak! – poprawiłam się natychmiast. Przed oczami stanął mi błysk haczyka Nike na płótnie. – Miał czarne buty Nike.

– Potrafisz określić ich rozmiar?

– Nie, cholera. Jestem do niczego. Beznadziejna. Nic nie wiem.

– Wiesz. Przypomniałaś sobie buty.

– W których chodzi połowa ludzi w Miami.

– Powiedział coś?

– Nie.

– Na pewno?

– Nic nie powiedział.

I nagle poczułam usta mężczyzny zbliżające się do mojego ucha, jego głos, który przedarł się przez materiał z taką samą brutalną siłą, z jaką wdarł się we mnie. „Powiedz, że mnie kochasz”.

Całe moje ciało zaczęło dygotać. Jak mogłam o tym zapomnieć? Jak mój umysł mógł zagłuszyć coś tak ewidentnie, strasznie ważnego?

– Kazał ci powiedzieć, że go kochasz? – powtórzyła policjantka, nie starając się ukryć zaskoczenia i wstrętu.

– Tak. Powtórzył to dwa razy.

– I co?

– Co co?

– Powiedziałaś, że go kochasz?

– Nie. Że jest bydlakiem.

– Brawo – rzuciła, i znowu poczułam dumę.

– Dobrze, Bailey. To bardzo ważne. Potrafisz mi opisać jego głos? – Zanim zdążyłam odpowiedzieć, dodała: – Mówił jak Amerykanin? Miał akcent? Głos głęboki czy piskliwy? Seplenił? Wydawał się stary czy młody?

– Młody. W każdym razie nie stary. Ale nie miał głosu nastolatka. – Spróbowałam sobie przypomnieć, jak brzmi głos nastolatka. – Szeptał... właściwie warczał. Nie słyszałam akcentu ani seplenienia.

– Dobrze. Bardzo dobrze, Bailey. Doskonale. Czy rozpoznałabyś ten głos?

Boże, pomyślałam w panice, od której zakręciło mi się w głowie. Tylko nie każ mi go znowu usłyszeć.

– Nie wiem. Może. Mówiłam, że szeptał. – Znowu przyплыw paniki. I nowa fala łez. Kolejna chusteczka. – Proszę. Chcę już do domu.

– Jeszcze parę pytań.

– Nie. Dość. Wszystko powiedziałam.

Powiedziałam, że gwałciciel był najprawdopodobniej białym mężczyzną średniego wzrostu i średniej wagi, między dwudziestką a czterdziestką, z brązowymi włosami i w czarnych nike'ach. Innymi słowy nie powiedziałam nic.

– Dobrze – zgodziła się, choć niechętnie. – Czy możemy jutro do ciebie wpaść?

– Po co?

– Na wypadek, gdybyś sobie coś przypomniała. Czasem kiedy się człowiek wyśpi...

– Myślisz, że zasnę?

– Myślę, że lekarze coś ci przepiszą.

– I myślisz, że to pomoże?

– Wiem, że w tej chwili w to nie wierzysz. – Położyła mi lekko rękę na ramieniu. Z trudem się powstrzymałam, by nie cofnąć się ze wstrętem. – Ale w końcu się otrząsniesz. Twój świat wróci do normalności.

Ta jej pewność zdziwiła mnie tak samo jak jej naiwność. Kiedy mój świat był normalny?

Oto streszczenie historii mojej rodziny: ojciec, Eugene Carpenter, miał trzy żony i spłodził siedmioro dzieci: z pierwszą dziewczynkę i chłopca, z drugą trzech chłopców, a z trzecią mnie i Heatha. Jako znany przedsiębiorca i inwestor, który zbił fortunę na giełdzie, regularnie kupując tanio i sprzedając drogo, niejednokrotnie zwracał na siebie uwagę dochodzeniówki swoją podejrzanie dobrą passą. Ale pomimo największych wysiłków, policja nigdy nie udowodniła mu żadnej malwersacji, co stanowiło źródło głębokiej dumy dla niego i równie głębokiej frustracji dla jego najstarszego syna, asystenta oskarżyciela publicznego, który zainicjował dochodzenie. Mój ojciec zerwał z nim wszystkie kontakty i wykluczył go z testamentu. Stąd proces o majątek ojca, którego głównymi spadkobiercami jestem ja i Heath. Reszta naszego przyrodniego rodzeństwa przyłączyła się do roszczeń.

Nie mam do nich o to pretensji. Mój ojciec był w najlepszym razie obojętny wobec nich i podły dla ich matek. Co więcej, miał chore, wręcz okrutne poczucie humoru. Trzech synów, których miał z drugą żoną, nazwał Thomas, Richard i Harrison (Tom, Dick i Harry)[1] i choć zawsze twierdził, że wyszło mu to niechcący, przynajmniej do narodzin Harry'ego, jedno było pewne: nieustannie szczył braci na siebie, w wyniku czego, gdyby nie ten pozew, niewątpliwie nie odezwaliby się do siebie aż do dziś.

Co dziwne, ja i Heath nie znaleźliśmy takiego ojca. Nasze dzieciństwo przypominało

idyllę; ojciec był wcieleniem troski i miłości. Zasługę przypisuję mojej matce. Ojciec, starszy od niej o osiemnaście lat, często twierdził, że ją pierwszą pokochał naprawdę i że to ona nauczyła go być mężczyzną. I pewnie pokochał nas ze względu na nią. Ojciec, którego pamiętam, był hojny i czuły, łagodny i żarliwie opiekuńczy. Gdy matka zmarła trzy lata temu na raka jajnika, w tragicznie młodym wieku pięćdziesięciu pięciu lat, ojciec oszalał z żalu. Ale nigdy nas nie zostawił, nigdy nie szukał pociechy w dawnym sobie, nigdy nie stał się człowiekiem, którego pamięta moje przyrodnie rodzeństwo.

Zawsze był przy mnie.

A potem nagle odszedł.

Człowiek, którego uważałam za niepokonanego, zmarł na rozległy zawał serca w wieku siedemdziesięciu sześciu lat.

Od tego czasu minęły cztery miesiące.

Po jego śmierci zerwałam z Travisem i wdałam się w niefortunny – jak oceniłaby to większość ludzi – romans z żonatym mężczyzną. Nie żeby jedno miało coś wspólnego z drugim. Mój związek z Travisem od jakiegoś czasu się sypał. Ja też się rozsypałam po niespodziewanej śmierci ojca; wróciły ataki paniki, które dręczyły mnie po śmierci matki, odbierając władzę w nogach i uniemożliwiając oddychanie. Kryłam się z nimi przed wszystkimi i na ogół mi się udawało, ale jeden człowiek nie dał się zwieść.

– Powiesz mi, co się dzieje? – spytał. – Tak naprawdę?

I powiedziałam, początkowo niechętnie, potem nie mogąc się powstrzymać, jakby pękły wszystkie tamy. Szybko stał się moim najbliższym sojusznikiem, powiernikiem, w końcu – co pewnie było nieuniknione – kochankiem.

Od samego początku wiedziałam, że nie zostawi swojej żony. Była matką jego dzieci, a on nie zamierzał stać się ojcem dochodzącym, choć małżeństwo mu się nie udało. Powiedział, że rzadko kłóci się z żoną, bo żyją właściwie osobno, i że choć regularnie pokazują się razem publicznie, po powrocie do domu rozchodzą się w jego przeciwległe krańce. Nie kochali się ze sobą od lat.

Czy ja w to wierzę? Naprawdę tak łatwo mnie oszukać? Nie wiem. Wiem tylko, że kiedy z nim jestem, czuję, że to właśnie z nim chcę być. To takie proste – i jednocześnie takie okropne i skomplikowane.

Kiedy teraz myślę o tym, jak się kochaliśmy, o jego delikatnych palcach poznających moje ciało, o delikatnym sondowaniu jego języka, o wprawie, z jaką prowadził mnie do orgazmu, wydaje mi się niemożliwe, by akt tak pełen czułości i miłości mógł w innych okolicznościach być przepełniony nienawiścią i gniewem, że to, co daje tyle rozkoszy, może sprawić taki ból. Zastanawiam się, czy jeszcze kiedykolwiek doznam przyjemności płynącej z dotyku mężczyzny i czy za każdym razem, gdy mężczyzna wejdzie w moje ciało, będę czuła gwałciciela, czy za każdym razem, gdy jego usta dotkną moich piersi, będę się wzdrygać z obrzydzenia i zgrozy.

Zastanawiam się, czy seks jeszcze kiedyś sprawi mi przyjemność, czy też jest kolejną rzeczą, którą mi odebrano na zawsze.

Kiedy, po godzinach badań i przesłuchań, przywieziono mnie ze szpitala do domu, mój brat był w takim szoku, że odpalał jednego jointa od drugiego, zanim zdołał się uspokoić. Mamrotał: „Powinniśmy zadzwonić do Trávisa”, a potem twardo zasnął. Choć Travis i ja nie jesteśmy już parą, Heath nadal się z nim przyjaźni. Przyjaźnili się, zanim się zeszliśmy. To mój brat nas poznał. Nadal nie pojmuje, dlaczego zerwaliśmy, a ja mu tego nie wyjaśniłam. I tak szaleje.

Więc teraz stoję przy oknie sypialni w mieszkaniu, z którego nie wychodzę, i gapię się tępo na sześć identycznych szklanych wieżowców, a puste oczy mojego odbicia gapią się na mnie.

W rękach trzymam nieodłączną lornetkę, która stała się przedłużeniem moich dłoni. Teraz w miejscu, którym uderzyła o beton, ma wielki odprysk; dotykam go odruchowo, jak strupa. Unoszę lornetkę do oczu i słyszę głos matki: „Powiedz, co widzisz”. Skupiam się na pobliskiej budowie, przyglądam się kłótni dwóch robotników; jeden dziabie palcem w pierś drugiego, a trzeci interweniuje.

Powoli, nieustannie zmieniając ostrość, wodzę spojrzeniem po piętrach. W końcu skupiam się na budynku stojącym dokładnie przed moim, zaglądam w kolejne okna, wdzieram się w życie niczego niepodejrzewających, nieświadomych ludzi, nadzoruję ich codzienne czynności, gwałcę ich prywatność, przyciągam ich do siebie, sama pozostając w bezpiecznej odległości.

Telefon przy łóżku dzwoni, a ja podskakuję nerwowo, choć nie zamierzam go odebrać. Nie chcę rozmawiać z nikim. Mam już dość zapewnień, że sobie poradzę, że z każdym dniem będzie trochę łatwiej.

Nie jest i nie będzie.

Mocniej przyciskam lornetkę do twarzy, obserwując z daleka otwierający się przede mną wszechświat. Nie mam ochoty się zbliżyć.

¹ Tom, Dick i Harry – idiom oznaczający przeciętniaków, ludzi z ulicy (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Ludzie mówią, że nie ma sensu denerwować się tym, na co nie ma się wpływu. Zwykle sprzeciwiałam się temu. Ale to było, zanim u mojej matki zdiagnozowano raka, zanim patrzyłam bezradnie, jak choroba odbiera jej siły, uśmiech, w końcu życie, zanim mój ojciec umarł na rozległy zawał parę tygodni po tym, jak pomyślnie przeszedł badania kontrolne. Zanim tamten człowiek znalazł mnie w kępie słodko pachnących krzaków i odarł z ubrania, godności i resztek wewnętrznego spokoju. Przekonanie, że panujemy nad swoim losem – teraz już to wiem – jest w najlepszym razie nieszkodliwym złudzeniem, a w najgorszym podstępem prowadzącym do katastrofy.

Nigdy nie miałam wielu przyjaciół. Właściwie nie wiem dlaczego. Z natury jestem dość towarzyska. Dogaduję się z większością ludzi. Dobrze mi wychodzą pogaduszki o niczym – może za dobrze. Z głębszymi rozmowami jest gorzej. Nigdy nie miałam potrzeby opowiadania o swoich uczuciach. Nigdy nie chciałam dzielić się szczegółami relacji, które uważam za prywatne. Moja koleżanka z liceum, Jocelyn, której nie widziałam od lat, mawiała, że pod tym względem bardziej przypominam chłopaka. Że raczej wolę mówić o rzeczach ogólnych niż o szczegółach i że choć potrafię słuchać, nigdy nie rozmawiam o swoich problemach, że nikogo do siebie nie dopuszczam. I że nie potrafię zaufać, bo moja rodzina jest tak bogata. Nie wiem, czy się z nią zgadzam. Może faktycznie nie przychodzi mi łatwo nawiązywanie więzi. Może zawsze lepiej się czułam jako obserwator niż uczestnik. Ale po prostu taka się urodziłam. Może dlatego tak dobrze mi idzie w mojej pracy.

W każdym razie Jocelyn już dawno znikła z mojego życia. Po maturze przez rok podróżowała po Europie, a potem zaczęła studiować w Berkeley. Ja zostałam na południu Florydy. Straciłyśmy ze sobą kontakt, choć parę lat temu przesłała mi zaproszenie do grona znajomych na Facebooku. Chciałam odpowiedzieć, ale akurat wtedy mama zaczęła umierać i zapomniałam o wszystkim.

Może to banał, ale moją najlepszą przyjaciółką zawsze była matka. Nadal nie mogę uwierzyć, że odeszła. Ale choć moje ciało boleśnie tęskni za jej ramionami, które mnie obejmowały, za jej pocałunkami w czoło, które miały wszystko naprawić, bardzo się cieszę, że mama mnie teraz nie widzi. Tego nie naprawiłby nawet jej pocałunek.

Koleguję się z Alissą Dunphy, od trzech lat współpracowniczką kancelarii – to dla niej pracowałam tego wieczoru, kiedy zostałam napadnięta – i z Sally Ogilby, asystentką Phila Cunninghama, najważniejszej osoby w firmie, ale rzadko spotykam

się z nimi poza pracą. Alissa jest przykuta do biurka. Ciężko pracuje, żeby zostać współpracowniczką, zanim skończy trzydzieści pięć lat. A Sally ma męża, trzyletniego synka i za parę miesięcy urodzi następne dziecko, tym razem dziewczynkę. Nie ma wiele czasu na inne atrakcje. Jest bardzo zajęta. Wszystkie jesteście bardzo zajęte.

Poprawka: byliśmy.

Byłam zajęta. Czas przeszły.

Od tamtego dnia Alissa dzwoni do mnie codziennie i bez przerwy mnie przeprosza, powtarza, że czuje się odpowiedzialna, pyta, jak może mi pomóc przejść przez ten trudny czas. Ja odpowiadam, że nie może, nie może niczego zrobić, i niemal słyszę jej westchnienie ulgi. „Ale jeśli będziesz czegokolwiek potrzebować...” mówi, zanim odłoży słuchawkę.

Chcę odzyskać swoje dawne życie. Chcę, żeby wszystko było tak, jak poprzednio. Chcę się dowiedzieć, kto mi to zrobił.

Policja uważa, że to przypadkowy napad, przestępstwo nie-zaplanowane, że znalazłam się w złym miejscu w złym czasie. A jednak pytają, czy istnieje ktoś, kogo pogrążyłam moim śledztwem, czyje małżeństwo rozbiłam moimi fotografiami, czyje interesy doprowadziłam do plajty zebranymi informacjami; ktoś, kto nienawidzi mnie wystarczająco, by zrobić coś takiego.

Myślę o zeznaniach, które złożyłam w sądzie rankiem tamtego dnia, o jadowitym spojrzeniu Todda Eldera, o słowie „suka”, które uleciało bezgłośnie z jego warg. Todd Elder pasuje do opisu gwałciciela. Podobnie jak Owen Weaver, dociera do mnie wraz ze wspomnieniem naszego ulotnego flirtu i jego białych równych zębów. Wzdrygam się, czując, jak te zęby wbijają się w moją pierś. Czy to możliwe?

Zapamiętałaś coś w wyglądzie tego mężczyzny? – pytam sama siebie codziennie, powtarzając słowa policjantki.

Przeszukuję swój umysł, przetrząsam go w poszukiwaniu najdrobniejszego szczegółu, staram się być tak uparta, metodyczna i pomysłowa w życiu prywatnym, jak byłam kiedyś zawodowo. Ale nie znajduję nic, niczego nie dostrzegam.

– Mogło być gorzej – przypominam sobie słowa pielęgniarki. – Mógł panią zgwałcić analnie. Mógł panią zmusić do wzięcia do ust.

– Szkoda, że tego nie zrobił – słyszę swój głos. – Odgryzłabym mu fiuta.

– Zabiłby panią.

– Byłoby warto.

Czy ta rozmowa rzeczywiście się odbyła, czy tylko ją sobie wyobraziłam? A jeśli naprawdę o tym mówiłyśmy, to co jeszcze w sobie stłumiłam? Co jeszcze czai się w mojej głowie, zbyt straszne, żeby się przypomnieć, zbyt przerażające, by to pamiętać?

Typowy dzień po gwałcie: budzę się o piątej rano po jakichś dwóch godzinach snu. Otrząsam się z koszmaru – zamaskowany mężczyzna goni mnie po ulicy, jakaś kobieta przygląda mi się z balkonu beczynnie, wokół moich nóg w stojącej wodzie krążą reki – wstaję i sięgam do górnej szuflady nocnej szafki. Znajduję duże nożyce, które trzymam tu od napadu, i zaczynam poranny obchód mieszkania.

Gwałciiciel zabrał mi broń, a ja jeszcze nie kupiłam nowej. Ale nie szkodzi. Nożyce mają w sobie coś bardziej bezpośredniego, osobistego, bardziej satysfakcjonującego. Kiedy myślę o zaatakowaniu mężczyzny, który na mnie napadł – a myślę o tym tak często, jak oddycham – nigdy nie wyobrażam sobie, że go zastrzelę. Widzę, jak go przeszywam, tak jak on przeszył mnie. I choć nie mogę się posłużyć moim ciałem tak jak on, mogę rozedrzeć jego ciało tak, jak on to zrobił mnie. Nożyce są przedłużeniem mojej dłoni, moją furją.

Taką właśnie osobą się stałam. Taką mnie zrobił.

Z wyciągniętymi przed siebie nożycami zaglądam pod łóżko, choć jest zbyt niskie, żeby ktoś mógł się pod nim zmieścić, potem idę długim marmurowym korytarzem wśród obrazów, które odziedziczyłam po rodzicach. Są tam kolorowe serca Jima Dine'a, naga postać Motherwella, abstrakcyjna różowo-czarna kompozycja Gottlieba, pomarańczowo-czarna praca Caldera, która trochę przypomina mi indyka. Szybko sprawdzam drugą sypialnię, która służy za gabinet, zaglądam pod biurko z czarnego marmuru i szkła akrylowego, na którym trzymam komputer, i za rozkładaną sofę krytą fioletowym sztruksem, na której czasem sypia Heath. Zaglądam do małej szafy i przyległej łazienki, sprawdzam szafkę pod zlewem, po czym idę korytarzem do głównej łazienki. Upewniwszy się, że nikt się nie zaczął za drzwiami, otwieram szafę w korytarzu i wypatruję stóp wystających spod płaszczy. Patrzą, czy drzwi wejściowe są zaryglowane, i w drodze do salonu sprawdzam kuchnię.

Na środku prostokątnego pomieszczenia stoją dwie nowoczesne białe sofy. Rozdziela je spory kwadratowy stolik z wapienia stojący na krowiej skórze. Na sofach leżą intensywnie fioletowe poduszki w tym samym odcieniu co fotel, wyznaczający granicę salonu i jadalni. Dziesięć plastikowych cytryn wypełnia podłużną misę z drutu na środku szklanego stołu. Tuzin różowych sztucznych róż stoi w limonkowym wazonie na stoliku naprzeciwko okna, pod obrazem przedstawiającym dwie kobiety bez twarzy, przechadzające się, ręka w rękę, po pustej plaży. Nie pamiętam nazwiska autora. Jakiś miejscowy artysta.

Sztuczna palma przy oknie sięga do wysokiego sufitu. Wygląda równie autentycznie, jak te, których pełno na ulicach. Sztuczne białe orchidee zwisają ze ściany przy kuchni. Wszyscy, zawsze, sądzą, że to prawdziwe kwiaty, i gratulują mi ręki do roślin. Są zaskoczeni, kiedy wyjawiam prawdę, i jeszcze bardziej, gdy mówię, że wolę te atrapy. Są niekłopotliwe i łatwe w utrzymaniu, wyjaśniam. Nie trzeba się nimi zajmować. Nie umierają.

Oczywiście mam też prawdziwe kwiaty. Tuż po gwałcie dostałam przynajmniej sześć bukietów. Głównie od kolegów z pracy. Stoją w całym mieszkaniu. Sean Holden przysłał mi dwa tuziny różowych róż. Travis wielki kosz fioletowych chryzantem. Pamiętał, że uwielbiam fioletowy kolor – zapomniał, że nie znoszę chryzantem. A może zrobił to celowo. Albo zapomniałam mu powiedzieć.

Upewniwszy się, że nikt nie kryje się za zasłonami w salonie, wracam do sypialni, gdzie rozgarniam ubrania w garderobie, aby zobaczyć, czy nikt nie schował się za dzinsami i sukienkami. Zaglądam do łazienki przy sypialni. Sprawdzam oddzielną ubikację, oszklony prysznic, nawet białą emaliowaną wannę na mosiężnych łapach, bo może ktoś się tam skulił jak zwinięty wąż, czekając na okazję do ataku. Zaglądam do białego wiklinowego kosza przy wannie, unoszę wieko i grzebię nożycami w jego zawartości.

Powtarzam ten rytuał co najmniej trzy razy dziennie, choć czasem zmieniam kolejność. Dopiero kiedy uwierzę, że nikt nie wdarł się do mojego podniebnego szklanego sanktuarium, odkręcam kurki prysznic. Gdy para wypełnia pomieszczenie, zdejmuję piżamę i wchodzę do kabiny.

Z nożycami.

Nie patrzę na swoje nagie ciało. Nie mogę znieść widoku swoich piersi. Włosy łonowe budzą we mnie wstręt. Nie depilowałam nóg ani pach od napadu. Wszystko mnie boli: żebra, przeguby, plecy. Nawet skóra. Stoję w ulewie gorącej wody, aż przestaję czuć ciało. Wyszędłszy spod prysznic, nie patrzę w zaparowane lustro. Wycieram się szorstkim ręcznikiem, trę skórę do czerwoności. Wrzucam piżamę do pękającego w szwach kosza, wkładam świeżą i z nożycami w dłoni wracam do sypialni.

Panuje w niej mrok. Słońce jeszcze nie wzeszło. Nie podnoszę rolet, dopóki nie nastanie dzień.

Nigdy nie wiadomo, kto patrzy.

*

Wyczuwam jego obecność, zanim go widzę, jego zapach dociera do mnie, zanim czuję jego ruch nade mną. Natychmiast rozpoznaję tę woń: płyn do płukania ust, mentolowy. Nagle jego ciało mnie przygniata, jego łokieć wbija się w moją tchawicę, dławi oddech, uciska krzyk, zanim zdoła się wyrwać z ust.

– Powiedz, że mnie kochasz – rozkazuje, wbijając się we mnie. Moje ciało natychmiast staje w ogniu, jakby wpychał we mnie płonąca pochodnię. – Powiedz, że mnie kochasz.

– Nie! – krzyczę, bijąc go w pierś, kopiąc jego uda, drapiąc kark. Moje ciosy padają w próżnię, a ja miotam się bezradnie na łóżku.

Otwieram oczy.

Jestem sama.

Siadam. Oddech wraca do normy dopiero po paru minutach. Telewizor nadal działa. Biorę pilota z nocnej szafki i wyłączam go. Nie mam pojęcia, która to godzina, co to za dzień tygodnia, ile godzin minęło, odkąd zasnąłam.

Dzwoni telefon, a ja podrywam się z miejsca, a potem siadam i gapię się na niego, aż przestanie jazgotać. Zegar przy łóżku pokazuje ósmą dziesięć. Zakładam, że rano, choć nie jestem pewna i nie ma to znaczenia. Wstaję, biorę nożyce z górnej szuflady szafki i ruszam na obchód mieszkania. Kiedy wychodzę na korytarz, telefon znowu jazgocze. Ignoruję go.

Telefon dzwoni i dzwoni przez całe dziesięć minut, które zajmuje mi kontrola pokoi. Dzwoni, gdy wracam do sypialni. Pewnie policja, myślę, sięgając po słuchawkę. W tej samej chwili dzwonek cichnie. Wzruszam ramionami i stoję nad nim przez parę minut, ale on na złość milczy.

Właśnie wychodzę spod prysznic, gdy słyszę głosy i kroki. Ktoś chodzi po mieszkaniu! Chwytam wielki biały szlafrok i owijam się nim, wmawiając sobie, że poniosła mnie wyobraźnia. Przecież nikt nie mógł się dostać do mojego mieszkania. Nikt nie idzie moim korytarzem. Nikt nie szepcze pod drzwiami mojej sypialni.

A jednak.

Jakiś głos przeszywa powietrze.

– Bailey? Bailey, jesteś tam?

Drugi głos, męski:

– Panno Carpenter? Czy wszystko w porządku?

Kolana uginają się pode mną. W ustach mi zasycha. Pokój zaczyna wirować.

W drzwiach staje kobieta, nad jej ramieniem pojawia się głowa młodego mężczyzny. Kobieta ma jakiś metr sześćdziesiąt, krótkie jasne włosy i szeroko rozstawione piwne oczy. I wydęty, ciężki brzuch.

– Sally? – mamrocę ochryple, opuszczając nożyce.

– Wszystko w porządku? – pyta mężczyzna za jej plecami. Dopiero teraz rozpoznaję jego rysy, to Finn, jeden z recepcjonistów. – Ciągłe dzwonił się.

– Byłam pod prysznicem – odpowiadam, starając się pohamować krzyk. – Jak tu weszliście?

– To moja wina – szybko wyjaśnia Sally. – Przeraziłam się, kiedy nie odbierałaś. Bałam się, że coś ci się mogło stać, że zrobiłaś coś...

Nie musi kończyć. Obie wiemy, co chciała powiedzieć.

– Bardzo przepraszam. – Finn przestępuje z nogi na nogę. – Nie chcieliśmy pani przerazić.

– Nie złość się – dodaje Sally. – Zmusiłam go.

Kiwam głową. Zasady budynku mówią, że zarządcy muszą mieć zapasowe klucze do wszystkich mieszkań na wypadek sytuacji alarmowej. Najwyraźniej Sally uznała,

że to właśnie taka sytuacja.

– Co tu robisz?

– Nie pamiętasz? Wczoraj powiedziałam, że wstąpię do ciebie rano po drodze do pracy.

– Wyleciało mi z głowy. – Szczerze mówiąc, w ogóle nie pamiętam, żebym z nią rozmawiała.

– Po co te nożyce? – pyta Sally. Jej oczy rozszerzają się jeszcze bardziej.

Wsuwam je do kieszeni szlafroka.

– Przepraszam, że wtargnąłem do pani mieszkania – mamrocze Finn, wycofuje się do drzwi i cicho zamyka je za sobą.

– To był długi prysznic – zauważa Sally.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj. To ja zaczęłam szaleć i wdarłam się do twojego mieszkania. Jadłaś już śniadanie? Przyniosłam muffinki. – Pokazuje papierową torbę.

Robię herbatę, siadamy w jadalni i jemy muffiny, udając, że to normalny dzień, a my jesteśmy normalnymi osobami prowadzącymi normalną rozmowę.

– Wybrałaś już imię dla dziecka? – pytam. Sally jest u mnie od dwudziestu minut, a ja mam wrażenie, że o tym jeszcze nie rozmawiałyśmy, choć pewności nie mam. Słuchałam jej jednym uchem.

– Jeszcze nie. Ale chyba robimy postępy. – A kiedy nie zadaję następnego pytania, Sally mówi: – Zaproponowałam Avery, a Bobby nie dostał od razu piany. Wiesz, że mój kochany mąż woli tradycyjne imiona, na przykład Michael. – Michael to ich trzyletni syn. Sally chciała go nazwać Rafael, na cześć tenisisty Rafaela Nadala, albo Stellan po jakimś szwedzkim aktorze, którego od zawsze podziwiała, ale mąż uparł się przy czymś bardziej zachowawczym. Proponował Richarda lub Steve’a. Zgodzili się na Michaela w chwili, gdy dziecko zaczęło wyglądać na świat. Sally do tej pory nie jest przekonana do tego wyboru. „Leżałam rozkraczona, ten doktor wsadził mi rękę aż do gardła – opowiadała. – Wrzeszczałam tak, że mało mi łeb nie odpadł. Trzeba przyznać, że gość przyparł mnie do muru w mało sprzyjającej chwili”.

Krzywię się na widok, który zobaczyłam w wyobraźni.

– Nie podoba ci się? – pyta Sally.

– Co?

– Zastanawiam się też nad Nicolą lub Kendall.

– Avery to ładne imię – mówię. Obraz znika, ale pozostaje na obrzeżach mojej świadomości, w galerii podobnych obrazów.

– Tak? Bardzo się cieszę. Avery podoba mi się najbardziej. O co chodzi, nie smakuje ci muffinek? Powiedzieli, że ma pełno żurawin, w środku też, nie tylko na wierzchu.

Żurawiny smakują jak kwaśne gumowe kulki.

– Pycha – kłamię.

Jagody przywierają mi do podniebienia jak przyklejone. Nie potrafię ich oderwać językiem.

– Nie znoszę takich muffinów, które rzekomo są pełne jagód, a okazuje się, że mają tylko parę na wierzchu. To oszustwo – mówi Sally z uśmiechem. – Wyglądasz o wiele lepiej. Dobrze spałaś?

– O wiele lepiej – powtarzam jej słowa.

Sally klepie mnie po ręce.

– Wszyscy w pracy pytają o ciebie.

– To miło.

– Kazali cię pozdrowić.

– Też ich pozdrawiam.

Milczenie. Sally dopija herbatę, zbiera opuszką palca parę okruszków, niesie je do ust.

– No to będę lecieć.

Natychmiast wstaję.

– Dziękuję za odwiedzinę.

– Aha, i za to, że cię wystraszyłam na śmierć.

– Nic mi nie jest.

– Dobrze wyglądasz – mówi Sally z wysiłonym entuzjazmem. – Siniaki prawie znikły.

Tylko te, które mogłaś zobaczyć, dopowiadałam w myślach, ale milczę.

– No... – Sally pochyla się i ostrożnie mnie obejmuje. Na szczęście rosnący brzuch uniemożliwia jej bliższe przytulenie. – Do zobaczenia.

– Pewnie.

– Masz jakieś plany na resztę dnia? – pyta, kiedy otwieram jej drzwi.

– Nic konkretnego.

– Piękna dziś pogoda – oznajmia entuzjastycznie, jakby to było coś nadzwyczajnego. W Miami pogoda zawsze jest piękna. – Może powinnaś wyjść, spacerować się.

– Może.

Sally wskazuje na moje mokre włosy.

– Lepiej je wysusz, bo się zaziębisz.

Czy jest sens suszyć włosy, skoro za parę godzin znowu wejdem pod prysznic?

Zamykam za nią drzwi i patrzę przez wizjer, jak idzie w stronę wind, kołysząc się jak kaczka. Potem biegnę do łazienki i wymiotuję herbatą i muffinem z żurawinami.

4

Pamiętam, kiedy po raz pierwszy chłopak dotknął moich piersi. Nazywał się Brian i miał siedemnaście lat. Chodził do pobliskiego liceum. Ja miałam piętnaście i cieszyłam się, że w ogóle zwrócił na mnie uwagę, nie mówiąc już o tym, że zaprosił mnie na randkę. Mieliśmy pójść na imprezę i postanowiłam włożyć ładną sukienkę w kolorze wina, którą niedawno dostałam od mamy. Sukienka była bez rękawów, z białym koronkowym kołnierzykiem i dużymi perłowymi guzikami, biegnącymi aż do pasa. Uwielbiałam ją, bo wydawało mi się, że dzięki niej moje małe piersi wydają się większe. Czy to dlatego Brian uznał, że może ich dotknąć? Czy sukienka sygnalizowała, że jego dotyk jest mile widziany? Czy dlatego był taki zły, kiedy odtrąciłam jego rękę? Czy dlatego od razu odwiózł mnie do domu i zostawił, upokorzoną i wściekłą, na ganku i nazwał podpuszczalską, oprócz innych pomysłowych epitetów?

To wspomnienie prowadzi mnie do wcześniejszego. Mam dwanaście, może trzynaście lat. Jest dzień wolny od zajęć, a ja mam wsiąść do autobusu, żeby spotkać się z mamą w mieście. Mam na sobie szkolny mundurek – zielony sweterek na wykrochmalonej białej koszuli, taką samą zieloną spódniczkę, podkolanówki i czarne sznurowane buciki dopełniające mało kuszącego obrazu. Podnoszę nogę, żeby wsiąść do autobusu, i czuję, że coś muska mi pośladki. Ten dotyk trwa, nie ustaje, więc się odwracam i wbijam paznokcie w natrętną rękę. Mężczyzna, niski, w średnim wieku i łysiejący, rozciera dłoń i uśmiecha się, najpierw z zakłopotaniem, potem śmieiej, po czym cofa się i znika w kolejce do autobusu. Uciekam na koniec pojazdu. Mdli mnie. Mijają lata, zanim uda mi się pomyśleć z politowaniem o tym mężczyźnie, jego niechcianej pieśczoce i jeszcze bardziej niechcianym uśmiechu, mówiącym: „Nie udawaj takiej oburzonej, dziewczynko. Wiesz, że ci się podobało”.

Naprawdę w to wierzył? – zastanawiam się, stojąc przy oknie sypialni i obserwując ulicę przez lornetkę. Czy dorosły mężczyzna naprawdę sądzi, że dziecku podoba się niechciana pieśczocta obcego człowieka? Czy zrobiłam coś, żeby go sprowokować? Uśmiechnęłam się do niego zachęcająco? Za wysoko podniosłam nogę, ukazując za dużo dziewczęcego uda? Wysłałam mu jakąś wiadomość, dzięki której uwierzył, że ma prawo mnie dotknąć? Te myśli kłębią mi się w głowie, gdy namierzam dwie młode kobiety przebiegające między jadącymi samochodami. Usiłują przejść na czerwonym świetle. Jest koło piątej, jeszcze jasno, choć nie tak, jak w zeszłym tygodniu o tej samej porze. To połowa października. Wkrótce

przestawimy czas na zimowy. „Jesień noce niesie, wiosną dni urosną”, słyszę głos matki. Bardzo mi się to podobało. Teraz myślę: co za różnica? Jedna godzina jest podobna do drugiej.

Usiłuję sobie przypomnieć, co robiłam tego dnia. Sally wpadła rano, myślę, a potem uświadamiam sobie, że to było wczoraj. Dziś względny spokój. Żadnych gości. Żadnych telefonów. To ja zadzwoniłam rano na policję, nie policja do mnie. Zmiana techniki, by się tak wyrazić, choć treść rozmowy jest zawsze taka sama. Policja uwolniła od podejrzeń mężczyznę, którego śledziłam. Okazuje się, że to nie był Roland Peterson, a jego dziewczyna – była dziewczyna, jak podkreśliła – przysięgła, że jej nowy chłopak, mężczyzna, którego widziałam w oknie, spędził z nią cały wieczór. Więc ma alibi, podobnie jak Todd Elder. Wracamy do punktu wyjścia. Pytam, czy pojawiły się jakieś nowe tropy, czy zbliżyli się do znalezienia człowieka, który mnie zgwałcił, a oni pytają, czy przypominałam sobie coś, co może im pomóc w poszukiwaniach. Odpowiedź na oba pytania brzmi tak samo: nie.

Policjanci obiecują, że będziemy w kontakcie, a ja odkładam słuchawkę. Nie chcę żadnych kontaktów.

Coś dzieje się na ulicy. Kłótnia dwóch młodych mężczyzn. Obserwuję ich przez lornetkę; zaczynają się bić na pięści, a otaczający ich ludzie się cofają. Nikt się nie wtrąca i pewnie dobrze. Ileż razy czytałam, że jakiś dobry samarytanin starał się rozdzielić walczących i stracił z tego powodu życie.

Czy ktoś obserwował ulicę w nocy, kiedy zostałam napadnięta? – zastanawiam się nie po raz pierwszy. Czy ktoś widział, co się dzieje, i postanowił nie interweniować z obawy o własne bezpieczeństwo? Czy ktoś widział lub słyszał coś, co pomogłoby zidentyfikować gwałciciela, czy ktoś wie, ale się nie wychyla?

Policja, która podobno przesłuchiwała wszystkich mieszkańców okolicy, twierdzi, że nie. Oczywiście z doświadczenia wiem, że policjanci nie zawsze pracują tak dokładnie, jak twierdzą, i że świadkowie zbrodni nie zawsze są tak prawdomówni i otwarci, jak powinni. Nie dlatego, że są złymi ludźmi. Nie przez obojętność. Po prostu nie chcą ucierpieć. Jeśli mogą zachować bezpieczny dystans, zawsze go wybiorą. Nie osądzam ich. Nie mam do nich pretensji. Zaczynam wierzyć, że dystans jest bezpieczny.

Dzwoni telefon, a ja podskakuję. Zdaje się, że za wcześnie pochwaliłam ten spokojny dzień. Szybko podchodzę do aparatu, by nie powtórzyła się wczorajsza sytuacja.

– Dzień dobry, tu Finn z recepcji.

Na dźwięk bezcielesnego męskiego głosu serce zaczyna mi łomotać. Czuję nachylającego się nade mną gwałciciela. „Powiedz, że mnie kochasz”, szepcze. Uspokajam się, przypominając sobie, że Finn zawsze się tak przedstawia – „Finn z recepcji” – jakbym знаła tłumy innych Finnów, i że zawsze mnie to bawiło.

– Przyszedł pani brat.

Zastanawiam się, po co mi to mówi. Wszyscy pracownicy tego budynku znają Heatha. Wiedzą, że mają go wpuszczać na górę.

– Nie Heath – dodaje Finn, jakby usłyszał moje myśli.

W słuchawce odzywa się inny mężczyzna.

– Ja to załatwię, Bailey – słyszę popisowy ton oskarżyciela publicznego. – Tu Gene. Każ temu błaznowi mnie wpuścić.

O Boże, myślę, patrząc w podłogę. Nie widziałam się z Gene'em – a bardziej formalnie z Eugene'em, pierworodnym synem i imiennikiem mojego ojca – od pogrzebu taty. Nie rozmawiałam z nim, odkąd mnie pozwał. Nie mam siły na awantury.

– Jestem zmęczona – mamroczę.

– Przestań, bo wezwę posiłki.

Nie bardzo wiem, o jakie posiłki mu chodzi, ale wiem, że nie odejdzie, dopóki się z nim nie spotkam.

– Wpuść go – mówię Finnowi. Odkładam telefon i lornetkę i idę do drzwi. Kiedy do nich docieram, Gene już za nimi stoi.

– Dlaczego do cholery nie powiedziałaś, że zostałam zgwałcona? – pyta jeszcze na korytarzu.

Odsuwam się, by mógł wejść, i natychmiast zamykam drzwi, po czym przekręcam oba zamki.

– Nie jest to coś, co chcę rozgłaszać – słyszę swój głos. Nie podoba mi się jego drżenie.

– Jestem twoim bratem.

– Pozwalesz mnie – przypominam.

– Jedno nie ma nic wspólnego z drugim.

Podziwiam tę podwójną moralność. Czy to dzięki niej mógł bez wyrzutów sumienia oskarżyć własnego ojca o oszustwo?

– Chcesz coś do picia? – pytam, nie wiedząc, co powiedzieć i czy mam go czym poczęstować.

– Musiałem się dowiedzieć od policji, po tygodniach od faktu!

– Przepraszam. Może powinnam...

– Tak, powinnaś. Jestem oskarżycielem publicznym, do cholery. I nie, nie chcę nic do picia. Jak sobie radzisz? – Jego głos łagodnieje, a ciemne oczy zwięzają się nie z troski, jak można by sądzić, ale raczej z podejrzliwości. Dociera do mnie, że on mi nie wierzy.

– Niezbyt świetnie – odpowiadam.

– Może poczułabyś się lepiej, gdybyś się ubrała.

Spoglądam na moją piżamę z niebieskiej flaneli, usiłując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ją zmieniałam. Może wczoraj, może przedwczoraj.

– Wyglądasz okropnie.

– Dziękuję.

– Przepraszam. Jestem zdenerwowany. To bardzo nieprzyjemne.

Co ty powiesz?

– Słuchaj, nie przyszedłem się kłócić.

Gene podchodzi do okna w salonie i po raz pierwszy zauważam, że lekko kuleje. Jest postawnym mężczyzną, wysokim, o muskularnej sylwetce, co nie powinno dziwić, bo na studiach grał w futbol i zamierzał przejść na zawodowstwo, ale uniemożliwiły mu to zerwane więzadła w prawym kolanie. A może w lewym, myślę, kiedy Gene zatrzymuje się i odwraca w moją stronę. Byłby przystojniejszy, gdyby nie ten ponury grymas. Ale on zaczesuje rzednące ciemne włosy w nietwarzowy sposób, a kąciki ust ma zawsze skierowane w dół, nawet kiedy się uśmiecha, przynajmniej w mojej obecności. Rozpina granatową bawełnianą marynarkę, ukazując zauważalny brzuch, który napina materiał jaśniejszej niebieskiej koszuli. Manipuluje przy węźle zbyt szerokiego krawata w niebieskie paski. Nie pamiętam, żebym widziała go bez krawata.

– Ładne mieszkanie – mówi.

– Dziękuję.

– Masz dobry gust.

– Dziękuję.

– Co się stało, do cholery? – Tyle tytułem wstępu.

– Wiesz, co się stało. Podobno rozmawiałeś z policją.

– Chcę to usłyszeć od ciebie.

Nie mogę. Nie chcę od nowa przeżywać tych chwil dla jego rozrywki.

– Ta wizyta ma charakter prywatny czy zawodowy?

– A jak sądzisz?

– Pytam.

– Jestem twoim bratem.

– Który mnie pozwał – przypominam znowu.

– Co się stało? – Jego ton wskazuje, że będzie pytać, dopóki nie usłyszy odpowiedzi.

Podaję najważniejsze fakty. Słowa kleją mi się do zębów jak toffi, muszę je odlepić językiem. Patrząc, jak oczy Gene'a na zmianę rozszerzają się i zwężają. Zauważam bruzdę na jego czole, kiedy marszczy brwi z jawnym przerażeniem. Obserwuję, jak kąciki jego ust opuszczają się jeszcze bardziej.

– Jesteś podobniejszy do matki niż do naszego ojca – zauważam pod koniec.

Patrzy na mnie z zaskoczeniem.

– Skąd wiesz, jak wyglądała moja matka?

– Widziałam raz jej zdjęcie w albumie taty.

– Nie wiedziałem, że miał jakiś album.

– Miał. Nawet kilka.

– Chciałbym je kiedyś zobaczyć.

Zastanawiam się, czy jeśli mu ich nie pokażę, zacznie się ze mną o nie procesować.

– Jak się miewa twoja matka? – pytam.

Nie znam jej. Nigdy się nie spotkałyśmy, ale zawsze uważałam, że ma dobrą twarz. A może po prostu tak wyszła na zdjęciu.

– Dobrze. Cieszy się emeryturą i wnukami.

Gene ma dwóch synów, siedmio- i dziewięcioletniego. Nie pamiętam ich imion i nie wiem, kiedy ich ostatnio widziałam, pewnie kiedy ten młodszy był niemowlęciem.

– A jak twoje dzieci?

– Świetnie. Ale teraz rozmawiamy o tobie – mówi, jakby nagle przypomniał sobie, po co tu przyszedł.

– Nie ma o czym. – Kiedyś miałam wiele do powiedzenia. Miałam wiele opinii i zainteresowań. Byłam skomplikowana, nie-jednoznaczna. A potem zostałam zgwałcona.

– Nie rozumiem.

– Czego nie rozumiesz?

– Jak to się mogło stać.

Jeszcze raz wyjaśniam sytuację, jak kryłam się w krzakach, jak mężczyzna zakradł się za mną, jak mnie obezwładnił. Czy Gene nie słuchał za pierwszym razem?

– Co do cholery robiłaś w krzakach o tej godzinie? – pyta gniewnie. – Musiałaś wiedzieć, że to niebezpieczne.

– Sugerujesz, że to moja wina?

– Nie, oczywiście, że nie. Zauważam tylko, że to nie była najmądrzejsza decyzja świata.

– To mój zawód, Gene.

– Więc może powinnaś go zmienić.

– Lubię go. – Nie wyjaśniam, że mam zamiar wziąć parę miesięcy wolnego, że na samą myśl o prowadzeniu obserwacji oblewam się zimnym potem.

– Lubisz kryć się w krzakach i ścigać jakichś oprychów – bardziej stwierdza, niż pyta.

– Jest w tym coś więcej.

– Myślałam, że chcesz być prawniczką.

– Chciałam wiele.

– Twoja matka wolałaby, żebyś wróciła na studia i przynajmniej zrobiła dyplom.

Zagryzam wargę, żeby nie powiedzieć czegoś, czego będę żałować. Jak śmiesz? – mam ochotę krzyknąć. Nie wiesz absolutnie nic ani o mojej matce, ani o tym, czego by chciała. Ale nie mogę, bo on ma rację. Matka naprawdę chciałaby, żebym wróciła

na studia i zrobiła dyplom. Tak, studiowałam na wielu kierunkach i nie zrobiłam co najmniej trzech dyplomów, bo nie wiedziałam, kim chcę być: lekarzem, prawnikiem, kryminologiem, baletnicą.

– Słuchaj – mówi Gene. – Chodzi mi o ciebie. Możesz nie wierzyć, ale chodzi mi tylko o twoje dobro.

Rzeczywiście nie wierzę, ale nic nie mówię. Czego ty naprawdę chcesz? – zastanawiam się, kiedy Gene podchodzi do sofy i siada na niej, niedbale odrzucając dwie fioletowe poduszki. Jedna zatrzymuje się na krawędzi, po czym zaczyna się zsuwać na podłogę. Gene nie robi żadnego ruchu, żeby ją podnieść.

– Jak to jest pracować dla Seana Holdena?

– Dobrze.

– Jaki jest?

Wzruszam ramionami, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Zawsze uważałem, że to mądry gość – oznajmia Gene, odpowiadając sam sobie.

– Trochę efekciarz, ale mądry. Nie mogę powiedzieć, że chciałbym być jego przeciwnikiem w sądzie.

– To dobry prawnik.

– I niezły podrywacz, z tego, co słyszałem.

– Podrywacz?

Gene kręci głową.

– Kiedy człowiek pracuje w biurze oskarżyciela publicznego, to słyszy różne rzeczy. Plotki. No, wiesz.

Serce zaczyna mi bić mocniej. Czy on chce ze mnie wyciągnąć jakieś informacje? Dlatego tu przyszedł?

– Powiadomiłem innych – mówi nagle.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że nie rozmawiamy już o Seanie Holdenie, lecz o mojej przyrodniej siostrze Claire i przyrodnich braciach Tomie, Dicku i Harrym.

– Powiedziałeś im?

– Byli przerażeni.

– No pewnie.

– Przesyłają ci życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. – Gene wygląda na dziwnie zadowolonego z siebie, choć kąciki ust znowu zaczynają mu zjeżdżać w dół. Zastanawiam się, po czym jego żona poznaje, że mąż jest szczęśliwy. I czy ją to obchodzi. – Chcieli przyjechać.

– No pewnie. – Wzdrygam się. Myśl o przyrodnim rodzeństwie okupującym moje mieszkanie jest nie do zniesienia. Sto czterdzieści metrów kwadratowych to za mało, żeby pomieścić tyle wrogości.

– Claire powiedziała, że spróbuje wpaść po zmianie. – Gene spogląda na zegarek, bulova z białą tarczą na czarnym skórzanym pasku. – Powinna już być.

- To nie jest konieczne.
- Jest pielęgniarką. Może pomóc.
- Nie wiem jak.

Dzwoni telefon, a ja podskakuję. Naturalny grymas Gene'a staje się jeszcze bardziej ponury.

- To pewnie ona.

Idę do kuchni i podnoszę słuchawkę. Finn się przedstawia i pyta, czy ma wpuścić Seana Holdena, który prosi o spotkanie ze mną.

– Tak – mówię i bezgłośnie dodaję: „dzięki Bogu”. Wracam do salonu w nadziei, że mój brat pośpiesznie się wyniesie.

- Przyszedł Sean Holden.

- O wilku mowa.

– Dzięki, że wpadłeś, Gene. – Liczę, że załapie i wyjdzie. Ale on siedzi jak przymurowany i całym sobą daje do zrozumienia, że nie ma zamiaru nigdzie się ruszyć.

Idę do drzwi i opieram czoło o chłodne drewno. Wyglądam przez wizjer na korytarz. Telefon znowu dzwoni, a ja podskakuję.

- Mam odebrać? – odzywa się Gene za moimi plecami.

- Nie – rzucam, ale on mimo to odbiera.

- Halo? Tak. Dziękuję. Proszę ją wpuścić.

Sean Holden wychodzi z windy na długi korytarz wyłożony brązowo-zielonym chodnikiem. Otwieram drzwi, zanim zdąży do nich dojść. Otaczają mnie jego potężne ramiona. Czuję się bezpieczna po raz pierwszy od jego ostatniej wizyty, chyba kilka dni temu, choć nie jestem pewna. Od tego czasu upłynęła wieczność.

– Jak się miewasz? – szepcze Sean, muskając ustami moje wiecznie wilgotne włosy. Prowadzi mnie do mieszkania i zamyka za sobą drzwi.

- Dobrze – odpowiadam. – Przyszedł mój brat.

Gene wychodzi na korytarz i wyciąga rękę.

- O, witaj Sean. Miło cię znowu zobaczyć pomimo przykrych okoliczności.

Prawie się uśmiecham. Stałam się przykrą okolicznością.

- Gene – mówi Sean, unosząc brew. – Nie spodziewałem się ciebie.

– A to dlaczego? – rzuca Gene wyzywająco, niemal wojowniczo, choć wyraz jego twarzy się nie zmienia. – Pomimo wszystko Bailey jest moją krewną. Oczywiście bardzo mnie zdenerwowało to, co się wydarzyło.

- Oczywiście – zgadza się Sean. – Jak wszystkich.

- Naturalnie, skoro wykonywała wtedy zlecenie. Może pozwać twoją kancelarię.

- To nie wina Seana – mówię.

- Nieważne. To byłaby wielka sprawa.

- Jego też pozwiesz? – pytam.

- Dbam o twoje interesy – odpowiada mój brat bez śladu ironii.

– Chyba przyszedłem w złym momencie – mówi Sean.

– Nie! Proszę, nie odchodź – błagam.

– Ależ oczywiście, zostań – przyzwala Gene i spogląda na drzwi. – Dzwonił Finn, recepcjonista. Powiedział, że Claire weszła tuż po Seanie. Kazałem mu ją wpuścić.

– Ale ruch – zauważa Sean i choć już się nie dotykamy, czuję, że się spina.

Zamykam oczy, pozwalam nogom ugiąć się pode mną. Kiedy zniknęło moje prawo do wyboru tego, kto może mnie odwiedzać? Czy mężczyzna z krzaków odebrał mi także to?

– Bailey – dobiega mnie głos Seana. – Wszystko w porządku?

– Chyba muszę usiąść. – Ledwie skończyłam mówić, moją uwagę przyciąga charakterystyczny chrobot klucza w drzwiach. Patrzę ze zgrozą, jak oba zamki gwałtownie się obracają.

Sekundę później moje mieszkanie staje otworem. W progu widzę dziewczynę, piętnasto- lub szesnastolatkę, o błękitnych oczach i sięgających ramion jasnych włosach, otaczających ładną owalną buzię, a za nią kobietę o niemal identycznej twarzy, choć nieco pełniejszej i znacznie starszej.

– Widzisz?! – woła tryumfalnie dziewczyna. – Mówiłam. Te zamki są głównie warte. – Wrzuca pilnik do wielkiej torby z brązowej skóry. – Cześć wszyscy – mówi, przekraczając próg. Upuszcza torbę na beżowy marmur podłogi, po czym mija mnie i wchodzi do salonu, nie przystając ani na chwilę. – O kurczę, ładnie tu.

– Jade, na miłość boską... – mamrocze jej matka, patrząc na mnie z zażenowaniem. – Bardzo mi przykro... – Zamyka za sobą drzwi i zerka na dwóch mężczyzn obok mnie. Jej spojrzenie zatrzymuje się o sekundę dłużej na Seanie. – Przepraszam. Przyszłam w złym momencie?

– Claire, to Sean Holden – oznajmia Gene, nie zwracając uwagi na jej pytanie. – Szef Bailey.

– Ach... Bardzo mi miło pana poznać.

– A mnie panią. – Sean uśmiecha się uroczo, choć widzę w jego oczach, że już planuje ucieczkę.

– Claire jest przyrodnią siostrą Bailey – dodaje niepotrzebnie Gene.

– Która mnie pozwała – dodaję, nie całkiem cicho.

– Nie ma potrzeby teraz w to wnikać. Jade, wracaj stamtąd – Gene rozkazuje dziewczynie, która podeszła do okna, by wyjrzeć na ulicę. – Claire – rzuca. – Zrób coś.

– Na przykład? – Chce wiedzieć moja przyrodnia siostra. – Mam na niej usiąść?

Przyglądam się im, kiedy się kłóca. Claire ma jeszcze mniej z ojca niż Gene. Jej nos jest szerszy, oczy mają bledszy odcień błękitu. Jest ode mnie starsza o jakieś dziesięć lat, niższa o pięć centymetrów i cięższa o dziesięć kilogramów. Obie wrodziłyśmy się w matki i zdecydowanie nie jesteśmy do siebie podobne. Nikt by nas nie wziął za przyrodnie siostry. Ale ma dobrą twarz, myślę, choć może to

zmęczenie. Coś, co nas łączy.

– Gdzie cię znowu niesie, do cholery? – krzyczy Gene, gdy moja siostrzenica wychodzi z salonu i idzie w stronę sypialni.

Dziewczyna zatrzymuje się, obraca się na pięcie i wraca do nas. Ma na sobie obcisłe džinsy i luźny podkoszulek. Robi minę świadcząca, że wolałaby być wszędzie, byle nie tu. Chciałabym jej powiedzieć, że doskonale ją rozumiem.

– Przepraszam. Gdzie moje maniery – mówi z teatralnym przerażeniem i staje przede mną. – Ty musisz być Bailey. – Wiśniowe wargi poruszają się gwałtownie, kiedy gigantyczny kłęb gumy przechodzi z jednej strony małej buzi na drugą. – Przykro mi z powodu tego gwałtu.

– Jade, na miłość boską – strofuje ją matka.

Dziewczyna obrzuca ją pogardliwym spojrzeniem mocno umalowanych błękitnych oczu.

– No co? – Spogląda na drzwi. – Lepiej wymień ten zamek – dodaje do mnie. – Jest do dupy.

– Właśnie go wymieniłam – mówię.

Jade znowu się krzywi. Jej mina mówi: „to wymień jeszcze raz”.

– Jak go otworzyłaś? – pytam.

– Łatwo. – Jade podchodzi do drzwi i otwiera je, wskazując na rygle zamka. – Widzisz? Tandeta. W tych tak zwanych luksusowych apartamentowcach instaluje się najtańsze dziadostwo. Wystarczy włożyć coś długiego i cienkiego, jak pilnik do paznokci albo wsuwkę, i parę razy mocno obrócić. Myślałam, że jesteś prywatnym detektywem. Nie powinnaś wiedzieć takich rzeczy?

Brakuje mi słów. Racja, powinnam to wiedzieć. I może wiedziałam. Przedtem.

– Chodź, pokażę ci, chcesz?

Już mam się zgodzić, kiedy Claire wtrąca się do rozmowy.

– Nie teraz – rzuca ostrzegawczo.

– To, co zrobiłaś, jest nielegalne – mówi surowo Gene. – To włamanie.

– No litości. Aresztujesz mnie?

– Mało się nasiedziałaś w izbie dziecka?

Jade przewraca oczami.

– A pan to kto? – pyta Seana, jakby dopiero go zauważyła.

– Sean Holden – odpowiada on, rozbawiony jej wybrykami.

– Chłopak Bailey?

Sean się krzywi, ja też.

– Jej szef – wyjaśnia. – Który naprawdę powinien już iść – dodaje zaraz potem.

Jade dała mu idealny pożegnalny tekst.

Nie protestuję. Sean ściska mi rękę i wychodzi. Patrę przez wizjer, jak idzie szybko korytarzem w stronę wind.

– Miło, że wpadł – mówi Claire.

– Chroni własną dupę i tyle – odpowiada Gene.

Cofam się od drzwi, wpatrując się w zamek.

– Gdzie się tego nauczyłaś? – pytam Jade.

– *Dog the Bounty Hunter* – odpowiada rzeczowo.

– Co?

– Reality show – wyjaśnia jej matka. – Tylko to ogląda.

– Z takich programów można się dużo nauczyć. Masz telewizor, nie?

Wskazuję korytarz.

– W sypialni.

Jade oddycha z ulgą.

– Oglądasz czasem *Śmierć na 1000 sposobów*?

– Raczej nie.

– Powinnaś. Jest super. – Naburmuszoną twarz Jade nagle rozjaśnia entuzjazm. –

Nie uwierzysz, jak głupio ludzie dają się zabić. Na przykład jedna kobieta zrobiła sobie taki zastrzyk, żeby powiększyć sobie tyłek...

– Dość, Jade. Wystarczy. – Claire zwraca na mnie zmęczone oczy. – Gene powiedział nam, co się stało. Jak się trzymasz?

– Dobrze. Naprawdę nie musieliście przychodzić.

– Mówiłam – rzuca Jade.

Dochodzę do wniosku, że ją lubię. Niczego nie udaje.

– Możesz iść pooglądać telewizję, jeśli chcesz – zwracam się do niej.

– Super. – Dziewczyna rusza, nie dając matce ani wujowi czasu na reakcję. Po chwili z sypialni dobiega ryk telewizora.

– Przycisz to! – wrzeszczy Claire. – Już! – dodaje, kiedy nic się nie dzieje. Ryk zmniejsza się minimalnie.

– Więcej! – rozkazuje Gene. A potem: – Naprawdę, Claire, myślałem, że potrafisz nad nią zapanować.

Claire nie odpowiada.

– Może przejdziemy do salonu, gdzie porozmawiamy jak rozsądni dorośli ludzie? – proponuje Gene, jakby to był jego dom. Jeżę się, a stopy wrastają mi w podłogę.

– To chyba zależy od Bailey – zauważa Claire.

– Oczywiście – mówię. – Jak najbardziej, salon.

Siadamy na sofach, Claire obok mnie, Gene naprzeciwko nas. Przygotowuję się na rozmowę rozsądnych dorosłych osób.

– Jak się czujesz? – pyta Claire. – Jakieś bóle, infekcje?

– Nie mam infekcji – odpowiadam.

– Ból? – naciska.

Kręcę głową. Mój ból nie jest już natury fizycznej.

– Widzę, że siniaki bledną. Sypiasz?

– Czasem.

– Lekarze coś ci dali?

Kiwam głową, choć nie lubię brać pigułek, które mi przepisali. Muszę zachować czujność. Muszę być przytomna.

– Bierz je – radzi Claire. – Musisz spać. Rozmawiałaś z terapeutą?

– Nie potrzebuję terapeuty.

– Wszyscy w Miami ich potrzebują – mówi Claire z krzywym uśmiechem. – Znam dobrą specjalistkę, jeśli będziesz chciała z kimś porozmawiać.

– Mam dość gadania.

– Rozumiem. Ale może zmienisz zdanie.

Wzruszam ramionami.

– Okej. Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

– Nic. Czuję się dobrze.

– Nie czujesz się dobrze – odpowiada Claire, rozglądając się. Wodzę wzrokiem za jej spojrzeniem. Oprócz poduszek, które zrzucił Gene, wszystko wydaje się na swoim miejscu. Może w kącie dostrzegam parę kłaczek kurzu, ale... – Tym oknom przydałoby się porządne mycie.

– To przez bliskość budowy. – Słyszę własny głos i przypominam sobie mgliście, że zarządca budynku przysłał wiadomość o ludziach, którzy w tym tygodniu umyją okna od zewnątrz. – Ledwie je umyją, a już znowu są brudne. – Całkiem jak ja, dopowiadam w myślach i zaklinam wszystkich, żeby już poszli, i żebyśmy mogła znowu wejść pod prysznic.

– A pranie? Mogę to załatwić, póki tu jestem...

– Wszystko pod kontrolą – rzucam, choć kosz na brudy się nie domyka. Skończyły mi się czyste prześcieradła. Skończył mi się proszek do prania.

– Zrobić ci zakupy? Kiedy ostatnio jadłaś coś porządnego?

– Heath przyniósł wczoraj pizzę – mówię, choć to mogło być przedwczoraj. Albo przedprzedwczoraj.

– Jesteś o wiele za chuda. Musisz odbudować siły.

– Po co? Żebym mogła z wami walczyć w sądzie?

Claire rzuca Gene'owi niechętne spojrzenie.

– Proszę, powiedz, że nie truć jej teraz o tym.

– Nie powiedziałem ani słowa.

– No dobrze, plan jest taki: zaraz przejrzę całe mieszkanie i zobaczę, co trzeba zrobić, a potem pójdę z Jade do sklepu i zrobię zakupy na kolację.

– Rita czeka na mnie w domu – oznajmia Gene.

– To dobrze, bo nie jesteś zaproszony. A teraz daj mi pieniądze i spadaj stąd.

Gene szybko wstaje i sięga do kieszeni po portfel.

– Ile potrzebujesz?

– Trzysta dolarów powinno wystarczyć.

– Trzysta dolarów?!

– Podejrzewam, że Bailey nie ma nic w szafkach. No, wyskakuj z kasy, młody.

Przypominam sobie, że Claire urodziła się o dwa lata wcześniej od Gene'a i że to ona, dobiegająca czterdziestki, jest najstarszym z siedmiorga dzieci mojego ojca. Ja jestem najmłodsza. Początek i koniec. Czuję, że uśmiech rozluźnia moje mięśnie. Cieszę się, że Claire przyszła, bez względu na to, jakie może mieć motywy. Miło znowu poczuć, że ktoś się mną opiekuje. Dawno tego nie doznałam.

Gene niechętnie wręcza siostrze trzy setki, a potem podaje mi swoją wizytówkę.

– Zadzwoń, jeśli będziesz miała ochotę porozmawiać – mówi. Wiem, że chodzi mu o sprawę, którą wytoczył mnie i Heathowi o spadek, a nie o moją nowszą traumę.

Claire popycha go do drzwi.

– A ty zadzwoń, jak wrócisz do domu – rzuca Gene do siostry, gdy ta zamyka za nim drzwi. Po chwili słyszę jej krzataninę w kuchni.

– Jade! – woła w stronę sypialni. – Wyłącz to dziadostwo i chodź. Jedziemy do sklepu.

Brak odpowiedzi.

– Jade, słyszysz?

Nadal nic.

– Jak Boga kocham! – woła Claire, idąc szybko korytarzem. – Zepsujesz sobie słuch, puszczając to tak głośno.

Idę za nią do głównej sypialni, gdzie między dwoma oknami naprzeciwko mojego królewskiego łóżka wisi wielkoekranowy telewizor. Na ekranie jakiś facet ucieka przed policją. Przeskakuje ogrodzenie z siatki, ląduje w wysokiej trawie i natyka się na rozwścieczonego aligatora. Ale Jade nie ogląda telewizji. Stoi przed oknem, mniej więcej tak jak ja, i gapi się przez lornetkę na budynek naprzeciwko.

– Świetne – mówi, nie odwracając się. – Wszystko widać i nikt nie wie, że go obserwujesz.

Claire szybko wyjmuje jej lornetkę z ręki i odkłada na nocną szafkę.

– Jedziemy do sklepu – rzuca.

– Co? Chyba żart.

– Może się położysz? – zwraca się do mnie Claire. – Wrócimy za godzinę.

Wyciąga Jade na korytarz.

Słyszę, jak drzwi mieszkania się zamykają, i posłusznie kładę się na łóżku, obezwładniona zmęczeniem. Widzę jeszcze, jak mężczyzna na ekranie walczy z aligatorem z nogami w jego paszczy. Aligator zmienia się w rekina, gdy ogarnia mnie sen i wracają koszmary, wielka płetwa tnie powierzchnię wody jak nożyczki folię. Sunie złowieszczo w moją stronę, a ja patrzę na wodę, w której się unoszę, i widzę wokół swoich stóp jeszcze co najmniej sześć rekinów.

Rzucam się gorączkowo w stronę dalekiej tratwy, młóćę spokojną wodę rękami i nogami. Już prawie dopływam.

A potem go zauważam.

Czai się przykucnięty na skraju tratwy, pochylony ku mnie, z twarzą w cieniu. Wyciąga rękę, a ja ją chwytam i już mam się wspiąć na tratwę, kiedy czuję szorstkość czarnej skórzanej rękawiczki na jego dłoni i dociera do mnie zapach mojej krwi na czubkach jego palców. Krzyczę i spadam do wody, między rekiny.

Budzę się zlaną potem.

Jest ciemno, telewizor nadal gra. Kobieta na ekranie pozuje fotografowi na skraju wysokiego urwiska. Śmieje się i poprawia kapelusz o szerokim rondzie, a jej mąż trzaska jedną fotkę za drugą.

– Cofnij się trochę – mówi.

Żona robi to, o co poprosił, potyka się o kamień, traci równowagę i spada w przepaść. Jej krzyk odbija się echem od klifu, wiatr zrywa jej kapelusz z głowy, który wzlatuje i opada. „Upadek z Wielkiego Kanionu”, ogłasza grobowy głos z ledwie skrywaną uciechą. Sześćdziesiąty trzeci z tysiąca sposobów śmierci.

Chwytam pilota z nocnej szafki i wyłączam telewizor. Spałam niespełna godzinę. W każdym razie wydaje mi się, że minęła niespełna godzina, odkąd Claire poszła z córką na zakupy. O ile w ogóle tu były. Może przyszły wczoraj albo przedwczoraj. Albo wcale. Może tylko mi się przyśniły.

Wstaję, narzucam na ramiona stary szary sweter i idę do okna, zabierając po drodze lornetkę. Podnoszę ją do oczu, omiatam spojrzeniem ściany szklanych budynków w sąsiedztwie, a potem kieruję ją w dół, na ulicę.

Jeszcze nie ma szóstej i na chodnikach kłębią się tłumy przechodniów. Ludzie biegną we wszystkich kierunkach, wychodzą z pracy, idą na kolację do domu. Widzę mężczyznę i kobietę obejmujących się na rogu ulicy i śledzę ich, gdy ruszają dalej, ramię w ramię. Z tej odległości nie rozróżniam ich rysów, ale ich sylwetki zdradzają, że czują się ze sobą szczęśliwi i spokojni. Usiłuję sobie przypomnieć, jakie to uczucie. Nie potrafię.

Powiedz, co widzisz – szepcze cichy głos. Głos mojej matki.

I nagle przenoszę się z sypialni mojego szklanego domu na dwudziestym trzecim piętrze wieżowca w centrum do wielkiej sypialni w posiadłości rodziców w South Beach. Palce moich bosych stóp toną w mięciutkim runie białego dywanu. Stoję przy oknie i patrzę przez lornetkę na efektowny ogród, opisując najróżniejsze ptaki. Cofnęłam się o trzy lata – rok od druzgocącej wiadomości, że rak, o którego zniknięcie się modliliśmy, powrócił i że stan mojej matki jest terminalny.

Za cztery miesiące mama umrze.

– Widzę dwie czaple i cudownego ibisa – mówię. – Chodź! – Przypadam do niej.

Ale ona jest zbyt słaba, żeby wstać. Widzę jej powściągany grymas, kiedy usiłuję ją podnieść. Jest tak krucha, że boję się, czy nie rozpadnie mi się w rękach jak stary pergamin.

– Zobaczą następnym razem – obiecuje, a w oczach stają jej łzy. Obie wiemy, że nie będzie następnego razu.

– Poczytać ci? – pytam, siadając na krześle w brzoskwiowym kolorze przy jej łóżku i otwierając kryminał, który jej czytam po parę rozdziałów każdego dnia.

Moja mama zawsze kochała kryminały. Inne dzieci słuchały na dobranoc bajek o Śnieżce i Kopciuszku, ja – powieści Raymonda Chandlera i Agathy Christie.

Teraz role się odwróciły.

Czasem oglądałyśmy telewizję, też kryminały, byle tylko mama nie myślała o bólu, a ja o tym, że ją tracę.

– Niezwykłe – mówiła. – Że też zawsze odgadniesz sprawcę!

Kiedy ta zdolność mnie opuściła? – zastanawiam się.

Dzwonek telefonu wyrywa mnie z przeszłości jak rybę z wody.

– Tu Finn z recepcji. – Usiłuję opanować gwałtowne bicie serca. – Pani siostra i siostrzenica idą na górę z zapasami jedzenia na rok.

– Dziękuję. – Uświadamiam sobie, że jestem głodna, że nic nie jadłam przez cały dzień.

– Proszę im powiedzieć, żeby wstawiły puste wózki do windy – prosi Finn, a ja mu to obiecuję, choć po paru sekundach nie pamiętam już naszej rozmowy.

Czekam przy drzwiach, nasłuchując odgłosu jadącej windy. Obserwuję przez wizjer Claire i Jade, które pchają przed sobą wózki wyładowane zakupami.

– Wykupiłyśmy cały sklep – oznajmia Jade, kiedy otwieram drzwi. – Mam nadzieję, że nie jesteś weganką.

– Pomyślałam, że zrobię steki na grillu – wyjaśnia Claire i zaczyna opróżniać swój wózek. Podaje mi dwie torby.

Stoję, nie wiedząc, co mam z nimi zrobić.

– Możesz zacząć to rozpakowywać – rzuca Claire.

Chcę jej powiedzieć, że nie mam siły, że nie wiem, gdzie co położyć, że to ona chciała zrobić zakupy, nie ja, ale jej spojrzenie ostrzega, że takie bzdury nie przejdą, a nie znam jej na tyle dobrze, żeby się z nią kłócić. Rzecz w tym, że prawie wcale jej nie znam. Dziś rozmawiałyśmy ze sobą dłużej niż przez ostatnie dziesięć lat. Dlatego bez protestu niosę dwie torby do kuchni i kładę je na marmurowym blacie w brązowe i złote plamki.

– Same się nie rozpakują – zauważa Claire, wchodząc z dwiema kolejnymi torbami, które kładzie obok moich. – No, jazda, Bailey. Wiesz, gdzie wszystko pochować. – Klepie mnie po ramieniu. – Dasz radę.

A jeśli nie chcę? – mam ochotę spytać, ale ona już wychodzi po resztę zakupów. Co mi pozostało? Muszę zrobić to, co mi kazała.

Szybko staje się jasne, że Claire pomyślała o wszystkim. Oprócz co najmniej tygodniowego zapasu owoców i warzyw przyniosła steki, kurczaki, makarony i kilka różnych sosów, kilkanaście puszek z zupą, chleb, dżemy, masło, mleko, jajka,

kawę, herbatę, nawet butelkę wina. Kupiła płyn do zmywania, proszek do prania w niskich i wysokich temperaturach, płyn zmiękczający, rozmaite mlecza do czyszczenia, pastę do zębów, kilka szczoteczek do zębów, dezodorant, szampon, balsam do ciała, płyn do płukania ust.

Wyjmuję z torby wielką plastikową butelkę szmaragdowego płynu i ręce zaczynają mi drżeć. „Powiedz, że mnie kochasz”, rozkazuje mężczyzna, a jego mentolowy oddech wypiera mi powietrze z płuc, sprawia, że żółć podchodzi do gardła. „Powiedz, że mnie kochasz”.

Nie wiem, czy upuściłam butelkę, zanim zaczęłam krzyczeć, czy odwrotnie, ale jedno jest pewne: na pewno krzyczę, głośno jak nigdy. Claire i Jade wpadają do kuchni.

– Co się stało? – woła Claire, rozglądając się gorączkowo.

– W torbie był pająk? – pyta Jade. – Widziałam kiedyś w *Śmierci na 1000 sposobów*, jak jedna babka...

– Jade, proszę – warczy jej matka, omiatając spojrzeniem podłogę. Potem pyta: – To był ten pająk czy nie?

Kręcę gwałtownie głową; moje wrzaski zmieniają się w łkanie.

– Może po prostu nie lubi płynu do płukania ust. – Jade podnosi butelkę z podłogi. – Dobrze, że jest plastikowa.

– Zabierz ją – udaje mi się wykrztusić między szlochami.

– O co chodzi? – pyta Claire, kiedy Jade wybiega z kuchni z przerażającą butelką. – Bailey, co tu się stało?

Mija parę sekund, zanim udaje mi się wyjaśnić, dlaczego płukanka budzi we mnie panikę.

– O cholera – mamrocze Claire. Jade wraca do kuchni. – Przepraszam. Nie miałam pojęcia.

– Wyrzuciłam ją do zsypu – melduje Jade, a ja zostawiam je na chwilę, żeby zaryglować drzwi. Do niczego są te zamki, wiem, pamiętam, z jaką łatwością Jade je otworzyła.

– Rano wezwę kogoś i każę je zmienić na porządniejsze – obiecuje Claire, kiedy wracam.

– Jak to jest być zgwałconą? – pyta Jade.

– Jade! – rzuca jej matka. – Jak Boga kocham...

– Okropnie – odpowiadam.

– Ale jak? – naciska ona.

– Och, na miłość boską...

– Nie szkodzi – zwracam się do Claire. – To było tak, jakby ktoś ciął moje wnętrzności żyłką – wyjaśniam siostrzenicy.

– Auć – szepcze Jade.

– Zadowolona? – pyta jej matka.

– No, bo w telewizji to wygląda, wiecie...

– Nie – ucina Claire. – Nie wiemy.

Jade wzrusza ramionami.

– No... trochę podniecająco.

– Myślisz, że gwałt jest podniecający? – Claire patrzy na córkę ze zgrozą.

– Powiedziałam tylko, że tak wygląda. Czasem. Kobiety ciągle fantazjują o gwałcie.

Tak mówili, no wiecie, w tych programach, gdzie dyskutuje się o fantazjach.

Podobno fantazjowanie o gwałcie jest wśród kobiet powszechne.

– Istnieje wielka różnica między fantazją i rzeczywistością – rzuca ostro Claire. –

W fantazjach nikomu nie dzieje się krzywda. – Otwiera lodówkę i zaczyna ją zapełniać. – Powinnaś przeprosić Bailey.

– Za co?

– Nie szkodzi – mówię.

– To ty powinnaś ją przeprosić – odpala Jade. – To ty chcesz ją okraść ze wszystkiego.

Claire robi głęboki wdech.

– Dobrze. Powiedziałaś już dość.

– Mogę iść pooglądać telewizję?

– Nie – warczy Claire i zmienia zdanie. – Tak. Idź. Bardzo proszę, idź oglądać telewizję.

Jade odchodzi. Po chwili rozlega się ryk telewizora.

– Bardzo przepraszam – zaczyna Claire.

– Nic się nie stało.

– Stało się. Nie przyszedłam tu, żeby cię zdenerwować.

– A po co przyszłaś?

Claire zamyka lodówkę i opiera się o blat.

– Gene powiedział mi, co się wydarzyło. Poczulałam się strasznie. On też. Słuchaj, wiem, że niewiele nas łączy. I wiem, że cię pozywamy. Ale... – wzdycha i patrzy mi prosto w oczy. – Ale nadal jesteśmy rodziną. Jesteśmy siostrami. Mimo wszystko. A ja jestem pielęgniarką. Pomyślałam, że zdołam jakoś pomóc. – Zerka na korytarz, z którego bucha dźwięk telewizora. – Może to nie był najlepszy pomysł.

– Cieszę się, że przyszłaś.

– Choć chcę cię okraść ze wszystkiego?

– Wiem, że nie o to ci chodzi.

– Gene uparł się przy tym pozwie. Reszta też. Są bardzo rozgniewani.

– A ty nie?

– Czasem – przyznaje. – Boli mnie, że ojciec nas wykluczył z testamentu, ale co tam... Wykluczył nas ze swojego życia, więc pewnie powinnam się przyzwyczać. Przynajmniej płacił za utrzymanie Jade i jej wykształcenie. Nie żeby się wybierała na Harvard.

– Może cię zaskoczyć.

– Chcesz wiedzieć, co jest w tej chwili jej największą ambicją?

Kiwam głową. Uświadamiam sobie, że ta rozmowa sprawia mi prawdziwą przyjemność. To pierwsza od wielu tygodni rozmowa, która nie dotyczy mnie i tego, że zostałam zgwałcona.

– Chce zająć w ciążę, żeby dostać się do tych reality show, które ciągle ogląda. Na przykład *Nastoletnia mama* czy *Szesnastka w ciąży*. Rozumiesz.

Parskam śmiechem, choć Claire jest poważna. A może właśnie dlatego.

– Myślisz, że żartuję? Spytaj jej. Sama ci powie.

– Myślę, że chce cię sprowokować.

– O, etap prowokacji mamy już za sobą. W zeszłym tygodniu przyłapałam ją z jakimś chłopakiem. Przyszłam do domu o drugiej w nocy po dyżurze, a oni tarzali się na podłodze salonu, prawie nadzy. Włączyłam światło i wiesz, co się stało? Nawrzeszczała na mnie: „Co ty tu robisz o tej porze?! Miałaś pracować do trzeciej. Chcesz mi zniszczyć życie?!”. Oto, z czym muszę się użerać. I czy się zawstydziała? Ani trochę. A on? Nie zauważyłam. Debil włożył dzinsy, rozparł się na sofie i sięga po papierosy. Powiedziałam mu, żeby wynosił się z mojego domu z tym wstrętnym nałogiem. Jade na to, że pójdzie z nim. Ja na to, że wujek Gene wsadzi ją do izby dziecka tak szybko, że się nawet nie obejrzy. I że to dotyczy także sir Galahada, który już się szykował do pryśnięcia. To zakończyło dyskusję. Wygłosiłam wykład o niebezpieczeństwach seksu bez zabezpieczeń, na co ona poinformowała mnie, że chce zająć w ciążę, żeby dostać się do któregoś z tych idiotycznych programów. I mówiła serio – dodaje Claire, uprzedzając moje wątpliwości.

Więc milczę.

– Ach, no i oczywiście nazwała mnie hipokrytką, bo wyszłam za jej ojca, będąc w ciąży. – Claire wraca do układania zakupów w lodówce.

– Co on o tym myśli? – pytam. Wiem tylko tyle, że Claire dawno temu się rozwiodła.

Claire wrzuca główkę sałaty do pojemnika jak piłkę do kosza.

– Eliot? A skąd mam wiedzieć? Nie widziałam gnoja od lat. Tatuś miał co do niego rację. – Kręci głową i śmieje się zaskakująco dziewczęcym śmiechem. – Może powinniśmy mieć własny reality show.

Patrzę, jak moja przyrodnia siostra chowa zakupy do spizarki koło lodówki, i podziwiam jej skuteczność. Ja też taka byłam. Skuteczna, że strach.

– Możesz mi nie wierzyć – mówi Claire – ale Jade do czter-nastych urodzin była przesłódką dziewczynką. A potem jakby coś ją wywróciło na lewą stronę.

– Zdarza się najlepszym.

– Czyżby? Pewnie nie sprawiałaś matce takich problemów.

– Miałam parę wybryków.

Claire nieruchomieje.

– Musiałaś bardzo przeżyć jej śmierć.

Szybko odwracam głowę, żeby nie zauważyła nowych łez, które stają mi w oczach. Minęły prawie trzy lata, a nadal odczuwam śmierć matki tak dotkliwie, jakby wydarzyła się wczoraj.

– Przez rok po jej śmierci miałam codziennie ataki paniki – wyznaję. Nigdy wcześniej nikomu tego nie powiedziałam. Nie wiem, dlaczego wybrałam właśnie Claire.

– Rozmawiałaś o tym?

– Z psychiatrą?

– Albo terapeutą. Z kimś.

– Rozmawiałam z Heathem. – Choć był w gorszym stanie niż ja.

Claire nie jest zachwycona. Najwyraźniej reputacja mojego brata jest powszechnie znana.

– Pomógł?

– Jesteśmy sobie bardzo bliscy – mówię, choć to nie jest odpowiedź na jej pytanie.

– Czy tobie Gene jest bliski?

– Chyba tak. Wiem, że potrafi być zarozumiały i wyniosły. Uważa, że zawsze ma rację. I niestety na ogół ma. Ale jest także szczerzy i moralny, i ma wiele cech, które nieczęsto spotyka się u mężczyzn, więc...

Zdanie urywa się i wisi w powietrzu jak dym z papierosa.

– A inni?

– Nasi szanowni bracia Thomas, Richard i Harrison? – Przy każdym imieniu robi dramatyczny gest.

Uśmiecham się.

– Nie widziałam ich od lat.

– Ja też nie mogę powiedzieć, że często się z nimi spotykam. Dopiero niedawno. Przez tę sprawę. – Claire gwałtownie urywa. – Przepraszam. I przepraszam za ten pozew – dodaje. – Gdyby to zależało ode mnie...

– Rozumiem.

Czy na pewno?

– Jaka była twoja matka? – pyta Claire, szukając bezpieczniejszego tematu.

– Wyjątkowa.

– Nasz ojciec się w niej zadurzył.

Znowu się uśmiecham. „Zadurzyć się”, to takie staroświeckie słowo. Ale całkiem odpowiednie.

– Chyba tak.

– Miałaś szczęście.

To słowo brzmi równie dziwnie, jak wtedy, kiedy usłyszałam je od policjantów po gwałcie. Matka umarła, kiedy miałam dwadzieścia sześć lat. Gdzie tu szczęście?

To mama wpadła na pomysł, żebym została prywatnym detektywem. Pewnie nie

mówiła serio, ale ja wczepiłam się w ten pomysł jak guma do żucia w podszewę. Szybko odkryłam, że można zrobić licencję przez internet, dzięki czemu mogłam pozostać z mamą przez te ostatnie, bezcenne miesiące życia. Miałam już za sobą studia spędzone na rozważaniach, co chcę zrobić ze swoją przyszłością. Przez poprzednie trzy lata studiowałam kryminologię. Praca prywatnego detektywa stanowiła naturalną konsekwencję.

Kroki w korytarzu budzą mnie do rzeczywistości.

– Jeszcze nie zaczęłaś robić kolacji? – jęczy Jade od progu. – Umieram z głodu. Powiedziałaś, że tylko zjemy i pójdziemy do domu.

– To może nakryjesz do stołu?

Jade gniewnie ciamka gumę. Wielki różowy balon wykwita spomiędzy jej warg i rośnie tak, że zasłania całą dolną połowę twarzy. Dziewczyna człapie do szafek i otwiera po kolei szuflady, aż znajduje tę ze sztucami.

– No, to policja ma jakichś podejrzanych? – pyta, przegryzając balon. W rękach ma kilka noży i widelców.

Wyobrażam sobie, że jednym z tych noży dźgam napastnika. Moja prawa dłoń zaciska się w pięść. Czuję, jak ostrze przeszywa jego pierś i przekłuwa serce.

– Ziemia do Bailey. Halo? Jest tam kto? – Głos Jade wyrywa mnie z transu.

– Przepraszam. Co mówiłaś?

– Pytałam, czy policja ma jakichś podejrzanych.

– Nie. Nic o tym nie wiem.

– No, to jak to... myślą, że to przypadkowy napad?

– A co innego?

– Może ten ktoś zaczął się na ciebie – mówi Jade, wzruszając ramionami.

– Jade, naprawdę. – Claire kładzie mi delikatnie rękę na ramieniu. – Zmienimy te zamki jutro z samego rana.

– Czy mogę rozmawiać z oficerem Marxem?

Przyciskam słuchawkę do ucha i opadam na poduszkę. Sypialnia tonie w mroku, choć zbliża się dziesiąta rano. Zastanawiałam się, czy nie podnieść rolet i nie wpuścić do środka niemiłosiernego słońca, ale się rozmyśliłam. Nie jestem w stanie przyjąć do wiadomości nadejścia kolejnego niekończącego się dnia, choć dni i noce stały się dla mnie identyczne. Ani jedno, ani drugie nie przynoszą ulgi.

– Chwileczkę – mówi policjant. Słyszę w jego głosie nutkę rozdrażnienia, jakbym przerwała mu robienie czegoś ważnego, a przynajmniej ważniejszego od mojej sprawy. Czy rozpoznał mój głos – zastanawiam się, słuchając melodyjki na czekanie, wesołej latynoskiej muzyki, która natychmiast wypełnia ciszę. Wyobrażam sobie, jak policjant wychyla się i krzyczy do Marx: „E, znowu ta Carpenter. Trzeci raz w ciągu godziny. Dalej mam jej wciskać, że jesteś zajęta?”.

Rozumiem. Naprawdę. Smutna prawda wygląda tak, że stałam się wczorajszą sensacją. Zastąpiły mnie inne, nowsze, świeższe, bardziej interesujące zbrodnie: kobieta uduszona przez chłopaka po gwałtownej dyskusji o to, kto zasługuje na tytuł Top Model, odcięta ręka w bagnie przy szosie, strzelanina w sklepie całodobowym, w której jedna osoba straciła życie, a druga o nie walczy. Nie umyłam się do nich. Zostałam odstawiona na boczny tor, gdzie powoli przeżera mnie rdza, aż w końcu nic ze mnie nie zostanie.

„Może ten ktoś zaczął się na ciebie” – słyszę głos mojej siostrzenicy.

Czy to możliwe?

A jeśli Jade ma rację? Choć kto mógłby się na mnie zacząć, skoro Roland Peterson i Todd Elder zostali wyeliminowani? Kto mógłby mieć motyw?

Co ja wyprawiam, zastanawiam się, odrywając telefon od ucha i niegrzecznie przerywając Glorii Estefan w połowie piosenki. Co mi to da, że usłyszę po raz kolejny, że policja nie ma nowych tropów? Rozłączam się i odkładam słuchawkę na ładowarkę. Marx nie powie mi nic nowego.

Zwlekam się z łóżka, człapię do łazienki na nogach, które odwykły od robienia więcej niż paru kroków, rozbieram się w ciemnościach i wchodzę pod prysznic. Wyparzywszy skórę, zakręcam kran i owijam się czystym ręcznikiem, dziękując w myślach Claire za zrobienie co najmniej trzech prań, zanim w końcu wyszła ode mnie tuż przed północą. Podchodzę do okna w sypialni, naciskam guzik i patrzę, jak rolety podjeżdżają ku sufitowi. Wita mnie świat szklanych domów; po ich gładkich jak lód fasadach ślizga się słońce.

Natychmiast ich dostrzegam, choć oni mnie nie widzą – budowlańców w rosnącym budynku naprzeciwko, kręcących się w niebieskich, białych i żółtych kaskach. Ich obecność zawsze mnie zaskakuje, choć są tu codziennie od ponad roku i zaczynają hałasować dokładnie o ósmej rano. Stawiają jedno piętro na drugim tak łatwo, jak dzieci układają plastikowe klocki. Przyglądam się im przez parę minut, po czym sięgam po lornetkę i zbliżam do siebie robotników, wyostrzam obraz. Widzę, jak jeden wyciera spocone czoło białą chustką, którą wyciągnął z tylnej kieszeni obwisłych dżinsów. Widzę drugiego, który mija go z grubą belką na szerokich ramionach, beztrąsko demonstrując bicepsy. Widzę innego, wychodzącego z jaskrawoczerwonego kibelka na krańcu szkieletu ze stali i betonu. Ci mężczyźni – szybko ich liczę: sześciu – mają od dwudziestu do czterdziestu lat i są średniego wzrostu i średniej budowy. Dwaj biali, trzech śniadzi, jeden koloru kawy latte.

Każdy z nich może być tym, który mnie zgwałcił.

Mógł mnie obserwować tak, jak ja obserwuję jego. Mógł mnie zauważyć pewnego ranka przed budynkiem, jak czekam, aż recepcjonista wyprowadzi mój samochód z podziemnego garażu. Mógł śledzić moje ruchy, jeździć za moim porsche. Mógł pojechać za mną tej nocy, kiedy ruszyłam na poszukiwanie Rolanda Petersona, mógł mnie obserwować tak, jak ja obserwowałam mieszkanie byłej dziewczyny Petersona, nie spiesząc się, czekając na właściwy moment.

Czy to możliwe?

Dzwoni telefon, a ja podskakuję. Pewnie Claire sprawdza, jak się mam, myślę, podnosząc słuchawkę do ucha. Ale to nie Claire, stwierdzam z rozczarowaniem, które mnie dziwi i nie-pokoi.

– Bailey – słyszę głos oficer Marx, jednocześnie kojący i oficjalny. – Przepraszam. Dzwoniłaś do mnie, pewnie nas rozłączyło. – Nie pyta, jak się czuję ani czy wszystko w porządku. Zna odpowiedź.

– Coś przyszło mi do głowy – mówię, wyobrażając sobie te łagodne szare oczy, które pamiętam z nocy, gdy zostałam zgwałcona.

– Coś sobie przypomniałaś? – Wyobrażam sobie, jak daje znak partnerowi i szuka notesu i długopisu na zagraconym biurku.

– Użył płukanki do ust.

– Co?

– Gwałciciel. Jego oddech pachniał płynem do płukania ust.

– Płynem do płukania ust – powtarza policjantka głosem pozbawionym jakiegokolwiek zabarwienia.

– Mentolowym.

– Mentolowym.

Robi mi się głupio. Co to za informacja? Miliony ludzi używają płynu do płukania ust.

– Przypomniało mi się wczoraj, gdy rozpakowywałam zakupy. – Drzę na samo

wspomnienie. – Jest tak, jak powiedziałaś, szczegóły nagle wracają...

Naprawdę tak powiedziała?

– To bardzo dobrze. Przypominaj sobie. Może jeszcze coś do ciebie wróci.

Tylko tym razem coś naprawdę pomocnego.

– Czy to wszystko? – pyta Marx.

– Tak. Tylko...

– Tylko co?

– Czy w okolicy, w której to się stało, zdarzały się gwałty?

– Inne gwałty w okolicy – powtarza policjantka. Uświadamiam sobie, że to jej irytujący nawyk. – Nie, nie było w tej okolicy żadnych gwałtów.

– Żadnych?

– Przez ostatnie pół roku nie zgłoszono w tej okolicy żadnego napadu.

– Jak sądzisz, co to znaczy?

– Nie wiem. A jak ty sądzisz? – pyta.

Nie od razu zdobywam się na wypowiedzenie tych słów:

– Że może to nie był przypadkowy atak. Może ktoś mnie namierzył.

– Kto?

– Nie wiem. – Zerkam na budowę za oknem, przyglądam się, jak dwaj robotnicy manewrują długą stalową belką.

– Bailey – naciska Marx. – Przychodzi ci na myśl ktoś, kto mógłby ci źle życzyć?

Ileż razy zadawałam sobie to pytanie. Wiele osób ma coś do mnie, w tym kilku niezadowolonych krewnych, ale chyba nikt nie nienawidzi mnie do tego stopnia, żeby zrobić coś takiego. Oczywiście mogli wynająć kogoś do brudnej roboty, myślę i wyrywa mi się westchnienie.

– O co chodzi? – pyta policjantka.

– O nic.

Chwila ciszy. Obie czekamy, aż ta druga się odezwie. W końcu Marx poddaje się, przerywając pat.

– Dobrze. Chcę, żebyś coś zrobiła. Słuchasz?

Kiwam głową.

– Bailey? Słuchasz?

– Słucham.

– Zrób listę wszystkich ludzi, którzy teraz lub w przeszłości, z powodów osobistych lub zawodowych, mogliby mieć do ciebie urazę. Zrobisz to?

Znowu kiwam głową. Mgliście przypominam sobie, że już poruszałyśmy ten temat.

– Pytaliśmy cię, czy wykonując swoje obowiązki, mogłaś sobie narobić wrogów – ciągnie policjantka. – Czy ktoś przyszedł ci na myśl?

– Właściwie nie – rzucam szybko. – Już wykluczyliście Todda Eldera.

– Nikt z przeszłości? Może niezadowolony były chłopak?

Nie powiedziałam jej o moim trudnym zerwaniu z Travisem.

– Raczej rozpoznałabym byłego chłopaka, nawet mając poszewkę na głowie – mówię i słyszę w swoim głosie całkiem wyraźne rozdrażnienie. Ta rozmowa nie ma sensu. Żałuję, że ją zaczęłam.

– Słuchaj, Bailey – tłumaczy cierpliwie policjantka – prawdopodobnie zostałaś napadnięta przez kogoś, kogo nie znasz. A w każdym razie nie znasz dobrze. Może ktoś zauważył cię tamtej nocy, zaczekał na odpowiedni moment i zaatakował. Mógł też śledzić cię przez wiele dni, nawet tygodni. Może to jakiś daleki znajomy albo ktoś, kogo minęłaś na ulicy, może przywitałaś się z nim w przelocie albo właśnie się nie przywitałaś, a on uznał to za afront. W tym mieście mieszka tylu świrów, że wszystko jest możliwe, i dlatego tak cholernie trudno złapać tego człowieka. Z tego powodu wszystko, co sobie przypominasz, każdy, kto ci przyjdzie na myśl, ma dla nas wielkie znaczenie.

Znowu zerkam na budowę naprzeciwko mojego wieżowca.

– No, są ci budowlańcy...

Opowiadam jej o mężczyznach, których codziennie widzę za oknem, i wyrażam przypuszczenie, że któryś z nich mógł zwrócić na mnie uwagę.

– Robotnicy – powtarza policjantka. – Masz powody podejrzewać, że to któryś z nich cię napadł?

– Raczej nie.

– Czy któryś z nich powiedział ci coś albo ci się narzucił?

– Nie.

Westchnienie.

– No, nie możemy przesłuchać wszystkich budowlańców w okolicy, kierując się wyłącznie seksistowskimi stereotypami.

– Nie, oczywiście. – Wiem, że Marx traci do mnie cierpliwość. – Ale możecie zrobić listę pracowników budowy – ciągnę mimo to – i wprowadzić ich nazwiska do waszych komputerów, sprawdzić, czy któryś był karany, może za napaść seksualną.

– To strzał w ciemno – mówi policjantka po długim milczeniu – ale co tam. Szukamy igły w stogu siana.

Albo okrucha zbitej szyby, myślę, gdy słońce odbija się w oknie naprzeciwko i razi mnie ostrym błyskiem.

– Co nie oznacza, że nie znajdziemy człowieka, który to zrobił, Bailey.

– Wiem.

Najprawdopodobniej nigdy go nie znajdą, jeśli znowu nie zaatakuje. Czy to jest moja ostatnia nadzieja? Że człowiek, który mnie zgwałcił, skaże kolejną kobietę na życie w piekle? Czy taką osobą się stałam – życzącą nieszczęścia komuś innemu, by się uratować?

– Zajmę się tym natychmiast – mówi policjantka, i dodaje: – Zrób tę listę. – Po czym odkłada słuchawkę.

Rzucam telefon na łóżko. Coś przyciąga mnie do okna. Chłodne tchnienie klimatyzacji muska moje nagie ramiona; dociera do mnie, że jestem owinięta tylko ręcznikiem. Czy ktoś mnie widział? – zastanawiam się, wiedząc, że kąt padania promieni słonecznych to uniemożliwia. A jednak na wszelki wypadek osuwam się na kolana i na czworakach podchodzę do szafy. Czy to możliwe, żeby któryś robotnik z budowy zobaczył mnie pewnego ranka, jak paraduję półnaga po mieszkaniu? A może mieszkaniec innego budynku? Pewnie nie ja jedna mam lornetkę.

Dzwonek telefonu sprawia, że przywieram do podłogi. Leżę z twarzą wciśniętą w puszysty beżowy dywan, a moje serce wybija rytm punktowany. Potrzebuję paru sekund na odzyskanie równowagi i sięgnięcie po telefon, i jeszcze kilku, żeby sobie przypomnieć, że nie ma go w ładowarce, bo leży na łóżku, gdzie go rzuciłam. Udaje mi się go wymacać w trakcie czwartego sygnału, na chwilę przed włączeniem się poczty głosowej.

– Halo? – szepczę, opierając się o łóżko. Mam nadzieję, że usłyszę opiekuńczy głos Claire.

– Tu Stanley z recepcji.

Usiłuję go sobie przypomnieć, ale nie potrafię. W recepcji pracuje co najmniej sześciu gości, którzy pełnią też funkcję parkingowych, wszyscy równie przystojni i równie trudni do zapamiętania.

– Przyszedł ślusarz zmienić zamki.

– Może poczekać pięć minut?

– Jasne.

– A możesz przysłać z nim kogoś?

– Sprawdzę, kto jest wolny.

– Dziękuję. – Wkładam luźne bawełniane spodnie khaki i bezkształtny biały podkoszulek, ściągam mokre włosy w niski kucyk.

Dokładnie pięć minut później rozlega się głośnie pukanie. Wyglądam i widzę dwóch mężczyzn o twarzach zniekształconych przez bliskość i szeroki kąt wizjera. Otwieram drzwi i cofam się, żeby wpuścić ich do środka.

– Dzień dobry – mówi głos, w którym ledwie rozpoznaję swój własny. – Proszę.

– Dzień dobry, jestem Manuel – odzywa się starszy mężczyzna z mocnym kubańskim akcentem. W ręce trzyma torbę z narzędziami. Ma jakieś czterdzieści lat, średni wzrost i budowę, czarne włosy do ramion i ciepłe, ciemne oczy.

Jego towarzysz jest wysoki i szczupły, z piegami na szerokim nosie i sięgającymi brody włosami w odcieniu ciemny blond. Na jego górnej wardze majaczy zapowiedź wąsa. Chłopak ma na sobie znajomy uniform recepcjonisty z identyfikatorem, na którym widnieje imię Wes. Wygląda, jakby dopiero co skończył dwadzieścia lat. Nie pamiętam, żebym go widziała.

– Jesteś nowy? – pytam.

– Zacząłem miesiąc temu – odpowiada. – Świetny budynek.

Jego oddech pachnie płukanką. Zachłystuję się powietrzem i odskakuję do tyłu.

Wes patrzy na mnie jasnobrązowymi oczami, których znajomy wygląd jest równie niespodziewany jak niepokojący.

– Coś się stało?

Kręcę głową. Powtarzam sobie, że miliony osób używają płynu do płukania ust, i że płukanka chłopaka, pachnąca bardziej miętą niż mentolem, w niczym nie przypomina tej, którą czułam od gwałciciela.

Czy recepcjonista wie, co mnie spotkało? Czy wie to którykolwiek z nich? Muszą coś podejrzewać, skoro rytm mojego dnia gwałtownie się zmienił, no i przez te ciągłe odwiedziny policji. Czy szepczą o tym między sobą? Czy śmieją się ze mnie za moimi plecami? Czy to ich podnieca? Budzi ich niesmak? Czy myślą, że sama się o to prosiłam?

Manuel zaczyna rozmontowywać zamek.

– Byle co – mówi z szyderczym uśmieszkiem, odkładając go na bok. – Dam pani coś znacznie lepszego. – Pokazuje mi nowy mechanizm. – Bardziej konkretny. Widzi pani?

Kiwam głową.

– Moja siostrzenica otworzyła tamten w dwie sekundy.

– Tego nie otworzy. Gwarantuję.

Patrzę Manuelowi na ręce. Jakie grube palce, myślę i czuję ich nacisk na swoją krtań.

– Wszystko w porządku? – pyta nagle Wes.

– Tak. A co?

– Wzdrygnęła się pani. Moja matka mawiała, że kiedy człowiek się wzdryga, to znaczy, że ktoś przeszedł po jego grobie.

– Skończymy za parę minut – obiecuje Manuel.

– Dobrze.

– Pani siostrzenica nie otworzy tego zamka. Daję gwarancję.

Dziesięć minut później Manuel upuszcza mi na dłoń dwa nowe, lśniące klucze. Zaciskam na nich palce. Są ciepłe, wtapiają mi się w ciało jak w воск, zostawiają piętno.

– Ile się należy? – pytam.

– To już załatwione. Pani siostra...

– Claire?

– Miła osoba. Wszystkim się zajęła.

Manuel wychodzi, ale Wes zostaje jeszcze parę sekund.

– No, to na razie – mówi, przestępując z nogi na nogę. Dociera do mnie, że czeka na napiwek, ale nie mam pojęcia, gdzie położyłam torebkę, więc nie robię żadnego ruchu. Po paru chwilach rezygnuje i idzie za Manuelem do wind. – Miłego używania

nowych zamków – rzuca jeszcze, gdy zamykam drzwi.

Zaczynam obserwować tego mężczyznę niemal przez przypadek.

Pierwsza dostrzega go Claire. Stoi przy oknie sypialni, ubrana w ciemnoszare spodnie i nietwarzowy biały sweter, zdradzający oponkę na brzuchu. Jej cienkie, sięgające brody jasne włosy dopominają się o dobrą fryzurę. Claire obserwuje przez moją lornetkę oświetlone okna budynku naprzeciwko, wodząc wzrokiem metodycznie, jak sokół, w górę i w dół, z boku na bok, jakby szukała bezpiecznego miejsca, by wylądować.

– Mój Boże! Tylko popatrz – mruczy, bardziej do siebie niż do mnie czy Jade.

Leżę z siostrzenicą na łóżku i oglądamy telewizję, tak jak kiedyś z mamą. Jade ma na sobie luźny perłoworóżowy podkoszulek i czarne legginsy. Stylowe botki na cienkich jak igielki obcasach zostawiła na podłodze. Żuje gumę, bawi się włosami i wybucha śmiechem. Właśnie zobaczyłyśmy mężczyznę przeciętego na pół kosiarką i kobietę, która utonęła w asfaltowym jeziorze, odpowiednio numery 547 i 212 w niekończącej się wyliczance *Śmierci na 1000 sposobów*. Jeśli kiedyś dociągną do tej magicznej liczby, pewnie zaczną kręcić sequel *Śmierć na 1000 innych sposobów*, myślę, zerkając na Claire, która patrzy przez lornetkę i dziwi się, że nadal istnieją na świecie ludzie, którzy czują się tak bezpiecznie, że odsłaniają okna i zapalają światła po zachodzie słońca. Nie wiedzą, że ktoś prawdopodobnie ich obserwuje?

– Co widzisz? – pytam, jak echo mojej matki.

Jade zrywa się z łóżka i wyrywa matce lornetkę.

– Ja pierdolę! – woła.

– Jade, opanuj się – mówi Claire bez przekonania.

– Musisz to zobaczyć! – Jade macha na mnie ręką, zmusza do wstania.

Kręcę głową.

– Opowiedz.

– Ten facet z mieszkania... zaraz... trzy piętra od góry, czwarte okno od lewej – odlicza Jade i dosłownie wyje z radości. – Ja nie mogę! Musisz go zobaczyć! Uważa się za kawał ciacha.

– Jade, opanuj się.

– Paraduje po sypialni półnagi...

– W dzinsach – poprawia Claire.

– Ale bez koszuli, czyli półnagi – rzuca niecierpliwie Jade. Widzę, jak przewraca oczami, choć zasłania je lornetka. – Ma niezły sześciopak na brzuchu.

– Jakby to było ważne – wtrąca jej matka.

– Wygina się przed lustrem i pręży mięśnie! Zaraz umrę ze śmiechu. Uuu, ohyda.

Właśnie włożył rękę w majtki i poprawił fiuta.

– Jade, opanuj się.

– Co? Mam powiedzieć ptaka?

– Na miłość boską!

– Dobra, dobra. Już wiem. Penis. Poprawił penisa. Bailey, no chodź, bo wszystko ci przepadnie.

– Przepraszam – mamroczę, walcząc z mdłościami. – Akurat tego nie chcę widzieć.

– Naprawdę, Jade. – Matka wyrywa jej lornetkę i odkłada na mój nocny stolik. – Czasami mnie naprawdę zadziwiasz.

– Nie chciałam... nie myślałam, że...

– W tym problem – rzuca Claire. – Nie myślisz.

– Przepraszam, Bailey – mówi Jade.

– Nie szkodzi.

– Chyba powinniśmy iść – oznajmia Claire. – Robi się późno.

– Nie ma nawet dziewiątej.

– Jutro idziesz do szkoły.

– Więc?

Od ich pierwszej niespodziewanej wizyty minął prawie tydzień. Słucham ich kolejnej sprzeczki i zaczynam się uspokajać. Uświadamiam sobie, że polubiłam ich towarzystwo. W przeciwieństwie do Gene'a, którego pierwsza wizyta była ostatnią, Claire wpadała do mnie codziennie po pracy w szpitalu. Czasem robiła mi kolację i zmuszała Jade do przyłączenia się do nas. Innym razem po prostu siedziałyśmy i oglądałyśmy telewizję. Claire opowiadała mi, jak minął jej dzień, że pokłóciła się z lekarzem, że pacjent po wylewie, który stracił mowę, spojrzał na nią serdecznie. Nie pyta, co robiłam, bo wie, że to samo co zawsze.

Ktoś puka do drzwi. Po chwili dzwoni.

– Kto to? – pyta Jade, wodząc spojrzeniem ode mnie do matki, jakby przynajmniej jedna z nas znała odpowiedź.

– Czy recepcjonista nie powinien cię uprzedzać o gościach? – Claire już idzie korytarzem.

– To musi być Heath – mówię. – Wszyscy go znają.

– Kto to jest Heath? – chce wiedzieć Jade.

– Mój brat.

Widzę w jej oczach, że liczy gałęzie naszego pokręconego drzewa genealogicznego.

– A, tak... drugi wybraniec.

– Jade, na miłość boską. Mam ci zakneblować usta? – Claire jest zirytowana

i zawstydzona. Zamyka oczy, a jej policzki płoną rumieńcem w kolorze fuksji. – Przepraszam, Bailey. To było zanim...

– Nie szkodzi – zapewniam. – Wiem.

– Gdzie się podziewał przez cały tydzień? – pyta Jade.

Wzruszam ramionami. Heath zawsze miał tendencję do znikania, często na kilka dni, zwykle w gęstej chmurze marihuanowego dymu. Nigdy nie sprawdzał się w czasach kryzysu, a ten gwałt wstrząsnął nim prawie tak samo jak mną. Wiem, że mój brat zмага się z tym samym dręczącym poczuciem winy i bezradności, z tą samą bezsilną wściekłością. Szczerze mówiąc, chyba odetchnął z ulgą, kiedy podczas ostatniej rozmowy telefonicznej powiedziałam mu o Claire i Jade. Ich wizyty zdjęły z niego odpowiedzialność. Nie musi już odgrywać roli dzielnego starszego brata, do czego zupełnie nie ma predyspozycji. Heath jest trochę jak te bukiety, które dostałam tuż po gwałcie, i które zwiędły i uschły z braku świeżej wody i troski. On także wymaga ciągłej opieki, a ostatnio nie mam siły mu jej zapewniać.

Wstaję z łóżka i idę, za Claire i Jade, do drzwi. Jade kilka razy próbowała – na szczęście bez powodzenia – otworzyć mój nowy zamek.

– Cześć, Heath – słyszę jej głos. Mój brat wchodzi do mieszkania, ciągnąc za sobą wyraźny zapach trawy wżarty w jego skórę już na zawsze. Ten zapach przenika przez jego pory, czarną skórzaną kurtkę i obcisłe dżinsy. Claire marszczy nos, rozpoznając mdląco słodki aromat, ale mówi tylko:

– Miło cię znowu zobaczyć. Minęło sporo czasu.

Heath odgarnia grzywkę z delikatnej, przystojnej twarzy i wpatruje się ciemnozielonymi oczami w przyrodną siostrę, jakby usiłował sobie przypomnieć, skąd ją zna.

– Jesteś całkiem ujarany – odzywa się Jade z chichotem.

– A ty jesteś Jade – odpowiada Heath z szerokim uśmiechem. – Wiele o tobie słyszałem.

– Naprawdę? A ja o tobie nic. W każdym razie nic od Bailey.

Heath parska śmiechem.

– Miałaś rację – zwraca się do mnie. – Jest bajeczna.

Zrzuca skórzaną kurtkę na podłogę. Claire natychmiast ją podnosi. Heath ma krzywo zapiętą jedwabną granatową koszulę – lewa poła zwisa niżej niż prawa – ale on tego nie zauważa. Jest zdecydowanie naćpany i to bardziej niż kiedykolwiek od śmierci mamy.

– Wszystko dobrze? – szepczę.

– Absolutnie fantastycznie – odpowiada głośno. – A u ciebie? Widzę, że przebrałaś się z piżamy. Czyli siostry miłosierdzia dobrze się tobą zajęły. Brawo, moje panie.

– Może usiądziemy? – Claire wskazuje salon.

Ale Heath już zmierza do mojej sypialni.

– Lepiej będzie, jeśli się położę – mówi.

Ja i Jade idziemy za nim.

– Myślę, że potrzebujesz kawy – mruczy Claire, idąc do kuchni.

– Bombowy pomysł. – Heath wchodzi do sypialni i zatrzymuje się jak wryty przy łóżku, wpatrzony w telewizor. – Co to jest, do cholery?

Młoda kobieta w bluzce z wielkim dekoltem i strzępku materiału udającym spódniczkę wychodzi z helikoptera i za bardzo się zbliża do obracającego się wirnika.

– Oż w mordę – szepcze Heath, gdy na ekran bryzga przerażająca fontanna krwi.

– Ścięcie przez helikopter – ogłasza spiker w uniesieniu. – Pięćdziesiąta dziewiąta ze *Śmierci na 1000 sposobów*.

– Co wy oglądacie, do cholery?

Jade wyjaśnia, a Heath rzuca się na łóżko i podkłada sobie pod głowę wszystkie poduszki.

– Super – mówi i zamyka oczy.

Jade przygląda się uważnie jego twarzy.

– Twój brat jest bardzo przystojny – stwierdza.

Heath natychmiast otwiera oczy. Opiera się na łokciu, naj-wyraźniej zadowolony, choć z pewnością zdążył przywyknąć do takich komplementów.

– O, dziękuję. Jak miło, że zauważyłaś.

– Oglądałaś *Nastoletnią matkę*?

– Raczej nie.

Jade streszcza ideę programu.

– Już go nie produkują, ale podobno rozmawiają, czy go nie wznowić, a jeśli to zrobią, chcę w nim wystąpić. Wtedy pojawię się na okładce „US Weekly” i będę sławna.

– Chyba najpierw musisz zająć w ciążę – zauważa Heath.

– Wiem. I tu zaczyna się twoja rola.

– Moja rola? Jak to?

– Byłbyś idealnym tatusiem.

– Słucham? – Heath ogląda się na mnie. – Ona żartuje?

– Nie wydaje mi się. – Tłumię śmiech.

– Posłuchaj. – Jade rzuca się na łóżko. – Wiesz, że konkurencja jest ogromna, nie?

Więc trzeba być kreatywnym.

– Nie mam w sobie ani odrobiny kreatywności – oznajmia Heath ze śmiertelnie poważną miną.

Jade jakby go nie słyszała.

– Potrzebny jest jakiś haczyk...

– Nazywasz mnie haczykiem?

Jade kiwa głową entuzjastycznie.

- Jestem twoim wujem.
- No właśnie o to chodzi! Przez to ten pomysł jest taki czadowy!
- Uważasz, że kazirodztwo jest czadowe?
- Jesteś tylko przyrodnim wujem, a poza tym prawie cię nie znam.
- Co normalnej osobie by przeszkadzało.
- Żadne z nas nie jest całkiem normalne, nie sądzisz?

Heath uśmiecha się i widzę, że Jade zaczyna go bawić tak jak mnie.

- Tu możesz mieć rację.

Claire wchodzi z kubkiem świeżo zaparzonej kawy w jednej ręce i śmietanką i cukrem w saszetkach w drugiej. Heath przyjmuje kubek, dodaje szybko śmietankę i cztery saszetki cukru, po czym odstawia kubek na nocną szafkę, nie upiwszy ani łyka.

- Powinnyśmy już iść. – Claire podnosi z podłogi botki i rzuca je na kolana córki.

– Czy przynajmniej się zastanowisz się nad moim pomysłem? – pyta Jade, wkładając buty.

- Nie.

– Jakim pomysłem? – pyta Claire. – Nieważne, nie chcę wiedzieć. Miło było cię spotkać, Heath.

- I mnie również – odwzajemnia się natychmiast mój brat.

- Czekaj! – Jade chwyta lornetkę ze stolika i podbiega do okna. – Tylko spojrzę.

- Co to za nowa perwersja? – pyta Heath.

– Sam zobacz. – Jade podaje mu lornetkę. – Trzecie piętro od góry, czwarte okno od lewej.

- Nie, dzięki. To za bardzo w stylu *Okna na podwórze*.

- No weź – droczy się z nim Jade. – Wiesz, że tego chcesz.

Jej słowa rzucają mnie w przeszłość. Mam dwanaście lat i szkolny mundurek na sobie, i tuż przed wejściem do autobusu czuję na pośladkach rękę mężczyzny. „Nie udawaj takiej oburzonej, dziewczynko. Wiesz, że ci się podobało”.

Kolana uginają się pode mną. Przytrzymuję się szafki nocnej, prawie strącając kawę Heatha.

- Boże...

Claire natychmiast staje przy mnie, pomaga mi się podnieść.

- Co się stało?

Kręcę głową; boję się, że upadnę, jeśli Claire mnie puści.

- Nic.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Nic mi nie jest. Naprawdę. – Utrzymanie się w pozycji stojącej kosztuje mnie mnóstwo wysiłku fizycznego i psychicznego.

- Na pewno?

Kiwam głową.

– Dobrze – ustępuje Claire, choć widzę, że jej nie przekonałam. W końcu rozluźnia chwyt. – Damy ci spokój. Pobądź z bratem. Powiedz dobranoc, Jade.

– Dobranoc, Jade – mówi Jade.

Heath parska śmiechem.

– Ona tak zawsze? – pyta po ich odejściu.

– Przeważnie.

– Nic dziwnego, że ją lubisz.

Rzeczywiście lubię. Ją i Claire.

– Szkoda, że chodzi im tylko o twoje pieniądze.

Wyłączam telewizor i kładę się na łóżku obok niego, odsuwając jego nogi, żeby się zmieścić.

– Naprawdę myślisz, że dlatego przyszły?

– A ty nie?

– Nie wiem. Chyba wolałam myśleć...

– Wolałaś myśleć, że co? Że przyszły, ponieważ jesteś, jak powiedziała moja straszliwa siostrzenica, czadowa?

Moja wywiadowcza natura podszeptuje, że Heath może mieć rację. Ale uświadamiam sobie, że nie obchodzą mnie motywy Claire i jej córki.

– Czy tak trudno mnie kochać? – pytam zaskoczona, że powiedziałam to na głos.

– Co? Nie, skąd. Nie bądź niemądra. Ja cię Kocham, prawda? I rodzice cię kochali. No i Bóg mi świadkiem, że Travis nadal za tobą szaleje.

– Nie chcę o nim mówić.

– Serio? Bo on chce mówić tylko o tobie. Gdybyś do niego zadzwoniła, daję ci słowo, że przyleciałby tu w dwie sekundy.

– Nie chcę, żeby przylatywał.

– Daj spokój. Zlituj się nad tym biedakiem. Doprowadza mnie do szału swoimi jękami.

– A ty doprowadzasz do szału mnie – warczę, chwytam lornetkę i idę do okna, bardziej żeby pomyśleć o czymś innym niż z ciekawości. Znajduję mieszkanie, któremu przyglądały się Claire i Jade, trzy piętra od góry, czwarte okno z lewej. Światło nadal się pali, choć pokój wygląda na pusty.

– On chce cię przeprosić, naprawić sytuację – nie ustępuje Heath.

– Za późno.

– Co się między wami wydarzyło? On mi nie chce powiedzieć, ty też nie...

Pomijam to milczeniem. Stwierdzenie, że związek z Travisem skończył się niedobrze, byłoby wyjątkowo oględne.

– Co porabiałeś przez ten tydzień? – pytam, nie odwracając się. – Poza paleniem kilogramów trawy.

– Pracowałem nad scenariuszem – odpowiada mój brat, a ja wzdygam. Heath pracuje nad tym scenariuszem od lat. – I miałem przesłuchanie do Whiskasa. To

reklama na cały kraj.

– I dostałeś ją?

– A skąd ja mogę wiedzieć? Kazali mi się tarzać po podłodze i robić z siebie idiotę z powodu jakiegoś głupiego kota. Dziwi cię, że biorę?

Uśmiecham się wbrew sobie.

– Kiedy się dowiesz?

– Pewnie w przyszłym tygodniu. Nieważne. Mało mnie to obchodzi – mówi, a ja słyszę w jego głosie wzruszenie ramion.

Heath twierdzi, że przywykł do odrzucenia, ale ja nie wiem, czy do tego można się przyzwyczaić.

Wtedy dostrzegam tego mężczyznę.

Najpierw wygląda jak smuga, plama, która szybko zyskuje kształty. Ma około trzydziestu lat i robi wrażenie całkiem przystojnego, o przyjemnych rysach i nieskazitelnej sylwetce. Ciemne włosy, średni wzrost, szczupła budowa. Na szczęście widok jego imponującego sześciopaku został mi oszczędzony, bo facet ma na sobie koszulę i zastanawia się nad wyborem krawata; trzyma dwa i przykłada je na zmianę do piersi przed dużym lustrem. Pewnie wybiera się na randkę.

Przypomina mi się, że Owen Weaver niedawno zaprosił mnie na kolację, i zastanawiam się, czy mogłabym do niego zadzwonić. Podobno kobiety mające romans z żonatymi często wyrzekają się randek.

Nawet te, których nikt nie zgwałcił.

Po paru minutach niezdecydowania mężczyzna rezygnuje z obu krawatów i rzuca je na łóżko. Jeden spływa na podłogę. Facet znika w garderobie i po chwili wraca ze sportową kurtką, którą wkłada i starannie wygładza, nie odrywając wzroku od swojego odbicia, ewidentnie nim zachwycony. Czy jakakolwiek kobieta mogłaby z nim konkurować? – myślę, opuszczając lornetkę i odwracając się do Heatha.

– Musisz zobaczyć tego gościa – zaczynam, ale mój brat ma zamknięte oczy i łagodny, regularny oddech śpiącej osoby.

Kładę się obok niego i zastanawiam się, czy nie włączyć znowu telewizora, by popatrzeć, na ile niesamowitych sposobów potrafi się zabić człowiek. Jednak poprzestaję na przyglądaniu się uspionemu bratu, tak jak patrzyłam na matkę w czasie jej choroby, czuwając nad każdym jej oddechem, odliczając, ile czasu upłynie między jednym a drugim, wstrzymując własny oddech, kiedy jej stawał się wysiłony, szepcząc jej do ucha o miłości, kiedy spała, w nadziei, że moje słowa przenikną do jej sprowadzonych przez morfinę snów, że to wystarczy, żeby odstraszyć śmierć na kolejny rok, kolejny miesiąc, kolejny dzień.

Oczywiście nie wystarczyło. Słowa są bezsilne w obliczu śmierci. Podobnie jak miłość. I nieważne, co ktoś próbuje ci powiedzieć.

Nie wiem, kiedy uświadomiłam sobie, że w pokoju jest ktoś jeszcze. Ciche

stąpienie po dywanie, podłoga skrzypiąca przy każdym ukradkowym kroku, powietrze nad moją głową rozstępujące się jak zasłony. Ktoś rzuca się na mnie, jego kolana miażdżą mi klatkę piersiową, poduszka wciska się w twarz. Szarpię się, ale jest za silny. Ramię przygniata mi krtań, odcinając dopływ powietrza. Krzyczę, ale dźwięk, który wydobywa się z mojego gardła, brzmi raczej jak charkot. Przedśmiertny charkot. Zbieram wszystkie siły i przejeżdżam wściekle paznokciami po ramieniu napastnika.

– Co jest?!

Otwieram oczy, odsuwam poduszkę i widzę, jak Heath podrywa się z łóżka, trzymając się za skaleczoną rękę.

– Co ty wyprawiasz, do cholery?

– O mój Boże, przepraszam... Miałam koszmar. – Spoglądam na zegarek. Minęła północ.

Heath podwija rękaw, choć jest za ciemno, żeby coś zobaczyć.

– Skaleczyłaś mnie do krwi!

– Bardzo przepraszam.

Heath wzdycha.

– W porządku, przeżyję. Koszmar, co? Muszę pytać jaki?

Kręcę głową, a mój oddech powoli się uspokaja.

– Przynieść ci wody czy coś?

– Nie, wszystko w porządku – mówię, bo to chce usłyszeć. Ocieram pot z czoła.

Moje ciało nagle stało się zimne i lepkie.

– Musisz się wyspać.

– Wiem. Jestem strasznie zmęczona.

– Ćśśś... Zamknij oczy. Nie musisz się bać. Jestem przy tobie.

– Dziękuję. To dla mnie wiele znaczy.

Ale wiem, że Heath mnie już nie słyszy. Znowu zasnął. Leżę obok niego przez kilka długich minut, a potem ostrożnie wyplątuję się z jego objęć i wstaję. Biorę nożyce z szuflady i rozpoczynam regularny obchód mieszkania. Skończywszy go, idę do łazienki, gdzie zdejmuję ubrania i puszczam gorącą wodę. Myję się w ciemnościach i po piętnastu minutach wychodzę z zaparowanego pomieszczenia, z mokrymi włosami i rozpalonym, obolałym ciałem. Myję zęby i przebieram się w upraną przez Claire piżamę. Wycieram włosy ręcznikiem.

Wracam do sypialni, chowam nożyce do szuflady, biorę lornetkę i podchodzę do okna. Znalezienie właściwego mieszkania zajmuje mi tylko parę sekund – trzy piętra od góry, czwarte okno od lewej. Światło w sypialni się pali, a lokator chodzi po mieszkaniu. Zbliży się do okna z rozpiętą, wypuszczoną ze spodni koszulą i spogląda na ulicę, z roztargnieniem przesuwając ręką po włosach. Potem odwraca się w moją stronę, jakby czuł moją obecność. Patrzę, jak sięga do stojącej na stoliku turkusowej lampy o plisowanym białym abażurze. Światło gaśnie.

Koszmar zaczyna się niemal natychmiast, gdy zamykam oczy. Powtarza się raz po raz, jak zapętłony. Ściga mnie pozbawiony twarzy mężczyzna w czarnych nike'ach. Choć uciekam najszybciej, jak mogę, zbliża się do mnie. Po drugiej stronie ulicy stoi czteropiętrowy cytrynowożółty budynek. Na balkonie siedzi kobieta obserwująca mnie przez lornetkę. Widzi wszystko. Na pewno zadzwoni na policję i będę uratowana. Ale ona nie dzwoni. Wychyla się i poprawia ostrość, żeby widzieć wyraźniej, co się stanie. Patrzy, jak mężczyzna chwyta mnie i rzuca na ziemię. Patrzy, jak bije mnie pięściami i zrywa ze mnie ubranie. Patrzy, jak wdziera się w moje ciało i bezlitośnie wgniata mnie, raz po raz, w zimną, twardą ziemię. Dopiero kiedy kończy, kobieta opuszcza lornetkę i widzę jej twarz.

Moją twarz.

Budzę się, łapiąc powietrze, zlane potem, którym przesiąkła też pościel. Powinnam już przywyknąć do takich snów, ale nie. Patrzę na zegarek na szafce przy łóżku. Dochodzi dziesiąta. Heatha nie ma. Na jego miejscu leży karteczka: „Zadzwonili do mnie z Whiskasa. Porozmawiamy później. H”.

Zwlekam się z łóżka, podchodzę do okna, naciskam guzik unoszący rolety. Oślepia mnie słońce świecące prosto w twarz. Przymykam odruchowo oczy. Opieram głowę o szybę, pławiąc się w promieniach, usiłując czerpać siłę z ich ciepła.

Kiedy otwieram oczy, widzę go parę centymetrów od mojej twarzy, z nosem przyciśniętym do mojego. Krzyczę i odskakuję gwałtownie w stronę łóżka, padam na kolana i kryję twarz w drżących dłoniach. Słyszę śmiech i zmuszam się, żeby podnieść wzrok. Mężczyzna nadal tam jest, tuż za oknem, opasany liną przypiętą do drewnianej platformy, na której stoi, i gąbką na długim drążku przesuwana po szybie. Obok niego stoi inny mężczyzna. Obaj mają oliwkową karnację i po dwadzieścia parę lat. Noszą obszerne białe kombinezony z logo „Luksusowe mycie szyb”.

– Przepraszam. Nie chciałem pani przestraszyć! – woła pierwszy przez grube szkło. – Nie zauważyła pani ogłoszenia, że dziś będziemy myć okna od tej strony?

Podnoszę się, przytrzymując łóżka. Całkiem zapomniałam.

– Może zechce pani opuścić rolety – proponuje drugi.

Naciskam guzik i roleta zjeżdża w dół, stopniowo zasłaniając mężczyzn: najpierw ich głowy, potem logo na kombinezonach, potem torsy, nogi i w końcu ciężkie robocze buty – jakbym ścierała rysunek z tablicy.

Dzwoni telefon, a ja podskakuję.

– Cześć, skarbie. – Jego głos jest jak pieszczota. – Jak się dziś miewasz?

– W porządku. – Ogarnia mnie taka ulga, że z trudem powstrzymuję płacz. Od jego ostatniego telefonu minęły trzy dni.

– Tylko „w porządku”?

– Dobrze – kłamię. Całkiem nieźle idzie mi mówienie ludziom tego, co chcą usłyszeć.

– Mogę rozmawiać tylko parę minut.

– Wiem. Jesteś zajęty.

– Co robiłaś?

– Niewiele. Wczoraj wieczorem przyszły Claire i Jade. I Heath. Został na noc.

– Robię się zazdrosny.

– Już sobie poszedł. – Mój ton informuje, że to tylko stwierdzenie, a nie zaproszenie do bliskości. Zastanawiam się, ile czasu minie, zanim zdołam wysłać taki sygnał. Przypuszczam, że on myśli o tym samym.

Chwila milczenia, a potem:

– Przez całe rano mam zebrania.

– Już dawno nie byliśmy ze sobą.

– Wiem. Może w tym tygodniu...

– Tęsknię – mówię mu.

– Ja też.

Czy na pewno? Może za dawną Bailey, tą, która nie jęczała i nie mdlała przy byle prowokacji, tą, która nie bała się niczego ani nikogo. Nie za tą nową Bailey, tą nieudaną reprodukcją, która nie może przestać uzalać się nad sobą i boi się własnego cienia.

– Myślałam o powrocie do pracy – mówię, bo czuję, że tracę jego uwagę, a rozpaczliwie chcę ją utrzymać. Jednocześnie nie znam wstydu i jestem nim przepełniona. Prawda wygląda tak, że sama myśl o powrocie do uwielbianej dawniej pracy przejmuje mnie zgrozą. Nawet w tej chwili czuję panikę trzepoczącą w moim wnętrzu jak uwięziony ptak.

– Myślisz, że jesteś gotowa?

– Może za parę tygodni.

Znowu chwila milczenia, jeszcze bardziej skrepowanego, a potem:

– Słuchaj, skarbie, muszę lecieć. Zadzwoń tylko sprawdzić, co u ciebie.

– Okej.

– Wpadnę, kiedy będę mógł. Może wyjdiesz na spacer? Taki piękny dzień.

– Na spacer? – Nie wyszłam z domu od gwałtu.

– Żeby pochodzić, pobiegać. Odetchnąć świeżym powietrzem, trochę się rozruszać. Pewnie wariujesz w tym mieszkaniu.

Radośnie czepiam się tego pomysłu. Czuję się tak bezradna i przybita, bo od tygodni nie opuściłam mieszkania. Odbija mi z powodu klaustrofobii. Muszę stąd wyjść, przespacerować się, pobiegać wokół bloku.

– Nie musisz nawet wychodzić. W twoim budynku nie ma siłowni?

Przywołuję widok dużego pomieszczenia na piętrze, pełnego wioseł, bieżni, orbitreków, ciężarów.

– Tylko nie przesadź. Masz do tego skłonność.

– Nie przesadzę.

– Czujesz się już lepiej, prawda?

– Dzięki tobie zawsze czuję się lepiej.

– Naprawdę muszę lecieć.

– Zadzwonisz?

– Spróbuję.

– Kocham cię – mówię.

– Uważaj na siebie – odpowiada on.

To nierówna odpłata i oboje o tym wiemy.

Biorę prysznic, zerkając na ślad zębów wokół prawego sutka. Zastanawiam się, czy ten ohydny znak kiedykolwiek zniknie. Lekarze zapewnili, że tak.

Zostałam naznaczona. Tak głębokie piętna nie znikają nigdy.

Telefon dzwoni, kiedy wychodzę spod prysznica. Wkładam szlafrok i odbieram po trzecim sygnale.

– Panno Carpenter, dzień dobry. Tu Finn z recepcji.

– Tak? – Serce zaczyna mi łomotać. Mam wrażenie, że Finn dzwoni wyłącznie ze sprawami, o których nie chcę słyszeć. Dzisiejszy dzień nie należy do wyjątków.

– Przyszedł Travis Shepherd.

– Travis?

– Mam go wpuścić?

Czego on chce? Heath kazał mu przyjść?

– Nie. Zejdę – rzucam gwałtownie. Nie mam na to ochoty, ale jeszcze bardziej nie chcę wpuszczać Travisa do mieszkania. Nie po tym, co się wydarzyło, kiedy był tu ostatnim razem. Bezpieczniej będzie spotkać się z nim w holu. – Przyjdę za dwie minuty.

Usiłuję nie panikować. Tłumaczę sobie, że Travis jest na ogół dobrym człowiekiem. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, był zabawny, uważny i serdeczny. Rozśmieszał mnie. Chodziliśmy tańczyć, do kina i na długie spacery po plaży. Czasem dołączał do nas Heath. Czasem wypalaliśmy skręta. Potem częściej niż czasem. Potem Heath i Travis jarali niemal bez przerwy, a ja patrzyłam na nich potępiająco. Śmiech zastąpiły kłótnie. Wkrótce Travis i ja już tylko wrzeszczeliśmy na siebie.

Dasz radę, mówię do siebie. Travis przyszedł okazać ci troskę, a nie robić scenę. Zrzucam szlafrok i ubieram się w sportowe ciuchy.

– Akurat szłam na siłownię – ćwiczę radosne ćwierkanie przed lustrem. Widzę w nim średnio przekonujące odbicie.

Zanim opuszczę apartament, długo sprawdzam, czy za drzwiami nikt się nie czai. W końcu udaje mi się wyjść, zamknąć mieszkanie i ruszyć ostrożnie korytarzem. Dotykam przycisku przy windzie i czekam na nią, nieustannie się rozglądając. Parę razy postanawiam dać sobie spokój i wrócić do mieszkania. Za każdym razem robię parę kroków, po czym zawracam. Nie mogę się teraz poddać. Winda zatrzymuje się z głuchym odgłosem. Drzwi otwierają się powoli.

W kabinie stoi mężczyzna.

Cofam się ze zdławionym krzykiem; nogi uginają się pode mną.

– Zapomniałam czegoś – mamroczę.

Ze łzami w oczach wracam do drzwi mieszkania. Stoję przy nich, ściskając klamkę, serce tłucze mi się dziko o żebra, aż w końcu dociera do mnie odgłos zamykanych drzwi windy i jej szum. Mija parę minut, zanim udaje mi się zdobyć na odwagę i spróbować jeszcze raz. Zachowuję się głupio. Niepotrzebnie spanikowałam. Nie wszyscy mężczyźni są gwałcicielami. A ten był niski i krępy, no i miał z pięćdziesiąt lat. To nie on mnie zaatakował.

Choć... skąd mogę mieć pewność?

Znowu przywołuję windę. Drzwi się otwierają, ukazując dwie młode kobiety, wysokie, piękne i promieniejące tą pewnością siebie, którą i ja kiedyś miałam. Są ubrane w legginsy i koszulki.

– Jedziesz do siłowni? – pyta jedna głosem jasnym i dziewczęcym.

Zmuszam stopy, żeby przekroczyły próg windy.

– Może później – mówię, naciskając guzik parteru. Winda zjeżdża na pierwsze piętro bez pośrednich przystanków.

– Na razie – rzuca dziewczyna, bierze przyjaciółkę pod rękę i wychodzą z windy.

Na szczęście nikt się nie dosiada, a mnie udaje się uspokoić wieloma głębokimi oddechami, zanim drzwi się otworzą, ukazując hol z marmuru i luster. Siedzący w oszklonej portierni po prawej Finn kiwa do mnie głową. Za nim widzę ścianę ekranów, na których migają obrazy ogólnodostępnych pomieszczeń: korytarzy, klatek schodowych, wind, basenu, nawet siłowni. Kamery są wszędzie. Ktoś zawsze patrzy.

Finn wskazuje poczekalnię, w której Travis siedzi od dobrych piętnastu minut. Początkowo nie widzę go zza ogromnego bukietu świeżych kwiatów, pod którym ugina się stolik do kawy. Travis zrywa się z gwałtownością, która wprawia musztardowy obrotowy fotel w ruch. Mój były wygląda dobrze, co mnie nie dziwi. Zawsze tak wyglądał. Wysoki, wąski w biodrach, o chłopięcej urodzie, oczach koloru futra norki i z ciemnymi falującymi włosami. Ma na sobie sportowe czarne spodnie i różową koszulkę polo, jakby zstąpił z katalogu klubu Turnberry, w którym uczy grać w golfa ludzi w średnim wieku, choć większość z nich nigdy nie robi wszystkich dołków za pomocą mniej niż stu uderzeń, jak miał zwyczaj narzekać. Dorabia jako model i aktor, i tak właśnie poznał mojego brata – na przesłuchaniu.

Podbiega do mnie. Zaciskam zęby i czekam na uścisk, który nie następuje.

– Co ty do cholery robisz? – pyta. Mówi cicho, bo jesteśmy w miejscu publicznym, ale groźnie, jakby nie bardzo o to dbał. Na policzkach ma małe czerwone plamy. Znam te plamy. Pojawiają się, kiedy Travis jest wyjątkowo wściekły. Podczas ostatniego spotkania także je widziałam.

– O co ci chodzi?

– Nasyłasz na mnie gliny? – To trochę stwierdzenie, trochę pytanie, trochę wyraz bezsilności typu: „Co jest, do cholery?”.

– Co?

– Naprawdę myślisz, że to ja cię zgwałciłem?

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Bez kitu. Już się na to nie nabiorę. – Travis przesuwając ręką przez gęste włosy. – Nie rozmawiałaś z tą policjantką? Tą Marcus czy jak jej tam?

Waham się.

– Rozmawiałam z oficerem Marx, oczywiście. Prowadzi to dochodzenie.

– I co dokładnie jej powiedziałaś?

– Nie wiem co dokładnie – odpowiadam, rozpaczliwie starając się sobie przypomnieć. – Spytałam, czy to możliwe, że ktoś się na mnie zaczął.

– Zaczął? Znaczący że co? Uważasz, że to był ktoś znajomy? Na przykład ja?

– Nigdy tak nie powiedziałam. Wręcz przeciwnie. Powiedziałam, że to nie mogłeś być ty, bo bym cię rozpoznała, nawet z poszewką na głowie.

– Więc o mnie wspomniałaś!

– Marx spytała o niezadowolonych byłych chłopaków...

– Więc tym dla ciebie jestem? Niezadowolonym byłym? – Travis kręci głową, bardziej ze smutkiem niż gniewem. Widzę ból w jego oczach. – Jak myślisz, co poczułem, kiedy Heath mi powiedział, co cię spotkało? Chciałem zabić tego drania, który cię skrzywdził. Chciałem go udusić gołymi rękami. A teraz dowiaduję się, że tak o mnie myślisz.

– Ale ja cię nie podejrzewam!

– Na miłość boską, Bailey. Wiesz, że nigdy bym cię nie skrzywdził.

– Uderzyłeś mnie! – słyszę swój krzyk.

Finn odsuwa słuchawkę od ucha i przyciska ją do piersi.

– Wszystko w porządku? – zwraca się do mnie.

– Tak – odpowiada Travis, zanim udaje mi się odzyskać głos.

Kiwam głową, ale spojrzeniem proszę Finna, żeby zachował czujność.

– Tylko dlatego że straciłem panowanie nad sobą w gorączce chwili...

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Czy jest we mnie coś, co wyzwala w mężczyznach agresję?

– Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro. Byłem pijany. I zdenerwowany. Nie miałem racji. Słuchaj. Nie staram się usprawiedliwiać. I daję ci słowo, że to się nigdy,

przenigdy nie powtórzy. Potrzebujesz mnie, bym cię chronił.

– To koniec, Travis – tłumaczę najłagodniej, jak potrafię.

– Proszę, nie.

– Koniec.

Travis kręci głową, wydmuchuje niewidzialny dym w powietrze.

– Nie zgwałciłem cię – mówi po chwili, która wydaje się wiecznością. Czerwone plamy powróciły na jego policzki.

– Wiem.

– To powiedz to tej cholерnej policjantce.

– Powiem.

– Wiesz, co jeszcze możesz zrobić? – Czerwone krążki rozjarzają się mocniej, jakby ktoś zapalił zapalnik pod jego skórą. – Możesz iść do diabła.

– Panno Carpenter! – woła ktoś. Podnoszę głowę i widzę zatroskaną twarz Finna.

Travisa nie ma. Nie wiem, jak długo tam siedziałam. – Wszystko w porządku?

– Świetnie – odpowiadam, wlokąc się do wind. – Wszystko świetnie.

Postanawiam iść prosto do mieszkania. Po spotkaniu z Travisem jestem oszołomiona i wyczerpana. Czyżbym się co do niego pomyliła? Czy to możliwe, że mógłby mnie zgwałcić, że mogłabym go nie poznać albo że mógłby kogoś wynająć do brudnej roboty, aby mnie przekonać, że potrzebuję jego ochrony? Wchodzę do windy i już mam nacisnąć guzik dwudziestego trzeciego piętra, kiedy słyszę „Proszę poczekać!”. Zanim zdążę zareagować, mężczyzna wciska się przez zamykające się drzwi, wybiera osiemnaste piętro i rzuca przez ramię, nie patrząc na mnie, z palcami zawieszonymi niecierpliwie nad przyciskami:

– Na które?

Ma trzydzieści parę lat, średni wzrost i średnią wagę. Długie palce, duże ręce. Wyobrażam sobie te ręce na swoim gardle, czuję te palce naciskające na moją krtań.

Nogi mi się uginają, opieram się o ścianę, żeby nie upaść. Pot występuje mi na czoło, spływa do oczu, rozmywa obraz. W ustach mi wysycha. Serce łomocze o żebra jak kauczukowa piłka o ceglana ścianę. Kręci mi się w głowie. Nie mogę oddychać.

Muszę wysiąść z tej windy. Natychmiast.

– Pierwsze! – krzyczę i odpycham go, żeby własnoręcznie nacisnąć guzik.

Po chwili wypadam przez drzwi, które jeszcze nie całkiem się otworzyły.

– Miłego dnia! – woła za mną mężczyzna. Jego sarkazm ściga mnie marmurowym korytarzem.

Nie mam pojęcia, dokąd zmierzam. Biegnę na oślep krętym korytarzem, który mija spa, basen, gabinet masażu. Dwaj mężczyźni, obaj w grubych białych szlafrokach i klapkach, jeden z ręcznikiem owiniętym wokół szyi jak oswojony wąż, zbliżają się w moją stronę. Mają od dwudziestu do czterdziestu lat, średni wzrost i średnią wagę. Mówią niskimi głosami bez zauważalnego akcentu. Jeden uśmiecha się do mnie. Pachnie płukanką, miętową i chłodną.

Wykładzina pod moimi stopami zmienia się nagle w bagno, wciąga mnie w łakome błoto. Ściany zaczynają się zbliżać i rozjeżdżać jak akordeon. Z wysiłkiem zachowuję równowagę. Z ust wyrywa mi się cichy krzyk; wpadam w najbliższe drzwi i znajduję się w szarym pomieszczeniu bez okien – szare ściany, szara wykładzina, szare sprzęty. Widzę pięć bieżni obok siebie i dwa orbitreki, dwa wiosła, trzy rowery, wszystkie z małutkimi tele-wizorkami, wszystkie stojące przed długą lustrzaną ścianą, w której odbija się przeciwległa lustrzana ściana. Są też rozmaite maszyny do ćwiczenia z obciążeniem i sprzęt, którego przeznaczenia nawet nie

chcę się domyślać. Obok mnie baniak z wodą, plastikowy kosz i sterta małych białych ręczników na półce na ścianie, a także spray z płynem antyseptycznym, gigantyczna rolka papierowych ręczników i wielka butla płynu do rąk. Zauważam kamerę zamontowaną pod sufitem w prawym rogu pomieszczenia i zastanawiam się, czy ktoś teraz na mnie patrzy. Stoję przy drzwiach, dopóki mój oddech nie wróci do normy i dopóki znowu nie uwierzę, że mogę się poruszyć i nie zemdleć. Ale się nie ruszam. Nadal stoję.

– Cześć – odzywa się zdyszany głos od strony orbitreków.

Poznaję dziewczynę, z którą jechałam windą. Podskakuje energicznie, ręce i nogi poruszają się z perfekcyjną koordynacją. Jasny koński ogon kołysze się rytmicznie.

Jej przyjaciółka zajmuje drugą z pięciu bieżni. Biegnie, co jakiś czas podskakując na obu nogach; na małym ekraniku pojawia się sędzia Judy. Sędzia Judy wydaje się wściekła.

Przez parę minut stoję przy drzwiach, usiłując zdecydować, co robić. Chciałabym wrócić do mieszkania, ale to by było niemądre. Los zdołał mnie wyciągnąć na pierwsze piętro do siłowni. Los chce, żebym ćwiczyła. Chce, żebym znowu zapanowała nad życiem.

Wskakuj na tę zasraną bieżnię, mówi los.

Wchodzę na bieżnię obok sędzi Judy.

– Jest pan idiotą! – krzyczy sędzia do jakiegoś młodego nieszczęśnika stojącego przed nią pokornie. – Nie wie pan, z kim pan rozmawia!

Włączam bieżnię, która ożywa z drzeniem pod moimi stopami i rzuca mnie do przodu. Usiłuję dostosować się do jej prędkości. Idę początkowo powoli, potem szybciej, w końcu dochodzę do pięciu kilometrów na godzinę. Dziewczyna obok mnie idzie zdecydowanie szybciej i właśnie zaczęła robić jakąś przerażającą kombinację skoków obunóż i z jednej nogi na drugą; nawet się nie spociła.

– Czy to nie jest niebezpieczne?

– Gdzie tam. Człowiek się przyzwyczaja – odpowiada, nie przerywając ćwiczeń.

– Wygląda przerażająco.

– Zaufaj mi, nie taki diabeł straszny.

Mam jej powiedzieć, że nie ufam nikomu?

– Wygląda strasznie – powtarzam.

– Nie jest tak straszne jak sędzia Judy. – Dziewczyna wskazuje głową telewizorek.

– To dopiero przerażająca baba.

Sędzia przenosi uwagę z młodzieńca na jego oskarżycielkę.

– A pani, młoda damo – mówi głosem tnącym jak bicz – niby dlaczego przyszła do niego w środku nocy?

– Chciałam się z nim spotkać – szepce dziewczyna.

– Ale on powiedział, że nie chce pani widzieć.

– No tak, ale...

– Żadnych „ale”! – krzyczy sędzia.

Co to za ludzie? – zastanawiam się, na chwilę zajęta tą pyskówką. Co oni robią w programie nadawanym na cały kraj, dlaczego wywlekają swoje głupie problemy przed oczy wszystkich? Co się stało z potrzebą prywatności, z jej ideą? Co innego spróbować zobaczyć się oczami innych, a co innego widzieć siebie tylko tak, jak widzą nas inni. Czym staliśmy się, jeśli zyskujemy wiarygodność i znaczenie tylko dzięki cudzym spojrzeniom?

Odwracam się od telewizora, spoglądam na lustro przed sobą. Jestem hipokrytką, dociera do mnie. Mój zawód polega na naruszaniu cudzej prywatności, które tak tu potępiam. Kim jestem, jeśli nie padlinożercą nieustannie przeszukującym odpadki życia innych ludzi, grzebiącym w ich śmieciach, podglądającym ich przez okna, by poznać ich najmroczniejsze tajemnice?

Nazywam to zbieraniem faktów.

– Chyba cię tu nie widziałam – odzywa się dziewczyna z bieżni. Spogląda na mnie, skacząc, a jej muskularne ręce ściskają uchwyty maszyny. Parę delikatnych kropelek potu spływa wdzięcznie po jej dekolcie, by zniknąć między piersiami. – Jestem Kelly. Apartament 1712.

– Miło cię poznać, Kelly.

Dziewczyna wskazuje koleżankę na orbitreku.

– To Sabrina z 1019. A ty...?

– O, przepraszam. Bailey. Bailey Carpenter.

Kelly czeka chwilę, aż ujawnię numer mojego mieszkania, jakbym bez niego była niekompletna, a kiedy milczę, mówi:

– Super ten budynek, co? Nie jest najlepszy? Uwielbiamy tu mieszkać.

– Uwielbiam tu mieszkać – powtarzam jak echo.

– Czym się zajmujesz?

To niespodziewane pytanie sprawia, że nogi mi się uginają. Omal się nie przewracam.

– Ostrożnie – ostrzega Kelly.

Zmniejszam prędkość i udaje mi się zachować równowagę.

– W tej chwili jestem tak jakby bezrobotna – odpowiadam, nieco rozmijając się z prawdą, w czym nabrałam sporej wprawy.

– Znam to. – Dziewczyna uśmiecha się do mnie krzepiąco. – Zaufaj mi, coś się trafi.

Podziwiam jej ufność. Sama nadal jej nie ufam.

– Ja jestem barmanką – ciągnie. – Sabrina też. Pracujemy w Blast-Off na South Miami Avenue. Znasz?

Kto w Miami nie zna Blast-Off? To wielki jak pieczara, utrzymany w industrialnym stylu klub, który szczyli się tak głośnym puszczaniem muzyki, że dosłownie może rozwalić głowę. Raz poszłam tam z Travisem i bratem. Oni

twierdzili, że chcą się spotkać z jakimś słynnym didżejem, który miał tamtego wieczoru zmianę, ale okazało się, że tak naprawdę interesował ich tylko diler. Kiedy się o tym przekonałam, ruszyłam prosto do wyjścia. Nie rozmawiałam z Travisem przez dwa dni. A przez dwa tygodnie dzwoniło mi w uszach.

– Trochę tam głośno.

– Da się przywyknąć – mówi Kelly. Najwyraźniej jest osobą, która potrafi przywyknąć do wszystkiego. Zastanawiam się, czy przywykłyby do bycia zgwałconą. – I świetnie płacą.

– Może powinnam się nad tym zastanowić – odpowiadam bardziej z grzeczności, niż dlatego że pomysł mi się podoba. Sama myśl o pracy w klubie takim jak Blast-Off przeszywa moje ciało nową falą strachu.

Oczy Kelly rozszerzają się z wyraźnym zaskoczeniem. Spoglądam na swoje odbicie i rozumiem dlaczego. Pod obszernym ubraniem wyglądam jak szkielet, moje ręce wystają jak kości z krótkich rękawów podkoszulka.

Czy ktoś by przyjął drinka od takiej kobiety? – zastanawiam się.

– Ostatnio trochę schudłam – zaczynam wyjaśniać, ale Kelly już odwróciła się ode mnie i spogląda w drugą stronę, zatopiona w ćwiczeniach.

Obserwuję ją z tyłu. Zauważam, że ma długie, umięśnione nogi, opięte sięgającymi kolan legginsami, dostrzegam niewyraźny zarys jej stringów, jej jędrną, okrągłą pupę, wąską talię i szerokie ramiona. Ona nie zdaje sobie sprawy z mojego spojrzenia. A może wie, że patrzę, ale jej to nie rusza. Przywykła do spojrzeń. Kolejna rzecz, do której przywykła.

Drzwi siłowni otwierają się i wchodzi mężczyzna. Po trzydziestce, dość wysoki i szczupły, z ciemnymi włosami i oczami, ubrany w czarne nylonowe szorty i taki sam podkoszulek. Ramiona ma silne, ale nie nadmiernie umięśnione. W sumie nie najgorszy, choć może nie tak przystojny, jak mu się wydaje. Chyba parę razy uderzał do mnie, kiedy się tu wprowadziłam, ale nie pamiętam, jak ma na imię.

– Witam panie – mówi, spoglądając na Kelly i Sabrinę, a potem znów na Kelly. Chyba mnie nie zauważył, za co jestem wdzięczna. – Jak leci?

Sabrina uśmiecha się, ale nie odpowiada.

Kelly nie zwalnia ani trochę.

– Świetnie.

Mężczyzna przygląda się jej przez chwilę.

– Jestem David Trotter. Apartament 1402.

Kelly nie podaje ani nazwiska, ani numeru mieszkania, czym sygnalizuje, że nie interesuje jej dalsza rozmowa. David tego nie chwytą.

– Bywasz tu całkiem regularnie. Jesteś tancerką?

– Nie.

– Instruktorką aerobiku?

– Po prostu lubię ruch.

– Tak? Ja też. – I jakby po to, żeby uzasadnić swoje słowa, David podchodzi do stojaka z ciężarkami. Bierze dwa piętnastokilowe i zaczyna je podnosić nad głowę. Natychmiast jego twarz oblewa się buraczkowym rumieńcem, a na czoło występują krople potu. Po sześciu ruchach przestaje, łapiąc oddech, i patrzy na Kelly.

– To co robisz? Czekaj, nie mów. Jesteś modelką.

Kelly z trudem powstrzymuje jęk.

– Barmanką – rzuca.

– No co ty. Gdzie?

– W Blast-Off.

– No co ty. Mój ulubiony klub. Będziesz dziś pracować?

Niemal niezauważalne skinienie głowy.

– Może wpadnę. – David znowu zaczyna podnosić ciężarki. – Nie powiedziałaś, jak masz na imię.

Kelly wyłącza swoją maszynę i zeskakuje z niej.

– Sabrina, skończyłaś?

Jej koleżanka wyjmuje słuchawki z uszu.

– Jeszcze dwie minutki.

Kelly bierze butelkę płynu antyseptycznego z półki, psika nim na papierowy ręcznik i wyciera bieżnię.

– Czyli ona ma na imię Sabrina. – David się nie poddaje. – A ty...?

– Kelly – odpowiada ona, usiłując zachować przyjazny ton. Nasze spojrzenia spotykają się w lustrze. Pomóż mi, proszą jej oczy.

– Pozwoliłabyś mi postawić sobie drinka, gdybym się dziś pojawił?

– Przepraszam, ale nie wolno mi pić w pracy.

– A po pracy?

– Pracuję do czwartej.

Jak on może być tak nachalny? Nie widzi, że ją krępuje? Że dziewczyna ma ochotę jak najszybciej uciec przed jego obleśnym spojrzeniem?

– Masz jakiś wieczór wolny? – napiera on.

– Niezbyt często. Sabrina, chodź! – Kelly idzie do drzwi.

– Może jutro poćwiczymy? Jeśli powiesz mi, kiedy tu przyjdiesz, zmienię swój plan dnia tak, żeby...

– Daj jej już spokój – słyszę własny głos.

– Przepraszam, co powiedziałaś? – rzuca David.

– Powiedziałam, żebyś dał jej spokój. Widać, że jej nie interesujesz.

– I widać, że to nie twoja sprawa...

– Słuchaj – przerywa Kelly. – Prawda wygląda tak, że mam chłopaka.

Tłumię uśmiech. Z doświadczenia wiem, że kiedy ktoś używa zwrotu „prawda wygląda tak”, przeważnie kłamie.

– Masz chłopaka? – dziwi się David. – To czemu nie mówiłaś? – Udaje mu się

zrobić obrażoną minę. – Ale przecież nie musimy mu mówić. – Lubieżnie przesuwam językiem po wargach.

– Dlaczego po prostu się nie odczepisz? – pytam, czując obsceniczną wilgoć jego języka na swojej skórze.

– Co cię ugryzło? – warczy David, podnosząc ciężarek, który jest dla niego za ciężki, więc jego ramię opada bezsilnie.

– Wychodzimy – rzuca Kelly. Sabrina zatrzymuje orbitrek. – Miło było cię poznać, Bailey. – Wychodząc, mówi bezgłośnie „dzięki”.

Nie, proszę w myślach. Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie samej z tym człowiekiem.

David porzuca ciężarki natychmiast po wyjściu dziewczyn. Podchodzi do mnie.

Serce zaczyna mi łomotać. Dłonie robią się zimne i lepkie. Muszę zejść z bieżni, ale on stoi za mną, blokując mi drogę.

– O co ci chodzi? – pyta. – Zazdrościsz? Też byś chciała?

Spoglądam w kamerę w górnym rogu sali, modląc się, żeby ktoś na mnie patrzył.

– Zaraz – mówi on, wpatrując się w moje odbicie w lustrze. – Ja cię znam, co nie?

Kręcę głową.

– Owszem, znam cię. – Zbliża się do mnie, jakby chciał się lepiej przyjrzeć mojemu profilowi.

Zerkam na guzik, którym wyłącza się bieżnię. Chcę stąd uciec. Może zdołam po prostu zeskoczyć. Bieżnia nie jest aż tak rozpędzona. Postanawiam ją zwolnić, ale wciskam nie tę strzałkę co trzeba i taśma przyspiesza. Z pięciu kilometrów robi się pięć i pół, potem sześć.

– Nie spotykaliśmy się parę lat temu?

– Nie.

5,9... 6... 6,3...

David prycha ironicznie, ale się nie odsuwa.

Muszę się od niego uwolnić. Muszę stąd uciec.

6,5... 6,8... 7...

– Ten budynek jest pełen kobiet, które myślą, że są zbyt dobre dla nas, śmiertelników.

7,5... 7,7... 7,9... – Zaczynam biec. Może jeśli dam z siebie wszystko... 8... 8,5... 8,7... Oddech wyrywa mi się z piersi krótkimi, bolesnymi spazmami. Gardło mi wysycha. Płuca wzdymają się jak miechy. Jeszcze trochę powietrza i rozpadnę się na tysiąc kawałków, obryzgam to lustro krwią.

– I muszę przyznać, wiele wygląda super – ciągnie David, chwilowo skupiony na własnym odbiciu. – Najładniejsze dziewczyny świata mieszkają w Miami. I wiedzą o tym. W końcu byłem wszędzie, w Nowym Jorku, Las Vegas, nawet w Los Angeles. Nic nie umywa się do Miami. Nawet Brazylia. Nawet tutejsze dziwki lepiej wyglądają.

9,0... 9,5... 9,7...

– I kurde, wiedzą o tym. Wiedzą, że są super, i wiedzą, że cię mają w garści. Ty to czujesz? Wiedzą, że mogą wybierać. Już im nie wystarczy mercedes ani jaguar. Trzeba mieć lamborghini albo ferrari. Trzeba się ubierać w garnitury od Brioniego, jak jakiś zasrany James Bond. Musisz mieć większe mięśnie i większego...

9,8... 9,9... 10...

– Może powinnaś zwolnić.

Spoglądam w lustro. Wolę patrzeć na siebie.

– But ci się rozwiązał.

Spoglądam w dół i widzę, że sznurówka mojego prawego buta rzeczywiście powiewa, uderzając głośno o krawędź bieżni. Muszę uważać, żeby jej nie przydepnąć. Ale nie mogę teraz przestać. Muszę biec szybciej. Żeby uciec.

10,5... 10,7...

Już obie sznurówki fruwią. Uderzają o moje kostki, splatają się ze sobą jak robaki. Spoglądam na stopy Davida, nieruchome, w czarnych butach z białym haczykiem Nike...

– Nie! – krzyczę. – Nie!

11... 11,5... 12...

– Co ty wyprawiasz?

Nie mogę uciec. Biegnę ze wszystkich sił, ale nie ucieknę. On nawet nie musi mnie dotykać. Czuję, że moje nogi słabną, poddają się. Nie mogę dłużej. Spoglądam błagalnie na kobietę w lustrze. Pomóż mi! A ona odpowiada obojętnym spojrzeniem i milczy.

12,5... 13...

Nogi zostają za mną i taśma ciska mnie do tyłu. Krzyczę, uderzając szczęką o uchwyt bieżni, spadam z niej prosto na baniak z wodą. Butelki z płynem antyseptycznym spadają z półki nad moją głową. Papierowe ręczniki wzlatują w powietrze jak latawce bez wiatru, a ja padam na podłogę. Baniak kołysze się przez parę chwil i jakby cudem odzyskuje równowagę.

– Co jest, kurwa? – krzyczy David. – Wszystko w porządku? Co ty do cholery wyprawiasz? – Wyciąga rękę. Dotyka mojego ramienia.

– Nie! – krzyczę. – Nie dotykaj mnie.

– Ja tylko chcę...

– Nie dotykaj mnie!

– Co ci odbiło?

– Odwal się!

– Chcę ci tylko pomóc, ty głupia suko.

– Nie! Nie! Odwal się! Nie dotykaj mnie!

Uderzam go, szarpnię paznokciami, gryzę jego rękę.

– Co do...

– Ratunku! Pomocy!

Drzwi do siłowni stają otworem i w sali robi się gęsto od mężczyzn. Finn, Stanley, Wes i woźny, starszy pan, którego imienia nie pamiętam.

David już wstaje.

– Słowo daję, nic jej nie zrobiłem.

– Co się stało? – pyta Finn, klękając przy mnie, choć moja postawa ostrzega go, żeby trzymał ręce przy sobie.

– To wariatka – mówi David cicho, choć na tyle głośno, że słyszę. – Nagle zaczęła pędzić sto kilometrów na godzinę, a ja chciałem ją ostrzec, że to za szybko. Wyglądała, jakby miała dostać zawału. Ale ona ciągle podkręcała szybkość i nagle bach, zaczęła wszystko przewracać, prawie wam rozwalila baniak. Chciałem jej pomóc, a ona co? Zaczęła wrzeszczeć, żebym się do niej nie zbliżał, jakbym ją napadł czy coś. Przysięgam, że nie tknąłem tej szalonej suki. Możecie spojrzeć na nagrania, jeśli mi nie wierzycie.

Stanley kiwa głową. Widzieli, co się działo. Dlatego przybiegli tak szybko.

– Wszystko w porządku? – pyta mnie Finn.

– Możemy coś zrobić? – dodaje Stanley.

– Złamała coś pani?

Kręcę głową, nie mogąc oderwać spojrzenia od czarnych butów Davida z białym znaczkiem Nike.

– Może pani wstać? – pyta Finn, zawiązując moje sznurówki podwójnym węzłem, po czym podnosi mnie z podłogi.

Czy to możliwe, że David mnie zgwałcił?

– Mogę już iść? – pyta on. Właściwie to bardziej stwierdzenie.

– Czy na pewno nie powiedział pan nic, co mogło ją zdenerwować? – pyta Stanley, prowadząc go do drzwi. – Cokolwiek?

– To żart? Nie. To ona mnie napadła.

– Wszystko w porządku? – pyta Finn, gdy David wychodzi z sali. – Krwawi pani? Nic sobie pani nie złamała?

Oglądam przedramię. Jest zadraśnięte, ale nie zakrwawione. Naciągnęłam plecy, skręciłam kostkę. Głowa pulsuje mi bólem, szczęka ćmi. Ale, jak powiedziałaaby Kelly, przywykłam do takich rzeczy.

– Mamy wezwać karetkę? – pyta Wes z jakiegoś miejsca powyżej mojej głowy.

– Nie. Wszystko dobrze. – Podnoszę się z trudem. Noga boli mnie, kiedy opieram na niej ciężar ciała, ale nie jest złamana i wiem, że lekarz tu nic nie poradzi.

– Co się tu stało? – pyta Finn. – Muszę złożyć raport.

Czy David może być gwałcicielem? Uświadamiam sobie, że fakt posiadania takich samych butów jak napastnik nie znaczy wiele. Nie wolno mi rzucać obłąkanych oskarżeń. Muszę wziąć prysznic i iść spać. Muszę się uwolnić od tych mężczyzn i jak najszybciej wrócić do mieszkania.

– Za bardzo się rozpędziłam. Potknęłam się o sznurowadło. To moja wina – mówię z trudem. – Proszę się nie martwić. Nikogo nie pozwę.

– Martwimy się o panią. Czy możemy kogoś wezwać? Może pani brata?

– Nie. Tak – odpowiadam na jednym oddechu.

Choć rozpaczliwie chcę wrócić do mieszkania, wiem także, że równie rozpaczliwie nie chcę być sama. Potrzebuję czyjejs obecności, kogoś, kto zajmie się mną i ochroni, choćby tylko przed moimi szalonymi myślami.

– Proszę... – słyszę własny głos – proszę zadzwonić do mojej siostry. Do Claire.

– No dobrze, Bailey – mówi oficer Marx. – Jeszcze raz powtórzmy to, co się wydarzyło.

Definicja szaleństwa: powtarzanie tego samego raz po raz z oczekiwaniem innego rezultatu. Wiem, że Marx stosuję tę metodę, bo wierzy, że powtórki uwalniają nowe wspomnienia. Ale ja opowiedziałam jej już trzy razy, co się wydarzyło w siłowni.

– Już ostatni raz, obiecuję. – Policjantka uśmiecha się, jakby czytała mi w myślach, i siada wygodniej w nogach łóżka.

Oficer Antony Castillo stoi przy oknie, patrząc na ulicę. Jest noc, prawie ósma, zapadł zmrok. Castillo ma trzydzieści parę lat, średni wzrost i średnią wagę, ciemne kędzierzawe włosy i oczy tak intensywnie błękitne, że podejrzewam soczewki. Podejrzewam też, że Castillo może być człowiekiem, który mnie zgwałcił. Pasuje do ogólnego opisu.

– Mam przynieść nowy lód? – pyta Claire, poprawiając mi poduszkę pod głową. Siadam prosto i mocniej chwytam roztopiający się zimny okład, który przyciskam do brody.

– Nie, dziękuję.

– Weź głęboki oddech – radzi Claire, więc postępuję tak, jak mi radzi.

Powietrze boleśnie drażni płuca. Claire przykrywa moją dłoń swoją ręką i nie cofa jej przez resztę przesłuchania. Nadal ma na sobie bladozielony uniform pielęgniarce. Przyszła prosto ze szpitala, wezwana przez Finna. Na szczęście dla mnie znalazła kogoś na zastępstwo.

Odkasuję i zaczynam opowiadać od chwili, gdy David wszedł do siłowni, ale Marx zatrzymuje mnie i prosi, żebym cofnęła się jeszcze bardziej.

– Dlaczego postanowiłaś dziś iść ćwiczyć?

To pytanie zadała po raz pierwszy i zaskoczyła mnie, choć wiem, że niespodziewane pytania to kolejna metoda wydobywania zapomnianych wspomnień. Myślę parę sekund nad odpowiedzią, a potem mamrocę coś, że wydawało mi się to właściwe, że w ten sposób chciałam odzyskać kontrolę nad swoim życiem. Policjantka nawet nie próbuje tego zapisać.

– Opowiedz mi o wizycie Trávisa – mówi. Wie o niej od Finna. – Rozumiem, że się pokłóciliście.

– Nie.

– Jak twierdzi recepcjonista...

– Nie kłóciliśmy się – obstaję przy swoim. – Travis zdenerwował się, co

zrozumiałe, twoją wizytą w jego pracy i tym, że uważasz go za podejrzanego...

– Nie ma alibi na noc, której cię zaatakowano.

– Travis mnie nie zgwałcił. – Milknę i zastanawiam się, dlaczego go bronię, dlaczego nie wyjawiałam policji wszystkich paskudnych szczegółów naszego zerwania, skąd ta pewność, że to nie Travis, skoro niczego innego nie jestem pewna.

– Dobrze. Więc Travis wyszedł, a pani postanowiła zapanować nad swoim życiem, idąc na siłownię – odzywa się funkcjonariusz Castillo od okna. – Czy David Trotter jakoś pani groził?

– Nie. Tylko zarzucił mi, że jestem zazdrosna. I powiedział coś, że kobiety w Miami są najpiękniejsze na świecie. Nawet prostytutki.

– Osobliwa uwaga. – Marx pisze coś w notatniku. – Nie wspomniałaś o niej wcześniej.

– Nie sądziłam, że jest ważna.

Policjantka uśmiecha się lekko. Ten uśmiech znaczy: to my decydujemy, co jest ważne.

– Co jeszcze powiedział?

Potrząsam głową, jakbym chciała obluzować jakieś istotne fakty przyklepione do wnętrza czaszki.

– Nic, czego bym już nie powiedziała. Tylko, że strasznie szybko biegłam i że rozwiązały mi się sznurówki.

– Czyli chciał panią ostrzec – stwierdza oficer Castillo.

Czy na pewno?

– Czy miał głos jak człowiek, który panią napadł? – to pytanie Marx.

– Nie wiem. Może.

– Czy jego oddech pachniał płukanką?

– Nie zauważyłam.

– Ale zauważyła pani jego buty.

– Tak. Takie same, jak u faceta, który na mnie napadł.

– Czy ma pani inne powody, by podejrzewać Davida Trottera?

Claire odpowiada za mnie.

– No, w końcu mieszka w tym budynku, mógł ją bez trudu śledzić. Odrzuciła jego zaloty...

– To było dwa lata temu – przerywa policjantka.

– Niektórzy potrafią długo chować urazę.

Zastanawiam się, czy Claire myśli o naszym ojcu i braciach, ale nie mam zamiaru o to teraz pytać.

– Pasuje do ogólnego opisu – dodaje Claire słabo. Obie wiemy, że pasuje do niego co drugi mężczyzna w Ameryce.

– Czy próbował pani dotknąć? – pyta Castillo.

– Tylko kiedy upadłam.

– Więc chodzi wyłącznie o buty.

Czuję jego rozczarowanie. Claire ściska mnie za rękę. Ona też to poczuła.

– Złożymy panu Trotterowi wizytę po obejrzeniu nagrań z kamery.

– Ale go nie podejrzewacie – mówię.

– Na pewno go sprawdzimy. – Oficer Marx nie wstaje. Czyta swoje notatki, jakby zastanawiała się nad następnymi pytaniami.

– Wystarczy na dziś. – Claire puszcza moją dłoń i schodzi z łóżka. – Powiadomicie nas o rozwoju sytuacji po rozmowie z Trotterem?

– Oczywiście. A jeśli będziemy mieć inne pytania...

– Zadacie je rano – decyduje Claire, przejmując kontrolę nad sytuacją. Odprowadza policjantów do drzwi. – Dziękuję za wizytę – słyszę jej głos.

To ona nalegała, żebym zgłosiła policji swoje podejrzenia. To ona umyła mnie i przebrała w nową piżamę. To ona wysuszyła mi włosy, nadając im jakiś wygląd, kiedy przez cały dzień czekałyśmy na przyjazd śledczych. To ona zajęła się moimi siniakami, ona przyniosła zimne okłady na kostkę i brodę. Ona chciała odwiedzić mnie do szpitala, na co się nie zgodziłam.

Ostrożnie wychodzę z łóżka, starając się nie stawać na bolącej nodze, wyłączam górne światło, biorę lornetkę i kuśtykam do okna. Unoszę lornetkę i spoglądam na budynek naprzeciwko, namierzając mieszkanie trzy piętra od dachu, cztery okna od lewej. Światło w sypialni się pali, choć mieszkanie wydaje się puste.

– Nasz facet zrobił coś ciekawego? – pyta Claire, zaglądając mi przez ramię.

Kręcę głową i oddaję jej lornetkę.

– Chyba nikogo nie ma w domu. – Claire czeka parę sekund, po czym oddaje mi lornetkę. – Powinam zadzwonić do Jade. Powiedzieć jej, gdzie jestem. Na wypadek, gdyby ją to interesowało.

– Interesuje ją – mówię.

– Zadzwonię z telefonu w kuchni. Mogę ci zrobić jakąś kolację?

– Nie jestem bardzo głodna.

– Otworzę puszkę zupy, co?

– Dobrze. – Podnoszę lornetkę do oczu i słyszę, jak Claire rozmawia cicho przez telefon. Zastanawiam się, z kim jeszcze rozmawia, czy kontaktuje się z Gene'em i innymi. Zadaję sobie pytanie, czy Heath mógł mieć rację, że Claire chodzi tylko o moje pieniądze, że jest tu dla nich, żeby mnie zmiękczyć, skłonić do otworzenia portfela.

Usiłuję sobie wyobrazić, jak Heath będzie sobie radzić, gdy na jego koncie zabraknie pieniędzy. Gene już zdołał doprowadzić w sądzie do zamrożenia majątku naszego ojca. Trzeba lat na zakończenie tej sprawy. Co wtedy zrobi Heath? Może w końcu znajdzie pracę. Albo nakręci parę reklam. Albo sprzeda ten scenariusz, nad którym pracuje, odkąd sięgam pamięcią. Gdzie się dziś podziewa? Jara z Travisem? Wyobrażam sobie mojego żo-natego kochanka jedzącego późną kolację z żoną

i czytającego córkom ulubioną bajkę na dobranoc. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek będę miała rodzinę.

Nagle się pojawia.

Mężczyzna z mieszkania przed moim blokiem, trzy piętra od góry, czwarte okno od lewej. Patrzą, jak wchodzi do sypialni z komórką przy uchu. Śmieje się, najwyraźniej zadowolony. Coś w pochyleniu jego ramion i w ruchach bioder świadczy, że rozmawia z kobietą. Ma na sobie obcisłe džinsy i białą, rozpiętą do pasa koszulę. Zbliży się do okna i przyciska czoło do szyby, nie przestając rozmawiać. Masuje się po nagiej piersi, przechyla głowę z boku na bok, napinając kark. Potem ściąga ramiona do tyłu, ukazując więcej nagiego torsu. I znowu leniwie sięga ręką, by musnąć jedną brodawkę, a potem drugą.

– Boże – jęczę, czując falę mdłości w gardle. Czy nigdy nie będę mogła patrzeć na męskie ciało bez wstrętu?

A jednak, choć mi niedobrze, nie mogę odwrócić wzroku.

– O co chodzi? – pyta Claire z korytarza. – Boli cię?

Bez słowa podaję jej lornetkę.

– No, no – mówi Claire. – Widzę, że ktoś się w sobie zakochał. Powinniśmy go nazwać Narcyzem.

Przypominam sobie, że Narcyz był greckim bogiem, który zakochał się we własnym odbiciu w wodzie i utonął, usiłując się sobie lepiej przyjrzeć.

– Co teraz robi?

– Rozbiera się. Zdjął koszulę. A teraz spodnie. A teraz... no, no. – Rzuca lornetkę na łóżko. – Dobrze. Dość tego. Zupa będzie za chwilę.

– Rozmawiałaś z Jade?

– Tak. Powiedziała, że wpadnie po szkole.

– Lubię Jade – odzywam się po paru minutach, siedząc przy stole w jadalni, przy którym jemy zupę. Rosół z ryżem. Z puszki, ale niezły, a mój żołądek przyjmuje go zaskakująco dobrze. – I to bardzo.

Claire się uśmiecha.

– Ona ciebie też.

– Miała kłopoty? Wspomniałaś coś o izbie dziecka...

Uśmiech Claire znika, kąciki jej ust opadają i nagle widzę, że jest podobna do Gene'a.

– To był wygłup. Wdała się w bójkę z jakąś koleżanką ze szkoły, uderzyła ją w głowę segregatorem. Zawieszono ją na dwa tygodnie, a kiedy wróciła, niech ją, zrobiła to znowu. Wtedy postawiono jej zarzut napaści i posłano do izby dziecka. Naj-wyraźniej niektórzy nie uczą się na błędach.

– Ale potem już było dobrze?

– „Dobrze” to w przypadku Jade względne pojęcie, ale nie tracimy nadziei.

– To chyba najlepsza rada dla nas wszystkich.

– Pewnie tak. – Claire kończy zupę.

– Chyba nie było ci łatwo – ośmielałam się powiedzieć. – Być samotną matką i tak dalej.

Claire wzrusza ramionami.

– Nie różnię się od milionów innych kobiet. Niełatwo być samotnym rodzicem.

– Twój były nigdy nie chciał zobaczyć córki?

Myślę o tym, jak troskliwie mój kochanek zajmuje się swoimi dziećmi, i nie potrafię uwierzyć, że ojciec może być tak obojętny, tak obcy. Wiem, że Claire ma inne doświadczenia.

– Rodzinne obciążenie – mówi Claire, jakby słyszała moje myśli. – Podobno ciągniemy do tego, co znajome.

– Jak długo trwało wasze małżeństwo? – pytam, żeby uniknąć otwartej rozmowy o naszym ojcu.

– Formalnie cztery lata. Naprawdę trzynaście miesięcy.

Czuję, że mam zdziwioną minę.

– Wzięłam ślub w ciąży, o czym Jade na pewno już wspomniała. Eliot miał różne odloty. Nie był wymarzonym zięciem.

– Chyba go nie poznałam.

– Byłaś dość mała, a gałęzie naszej rodziny nie są sobie szczególnie bliskie. Tata znienawidził go od pierwszego wejrzenia, powiedział, że z Eliotem będą kłopoty, że chodzi mu tylko o mój spadek. Zagroził, że mnie wykluczy z testamentu, jeśli nie przestaniemy się widywać. Ale i tak stary raczej się mną nie interesował, więc nie wzięłam jego gróźb poważnie. – Claire bierze głęboki oddech. – A potem zaszłam w ciążę, co było jeszcze głupsze, i uciekłam z Eliotem do Las Vegas. Ślubu udzielił nam sobowtór Elvisa.

– Żartujesz.

– Mam zdjęcia na dowód. Trzynaście miesięcy później Eliot prysnął na dobre.

– Ale nie rozwiodłaś się z nim przez cztery lata?

– Utrudniał mi to, jak mógł, dopóki ojciec w końcu nie zgodził się go spłacić. Koniec Eliota. Koniec historii.

– Jade nigdy nie próbowała się z nim skontaktować?

– Raz, kiedy miała trzynaście lat. Poszukała w internecie, znalazła jego adres i odezwała się do niego. Nie raczył odpowiedzieć.

Claire odwraca wzrok. Przez kilka minut żadna z nas się nie odzywa.

– Mogę cię o coś spytać? Nie obrazisz się?

Spinam się wewnątrz. Będzie pytać o ojca.

– Jasne. Pytaj.

Claire bierze kolejny oddech i spogląda na mnie.

– Od kiedy sypiasz ze swoim szefem?

Łyżka wyślizguje mi się z palców, odbija od szklanego blatu i spada na

marmurową podłogę.

- Boże... Dlaczego myślisz, że sypiam z Seanem Holdenem?
- Widziałam, jak na niego patrzyłaś.
- Cieszyłam się na jego widok, to wszystko.
- Aha.
- Szczerze.
- Okej.
- Przysięgam.
- Mój błąd.
- Sean Holden i ja nie jesteśmy kochankami.
- Przepraszam. Zapomnij, że to powiedziałam.
- Jakies trzy miesiące – słyszę swój głos.
- Co?
- Trzy miesiące.
- Sypiasz z Seanem Holdenem od trzech miesięcy? – powtarza Claire.

Pokój wiruje. Kręci mi się w głowie. Nie mogę oddychać.

Claire natychmiast wstaje, podchodzi do mnie.

- Nic się nie dzieje, oddychaj głęboko.
- Nie mogę uwierzyć, że ci to powiedziałam.
- Już dobrze.
- Nie powinnam.
- Cieszę się, że to zrobiłaś. Nie można wszystkiego w sobie dusić.
- Proszę. Obiecuj, że nikomu nie powiesz.
- Oczywiście, że nie.
- Przysięgnij, że nie powiesz Gene’owi.
- Przysięgam.
- I Jade.

Krótką pauza.

- Tu akurat mleko już się rozlało.
- Jak to? Powiedziałaś jej?
- Ona powiedziała mnie. „Zdaje się, że ciocia Bailey dyma się ze swoim szefem”, to jej słowa.

- Chyba zwymiotuję.
- Nie zwymiotujesz. Oddychaj głęboko.
- Co ona musi o mnie myśleć?
- Myśli, że jesteś najfajniejszą istotą na ziemi. Romans z szefem to wisienka na niedzielnych lodach. A skoro o lodach mowa, może sobie strzelimy po miseczce?
- Nie, nie mogłabym nic przełknąć. Truskawkowe?
- Jasne.

Claire idzie do kuchni. Wstaję, kuśtykam do okna, spoglądam na światła miasta.

Wszędzie mieszkają normalni ludzie. Ludzie, którzy nie miewają romansów z żonatymi szefami, których rodzeństwo nie wytacza im sprawy w sądzie, którzy nie spadają z bieżni, którzy nie uważają każdego mężczyzny za gwałciciela.

– Lody truskawkowe podano. – Claire stawia na szklanym stole dwie miseczki lodów. – Mnóstwo truskawek. Mnóstwo kalorii. Tak jak kazał pan doktor. Usiądź, bo się roztopią.

Wracam do stołu i opadam ciężko na krzesło z wysokim oparciem. Biorę łyżkę i wpycham do ust gigantyczną pecynę lodów.

– Uważasz mnie za straszną osobę – mówię.

– Wcale nie.

– Uważasz, że zasłużyłam na to, co mnie spotkało.

– Na pewno nie. A ty, Bailey? – Claire pochyla się, opierając łokcie o stół. – Czy ty uważasz, że zasłużyłaś na to, co cię spotkało?

Dzwoni telefon.

– Odbiorę. – Claire już wstaje. – Halo – rzuca do słuchawki. – Nie, jej siostra. Tak, dzień dobry... Tak, dobrze... I co teraz? Dobrze. Tak, powiem jej. Dziękuję. Do widzenia. – Wraca do pokoju. – Dzwoniła oficer Marx – zaczyna i urywa. – Co się dzieje?

Uświadamiam sobie, że od chwili, kiedy wstała, wstrzymuję oddech. Pokój wiruje, rozplywa się, śmiga mi dokoła głowy jak mucha. Zaraz zemdleję. Claire rzuca się do mnie i łapie mnie, zanim upadłam na podłogę.

– Oddychaj – powtarza raz po raz.

Pokój powoli przestaje wirować. Udaje mi się usiąść i nie spaść z krzesła.

– Od kiedy masz te ataki? – pyta Claire, siadając obok mnie z wyciągniętą ręką na wypadek, gdybym zaczęła się chwiać.

– Od trzech lat, pojawiają się i znikają – przyznaję się, myśląc o matce, ojcu, gwałcie.

– To o wiele za długo. Musisz się kimś spotkać. Potrzebujesz pomocy profesjonalisty. Zadzwoń do tej terapeutki, o której ci wspominałam, i umówię cię na wizytę.

Kiwam głową, choć nie wiem, jak by mi to mogło pomóc. Czy terapeutka sprawi, że odstanie się to, co się stało? Czy odda mi matkę, ojca, dawną mnie?

– Co powiedziała Marx?

– Że nie udało im się znaleźć Davida Trottera. Nie ma go w jego mieszkaniu, nie wrócił do pracy po incydencie na siłowni. Będą go szukać, aż znajdą. – Spogląda na moją ledwie tkniętą porcję lodów. – No, na razie tym się nie martwmy. Zapakujmy cię do łóżka. – Pomaga mi wstać, zarzuciwszy sobie moją rękę na ramiona, i prawie wlecze mnie do sypialni. Układa mnie pod kołdrę, potem idzie do łazienki i zaczyna szperać w szafkach pod zlewem.

– Gdzie lekarstwa, które zapisał ci lekarz?

– Możliwe, że Heath je wziął – mówię.

Przypływa do mnie mgliste wspomnienie brata połykającego całą garść moich tabletek.

– Cudownie. No dobrze, mam chyba w torebce jakieś resztki valium. Zostań tutaj

– rozkazuje. – Nie mdlej. Oddychaj.

Wraca, niemal zanim zdołałam zrozumieć jej słowa. Podsuwa mi pod nos otwartą dłoń. Na jej linii życia leżą dwie malutkie białe pigułki.

– Nie chcę.

– Weź. Proszę. Dla mnie, jeśli nie dla siebie. Jade jest sama w domu, a ja od rana muszę być w pracy. Nie mogę tu zostać na całą noc.

Otwieram usta i pozwalam położyć sobie pigułki na czubku języka. Claire podaje mi szklanekę wody. Piję.

Gdy tylko Claire wychodzi z pokoju, odklejam pigułki od wewnętrznej strony policzka i wypluwam na dłoń. Słyszę, jak Claire sprząta, a gdy pół godziny później zagląda do mnie, udaję, że śpię.

– Dobranoc, Bailey – szepce. – Śpij dobrze.

W moim śnie kąpię się nago w szmaragdowym jeziorze odgradzonym od świata kwitnącymi krzewami. Odchylam głowę, czuję na twarzy ciepło słońca, a na karku chłód wody. Stopniowo uświadamiam sobie, że otacza mnie krąg rekinów, i zaczynam płynąć do brzegu. Na skraju wody leży mężczyzna kontemplujący piękno swojego odbicia. „Powiedz, że mnie kochasz”, szepcze, gdy płetwa rekina przecina wodę, która odbija wizerunek młodzieńca, a wielkie zęby szarpią mnie za gardło.

Budzę się z krzykiem, siadam gwałtownie i sięgam do włącznika światła.

David Trotter stoi u stóp łóżka.

Jest cały w czerni, a twarz ma w cieniu, ale od razu wiem, kto to jest. Podchodzi bliżej. Czuję zapach płukanki do ust.

– Nie zbliżaj się! – krzyczę, wyskakując z łóżka, i ląduję całym ciężarem ciała na nodze ze skręconą kostką. Padam na podłogę, płacząc z bólu. On chwytą mnie za włosy i bije pięścią w brzuch i twarz, zanim zdołałam odzyskać równowagę.

– Nie! – krzyczę, ale on już zaciska rękę w rękawiczce na moim gardle, miażdżąc mi tchawicę.

Jakoś udaje mi się uwolnić jedną rękę. Sięgam do nocnej szafki. Otwieram szufladę, na oślep szukam nożyc, które w niej trzymam, ale szuflada jest pusta. Nożyce zniknęły.

– Tego szukasz? – pyta David.

Spoglądam, ale widzę tylko biel poszewki, którą mi zarzuca na głowę. Tak wygląda śmierć, myślę, kiedy on rozchyła mi nogi i wbija między nie nożyce.

Budzę się z krzykiem. Twarz mam wciśniętą w miękką poduszkę. Usta wypełnia mi smak bawełny. Dzwoni telefon.

– Niech to diabli – mamrocze, dźwigając się do pozycji siedzącej. Gapię się na telefon, niepewna, czy to jeszcze sen.

O czym świadczy ta niezdolność odróżnienia snu od jawy? Moja siostra miała rację. Potrzebuję pomocy specjalisty. Nie mogę tak wegetować przez kolejne noce, od koszmaru do koszmaru.

Biorę telefon i podnoszę go do ucha, ale w słuchawce słyszę tylko buczenie sygnału. Jest za ciemno, a ja jestem zbyt zmęczona, żeby sprawdzić numer dzwoniącego.

Biorę prysznic, myję włosy, które Claire z takim poświęceniem ułożyła, i przebieram się z piżamy w nocną koszulę. Staję koło łóżka, gapię się na

wyświetlacz zegara i wiem, że nie zdołam znowu zasnąć. Jest wpół do trzeciej nad ranem. Zastanawiam się, czy nie włączyć telewizora, ale się rozmyślam. Czuję, że mogę pooglądać ciekawsze rzeczy.

Wiem, że w sypialni mieszkania naprzeciwko pali się światło, jeszcze zanim podniosę lornetkę do oczu. Wiem, że zobaczę tam mężczyznę – Narcyza, jak nazwała go Claire – paradującego półnago przed oknem, zapraszającego świat, żeby na niego patrzył.

Ale nie. W sypialni nikogo nie ma. *Na zachodzie bez zmian*, przypominam sobie stary film, który oglądałam z mamą, jeden z setek klasyków zaliczonych podczas jej choroby. I choć czuję bolesną tęsknotę za jej ramionami, cieszę się, że nie musi oglądać tej żalosnej ruiny, którą się stałam.

„Musimy być silni – powiedział do mnie ojciec po jej pogrzebie. – Żeby była z nas dumna”.

No rzeczywiście, myślę. W tej chwili pewnie by pękła z dumy.

„Zawsze jestem z ciebie dumna – słyszę jej głos i czuję jej otaczające mnie ramiona. – Powiedz, co widzisz”. Opieram się o jej pierś, tulę policzek do jej policzka, czuję subtelny kwiatowy zapach jej szamponu. Mama całuje nowy siniak na mojej brodzie i ból znika.

Podnoszę lornetkę do oczu.

Widzę pusty pokój. Królewskie łoże, stojące owalne lustro, turkusowa lampa z białym plisowanym abażurem na toaletce przy oknie.

I mężczyzna, uświadamiam sobie z zaskoczeniem. Narcyz wrócił do domu po nocy w mieście. Stoi przed lustrem, najwyraźniej zachwycony tym, co w nim widzi. Ostrożnie przesuwa dłonią przez włosy, zdejmuje kurtkę, rzuca ją na łóżko. Wyjmuje komórkę z tylnej kieszeni dżinsów i podchodzi do okna, wybierając numer. Unosi telefon do ucha, spoglądając w noc.

Mój telefon dzwoni, a ja podskakuję i oglądam się gwałtownie, z łomoczącym sercem, zlana potem. Patrzą przez lornetkę na Narcyza. Nadal trzyma słuchawkę przy uchu. Czy to on? Czy wie, że go obserwuję?

Szybko ruszam w stronę nocnej szafki i natychmiast daje o sobie znać moja kostka. Noga ugina się pode mną i padam na kolana.

– Cholera! – warczę. Telefon niemiłosiernie dzwoni. To się nie może dziać naprawdę, mówię sobie. To nadal ten głupi sen. *Mój koszmar: kontynuacja. Część trzecia. Ciąg dalszy sagi. Niekończąca się historia.*

Pełnę do telefonu i podnoszę słuchawkę w trakcie czwartego sygnału.

– Halo?

Buczenie poraża mi słuch.

Skaczę do okna z telefonem w jednej i lornetką w drugiej ręce. Narcyz nadal stoi przy oknie, ze słuchawką przy uchu. Mówi i śmieje się.

Czy mój telefon w ogóle zadzwonił? Czy tylko to sobie wyobraziłam?

Oddzwaniam pod numer, z którego dzwoniło. Nagrana wiadomość informuje: „Przepraszamy. W ten sposób nie można zadzwonić na ten numer. Proszę się rozłączyć”. Więc się rozłączam, głowiąc się, co to wszystko znaczy. Mój umysł odmawia współpracy. Czy ktoś naprawdę do mnie zadzwonił? Czy to pomyłka? Może jakiś głupi dzieciak robi sobie żarty po nocy? David Trotter? Travis? Ktokolwiek? Nikt?

Patrzę, jak Narcyz odkłada telefon na stolik przy łóżku, zdejmuje krawat i zrzuca buty. Patrzę, jak ogląda się na drzwi sypialni. Patrzę, jak wychodzi z pokoju. Widzę światło zapalające się w sąsiednim pokoju. Patrzę, jak Narcyz podchodzi do drzwi i je otwiera. Widzę młodą kobietę – szczupłą, ładną, z długimi, ciemnymi włosami. Patrzę, jak Narcyz bierze ją za rękę i prowadzi do sypialni. Wstrzymuję oddech.

Z tej odległości kobieta trochę przypomina mnie. W każdym razie dawną mnie. Narcyz całuje ją w szyję, a ona odchyła głowę i przywiera do niego całym ciałem. Czy to z nią rozmawiał przez telefon? Zadzwonił do niej i poprosił, żeby wpadła? Jeśli tak, to strasznie szybko do niego dotarła. Może mieszka w tym samym budynku? A może to prostytutka? Czy David Trotter nie powiedział, że w Miami mieszkają najpiękniejsze prostytutki świata?

Narcyz całuje ją w usta; pocałunki stają się coraz namiętniejsze. Przesuwa rękami po jej piersiach, pośladkach, udach, potem wsuwa je pod jej krótką spódniczkę. Po chwili spódniczka spada na podłogę, a po niej – bluzka i stanik. Dziewczyna ma małe piersi, jego ręce je zasłaniają. Duże ręce, myślę, zagryzając wargę. Narcyz zdejmuje jej majtki i klęka, chowając głowę między jej nogami.

Zachłystuję się; mój żołądek się skręca, kolana się uginają.

Narcyz znowu wstaje, popycha dziewczynę do okna, prezentując światu jej nagie ciało, jego ręce błędzą wszędzie, po jej piersiach, między jej nogami. Dziewczyna przyciska policzek do szyby i zamyka oczy, jego palce suną po jej szyi. Docierają do jej warg, by się w nie wsunąć. Narcyz zdejmuje koszulę i dżinsy. Dziewczyna opiera dłonie na szybie, kiedy on wchodzi w nią od tyłu.

Wyrywa mi się krzyk; czuję każde pchnięcie, ale nie potrafię odwrócić wzroku.

Po wszystkim odrywają się od szyby i padają na łóżko. W pokoju robi się ciemno. Idę do łazienki, gdzie wymiotuję zupą i lodami, które udało mi się w siebie wmusić. Potem wracam do okna w sypialni i osuwam się na podłogę, gdzie zamieram, z nożycami w jednej, lornetką w drugiej ręce, drżąca i skulona w niemal płodowej pozycji, aż do świtu.

*

Claire dzwoni do mnie z samego rana.

– Jak się czujesz?

– W porządku.

– To dobrze. Umówiłam cię na spotkanie z terapeutką. Dziś w południe.

– Dziś?

– Masz inne plany?

– Nie, ale...

– Żadnych ale – ucina Claire. – Nazywa się Elizabeth Gordon i w ramach specjalnej przysługi dla mnie przyjmie cię w swojej przerwie na lunch.

– No, nie wiem...

– Czego?

– Mniej więcej wszystkiego.

Claire parska śmiechem.

– Dobrze! Właśnie żartowałaś. To znaczy, że ci lepiej.

Nie rozumiem, o co jej chodzi. Nie żartowałam. Byłam całkowicie poważna.

– Bailey, jesteś tam?

– Nie sądzę, żebym mogła dzisiaj wyjść.

– A ja nie sądzę, żebyś mogła sobie pozwolić na dłuższe kisenie się w tym mieszkaniu.

– Nie spałam.

To ją zaskakuje.

– Naprawdę? Te pigułki powinny cię ściąć z nóg.

– Ktoś do mnie zadzwonił – mówię, pomijając kwestię pigułek. – Dwa razy.

W środku nocy.

– Jak to? Kto?

– Nie wiem. Kiedy podniosłam słuchawkę, przerwał połączenie.

– W obu przypadkach?

– Tak. Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Jak to tak ci się wydaje? Twierdzisz, że ktoś zadzwonił do ciebie dwa razy i odłożył słuchawkę, kiedy odebrałaś. – Czuję dezorientację Claire, nawet nie widząc jej twarzy. – Jesteś pewna, że to ci się nie przyśniło?

– Nie – przyznaję. Nie zawracam jej głowy historią o tym, jak próbowałam oddzwonić. Może to też mi się przyśniło.

– Powinnaś zadzwonić na policję.

– To pewnie tylko pomyłka.

– I tak zadzwoń. To może być ważne.

Obie omijamy oczywistość – żadna z nas nie chce powiedzieć na głos tego, o czym obie myślimy: że mógł dzwonić gwałciiciel. Gdybyśmy to zrobiły, nadałybyśmy tej myśli wagę, której nie ma, dopóki nie zostanie wypowiedziana.

– Myślisz, że to gwałciiciel? – Nagle muszę to usłyszeć. Ten, kto mnie napadł, ukradł mi torbę. Były w niej wszystkie najważniejsze informacje. Mógł bez trudu uzyskać mój numer domowy.

– Myślę, że powinniśmy wyeliminować taką możliwość.

– Co może zrobić policja?

– Wiesz o tym więcej ode mnie. Nie potrafią namierzyć numeru, z którego dzwoniło?

– Nie, jeśli dzwoniło z jednorazówki – mówię jak gliniarz z filmów o CSI.

– Zadzwoń na policję – powtarza Claire. – Bailey?

– Zadzwonię.

– Dobrze. Świetnie. Podam ci teraz adres Elizabeth Gordon. Masz długopis?

– Tak – kłamię.

Claire nie daje się nabrać.

– Nie masz. Poczekam, aż weźmiesz. I pospiesz się. Nie chcę się spóźnić do pracy.

Grzebię w szufladzie nocnej szafki, szukając długopisu i kartki.

– Dobrze. Mów.

– 2501 Southwest 18th Terrace, od razu na zachód z 95. Mieszkanie 411. Zapisłaś?

– Tak.

– Przeczytaj.

– 2501 Southwest 18th Terrace, mieszkanie 411.

– Dobrze. Taksówką dojedziesz tam w dziesięć, góra piętnaście minut.

– Okej.

– Z kim się spotkasz?

– Co?

– Jak ma na imię terapeutka?

– Elizabeth.

– Elizabeth Gordon. Gdzie mieszka?

– 2501 Southwest 18th Street.

– Terrace – poprawia Claire. – Na pewno to zapisałaś?

– Terrace – powtarzam. – Mieszkanie 411 – dodaję, zanim spyta.

– Dobrze. Teraz muszę iść do pracy, ale potem do ciebie zadzwonię. Jadłaś już śniadanie?

– Nie.

– W porządku. Teraz pójdziesz do kuchni i zrobisz sobie tost i kawę. I jajko. Zjedz jajko. Zawiera proteiny.

– Wątpię, żebyś zdołała coś zjeść.

– Zjedz jajko, Bailey.

– Okej.

– Grzeczne dziecko. Zadzwonię później.

Odkładam telefon, zostawiam kartkę z adresem Elizabeth Gordon na szafce i kuśtykam do kuchni, gdzie robię sobie tost i kawę. I jajko, przepyszne. Zapomniałam, jak lubię jajka. Za-pomniałam, jak lubię wiele rzeczy.

Dzwoni telefon, a ja podskakuję. Żołądek mi się skręca, jajko, które tak mi

smakowało, podjeżdża do gardła. Podchodzę do telefonu w kuchni, ale nie podnoszę słuchawki. Nieznany numer, widzę na wyświetlaczu. Waham się, czy nie zaczekać, aż włączy się poczta głosowa. W końcu ciekawość zwycięża i jednak odbieram.

– Cześć, Bailey – mówi Heath. – Co tak długo?

– Dlaczego ukrywasz numer? – odpowiadam zamiast powitania.

– Co?

– Dlaczego ukrywasz numer, żebym nie widziała, że to ty dzwonisz?

– Mam zastrzeżony. Płacę za to ekstra.

– To ty dzwoniłeś wczoraj w nocy?

– Co?

– Koło drugiej nad ranem. To ty?

Milczenie. A potem:

– Nie wiem. Byłem z Travisem. Nieźle się ujaraliśmy. Może i zadzwoniliśmy w parę miejsc.

– Byłeś z Travisem?

– Co się dzieje, Bailey? On twierdzi, że podejrzewasz go o ten gwałt, że nasłałaś na niego policję.

– Nie nasłałam na niego policji. I nie sądzę, żeby to on mnie zgwałcił.

Czy na pewno?

– On cię kocha, Bailey.

– A ja kocham ciebie, Heath. Ale przysięgam, jeśli usłyszę, że znowu go bronisz...

– Dobra, dobra. Wyluzuj. Jestem po twojej stronie, pamiętasz?

– To zacznij się tak zachowywać.

Milczenie. Wiem, że zraniłam jego uczucia, czego zawsze się bardzo wystrzegałam, ale teraz jestem zmęczona i rozdrażniona, wszystko mnie boli, a Claire umówiła mnie z terapeutką, która poświęciła dla mnie swoją przerwę na lunch, więc nawet nie mogę myśleć o tym, że nie pójdę, choć właśnie taki mam zamiar.

– Przepraszam, Bailey. Dupek ze mnie...

– Możesz mnie gdzieś podwieźć? – Nie chcę, żeby rozmowa skończyła się na pocieszaniu Heatha, a do tego właśnie zmierza. – Muszę w południe być na Southwest 18th.

– Co jest na Southwest 18th?

Mówię mu o spotkaniu, na które umówiła mnie Claire.

– Strzeż się podstępnego przyrodniego rodzeństwa, któremu chodzi tylko o twoje pieniądze.

– Możesz mnie zawieźć? – pytam znowu, ignorując tę uwagę.

– Jasne. A nie, zaraz. Powiedziałaś „w południe”? Nie, nie mogę. Za piętnaście dwunasta mam następne przesłuchanie do Whiskasa. Już drugie. Najwyraźniej wybierają między mną i jakimś innym facetem. A święta Claire nie może cię

zawieźć?

– Ma pracę, Heath.

– Jakie to wygodne.

Tracę cierpliwość.

– Zadzwońeś z jakiegoś powodu?

– Tylko żeby sprawdzić, jak sobie radzisz. A ponieważ zachowujesz się jak suka, pewnie ci się polepszyło.

Interesujące, jak ludzie interpretują polepszenie. Dla Claire świadczy o nim poczucie humor, dla Heatha wredność.

– Pogadamy później.

– Kocham cię – rzuca słodko mój brat.

Dzwonię na policję. Mówią, że nadal nie udało im się znaleźć Davida Trottera, że będą mnie informować. Postanawiam nie mówić o nocnych telefonach. Nie chcę narobić kłopotów bratu. Albo Travisowi, bo to pewnie on dzwonił. Heath bierze winę na siebie, kryjąc się za narkotykową utratą pamięci. Jeśli te telefony będą się powtarzać, to je zgłoszę. Tymczasem przygotowuję się do spotkania. Mam jeszcze parę godzin, ale lepiej zacząć wcześniej. Raczej nie mam nic innego do roboty.

Idę do łazienki, celowo zostawiając lornetkę na podłodze przy oknie w sypialni. Skończyłam z podglądactwem, mówię sobie, wchodząc pod prysznic. Nożyczki kładę na wbudowanej w marmurową ścianę półeczce z tego samego szaro-białego kamienia. Stoję pod strugami parzącej wody, czuję, że włosy przylepiają mi się do czaszki jak wodorosty. Skończywszy szorowanie, po którym podrażniona skóra wokół łokci i kolan robi się czerwona, starannie myję włosy. Nakładam też odżywkę, choć po tylu myciach przestała skutkować. Długie fale zmieniły się w splątane na stałe kołtuny. Lśniący brąz utracił blask.

Pobieżnie je suszę i ściągam szeroką aksamitką na karku. Nakładam korektor pod oczy, potem smaruję twarz nawilżającym kremem koloryzującym. Następnie róż i parę pociągnięć mascarą.

Wyglądam jak klaun, myślę, przez parę minut gapiąc się w osłupieniu na swoje odbicie. Zmywam to wszystko i zaczynam od nowa. Za drugim razem jest jeszcze gorzej. Zmywam tusz chusteczką i staję twarzą w twarz z pandą o dzikim spojrzeniu.

W końcu wracam pod prysznic i powtarzam cały proces. Tym razem postanawiam nie zawracać sobie głowy makijażem. Elizabeth Gordon musi się pogodzić ze mną taką, jaka jestem. Wy-suszona, łuszcząca się skóra i trupia cera.

Dzwoni telefon, a ja podskakuję.

– Halo? – rzucam, podnosząc słuchawkę, zanim pierwszy sygnał dobiegnie końca.

– Jaki adres? – pyta Claire.

Parskam śmiechem.

– 2501 Southwest 18th Terrace.

– Numer mieszkania?

– 411.

– Grzeczne dziecko. Jesteś gotowa?

– Prawie.

– Chcesz, żebym ci zamówiła taksówkę?

– Nie, chyba dam radę pojechać sama. – To stwierdzenie zaskakuje nas obie.

Kiedy mi to przyszło do głowy?

– Myślałam, że ten ktoś ukradł ci kluczyki.

– Recepcjoniści mają drugi komplet.

– A prawo jazdy?

– Mam ksero – kłamię.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– A ja wiem – odpowiadam, coraz pewniejsza siebie.

– No, niech ci będzie.

– Niech.

– Zadzwoń, jak wrócisz.

Obiecuję i odkładam telefon. Idę chwiejnie do garderoby, starając się nie opierać całym ciężarem na skręconej kostce. Zastanawiam się, czy rzeczywiście powinnam prowadzić. Ale zawsze to kochałam. A siedzenie za kierownicą samochodu, który kiedyś należał do mojej matki, zawsze mnie uspokajało.

Na moje pierwsze wyjście od trzech tygodni wybieram luźne czarne spodnie i białą koszulę. Niemal drzę. Ta jazda pomoże mi bardziej niż jakakolwiek terapeutka.

Piętnaście po jedenastej dzwonię do recepcji i proszę Finna o sprowadzenie samochodu.

– Oczywiście.

– I czy ktoś mógłby tu przyjechać, żeby towarzyszyć mi w windzie? – dodaję, czując kulę w gardle i ściskanie w piersi. – Normalnie nie prosiłabym o to, ale po wczorajszym dniu...

– Zaraz przyjadę i sam panią zwiózę – odpowiada Finn bez wahania.

Dwie minuty później stoi pod moimi drzwiami.

– Prawdopodobnie przesadzam – mówię, czując zawroty głowy i z wysiłkiem zachowując wyprostowaną postawę.

– Ostrożności nigdy dosyć.

Wchodzimy do windy. Zamykam oczy, gdy Finn wybiera parter. Zjeżdżamy bez przystanków.

– Jest już pani samochód. – Recepcjonista wskazuje srebrne porsche, właśnie wyłaniające się zza rogu.

Wes wyskakuje z samochodu, którego silnik nadal pracuje. Finn otwiera przede mną drzwi holu. Idę powoli do samochodu. Jego karoseria lśni czystością,

w srebrnym lakierze odbija się oślepiające słońce Florydy. Kiedy ostatni raz go widziałam, stał na cichej uliczce w północnym Miami. Ostatni raz dotknęłam jego klamki w noc, w którą zostałam zgwałcona.

– Dam radę – mamroczę, siadając za kierownicą.

Wes zamyka za mną drzwi i zagląda przez otwarte okno.

– Proszę na siebie uważać – mówi. Mocny, medyczny zapach jego płukanki do ust wyciska mi łzy z oczu.

Ojciec kupił mojej mamie ten samochód na pięćdziesiąte urodziny. Mama zakochała się w porsche od pierwszego wejrzenia i przysięgła, że już zawsze będzie jeździć tylko nim. Zawsze trwało niecałe trzy lata. Kiedy stała się zbyt chora, żeby prowadzić, porsche trafiło do garażu.

– Mój skarb czuje się zapomniany – mawiała od czasu do czasu, wskazując głową nasz garaż na cztery samochody. – Kiedy poprosisz ojca, żeby nauczył cię ręcznej zmiany biegów?

– To t w ó j skarb – odpowiadałam, uparcie kręcąc głową. – Chce do mamusi.

Ja też chcę, dodawałam w myślach. Proszę, mamusiu. Nie umieraj. Nie umieraj.

Tyle na temat cichych modlitw.

Dziś samochód ma osiem lat i odkąd ojciec cierpliwie nauczył mnie ręcznie zmieniać biegi, potroiłam jego przebieg. Mimo to ciągle wydaje się nowiutki. Za każdym razem, gdy siadam za kierownicą, czuję otaczające mnie ramiona mamy. Wdycham jej dyskretne cytrusowe perfumy.

Tak było do dziś.

Dziś samochód wydaje mi się obcy, nieznamy. Drażni mnie dotyk jedwabistej czarnej skórzanej tapicerki. Siedzenie znajduje się za nisko, a oparcie już nie obejmuje moich pleców jak dłoń. Muszę bardzo wyciągać nogi, żeby dosięgnąć pedałów; ręce ześlizgują się z kierownicy, jakby ktoś ją natłuścił. I nie ma mojej mamy.

Wes się pomylił, dochodzę do wniosku. Pracuje tu od niedawna, więc wziął cudzy samochód.

– To nie moje auto! – wołam przez okno, ale Wes stoi odwrócony, zajęty rozmową z Finnem, i mnie nie słyszy. Nie wiem, co robić, więc nie robię nic, po prostu siedzę. Oczywiście, że to mój samochód. Po prostu nie wydaje się mój, bo Wes zmienił ustawienie fotela tak, żeby się zmieścić. Wystarczy, że siedzenie wróci na dawne miejsce.

Wciskam guzik, ale fotel zamiast do przodu, przesuwa się w górę. Gdy znowu go naciskam, siedzenie odsuwa się dalej, niż było. Jest jeszcze gorzej. Dotykam przycisku na drzwiach i szyba obok mojej głowy zaczyna się unosić, odcinając dopływ powietrza z zewnątrz. Klimatyzacja jest wyłączona, a ja zapomniałam, jak się ją uruchamia. W samochodzie jest gorąco i z każdą sekundą robi się coraz goręcej i duszniej. Nie mogę oddychać.

– Spokojnie, tylko spokojnie – szepczę, parę razy oddycham głęboko i starając się

nie poddawać panice, wciskam jeden guzik po drugim.

Siedzenie przesuwa się do przodu, znowu do tyłu, do przodu i wskakuje na swoje miejsce z szarpnięciem tak gwałtownym, że moja prawa ręka sama wrzuca pierwszy bieg. Lewa noga automatycznie zwalnia sprzęgło, prawa dodaje gazu. „Ten samochód praktycznie sam się prowadzi”, słyszę pełen dumy głos mamy, kiedy srebrne porsche dosłownie wyskakuje na ulicę.

W lusterku wstecznym widzę, że Wes odwraca się z ustami otwartymi z niepokoju i patrzy, jak mój samochód gwałtownie włącza się do ruchu. Zapomniałam, dokąd jadę. Grzebię w torebce w poszukiwaniu kartki z adresem, ale nie mogę jej znaleźć. Słońce mnie oślepia, a ja zapomniałam ciemnych okularów. Odruchowo odrywam rękę od kierownicy, żeby osłonić oczy przed blaskiem. Czuję, że samochód ostro zjeżdża na lewo. Co za potężny silnik. „Za potężny dla dziewczyny”, powiedział kiedyś kąśliwie Travis, choć moim zdaniem po prostu był wkurzony, bo nie pozwoliłam mu prowadzić. Ale może miał rację.

Nigdy za dużo siły dla dziewczyny, myślę, usiłując odsuwać od siebie bardziej niepokojącą myśl. Ta myśl i tak wkrada mi się do mózgu: kiedy przestałam być kobietą i z powrotem stałam się dziewczyną? Kręcę głową, znam odpowiedź. Ogarnia mnie fala obrzydzenia. Tonę w obrzydzeniu. Przyspieszam i wrzucam drugi bieg. Błąd. Nie rozpędziłam się wystarczająco. Ledwie wjechałam na ulicę, na miłość boską.

Przede mną pojawia się niedokończony budynek. Mocniej zaciskam palce na kierownicy, skręcam w lewo, by uniknąć zderzenia z samochodem nadjeżdżającym z prawej, nie widząc, że kilku robotników przechodzi przez jezdnię dokładnie przed moją maską. Nagle dostrzegam ich wykrzywione strachem twarze, słyszę krzyki gapiów i własny wrzask, kiedy walczę o pa-nowanie nad kierownicą. Samochód wjeżdża z piskiem opon na chodnik i toczy się do pomarańczowej siatki otaczającej budowę.

– Co jest?! – woła ktoś, kiedy porsche wbija się w ogrodzenie i przewraca je. Siatka spływa z maski samochodu jak woalka z kapelusza.

– Czy pani zwariowała? – krzyczy ktoś inny, gdy w automatycznym odruchu wyrywam kluczyk ze stacyjki, zatrzymując samochód na dobre.

Otwieram drzwi i wygrzebuję się na zewnątrz.

– Żyje pani?! – krzyczy gdzieś z tyłu Wes.

– Co się stało?! – woła Finn. Obaj pędzą do mnie przez ulicę.

A potem lawina głosów:

„Wszystko dobrze?”, „Kobieto, omal nas nie rozjechałaś!”, „Co z panią?”, „Jest pani chora?”, „Gdzie ty miałaś oczy?”.

– Muszę jechać – mówię do rozmazanych sylwetek wokół mnie.

– Powinna pani usiąść.

– Muszę jechać – upieram się.

– Czy mam zadzwonić do pani siostry? – pyta Finn.

Ile razy zadał mi to pytanie? Zabawne, tydzień temu ledwie pamiętałam o istnieniu Claire. Teoretycznie była moją siostrą, ale w rzeczywistości tylko imieniem na odwrocie starego zdjęcia. Była przyrodnim niczym. Teraz jest przyrodnią siostrą, dzięki której się odradzam. Nie przeżyłabym tego tygodnia bez jej pomocy. Więc dlaczego jej nie posłuchałam, kiedy ostrzegała, żebym nie jechała sama? Cemu nie wezwałam taksówki?

Wodzę spojrzeniem wokół siebie. Zauważam parę unoszącą się spod maski mojego samochodu i wielkie zadrapanie na karoserii jak głęboką bliznę. Widzę kobietę zabierającą małe dziecko z miejsca wypadku, jakby zbyt długie patrzenie na mnie mogło uszkodzić wzrok jej syna, jak patrzenie na zaćmienie słońca. Widzę parę osób, które idą w swoją stronę, i innych, które walczą o lepszą pozycję.

Widzę Davida Trottera.

Stoi samotnie po drugiej stronie ulicy, przyglądając się tej scenie zimnymi, obojętnymi oczami. Przesłupuje z nogi na nogę, a na jego ustach pojawia się bezczelny uśmiech.

– Nie! – wołam, odwracając się.

– Co się stało? – pyta Finn.

Kręcę głową. Kiedy udaje mi się zebrać dość odwagi, by spojrzeć w kierunku Trottera, już go nie ma.

Czy w ogóle tam był?

Jakiś budowlaniec dotyka mojego ramienia. Ma około trzydziestki, średni wzrost i średnią wagę.

– Wszystko w porządku? – pyta. Jego oddech pachnie mentolową gumą do żucia.

Krzyczę, jakby przypalił mnie papierosem, i cofam się przed ręką w rękawicze na moim ramieniu. Przebijam się przez tłum i biegnę ulicą.

– Hej, nie można uciekać z miejsca wypadku.

– Panno Carpenter!

Tuż przede mną, jakby zamówiona, zatrzymuje się taksówka. Otwieram drzwi i wskakuję do niej, nie całkiem pewna, czy samochód nie jest iluzją. Dopiero kiedy moje nozdrza drażni zwietrzały zapach potu płynący ze splekanego zielonego winylu i słyszę mocny kubański akcent taksówkarza, zaczynam przyjmować do wiadomości, że to się dzieje naprawdę.

– Dokąd? – pyta mężczyzna.

Rozpaczliwie usiłuję sobie przypomnieć adres. Potem słyszę spokojny głos Claire.

– 2501 Southwest 18th Terrace – rzucam. – Czy może pan się pospieszyć?

Kierowca uśmiecha się do mnie w lusterku. Zauważam z ulgą, że ma koło sześćdziesiątki, szpakowate włosy i tak wielki brzuch, że opiera się o kierownicę. To nie on mnie zgwałcił. Na jakiś czas mogę odetchnąć.

– Pani się trzyma – mówi.

Apartament 411 mieści się na trzecim piętrze pięciopiętrowego, różowego jak guma do żucia budynku, dokładnie naprzeciwko windy. Spływam potem z powodu upału na dworze i dygoczę w podmuchach klimatyzacji – niepokojąca kombinacja. Pukam do masywnych drewnianych drzwi i czekam, ale nie słyszę odpowiedzi. Spoglądam na zegarek i widzę, że spóźniłam się dwadzieścia minut. Elizabeth Gordon prawdopodobnie machnęła na mnie ręką, myślę z rozczarowaniem i ulgą jednocześnie i już mam się odwrócić, gdy drzwi się otwierają i staje przede mną ładna kobieta o puszystych ciemnoblonde włosach, przełykająca kęs kanapki z tuńczykiem, którą trzyma w ręce. Ma koło czterdziestki, niemal metr osiemdziesiąt i jest ubrana w sportowe szare spodnie i błękitną bawełnianą koszulę. Na jej łabędziej szyi wisi cienki złoty łańcuszek, w uszach ma małe złote kółeczka, a na środkowym palcu lewej ręki szeroką złotą obrączkę. Kobieta jest bardzo delikatnie umalowana i uśmiecha się, dyskretnie zdejmując językiem z zębów płatki tuńczyka. Wyciera prawą rękę o spodnie i podaje mi ją.

– Ty musisz być Bailey – mówi, wpuszczając mnie do małej poczekalni z szeregiem plastikowych krzeseł o wysokich oparciach. – Mało brakowało, a bym cię nie usłyszała. Przepraszam za tuńczyka. Usiłowałam go pochłonąć przed twoim przyjściem.

– Nie, to ja przepraszam, spóźniłam się. Czy doktor Gordon już wyszła?

– Ja jestem Elizabeth Gordon. I nie mam tytułu doktora.

Dopiero w tej chwili zauważam dyplomy na bladobłękitnej ścianie. Jeden to licencjat z Vassar, drugi to dyplom magistra nauk socjalnych z Yale. Tytułu medycznego brak, ale i tak imponujące osiągnięcia.

– Może wejdziemy do gabinetu? – Elizabeth Gordon otwiera kolejne drzwi i ukazuje pokój nieco większy od tego, z którego weszliśmy, pomalowany na ten sam gołębi odcień błękitu. Po jednej jego stronie znajduje się biurko ze stertami akt i luźnymi kartkami, które pokrywają nieczytelne bazgroły, po drugiej – brązowa sofa i dwa niepasujące do siebie krzesła, jedno zielone, drugie granatowe. Zapewne ma to wyglądać na niewymuszoną kompozycję sprzyjającą odprężeniu i otwarciu się klienta. Zastanawiam się, czy kanapka z tuńczykiem też nie stanowi takiego zagrania.

– Przepraszam za spóźnienie – powtarzam, kiedy terapeutka wskazuje mi sofę.

Siadam na dalekim końcu mebla. Elizabeth Gordon zajmuje granatowe krzesło, zakłada jedną długą nogę na drugą i opiera dłonie na kolanach.

– Wydajesz się zdenerwowana.

– Nie lubię się spóźniać.

– Dlaczego?

– Moim zdaniem to niegrzeczne. Świadczy o braku szacunku dla cudzego czasu.

Mój ojciec przykładął dużą wagę do punktualności. Ale nie mówię jej tego.

– Spóźnienie wyprowadza cię z równowagi?

– Jak wszystko, prawda?

– Nie wiem. A tak? – Terapeutka uśmiecha się do mnie. Co jeszcze spodziewa się usłyszeć? – Jak powiedziała twoja siostra, przechodzisz trudny czas.

Prawie parskam śmiechem. Zamiast tego przewracam oczami, pewnie tak jak Jade, kiedy rozmawia z matką.

– Chyba można tak powiedzieć.

Elizabeth Gordon zapisuje coś w dużym notesie. Nie pamiętam, żebym widziała go w jej rękach i zastanawiam się, skąd się wziął.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Nieszczególnie.

– Dobrze. A o czym chcesz?

– Nie wiem.

Terapeutka czeka rzez chwilę.

– Po co do mnie przysłaś?

– Moja siostra uważa, że to dobry pomysł.

– Tak. Powiedziała mi, że od jakiegoś czasu miewasz ostre ataki paniki.

– Nie aż tak długo.

– Rozumiem, że trwają od śmierci twojej matki.

– Chyba tak.

– Około trzech lat.

– Chyba tak – powtarzam, choć wiem dokładnie, niemal co do minuty, ile czasu upłynęło od pierwszego.

– Claire mówi, że ostatnio zmarł także twój ojciec.

– Tak.

– I że parę tygodni temu zostałaś pobita i zgwałcona.

– Moja siostra to papla.

– Chce ci pomóc.

– Czy powiedziała też, że mam romans z moim żonatym szefem? – Szukam u Elizabeth Gordon oznak dezaprobaty, ale jej twarz pozostaje obojętna, niezdradzająca osądów.

– To ominęła. Czy o tym chcesz porozmawiać?

Coś pali mnie w piersi tak bardzo, że twarz oblewa mi rumieniec.

– Nie.

Terapeutka dobiera następne słowa z wyraźną uwagą.

– Słuchaj, wiem od twojej siostry, że strasznie przeżyłaś ten gwałt, i widzę, że wszystko, przez co przechodzisz, budzi w tobie wiele emocji. Mam nadzieję, że poczujesz się na tyle swobodnie, żeby móc ubierać te uczucia w słowa, byśmy mogły popracować nad ich zintegrowaniem z twoją percepcją wydarzeń w nadziei

poprawy...

– Nie mam bladego pojęcia, o co ci chodzi.

– Rozumiem, że o pewnych wypadkach trudniej mówić niż o innych...

– Czego ty chcesz ode mnie?

– Pytanie brzmi raczej, czego ty chcesz ode mnie.

– Chcę... – zaczynam i urywam. – Nie wiem. Nie wiem, czego chcę. – Kręcę głową, spuszczam wzrok na beżową puszystą wykładzinę. Gdy wreszcie podnoszę głowę, mój głos brzmi jak szept. – Chcę tylko przestać się tak cholernie bać.

– Czego się boisz?

– A jak myślisz? – Szyderczy ton mojego głosu wzmacniam szyderczym uśmiechem. – Zostałam zgwałcona! Ten człowiek omal mnie nie zabił.

– Boisz się, że to się znowu wydarzy?

– Nie złapali go, prawda?

– To dość przerażające.

– To tym się zajmują terapeuci? Stwierdzaniem oczywistości? – Umyślnie ją prowokuję, choć nie wiem dlaczego.

– Nie. Terapeuci starają się zrozumieć ludzi, którzy przyszli do nich po pomoc, i towarzyszyć im – odpowiada, nie reagując na zaczepkę. – Jesteś przerażona i wroga. Jednocześnie rozdrażniona i rozchwiana. Chciałabym wiedzieć, co w tej chwili denerwuje cię najbardziej.

– Pani doktor pyta o szczegóły gwałtu?

– Elizabeth – poprawia mnie łagodnie. – Nie jestem doktorem, pamiętasz? I nie, nie pytam o konkrety. Usiłuję tylko skłonić cię, żebyś opisała to, co najbardziej cię dręczy. Tylko tak będę umiała ci pomóc. Ludzie na ogół czują się lepiej, kiedy zostawią tu swoje problemy. Ale wiem, że to trudny proces i że przeżywasz wielki zamęt. To potrwa. Dobra wiadomość jest taka, że czasu mamy pod dostatkiem.

– Mamy niespełna godzinę.

Terapeutka spogląda na zegarek.

– Dziś tak. Ale mam nadzieję, że zaufasz mi na tyle, żeby wrócić.

– Nie wiem, co by mi z tego przyszło.

– Nie musisz podejmować decyzji w tej chwili. Sprawdźmy najpierw, jak pójdzie nam reszta sesji. Czy to brzmi sensownie? – pyta, kiedy nie odpowiadam.

– Może.

– Więc zacznij od opowiedzenia mi o sobie. Ile masz lat?

– Dwadzieścia dziewięć. – Czeka, żeby powiedziała, że wyglądam dużo młodziej, co byłoby kłamstwem, ale ona tego nie robi. Doceniam to. Mówię jej o mojej pracy, rzucam nieistotne fakty z mojego życia, omijając bardziej osobiste wyznania.

– Opowiedz mi o swojej matce – prosi Elizabeth.

W oczach stają mi łzy.

– Co mogę powiedzieć? Była wspaniała. Najlepsza matka... najlepsza przyjaciółka.

– To straszne, że straciłaś ją tak młodo.

– Miała tylko pięćdziesiąt pięć lat.

– Mówiłam o tobie – koryguje łagodnie terapeutka. – A twój ojciec? Z tego, co usłyszałam od Claire, rozumiem...

– Więc nic nie rozumiesz – rzucam ostro, spięta.

– ...że był starszy od twojej matki – kończy myśl. – I że ona była jego sekretarką. Znowu czuję, że mięśnie mi się napinają.

– Claire na pewno powiedziała ci wszystko o ich romansie.

– Właściwie nie. Czy to znaczy, że twój ojciec był żonaty, kiedy zaczął się spotykać z twoją matką?

– Wiem, do czego zmierzasz – mówię niecierpliwie.

– Do czego? – Kobieta wydaje się autentycznie zdziwiona. A to jeszcze bardziej mnie niecierpliwi.

– Myślisz, że ponieważ moja matka miała romans ze swoim żonatym szefem, ja przyznałam sobie prawo do sypiania ze swoim.

– A ty tak myślisz?

– Nie myślę, żeby moja matka miała coś wspólnego z moim romansiem.

– No i dobrze.

– A ty myślisz, że moja matka miała z nim coś wspólnego? – pytam po chwili milczenia, w której moje serce łomocze tak szybko i mocno, że prawie wyskakuje mi z piersi.

– Myślę, że istnieje wiele powodów, dla których kobiety wiążą się z żonatymi mężczyznami. Czasami są samotne. Czasami nie mają nic lepszego do roboty. Czasami mężczyzna nie mówi im prawdy o swojej sytuacji. – Terapeutka robi krótką pauzę. – W niektórych przypadkach związek z żonatą kobietą ratuje je przed koniecznością sprostania wymogom bardziej normalnej relacji...

– Myślisz, że to mój przypadek?

– W twoim przypadku – mówi Elizabeth Gordon i widzę, że uważnie dobiera słowa – nie wiem. Zobaczmy. Może to świadczyć o pragnieniu, by lepiej zrozumieć twoją matkę.

Opadam na krzesło, powietrze uchodzi ze mnie z głośnym świstem, jakby ktoś mnie kopnął w pierś. W oczach znowu stają mi łzy.

– O co chodzi, Bailey?

– Nie dam rady. – Zrywam się. – Muszę iść. – Już jestem przy drzwiach, z ręką na mosiężnej gałce. – Nie po to tu przyszłam.

– Powiedz, co w tej chwili czujesz.

Spoglądam na sufit, potem na podłogę. Zmuszam rękę, żeby otworzyła drzwi, ale ona nie chce się ruszyć. Rozkazuję stopom, żeby zrobiły krok, ale ani drgną.

– Jestem jak spętana! – wyrzucam z siebie.

– A może bezbronna? – pyta Elizabeth Gordon, wstając.

- Oczywiście, że czuję się bezbronna. Jak mogłabym się nie czuć?
- Czy to przez spętanie czy bezbronność jesteś tak przerażona i gniewna?
- Wszystko mnie gniewa.
- Więc przyjrzyjmy się temu wszystkiemu. Gwałtowi, utracie matki, śmierci ojca, romansowi z szefem.

Usiłuję coś powiedzieć, ale słowa nie nadchodzą. Stoję i płaczę, a szloch szarpie konwulsyjnie moimi ramionami.

- Widzę, że poruszyłyśmy czułą strunę – zauważa łagodnie terapeutka. – Powiedz mi, co czujesz. Postaraj się to ubrać w słowa.

Milczę jeszcze kilka sekund i nagle ku swojemu zaskoczeniu słyszę słowa, płynące gwałtownie z moich ust:

- Jest mi tak strasznie smutno.
- Zatem myślę, że jesteś gotowa do rozpoczęcia terapii – mówi Elizabeth Gordon z prostotą, obejmuje mnie i prowadzi na krzesło.

– Ale miałaś przygodowy dzień – mówi Jade, kiedy razem wchodzimy do mojego mieszkania.

Niemal dygoczę z ulgi na widok znajomych ścian. Czuję się, jakbym przeprowadziła udane lądowanie awaryjne po locie pełnym niebezpiecznych turbulencji. Mam ochotę pocałować marmurową podłogę korytarza z takim samym uwielbieniem, jak żołnierze wracający do domu z wojny całują ojczystą ziemię.

Jade nie zdaje sobie sprawy z szalejących we mnie emocji. Idzie prosto do kuchni i otwiera lodówkę, jakby to był jej dom, nie mój.

– Chcesz coś do picia? Ja konam z pragnienia.

Uświadamiam sobie, że mam spieczone gardło.

– Jest jakaś cola?

Jade wyjmuję puszkę i otwiera ją. Opieram się o blat stołu, wdzięczna za tę podporę, i z zazdrością przyglądam się ruchom mojej siostrzenicy. Ona nie ma w sobie żadnej nieśmiałości. Nalewa połowę szklanki i podaje mi ją, a resztę pije z puszek.

– Lubię, jak szczypie w język – wyjaśnia.

Walczę z pragnieniem, by ją uściskać. Czy ona wie, jak się cieszę jej widokiem? Bałam się sceny, do której miałam wrócić, konsekwencji wypadku, który spowodowałam, choć nikt nie ucierpiał. Ale kiedy wysiadłam z taksówki przed moim apartamentowcem, okazało się, że porsche już zostało odholowane do warsztatu, a moja szesnastoletnia siostrzenica, która związała z popołudniowych zajęć, żeby do mnie zajrzeć, i czekała w recepcji w dżinsowych szortach i limonkowej bluzeczce, zdołała zmiękczyć zarówno robotników z budowy, jak i policjantów.

– Jak ci się to udało? – pytam, kiedy jedziemy windą.

– Obiecałam, że zrobię im wszystkim laskę. – Na widok mojej przerażonej miny Jade wybucha śmiechem. – Żartuję. Tylko tym przystojnym. Żartuję! – dodaje szybko, kręcąc w palcach kilka pasm długich jasnych włosów. Po chwili pozwala im opaść na odsłonięte ramiona. – Wyjaśniłam im sytuację, powiedziałam, że jesteś zestresowana i że jechałaś do terapeutki, no i że policja powinna się skontaktować z oficer Marx – tak się nazywa, nie? – która ich wprowadzi w szczegóły. To „wprowadzi w szczegóły” mogło załatwić sprawę.

Znowu się uśmiecham.

– Nauczyłaś się czegoś jeszcze z *Dog the Bounty Hunter*?

– Z sądowych programów. W każdym razie gliny powiedziały, że mogą mieć później do ciebie parę pytań.

– Na pewno. – Staram się nie myśleć, czego będą dotyczyć te pytania.

Jade dopija colę i rzuca puszkę do odpowiedniego kosza pod zlewem.

– I jak było? No wiesz, na terapii.

– W miarę dobrze.

– Co jej powiedziałaś?

Kręcę głową.

– Wszystko.

– Przez godzinę? Musisz strasznie szybko mówić.

– Umówiłam się na parę następnych spotkań. W każdą środę o pierwszej przez czas nieokreślony.

– Mama będzie bardzo zadowolona. Wiem, że jak siedziałam w izbie dziecka, ta Gordon bardzo jej pomogła.

– Jak to było? – pytam z ulgą, że przestałam być tematem rozmowy.

– Tak, jak sobie wyobrażasz.

– Nie potrafię – mówię szczerze. – Powiedz mi.

– Możemy pooglądać telewizję? – pyta ona, idąc już korytarzem. – Zaraz się zacznie *Żona dla milionera*.

– O czym to?

– O mój Boże. Nigdy nie oglądałaś *Żony dla milionera*? Patti Stanger jest boska.

– Kim jest Patti...

Ale Jade znikła w mojej sypialni. Nie pozostaje mi nic innego, jak pójść za nią. Już od progu widzę na ekranie ładną ciemnowłosą kobietę z imponującym rowkiem między piersiami. Poucza grupę podfruwajek, jak uwieść milionera.

– Nie ma seksu bez monogamii – oznajmia Patti, a ja padam na łóżko. Zmęczenie przygniata mnie jak ciężka kołdra.

– O cholera. Ten już widziałam. – Jade opiera głowę na poduszce obok mnie. – Ta para będzie uprawiać seks na pierwszej randce, czego Patti nie pochwała. Twierdzi, że zanim dziewczyna się prześpi z facetem, musi nawiązać z nim odpowiedzialną relację, bo nie będzie się czuła bezpieczna i seks nie wypali. Zgadzasz się z tym?

– To ma sens. – Zastanawiam się, czy kiedykolwiek poczuję się bezpieczna z mężczyzną. I czy kiedykolwiek się czułam.

– Myślisz, że będziesz jeszcze uprawiać seks? – pyta Jade.

Opanowuję gardło, które chce mi się zacisnąć.

– Co?

– Przepraszam. To pewnie rzecz typu „nie mój interes”. Matka mówi, że zadaję za dużo pytań i że czasem jestem po prostu chamska...

– Nie sądzę, żeby to było chamskie, tylko...

– Niestosowne?

– Powiedzmy, że wścibskie. Wiesz, co? – dodaję, zaskakując nas obie. – Ty odpowiedz na moje pytanie, a ja odpowiem na twoje.

– Jakie pytanie?

– Jak było w izbie dziecka?

– Właściwie nie aż tak okropnie. Wszyscy zachowywali się bardzo miło. Chcieli pomóc. Coś jakby ta twoja terapeutka. – Jade wzrusza ramionami. – Ale jednak jest się w zamknięciu. Nie można oglądać tego, co ci się podoba, ani wychodzić, kiedy ci się podoba. I nie znosiłam słać łóżka w jedyny słuszny sposób i dzielić pokoju z bandą świrów. Ale nie żeby ktoś mnie zgwałcił szczotką, czy coś.

Czuję, że krew odpływa mi z twarzy.

– O cholera. Przepraszam. Nie chciałam...

– Wiem.

– Nie myślałam...

– Nic się nie stało.

– Stało się. Matka ma rację. Nie mogę tak gadać bez zastanowienia. Naprawdę cię przepraszam, Bailey.

Biorę długi, głęboki oddech.

– Jak długo tam byłaś?

– Niecały miesiąc. Wujek Gene pociągnął za parę sznurków i wy dostał mnie przed czasem. Oczywiście zaprzecza temu. Udaje, że jest takim twardym draniem... – Jade zaczyna skakać po kanałach. Szereg obrazów atakuje mój wzrok, zmieniają się co chwila. – Twoja kolej. Myślisz, że będziesz jeszcze uprawiać seks?

Szczerze mówiąc, sama myśl o seksie mnie przeraża. Myśl o tym, że jakiś mężczyzna, jakikolwiek, nawet Sean, mógłby mnie dotknąć w ten sposób, budzi w moim ciele odruch wstrętu.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia będzie mi znowu sprawiać przyjemność – mówię, ale te słowa brzmią blado i nieprzekonująco, nawet dla mnie.

– Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie?

– A może być łatwe? – To gorsze niż terapia, myślę.

– Czy zanim zostałaś zgwałcona, lubiłaś seks? – Jade pochyla się i wpatruje we mnie z napięciem, na chwilę zapomniawszy o telewizorze.

– Tak.

– Miałaś orgazmy?

Mam ochotę powiedzieć, że to naprawdę nie jej sprawa, ale zmieniam zdanie.

– Czasami.

Jade wzdycha.

– Ja nigdy nie miałam.

– Masz szesnaście lat.

– Czytałam, że niektóre kobiety nigdy nie mają orgazmu. Może jestem jedną z nich.

– Jakoś w to wątpię.

Jade chichocze.

– Skoro nie mam orgazmu, to czyja to wina, moja czy chłopaka?

– Nie wiem, czy można tu mówić o winie – zaczynam, ostrożnie dobierając słowa.

– Raczej chodzi o przekonanie się, co na ciebie działa, a co nie, i umiejętność wyrażania...

– Miałaś dużo kochanków? – przerywa mi. Moja odpowiedź najwyraźniej jest za długa i zbyt poważna, żeby utrzymać jej za-interesowanie.

Liczę szybko.

– Czy sześciu kwalifikuje się jako dużo?

– Żartujesz? Dla singielki w twoim wieku to jest nic!

– A ty?

Jade milczy parę długich chwil.

– Obiecujesz, że nie powiesz mojej matce?

Kiwam głową, już żałując, że zadałam to pytanie.

– Tylko jednego – szepcze tak cicho, że prawie nie słyszę.

– Tylko jednego?

– Wiem. Moja matka myśli, że co najmniej dwudziestu. – Jade podrywa się wyprostowana. – Obiecałaś, że jej nie powiesz.

– Nie powiem. Ale pewnie bardzo by jej ulżyło.

– Kto mówi, że chcę, żeby jej ulżyło?

Parskam śmiechem. Jade patrzy na mnie urażona.

– Uważasz, że to śmieszne?

– Nie, skąd. Tylko... Ona się o ciebie martwi. Tyle.

– Martwi się o wszystko.

– Naprawdę?

– To cię dziwi?

– Chyba tak – przyznaję. Claire zawsze wydaje się panować nad sytuacją.

– Na ogół martwi się o pieniądze.

Czuję dżgnięcie wyrzutów sumienia. To przeze mnie Claire martwi się o pieniądze. To nie w porządku, że ja mam ich tyle, a ona tak mało.

– No to opowiedz mi o tym chłopaku – proszę, starając się nie myśleć o takich rzeczach. – To ten, z którym cię przyłapała mama?

– Gdzie tam. Z tamtym chodziłam w zeszłym roku na angielski, ale jego rodzina w lipcu przeprowadziła się do Arizony, no i się skończyło. Żadna strata. Cała ta sprawa była mało ważna, choć ludzie mówią, że pierwszej miłości się nie zapomina.

– Ludzie mówią wiele rzeczy. Przeważnie nieprawdziwych. – Milczę przez chwilę, myśląc o Seanie. – Chyba najbardziej liczy się ostatnia miłość.

Jude usiłuje to rozważyć, marszcząc brwi z wysiłku.

– A teraz jesteś zakochana?

Czy jestem? Myślałam, że tak.

– Nie wiem.

Dzwoni telefon, a ja podskakuję.

– Mam odebrać? – Jade wyciąga rękę po słuchawkę. Kiwam głową, a ona sprawdza numer. – Kogoś paliły uszy – oznajmia, podnosząc słuchawkę i podając mi ją. – To twój szef – mówi bezgłośnie.

„Zdaje się, że ciocia Bailey dyma się ze swoim szefem”, słyszę głos Claire.

Biorę słuchawkę i przyciskam ją mocno do policzka, jakbym blokowała ucieczkę słowom.

– Cześć – szepczę, już z łomotem serca. Ogarnia mnie przekonanie, że Sean jakimś cudem usłyszał moją rozmowę z Jade. Daję znak siostrzenicy, żeby wyszła, ale ona udaje, że nie rozumie. Pochyla się naprzód z łokciami na kolanach, wpatrzona w moje oczy.

– Jak się miewasz? – pyta Sean.

– Dobrze.

– Pomyślałem, że później do ciebie wstąpię, jeśli będziesz sama.

– Chciałabym.

– Koło piątej?

– Świetnie.

– To do zobaczenia. – Odkłada słuchawkę, nie zegnając się. Sean nigdy nie lubił bić piany, na sali sądowej czy gdziekolwiek indziej. Jego motto to: „Upraszczać. Zdążyć do celu. Spadać”.

– Co świetnie? – pyta Jade, kiedy rzucam słuchawkę na łóżko.

Kręcę głową. Rozmawiać o Seanie z moją siostrą, czy terapeutką, to jedno, ale dyskutować o nim z szesnastolatką to zupełnie co innego.

– Przyjedzie, tak?

– Jade...

– Teraz? Teraz przyjedzie? Mam spadać?

– Nie przyjedzie teraz.

– Ale przyjedzie?

– Koło piątej – przyznaję, kapitulując.

– Chcesz, żebym została? Żartuję – dodaje natychmiast. – Wtedy już dawno mnie nie będzie. Obiecuję. I tak do twojej wiadomości: wszystko, co mi powiesz, zostanie między nami. Jak z twoją terapeutką.

Uśmiecham się.

– Byłaby z ciebie bardzo dobra terapeutka.

– Tak sądzisz?

– Zdecydowanie.

– A prywatny detektyw, jak ty?

– Myślę, że będziesz świetna we wszystkim, na co się zdecydujesz.

– Dzięki.

– I tak do twojej wiadomości, to, co mi powiesz, również zostaje objętą klauzulą ścisłej tajemnicy.

Jade rozprostowuje nogi, opada na poduszki i znowu zajmuje się telewizorem. Zmienia kanał na *Żonę dla milionera*. Jeden odcinek właśnie się kończy i zaczyna następny.

– Lubię cię – mówi, nie patrząc na mnie.

– Ja ciebie też.

*

Sean puka do moich drzwi, gdy dochodzi szósta. Jade wyszła niemal dwie godziny wcześniej. Zdążyłam wziąć prysznic i przebrać się w białe dżinsy i luźny szary sweter. Usiłowałam nawet wysuszyć włosy i lekko się umalować. Może nie osiągnęłam olśniewającego sukcesu, ale i nie poniosłam też totalnej klęski. Przynajmniej nie wyglądam, jakbym miała za chwilę paść trupem.

– Przepraszam za spóźnienie – mówi Sean, kiedy otwieram mu drzwi.

Zaraz potem znajduję się w jego ramionach. Obejmuje mnie bardzo delikatnie, jakby się bał, że zbyt silny nacisk na moje plecy mógłby je złamać. Muska ustami moje włosy, ale nie przedłuża pocałunku. Czuję jego oddech na szyi. Unoszę ku niemu twarz, a on całuje mnie czule, choć przelotnie i bez namiętności, jakby wiedział, że jest z nami inny mężczyzna, gotowy zaatakować.

– Jak się czujesz? – pyta.

– Lepiej, kiedy tu jesteś. – Biorę go za rękę i prowadzę do salonu.

– Nie mogę długo zostać.

– Domyślam się. – Wiem, że lubi zdążyć na układanie córek do snu.

– Miałem nadzieję, że wyrwę się wcześniej, ale wiesz, jak to jest. Coś zawsze się wydarza, kiedy już jesteś jedną nogą za progiem.

Siadamy obok siebie na sofie. Nasze palce stykają się lekko.

– Miałeś dużo roboty? – pytam, choć znam odpowiedź. On zawsze ma dużo roboty.

– Jak zwykle. Dałem radę.

– Mam nadzieję, że niedługo wrócę do kancelarii, żeby pomóc. – Robię wszystko, żeby powiedzieć to z przekonaniem, którego nie czuję.

– Nie spiesz się. Nie ma potrzeby. – Sean unosi rękę, by musnąć mój policzek. Natychmiast szczęki mi się zaciskają i czuję ucisk w piersi. – Przepraszam – mówi i cofa rękę.

– Nie chodzi o ciebie.

– Wiem.

– To potrwa.

– Wiem – powtarza.

Biorę jego dłoń, podnoszę ją do twarzy, przyciskam do policzka, całuję jej wnętrze. Czy to możliwe, że Elizabeth Gordon ma rację? Czy ten romans jest po to, żebym lepiej zrozumiała moją matkę?

– O czym w tej chwili myślisz?

– O niczym.

– Nieprawda. Widzę wszystko, co dzieje się w tych oczach.

Śmieję się, żeby ukryć zażenowanie, że tak łatwo mnie przejrzeć.

– Nie wiem. Chyba cieszę się, że cię widzę.

– Jak się czujesz... naprawdę? – naciska.

Łatwo byłoby skłamać, że lepiej. Ale czuję się tak samo jak wczoraj i przedwczoraj. Ulga, która mnie ogarnęła podczas rozmowy z Elizabeth Gordon, trwała tylko chwilę.

– Lepiej – kłamię.

– Na pewno wyglądasz lepiej.

– Makijaż.

– Nie, to coś więcej. Widzę w twoich oczach odrobinę dawnego błysku.

Widzimy to, co chcemy zobaczyć, myślę.

– Dziś poszłam do terapeutki. Elizabeth Gordon.

Sean kręci głową.

– Nie znam jej. Dobra?

– Mam nadzieję.

– Dobrze, że się z nią widujesz – mówi po chwili milczenia. – To ci pomoże.

– Mam nadzieję – powtarzam. Czekam, aż spyta, o czym rozmawialiśmy, aż zacznie mnie przyciskać jak Jade, ale nie. Nie zastanawia się, czy nie rozmawialiśmy o nim? O to także nie pyta.

– Jakież ciekawe nowe sprawy? – odzywam się po paru chwilach milczenia.

– Nie bardzo. Bez zmian, bez zmian – powtarza, jakby chciał mnie przekonać, że niewiele tracę.

– Żadnych smakowitych firmowych ploteczek?

Sean waha się przez chwilę.

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

– Co? – rzucam.

– Co „co”?

– O czymś myślisz? – pytam, jak on mnie. Role się odwróciły. – Widzę, co się dzieje, w twoich oczach.

– Zastanawiałem się tylko, czy słyszałem o czymś smakowitym. Pewnie musiałabyś o to spytać Sally. – Spogląda w okno, roztargnionym spojrzeniem wodząc po horyzoncie.

Wstrzymuję oddech. Nigdy nie mieliśmy kłopotów z rozmawianiem. Słowa zawsze płynęły między nami bez trudu. Choć, szczerze mówiąc, nie mieliśmy wielkiej potrzeby gadania.

– Dziś rano spotkałem twojego brata – odzywa się w końcu.

– Heatha?

Nie dzwonił dzisiaj. Ciekawe, jak mu poszło przesłuchanie, czy dostał tę reklamę Whiskasa. Mam nadzieję, że tak. Potrzebuje jakiegoś sukcesu.

– Gene’a – wyjaśnia Sean.

Krzywię się. Zapomniałam o istnieniu Gene’a. Przywykłam do myśli, że mam tylko jednego brata.

– Spytał, czy dochodzisz do siebie. Czy rozmawiałem z tobą od tego pamiętnego dnia.

– I co mu powiedziałaś?

– Że twoja rekonwalescencja mogłaby przebiegać szybciej, gdyby wycofał pozew. Mimo woli parskam śmiechem.

– A on?

– Że chętnie przedyskutuje tę sprawę, kiedy wyrazisz taką chęć.

– Cudownie. Już mi lepiej. – Przypominam sobie o Claire, o jej trosce o pieniądze.

– Myślisz, że powinnam iść na ugodę?

– Myślę, że to zależy wyłącznie od ciebie i Heatha.

– Mój ojciec dostałby apopleksji. Wiesz, że to prawda. Byłeś jego prawnikiem. Sean kręci głową.

– Twój ojciec był uparty. I choć go szanowałem, nie zawsze miał rację.

– Myślisz, że powinnam iść na ugodę? – powtarzam.

– Myślę, że nie powinnaś podejmować żadnej decyzji, dopóki nie poczujesz się silniejsza. Ale pamiętaj, że to mnóstwo pieniędzy i twoje zdrowie także się liczy. W pewnym momencie najlepiej jest ograniczyć straty, zawrzeć pokój z rodziną i żyć dalej. – Klepie mnie po kolanie. – Pora na mnie.

– Już? Dopiero przyszedłeś.

Sean spogląda na zegarek i wstaje.

– Robi się późno. Dziewczynki...

– ...lubią, kiedy tatuś całuje je na dobranoc.

Sean idzie do drzwi. Chwytam go za rękę, czuję, jak jego palce wymykają się z moich.

– Słuchaj. Chcę ci coś powiedzieć. Wyjeżdżam na tydzień.

– Co? Kiedy?

– W sobotę. To rodzinny rejs, Kathy zarezerwowała go wiele miesięcy temu. Na Karaiby. Wierz mi, nie ja wpadłem na ten pomysł.

Mocno zagryzam dolną wargę, żeby nie powiedzieć czegoś, czego będę potem żałować.

– Będę za tobą tęsknić – mówię. Co innego mi pozostało?

– Ja za tobą też.

Sean pochyla się i mnie całuje. Pocałunek jest delikatny i czuły, dłuższy niż ten na powitanie. Mimo woli zastanawiam się, czy coś się za tym kryje, coś, o czym mi nie powiedział. Mam ochotę chwycić go kurczowo, nie pozwolić mu wyjść. Moje ręce same wyciągają się do jego szyi. Ale on już się odsuwa i tylko bezsilnie muskam palcami jego ramiona. Sean przekracza próg.

– Uważaj na siebie do mojego powrotu – rzuca, i już go nie ma.

Biegnę korytarzem do pokoju, chwytam lornetkę i wyglądam na ulicę, szukając jego samochodu. Ale jest ciemno, a samochody są takie podobne do siebie. Patrząc, jak jeden po drugim znikają w nocy, uwożąc ze sobą swoje tajemnice.

Jest tuż po północy, zaczyna kropić deszczyk, kiedy w mieszkaniu naprzeciwko zapalają się światła. Natychmiast unoszę lornetkę do oczu i patrzę, jak Narcyz wchodzi do sypialni. Nie jest sam. Towarzyszy mu kobieta; nie mam wątpliwości, że inna niż wczoraj. Ta wydaje się wyższa i szczuplejsza, choć ma takie same długie, ciemne włosy jak tamta. Chyba się śmieje, choć nie wiem na pewno.

Reguluje ostrość, żeby lepiej się przyjrzeć. Nie pomaga. Wszystko pozostaje mgliste. Może to ten deszcz. Może to z jego powodu jestem tak zmęczona. Wcześniej przyniosłam sobie z gabinetu do sypialni biurowe krzesło i drzemałam na nim niespokojnie przez parę ostatnich godzin, krążąc między światem snu i jawy, niezdolna ich rozróżnić, w żadnym nie czując się jak u siebie.

Otoczająca mnie mgiełka nagle się unosi. Deszcz znika. Wszystko staje się krystalicznie wyraźne, tak wyraźne, jakbym stanęła tuż za młodą kobietą o szczupłej sylwetce i długich, ciemnych włosach, gdy Narcyz podaje jej drinka. Widzę nawet wzorek z malowanych oliwek zdobiący ściankę jej szklanki, gdy razem po nią sięgamy. Czuję jej chłód w palcach.

Narcyz i kobieta unoszą szklanki do ust, a ja czuję żar płynu w gardle. On mruczy jej coś co ucha, ona uśmiecha się i odpowiada równie cicho. Choć znajdują się tak blisko, nie słyszę ich głosów. Słuchamy, lecz nie słyszymy, myślę. Nieważne, jak blisko siebie się znajdziemy, nie potrafimy nawiązać kontaktu.

Kobieta znowu się śmieje, a ja się zastanawiam, co tak zabawnego mógł jej powiedzieć Narcyz. Sprawia wrażenie zbyt zajętego sobą, żeby mieć poczucie humoru, ale może źle go oceniam. Ona wydaje się zachwycona jego słowami. Jest młodsza od jego wczorajszej zdobyczy, choć nie tak ładna. Unosi drinka w impulsywnym toaście. Za co? Za życie, zdrowie i bogactwo, za ludzi mieszkających w szklanych domach?

Narcyz wyjmuje jej z dłoni pustą szklankę i odstawia ją na stół przy oknie, po czym obejmuje dziewczynę. Patrzę, jak ją całuje, jego ręce dokładnie powtarzają manewry z zeszłej nocy. Człowiek, który lubi rutynę. Tak samo jak wczoraj nie potrafię odwrócić wzroku. Widzę, jak Narcyz rozpina suwak na plecach krótkiej czerwonej sukienki dziewczyny. Widzę, jak materiał opada na podłogę. Wstrząsa mną to, że ona jest pod sukienką zupełnie naga. Z gardła wyrywa mi się cichy krzyk, kiedy Narcyz chwytą ją za pośladki.

Podrywa głowę, jakby mnie usłyszał, i uśmiecha się, jakby wiedział, że patrzę. Wie? Czy to możliwe?

Świruję. On nie może wiedzieć o mojej obecności, nie może mnie widzieć, siedzącej w ciemnościach sypialni. Ale ten jego uśmiezek ze mnie drwi. Wiem, że tam jesteś, krzyczy jego spojrzenie. Wiem, że patrzysz. Opuszczam lornetkę na kolana. To niemożliwe, żeby mnie widział.

Dość tych nonsensów. Dość krycia się w ciemnościach, podglądania sąsiadów, choćby sami wystawiali się na pokaz. Jestem zbyt zmęczona, by jasno myśleć, zbyt głodna, by należycie funkcjonować. Czas coś zjeść i iść spać.

Ale oczywiście tego nie robię.

Widzę, że Narcyz też się rozebrał, i oglądam powtórkę wczorajszego pokazu: nagie piersi i brzuch kobiety, przyciśnięte do szyby, o którą coraz gęściej uderza deszcz, łapczywe ręce mężczyzny, ich złaknione usta. Ona zamyka oczy, on nie, gapi się na mnie prowokacyjnie, wbijając się w nią od tyłu. I tak samo jak wczoraj, jestem i zafascynowana, i wstrząśnięta.

Potem prowadzi ją do łóżka. Zmienił chociaż pościel? – zastanawiam się, kiedy rzuca ją na posłanie i unosi jej nogi do sufitu, znowu w nią wchodząc. Każdy jego ruch odczuwam jak pchnięcie sztyletem między nogi.

Światło w sypialni gaśnie w końcu o drugiej. Powoli dźwigam się z krzesła, spływając potem. Biorę prysznic, po raz ostatni sprawdzam mieszkanie i wreszcie się kładę, odrętwiała ze zmęczenia, rozpaczliwie czekając na sen, który nie nadchodzi.

*

Ta sama scena powtarza się następnego wieczoru o ósmej. I jeszcze następnego. Patrząc, jak Narcyz przygotowuje się do wyjścia. Za każdym razem wykonuje ten sam rytualny wstęp do polowania: wybiera między dwoma krawatami, przykładając je kolejno do piersi, potem rzuca ten niechciany na łóżko. Czasem trafia, innym razem jedwabna wstęga rozwija się w powietrzu i spada na podłogę, gdzie zostanie zdeptana.

Obserwuję go, jak się czesze i paraduje półnagi po pokoju, zatrzymując się co jakiś czas, żeby podziwiać swoje odbicie w lustrze. W końcu, wykonawszy ostatnie drobne zabiegi, wyłącza światło i wychodzi z mieszkania. Wraca o północy, za każdym razem z inną kobietą, choć wszystkie są do siebie podobne: dość wysokie, szczupłe, z długimi ciemnymi włosami, spływającymi im po plecach jak wodospad.

Wszystkie są odrobinę podobne do mnie.

A może tylko sobie wyobrażam to podobieństwo. Szczerze mówiąc, może w ogóle wszystko to sobie wyobraziłam. To dość prawdopodobne. Pada od wielu dni. Ciągłe grzmoty i błyskawice. Nie śpiam. A może jest dokładnie odwrotnie. Może cały czas śpię. Może nic z tego, co widziałam, nie wydarzyło się naprawdę. Może to wszystko

sen.

Dzwoni telefon, a ja podskakuję. Jest siódma wieczorem w sobotę. Kto może do mnie dzwonić? Claire pracuje na nocnej zmianie, Jade spędza weekend z koleżanką w domku na plaży na Fisher Island, Sean wyjechał na Karaiby, Heath zniknął z powierzchni ziemi, policja nie odzywała się do mnie od wielu dni.

Na wyświetlaczu widzę numer mojej koleżanki Sally. Dzwoniła parę razy, a ja nie odebrałam ani nie oddzwoniłam. Wiem, że ma dobre intencje, ale po prostu nie miałam siły na jej miłe głędzenie. Połączyła nas praca i nie wiem, czy nasza znajomość przetrwa moją przeciągającą się nieobecność. No, ale może Sally dzwoni, żeby powiadomić mnie o swoim wcześniejszym porodzie albo, nie daj Boże, żeby powiedzieć, że wydarzyło się coś złego. Może doszło do tragedii na morzu, może piorun uderzył w statek Seana, zatapiając go. Może ktoś inny z kancelarii został pobity i zgwałcony...

– Cześć – rzucam, podnosząc słuchawkę, zanim te „może” zdążą mnie obezwładnić.

– Wreszcie – odpowiada z ulgą. – Strasznie trudno cię złapać. Kiedy kupisz sobie nową komórkę? Mogłybyśmy pisać SMS-y.

– Wkrótce. Miałam tu młyn.

– Tak? – podchwytuje z nadzieją. – Wydarzyło się coś nowego?

– Nie. Nic.

– Och. – Rozczarowanie w jej głosie jest niemal namacalne. – Ale czujesz się lepiej – bardziej stwierdza, niż pyta. – Brzmisz lepiej.

– Czuję się lepiej – przyznaję, a jeśli ona wie, że kłamię, to się z tym nie zdradza. – Co u ciebie? – pytam. Skoro nie szczerść, to niech będzie chociaż uprzejmość. – Czy dziecko...

– Jeszcze się nie wybiera na świat. I kopie.

– Dobrze.

– Przepraszam, że nie zdążyłam wpaść w tym tygodniu. W pracy mieliśmy dom wariatów. – Bez żadnej zachęty zaczyna opowiadać o ważnej sprawie rozwodowej, którą właśnie dostali.

Moją uwagę przyciąga światło, które zapaliło się w sypialni naprzeciwko. Patrząc, jak Narcyz wchodzi do pokoju z nagim torsem i rozpiętymi spodniami. Chwytam lornetkę i przyczajam się przy oknie. Głos Sally nadal brzmi mi w uchu.

– Oczywiście to wielka tajemnica – ciągnie – ale zgadnij, z kim sypiał mężulek? Bailey? Bailey, no. Zgadnij.

O czym ona gada?

– Co?

– Nie słyszałaś mnie?

– Dostaliście wielką sprawę rozwodową.

– Nie wielką. Gigantyczną! Aurora i Poppy Gomezowie! My reprezentujemy

Aurorę, dzięki Bogu. Okazuje się, że Poppy od lat bzykał na boku. Wyobrażasz to sobie? Najseksowniejsza kobieta na tej planecie, nie wspominając już o tym, że sprzedawała... ile? Trzy miliardy płyt? I to ten mały gnom jest niewiernym małżonkiem. Nie pojmuję tego. Co jest z tymi facetami? No, więc zgadniesz?

– Co?

– Z kim sypiał mąż w swojej posiadłości w South Beach, podczas gdy ona jeździła na tournée po całym świecie i okolicach, żeby zapewnić mu życie na poziomie, do którego przywykł.

– Nie mam bladego pojęcia.

– Och, to jest po prostu aż za dobre! Gotowa?

– Gotowa – mówię posłusznie.

– Mała panna niedotykańska, co to „dopiero po ślubie”, Diana Bishop we własnej osobie.

– Żartujesz – wyduszam z siebie, jakbym przeżyła szok, choć tak naprawdę nie mam pojęcia, kim jest Diana Bishop i co konkretnie chce zrobić dopiero po ślubie. Nazwisko wydaje mi się mgliście znajome, pewnie z zeszłego życia, myślę patrząc, jak Narcyz podchodzi do okna i przygląda się burzy, wsuwając rękę w spodnie.

– Wyobrażasz sobie? Za parę dni robi się awantura. Staraliśmy się to załatwić dyskretnie, ale już mamy pierwsze telefony z „Entertainment Tonight” i „Inside Edition”. Przy czym „National Enquirer” prawie zamieszkał w naszej poczekalni. Nasze źródła twierdzą to, nasze źródła twierdzą tamto. Wiesz, jak to jest. Nikomu nie można wierzyć. A my musimy, jak najszybciej, nazbierać jak najwięcej brudów na Poppy’ego. Brudów, których da się użyć w sądzie, ma się rozumieć. I właśnie tu zaczyna się twoja rola. Okazuje się, że intercyza przedmałżeńska Aurory – której nie sporządziła nasza kancelaria, kiedy oni zmądrzeją? – nie jest tak całkiem pancerna, jak się wydawało. Więc wiesz, kiedy wrócisz do pracy?

– Co?

– Przydałaby nam się twoja pomoc.

– Nie mogę.

– To prośba samego Phila Cunninghama.

– Nie jestem gotowa, Sally.

– Nie sądzisz, że to ci dobrze zrobi? Znowu wrócisz do formy i tak dalej.

– Nie mogę – powtarzam. – Jeszcze nie. Przepraszam.

– No, to zrób nam obu przysługę i jeszcze się nad tym zastanów. Dobrze? To oderwie twoje myśli od innych, no wiesz, rzeczy.

Rzeczy. Dziwne określenie na to, przez co przeszłam.

– W każdym razie nie dlatego zadzwoniłam.

Wstrzymuję oddech z obawy przed nowymi okropnościami. Zauważam, że Narcyz jawnie się masturbuje, jego ręka porusza się gwałtownie w spodniach, głowa opada na bok, usta się rozchylają.

– Przyjdiesz na bociana, prawda?

– Co?

– Wiedziałam. Całkiem zapomniałaś, tak?

O czym ona bredzi?

– No, na bociankowe, które robi dla mnie Alissa. Jutro o siódmej. U niej. Potwierdziłaś zaproszenie wieki temu. Zanim... – Sally urywa. Nie ma potrzeby dopowiadać. Obie wiemy, co jest po „zanim”.

– Nie mogę.

– Znowu to samo. Możesz! Wyjście dobrze ci zrobi.

Wygląda na to, że Sally stała się ekspertką w tym, co jest dla mnie dobre. Gryzę się w język, żeby nie powiedzieć tego na głos.

– Nie możesz dniem i nocą tkwić w mieszkaniu. To niezdrowe. A to radosna okazja, powód do świętowania. Urodzę dziecko i powiedziałaś, że przyjdiesz...

– Zanim – przypominam jej, obserwując gorączkowe wysiłki Narcyza, zwieńczone satysfakcjonującym zakończeniem.

– Przyjdą wszyscy z kancelarii, a Alissa urządzi całe przyjęcie na różowo, bo spodziewam się dziewczynki. Postanowiliśmy nazwać ją Avery. Mówiłam ci? W każdym razie Alissa poda różowe kanapeczki i różowy torcik i pewnie tego nie pamiętasz, ale poprosiła nawet o wyłącznie różowe prezenty. Nie żebyś musiała mi coś kupować. Twoja obecność będzie wystarczającym prezentem. – Sally śmieje się nerwowo.

W głowie mi się kręci. Patrzę, jak Narcyz wyjmuje z kieszeni chusteczkę i wyciera rękę.

– Więc spróbujesz przyjść?

– Nie mogę. Przepraszam, Sally. Po prostu nie mogę.

Milczenie. Przez chwilę zastanawiam się, czy Sally odłożyła słuchawkę, i już mam zrobić to samo, kiedy ona się odzywa:

– Dobrze. – Znowu chwila ciszy. – Rozumiem. Naprawdę.

– Dziękuję.

– Będzie nam ciebie brakować.

– A mnie was – odpowiadam. Te słowa przypominają mi ostatnią wizytę Seana.

– A skoro o dzieciach mowa, co sądzisz o Seanie Holdenie? – rzuca wesoło, jakby moje myśli ją jakoś sprowokowały.

Spinam się; Narcyz odwraca głowę w moją stronę. W oddali błyska piorun.

– O czym mówisz?

– To nie wiesz? Jego żona jest w ciąży! – wykrzykuje Sally, a ja drętwieję. – Oczywiście na razie tego nie rozgłaszają. Ale zdaje się, że jego żona wygadała się asystentce Seana, nigdy nie pamiętam, jak jej na imię...

– Jillian – mówię nieswoim głosem.

– Właśnie. Jillian. Nie wiem, dlaczego nie potrafię tego za-pamiętać. No, więc

prosiła ją, żeby zatrzymała to dla siebie, ale kiedy wyjechali w ten rejs na Karaiby, tak jakoś się rozniosło. Pierwsze wakacje od lat. Wyobrażasz sobie? Miło wiedzieć, że w tym wieku nadal to robią. Bailey? Bailey, jesteś tam?

– Muszę kończyć. – Rozłączam się, zanim usłyszę następne okropne rzeczy.

Staję przed oknem, przyciskając do oczu małe, twarde krążki lornetki. Więc po to przyszedł do mnie Sean. To ta tajemnica kryła się w jego oczach.

Kolejny piorun sprawia, że czarne niebo staje się białe. Widzę Narcyza stojącego w oknie, z lornetką wycelowaną dokładnie w moje mieszkanie. Wyrywa mi się krzyk, pochylam się, padam na ziemię w zwolnionym tempie, jak kopnięta w brzuch. Całe moje ciało płonie.

Ale kiedy parę chwil później znowu spoglądam, Narcyz już zniknął, a jego mieszkanie jest pograżone w ciemnościach.

*

– Jasne, że był – mówi Claire. – Widziałaś go, prawda?

Jest niedziela, koło szóstej. Claire ma do jutra wolne w pracy. Przyszła, żeby zjeść ze mną niedzielny obiad. Jade wróci z Fisher Island później.

– Nie wiem – przyznaję szczerze. – Padało, a ja byłam zmęczona i zdenerwowana. Może to sobie wyobraziłam.

– Nic sobie nie wyobraziłaś – prycha Claire. I dodaje: – Dlaczego się zdenerwowałaś?

Chodzę pod oknem w sypialni. Deszcz w końcu przestał padać. Światło w pokoju się pali, rolety są opuszczone. Nie wiem, czy kiedykolwiek je podniosę.

– Czegoś się dowiedziałam...

– Od policji?

Opowiadam jej o wiadomości od Sally, że żona Seana zaszła w ciążę. Czekam na naganę Claire: tak się kończy marnowanie czasu z żonatym. Ale ona mówi:

– Przykro mi. To musiało tobą wstrząsnąć.

– Czuję się jak idiotka.

– To on jest idiotą. Powinnaś była do mnie zadzwonić.

– Nie mogę ci zawracać głowy za każdym razem, kiedy się zdenerwuję, zwłaszcza kiedy pracujesz. Pewnie to sobie wyobraziłam.

– To, że się zdenerwowałaś, nie znaczy, że masz halucynacje. Powiedziałaś, że obserwowałaś Narcyza, widziałaś, jak masturbował się przed oknem.

Wzdrygam się na to wspomnienie

– Zamknęłam oczy, a kiedy je otworzyłam, on gapił się na mnie.

– Przez lornetkę.

– Tak.

– No, skoro nie zapaliłaś światła, to nic nie widział – zapewnia mnie tymi samymi słowami, które powtarzam sobie od wczoraj. W mojej sypialni panowały nieprzeniknione ciemności. Nie mógł mnie zobaczyć nawet przy błyskawicy.

– Tak się przestraszyłam...

– Nic dziwnego. To obleśne. Ja też bym się zdenerwowała. – Claire spogląda na opuszczone rolety. – Na świecie nie brakuje wariatów, to jasne.

– Uważaj. Jestem jednym z nich.

– Nie jesteś wariatką. Przeszłaś traumatyczne doświadczenie. Nie sypiasz. Masz koszmary. Przypominają ci się straszne chwile. To normalne, że...

– ...widzę rzeczy, które nie istnieją?

Claire wzrusza ramionami i przez mgnienie widzę w niej Jade.

– Nie wierzę w to ani przez moment. Powinniśmy zadzwonić na policję.

– Co? Dlaczego?

– Powiedz im, co się wydarzyło.

– Co konkretnie mam im powiedzieć? Że jestem zboczoną podglądaczką, która mogła widzieć, jak jej sąsiad masturbuje się w zaciszu własnej sypialni...

– Nie tak bardzo w zaciszu, skoro zrobił to przy oknie i przy włączonym świetle – sprzeciwia się Claire.

– To ja go obserwuję przez lornetkę! Dlaczego miałabym dzwonić na policję? Czego mi nie mówisz?

Claire waha się przez chwilę.

– No?

– To pewnie nic takiego.

– No? – ponaglam.

– Nie chcę cię niepokoić...

– Na miłość boską, mów wreszcie!

Claire bierze głęboki oddech i niechętnie wydusza z siebie:

– Chyba zauważyłaś, że mężczyzna, którego obserwowałaś, pasuje do opisu gwałciciela? – Bierze drugi oddech i wstrzymuje go, czekając na moją reakcję.

Oczywiście, że to zauważyłam. Ale uznałam, że to zbieg okoliczności, kolejny produkt mojej rozkwitającej paranoi.

– Naprawdę myślisz, że to może być on?

– Mówię tylko, że pasuje do opisu. Jest ekshibicjonistą i zboczeńcem mieszkającym naprzeciwko. Może cię zobaczył, spodobałaś mu się i zaczął cię śledzić? – Claire przerywa na chwilę i patrzy mi w oczy w poszukiwaniu jakiejś reakcji. – Nie wiem jak tobie, ale mnie, im dłużej o tym myślę, tym mniej nieprawdopodobne się to wydaje i tym bardziej się martwię. Dzwonię na policję.

Przed moimi drzwiami staje Castillo wraz z innym policjantem w cywilu, którego przedstawia jako oficera śledczego Dube („pisze się Dube, wymawia Dubie”, wyjaśnia jakieś czterdzieści minut później). Oficer Marx wyszła w piątek za mąż i wyjechała w podróż poślubną. Czuję się jakby zdradzona, nie tyle dlatego, że mnie zostawiła, ale że się nie pochwaliła. Może się bała, że jej szczęście mnie załamie?

Oficer Dube, który wygląda jak nastolatek, jest wysoki, szczupły, ma rudawoblond włosy i małą bliznę wijącą się na grzbiecie nosa. Zapraszam policjantów do salonu. Siadam z Claire na sofie, trzymamy się za ręce. Policjanci przysiadają na drugiej, naprzeciwko nas. Claire wyjaśnia sytuację, a funkcjonariusz Castillo robi notatki, swobodny jak zwykle, w koszuli od Brooks Brothers z krótkimi rękawami, w zielono-białą kratkę, i brązowych spodniach.

– Dobrze, czyli podsumowując: uważa pani, że ten sąsiad, który wczoraj się masturbował, jest gwałcicielem.

– Właśnie – mówi Claire.

– Obserwowała go pani przez lornetkę – podejmuje Castillo i nagle pyta: – Może mi pani powiedzieć dlaczego?

– Taki mam zwyczaj – wyjaśniam słabo.

– Często?

– Nawyk. To część mojej pracy.

To część mnie.

– Ale teraz pani nie pracuje.

– Nie.

– Pan nie rozumie, w czym rzecz – odzywa się Claire.

– A w czym rzecz?

– Że ten mężczyzna nie tylko umyślnie paraduje nago przed oknami i zabawia cały szereg młodych kobiet, również nagich i na widoku – mówi Claire – ale także obserwuje Bailey. Widziała wczoraj, jak się na nią gapił.

– Przez lornetkę. Ciekawy zbieg okoliczności, nie sądzi pani?

– Wcale tak nie sądzę. Kto wie, jak długo ją śledził? Wie, że Bailey jest detektywem, napadł ją, kiedy prowadziła obserwację, i myśli, że teraz zabawnie będzie ją popodglądać, sprawdzić, jak ją załatwił. Jedyne zbiegi okoliczności, jeśli upiera się pan tak twierdzić, to to, że Bailey mimowolnie również zaczęła go obserwować.

Dwaj policjanci wymienili spojrzenia.

– Przyzna pani, że to trochę niewiarygodne.

– Mówiłam, że nie powinnyśmy dzwonić – mamroczę.

– Aresztujecie go, czy nie? – pyta Claire.

– Na jakiej podstawie? Za przyglądanie się sąsiadce przez lornetkę? Wtedy musiałbym aresztować i panią.

– Czy przynajmniej go wezwiecie na przesłuchanie? – nie odpuszcza Claire.

– Nie można wzywać ludzi na przesłuchanie bez ważnego powodu. Pracuje pani w kancelarii, wie pani o tym. – Castillo zwraca się do mnie, przesuwał dłoń po włosach, wyraźnie zdesperowany. – Dobrze. Sprawdźmy to.

Claire natychmiast wstaje i maszeruje do mojej sypialni. Obaj policjanci idą za nią, ja wlokę się na końcu.

– Jest w domu – rzuca moja siostra tryumfalnie. – Światło się pali. – Chwyta lornetkę z łóżka i podają ją śledczemu. – Trzecie piętro od góry, czwarte okno od lewej.

– Czy kiedy przyglądała mu się pani zeszłej nocy, światło w pani sypialni się paliło? – pyta Dube.

– Nie – odpowiadamy obie.

– Było ciemno – dodaję niepotrzebnie.

– Czyli nie mógł pani widzieć – stwierdza Castillo. – Wątpię, żeby zdołał odróżnić jeden apartament od drugiego, zwłaszcza w deszczu. – Wzdycha i oddaje lornetkę Claire. – Dobrze. Pójdziemy z nim porozmawiać.

– Moglibyście mu nie zdradzać, że go podglądałyśmy?

Słyszę strach w głosie Claire i czuję się za to odpowiedzialna.

– Proszę zostawić policyjne działania nam. – To bardziej rozkaz niż prośba.

Dzwoni telefon, a ja podskakuję.

– Nie odbierze pani? – pyta Dube po drugim dzwonku.

Podchodzę i podnoszę słuchawkę do ucha.

– Halo? – odzywa się głos, a mnie ogarnia znajomy lęk. – Tu Finn z recepcji.

Jakie złe wieści znowu mi przynosi?

– Tak?

– Mogę porozmawiać z tym wywiadowcą z policji?

Przez chwilę zastanawiam się, skąd Finn wie o obecności policjantów. Potem przypominam sobie, że to przecież on powiadomił mnie o ich przyjeździe. Oddaję telefon oficerowi Castillo.

– Castillo – rzuca ten zamiast „halo”. Mija parę sekund, a potem: – Kiedy? Dobrze, tak, dziękuję. – Oddaje mi telefon. – Zdaje się, że nasz David Trotter znowu się pojawił. Niestety, sąsiad z naprzeciwka będzie musiał zaczekać.

Oto, co się dzieje po wyjściu policjantów: nic.

Claire i ja czekamy ponad godzinę, ale nie wracają. Nie dzwonią.

– Jak myślisz, co to znaczy? – pytam Claire.

– Że powinniśmy zacząć robić kolację.

Idziemy do kuchni, gdzie przyglądam się, jak Claire doprawia filety z łososia, które przyniosła, potem obiera i kroci w talarki ziemniaki, które smaruje oliwą, posypuje bazylią i wstawia do piekarnika. Podziwiam jej wprawę. Pamiętam, że ja kiedyś także miałam taką przychodzącą bez wysiłku biegłość. Impulsywnie postanawiam zrobić ulubioną sałatkę z arbuza, ogórków i sera feta – przepis mojej mamy.

– Wygląda przepysznie – mówi Claire, a mnie serce rośnie z dumy.

Nakrywam do stołu w jadalni, postanawiając wyjąć serwis dla gości i ulubione lniane serwetki. Właściwie na jaką okazję je oszczędzam?

– Może napijemy się wina? – pytam.

Od napadu nie tknęłam alkoholu, nie wiem, dlaczego. Nikt mi nie zabraniał. Elizabeth Gordon pewnie stwierdziłaby, że taka abstynencja ma coś wspólnego z kontrolą i lękiem przed jej utratą, potrzebą bycia wiecznie czujną. Coś do obgadania na następnej sesji.

– Kieliszek wina to świetny pomysł – odpowiada Claire. – Tak się składa, że w lodówce czeka bardzo dobre kalifornijskie chardonnay, które dziś przyniosłam...

– Nie powinnaś.

– Nie lubisz chardonnay?

– Oczywiście, że lubię. Nie w tym rzecz.

– To nie rozumiem. W czym rzecz?

– W tym, że nie powinnaś wydawać na mnie pieniędzy. – Przypominam sobie, jak Jade mówiła, że matka ciągle martwi się o pieniądze. – Wciąż przynosisz jedzenie i inne rzeczy. Kupujesz mi gazety, a teraz wino...

– Wino jest nie tylko dla ciebie.

– Wiem, ale...

– Ale co?

– Nie powinnaś.

– Dlaczego nie powinnam?

– Bo to nie w porządku.

– Dlaczego nie w porządku?

– Claire – rzucam z westchnieniem frustracji. Kręcimy się w kółko.

– Bailey – odpowiada ona. W jej zmęczonych oczach błyskają iskierki.

– Ciężko pracujesz na swoje pieniądze. Nie chcę, żebyś je wydawała na mnie.

– Jesteś moją siostrą – przypomina mi. – I przechodzisz trudne chwile. Uspokój się. To nie będzie trwać wiecznie. Wkrótce zaczną ci wracać siły. Pójdiesz do pracy. Uporzędziesz swoje życie. Nie będziesz potrzebować tak często mojej obecności.

– A jeśli będę jej chciała?

– To przyjdę – odpowiada Claire z uśmiechem. – I przyniosę wino. A teraz wyjmuj butelkę z lodówki, znajdź kieliszki i do dzieła.

Podaję jej butelkę, a kiedy ją otwiera, szukam kieliszków w szafce nad zlewem.

– Zdziwiająca – zauważa Claire. – Już nawet nie potrzeba korkociągów. Cud nowoczesnej technologii. – Unoszę kieliszek do ust i chcę upić łyk, ale moja siostra mnie powstrzymuje. – Czekaj. Musimy wznieść toast.

Natychmiast przed oczami staje mi Narcyz i jego kolejne zdobycze wnoszące toasty martini. Zastanawiam się, co robią policjanci, czy już go przesłuchali, czy może uznali, że nie warto. Wiem, że jeśli go przesłuchają, to wyłącznie po to, żeby mnie uspokoić, żeby opanować to, co bez wątpienia wydaje im się rosnącą paranoją. Zauważyłam, jak wymieniali spojrzenia i unosili brwi. Wiem, że uważają mnie za żalostną histeryczkę, kobietę, która ześwirowała po tym, co ją spotkało. Czy mają rację i naprawdę dostałam paranoi?

– Za lepsze dni – mówi Claire, stukając swoim kieliszkiem o mój.

– Za lepsze dni – powtarzam, nieśmiało pociągając łyk zrównoważonego, żółtozłotego płynu, i patrzę, jak ona robi to samo.

– Mmm... Dobra rzecz – mruczy.

Rzecz, powtarzam w myślach, wdychając upajające połączenie aromatu jabłek, cynamonu i tropikalnych owoców, mieszaninę dębiny i masła, zostające mi na języku. Przynajmniej Claire nie podejrzewa u mnie paranoi.

– Za siostry – rzucam.

– Za siostry. – W jej oczach stają niespodziewane łzy. Claire odwraca się, wycierając policzki wierzchem wolnej ręki. – Prawie zapomniałam. Chcę ci coś pokazać. – Podnosi z podłogi swoją bezkształtną brązową torbę i grzebie w niej, a po chwili wyjmuje białą kopertę.

– Dla twojej rozrywki – mówi, podając ją mi.

– Co to? – Wypijam jeszcze łyk wina i odstawiam kieliszek na stół. Potem otwieram niezaklejoną kopertę i wyjmuję z niej trzy fotografie. Początkowo wydaje mi się, że patrzę na zdjęcie Jade. Potem uświadamiam sobie, że to jej matka jakieś szesnaście lat temu. Włosy ma dłuższe niż teraz, ozdobione gałązką plastiko-wego bzu za uchem. Jej krótka aksamitna sukienka nie wygląda ani modnie, ani twarzowo, ale podobieństwo do Jade jest zaskakujące. Jeszcze bardziej zaskakuje mnie widok mężczyzny obok niej. To Elvis Presley.

– O Boże, czy to...

– Ślubne zdjęcie, tak jak obiecałam. A to sobowtór Elvisa, który udzielił nam ślubu. To natomiast – dodaje, wskazując na-bzdyczonego chłopaka w skórzanej kurtce i dżinsach, widocznego obok niej na dwóch pozostałych fotkach – Eliot. Zwróć uwagę na te kaprawe oczka i wredny, pełen samozadowolenia pysk.

Claire nie jest okrutna. I nie przesadza. Trudno nie zauważyć oczu i miny pana młodego. „Szczur – słyszę, jak woła mój ojciec z za grobu. – Co z tą dziewczyną? Wyszła za cholernego szczura. Nie widzi, że on ją poślubił tylko dla jej spadku?”. Jak zwykle miał rację. Eliot rzeczywiście wygląda jak szczur i rzeczywiście poślubił Claire, spodziewając się spadku, którego mój ojciec ją pozbawił. Trudno zrozumieć, co Claire widziała w tym chłopaku o twarzy gryzonia, tak kompletnie innym od naszego przystojnego, charyzmatycznego ojca. Chyba że właśnie to ją pociągało.

Ale Eliot dawno już zniknął, a ja mogę zwrócić Claire przynajmniej to, co się jej należy. Zastanawiam się, czy Heath by się zgodził, czy w ogóle wzięłby pod uwagę podzielenie się naszym majątkiem. Czy zgodziłby się na spotkanie z przyrodnim rodzeństwem, by doprowadzić do wycofania pozwu, który wisi nam nad głowami, pozwu, który trzyma nas w przeszłości pełnej starych uraz, który nie pozwala nam pójść naprzód, żyć własnym życiem, jak sugerował Sean? Oczywiście Sean już poszedł naprzód. A Heath rozwiął się w powietrzu, jak to mu się często zdarza. Gdzie on jest, do cholery? Dlaczego nie dzwoni?

– Zauważ, że państwo młodzi się nie uśmiechają – mówi Claire.

– Przynajmniej Elvis wygląda wesoło – odpowiadam.

– Wypiję za to.

I pijemy.

*

Minęły prawie dwie godziny. Skończyłyśmy kolację i jesteśmy w połowie drugiej butelki, kiedy dzwoni telefon. Podskakuję i upuszczam nóż, który upada na marmurową posadzkę i znika pod stołem.

– Moja matka mawiała, że zgodnie z dawnym przesądem, kiedy upada nóż, należy się spodziewać odwiedzin mężczyzny – mówi Claire, a ja się wzdrygam i z wysiłkiem sięgam po niego, niemal spadając z krzesła. Może jeśli odbiorę telefon wystarczająco szybko, ten nieznany mężczyzna w końcu zostawi mnie w spokoju.

– Ja odbiorę. – Claire wstaje i rusza do kuchni. Zauważam, że lekko się chwieje. – Halo? – rzuca. – W porządku. Dobrze. Tak, może ich pan przysłać. Dziękuję. To był Stanley z recepcji – oznajmia, wracając. – Zdaje się, że policjanci tu idą.

Wstaję niezdarnie. Wypiłam o wiele za dużo i pokój kręci się wokół mnie. Przytrzymuję się stołu, żeby nie upaść. Niedobrze, myślę, gdy Claire i ja zmierzamy

niepewnie do drzwi.

– Panowie – odzywam się, wpuszczając policjantów do mieszkania. Czuję od siebie zapach wina, a drgnienie nozdrzy oficera Castillo świadczy, że on też go poczuł. Teraz jestem w jego oczach nie tylko histeryczką z paranoją, ale w dodatku pijaczką.

– Przepraszam, że przeszkadzamy o tak późnej porze – mówi uprzejmie. Spojrzenie, pełne ledwie skrywanej dezaprobaty, przeczy jego słowom.

Która to godzina? Zerkam na przegub, choć nie mam zegarka. Nie noszę go od tamtej nocy. Co za różnica, która godzina? Czas się zatrzymał.

– Chcieliśmy panią poinformować o rozwoju wypadków. – Przez twarz policjanta przebiega skurcz strachu. Castillo cofa się o krok i wskazuje moją rękę. – Czy to nóż?

Idę za jego wzrokiem i parskam śmiechem.

– Twoja matka miała rację – rzucam do Claire. – Że upuszczony nóż zapowiada wizytę mężczyzny.

– Chyba nie rozumiem – mówi Dube.

– Proszę mi go oddać – dodaje Castillo.

– Nie jest bardzo ostry. – Oddaję go, chichocząc. – Pachnie łososiem.

– Widzę, że trochę sobie pani wypila – zauważa Castillo.

– Wyborne kalifornijskie – oznajmiam. Claire unosi ostrzegawczo palec do ust. – Macie panowie ochotę? – pytam mimo to. To nie w jej stylu, tak mi utrudniać.

– Nie, dziękujemy. Nadal jesteśmy na służbie.

– Rozmawialiście z Davidem Trotterem? – pyta Claire.

Usiłuję sobie przypomnieć, kim jest David Trotter. Dlaczego to nazwisko brzmi tak znajomo?

– Tak.

– Tak. Okazuje się, że jego matka dostała wylewu w nocy zajścia na siłowni – zaczyna Castillo.

Co to wszystko ma wspólnego ze mną? Jakie zajście na jakiej siłowni i co matka Davida Trottera ma wspólnego z czymkolwiek?

– Mieszka w Palm Beach, więc Trotter wyjechał, gdy tylko się dowiedział. Wrócił dopiero dziś wieczorem. Wtedy się z nim skontaktowaliśmy.

– Spytał go pan o Bailey? – chce wiedzieć Claire.

– Tak. Twierdzi, że tej nocy, gdy została zaatakowana, był na jakimś wielkim przyjęciu z co najmniej sześcioma potencjalnymi inwestorami.

– Uwierzyliście mu?

– Sprawdzimy jego alibi. Podobnie jak historię o matce.

– Jak ona się czuje? – pytam.

Policjant spogląda na mnie zaskoczony.

– Zdaje się, że dochodzi do siebie.

– Cieszy mnie to. – Czuję, że się chwieję. Miło usłyszeć, że ktoś dochodzi do siebie.

– Może powinniśmy usiąść – proponuje Claire.

– A co z Narcyzem? – wpadam jej w słowo.

– Z kim? – pytają obaj mężczyźni.

– Z tym faetem, który przyglądał mi się przez lornetkę – wyjaśniam niecierpliwie.

– Mężczyzna, z którym rozmawialiśmy, nazywa się Paul Giller – zaczyna oficer

Dube, zaglądając do notatek. – Jak go pani nazwała?

– Narcyz... – powtarzam.

– Nadałyśmy mu takie przyzwisko, bo mnóstwo czasu spędza na oglądaniu się w lustrze – dodaje Claire.

– Wie pan, ze starego greckiego mitu – wyjaśniam.

Oficer Dube przewraca oczami, oficer Castillo kręci głową.

– Co ten Paul Giller miał na swoją obronę? – chce wiedzieć Claire.

– Rozumie pani, że musieliśmy zachować ostrożność. Nie można po prostu odwiedzić człowieka i powiedzieć mu, że podejrzewamy go o gwałt, nie mając dowodów. Ponadto jeśli to on, nie chcemy go spłoszyć, zanim zdobędziemy te dowody.

– Co powiedział? – pyta znowu Claire, a ja opieram się o ścianę. W głowie zaczyna mi się przejaśniać. W skroni czai się tępy ból. – Ma alibi na noc, podczas której napadnięto moją siostrę?

– Nie doszliśmy do tego.

– Co to znaczy? To po co tam poszliście? Co mu powiedzieliście?

– Że sąsiedzi skarżyli się, że obserwuje ich przez lornetkę...

– I?

– Zaprzeczył. Powiedział, że się pomyliliśmy, że nawet nie ma lornetki.

– No jasne, że tak powiedział.

– Zaproponował, żebyśmy przeszukali jego mieszkanie – mówi Dube takim tonem, jakby to kończyło wszelką dyskusję.

– I zrobiliście to? – pyta Claire.

– Nie – odpowiada Castillo. – Wyjaśniliśmy mu.

– Co właściwie, jeśli łaska?

– Że podglądanie sąsiadów przez lornetkę może go zaprowadzić na salę sądową.

O czym i panie powinny pamiętać.

– I już? To koniec waszego śledztwa?

– Nie. Sprawdzimy historię Paula Gillera, dowiemy się, jak zarabia na życie, czy był notowany, takie sprawy. Poza tym nie możemy zrobić wiele więcej. Chyba że chce pani dokonać identyfikacji... – dodaje, patrząc na mnie.

Kręcę głową i widzę, że pokój niebezpiecznie się przechyla.

– A trafiliście do właściwego mieszkania? – upewnia się Claire.

– Apartament 2706. Trzecie piętro od góry, czwarte okno od lewej. – Dube jeszcze raz zagląda do notatek. – Taką informację otrzymaliśmy od pań. Czy jest nieścista?

– Trzecie piętro od góry, czwarte okno od lewej. Zgadza się.

– Zatem przykro mi – oznajmia Castillo – ale dopóki nie znajdzie pani czegoś konkretniejszego, mamy związane ręce.

– Rozumiem – mówię szczerze. Dlatego właśnie istnieją prywatni detektywi, dodaję w myślach, ludzie tacy jak ja, których nie obowiązują ograniczenia. Tylko że nie jestem już osobą taką jak tamta ja. – Dziękujemy za informację.

– Będziemy panią powiadamiać o postępach śledztwa.

Otwieram drzwi. Policjanci wychodzą. Castillo zatrzymuje się w progu i oddaje mi nóż.

– Proszę to odłożyć – radzi.

Biorę nóż i zamykam drzwi.

– Muszę się napić – oświadcza Claire.

*

– O mój Boże. Tylko patrz! – Claire zanosi się śmiechem. Siedzimy na podłodze w mojej garderobie, z wyciągniętymi nogami, wokół nas ścielą się fotografie, otaczając nas jak staromodne krynoliny. – Spójrz na moje włosy!

– Moim zdaniem wyglądasz słodko.

– Bo się upiłaś.

– Owszem. – Chwytam kolejną garść zdjęć, pamiątki, które ja i Heath odziedziczyliśmy po ojcu, choć Heath nie okazuje za-interesowania fotografiami, na których sam nie figuruje. Mam także kilka starych albumów pełnych fotek z poprzednich dwóch małżeństw ojca: zdjęcie Claire wciśniętej między ojca i matkę, która jest w ciąży z Gene'em, zdjęcie obojga dzieci wpatrzonych z uwielbieniem w ojca, który spogląda na coś w oddali.

Otwieram następny album i widzę moich przyrodnich braci, Thomasa, Richarda i Harrisona. Śledzę ich rozwój od niemowlęctwa po dojrzevanie. Znajduję nawet fotografię Gene'a jako nastolatka w pełnym stroju futbolowym. Zauważam podobieństwo żon numer jeden i dwa, całkiem innych od mojej matki.

– Wyglądają smutno, prawda? – stwierdza Claire. W jej oczach maluje się taki sam smutek.

Mam ochotę ją przytulić, ale tego nie robię. Wstaję i zaczynam szperać w szufladach.

– Co robisz? – pyta Claire.

To, czego szukam, znajduję w końcu w głębi jednej z szuflad. Szybko wypisuję czek.

– Dla ciebie – mówię, podając go jej i siadając trochę ciężiej, niż powinnam; alkohol szumiący mi w głowie amortyzuje zderzenie z podłogą.

– Co to?

– Chcę ci to dać.

– To dziesięć tysięcy dolarów! Nie mogę tego przyjąć. – Claire usiłuje wcisnąć mi czek do ręki.

– Chociaż tak mogę ci podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

– Za dużo wypłaś – ostrzega. – Nie wiesz, co robisz.

– Doskonale wiem, co robię. Uznaj to za zaliczkę.

– Co to znaczy?

No właśnie, co to znaczy? Że na serio rozważam ugodę z moim rodzeństwem, podzielenie rodzinnej fortuny? Nie powinnam tego najpierw przedyskutować z Heathem?

– Lepiej porozmawiaj o tym z Heathem – mówi Claire, jakby czytała w moich myślach. Rzuca mi czek na kolana.

– To nie w porządku, że martwisz się o pieniądze.

– Kto powiedział, że...? Aha. Rozumiem, że Jade naopowiadała ci bajek.

– Powiedziała tylko, że czasem się martwisz.

– Dobrze nam się powodzi. Mam stałą pracę. Gene pomaga, jak może. Płaci za tę snobistyczną prywatną szkołę Jade. Rodzice jej koleżanek mogą sobie pozwolić na letnie domki na Fisher Island.

– Ale nasz ojciec zapewnił środki na edukację Jade...

– Na studia – przypomina Claire. – Kto wie, czy do tego dojdzie.

– Dojdzie – mówię bez najmniejszego wahania. Ostatnio jestem pewna tylko jednego: że będziemy dumne z Jade. Znowu podaję czek mojej siostrze. – Proszę. Weź.

Claire waha się, potem wzdycha i wsuwa czek do kieszeni spodni.

– Ale go nie zrealizuję, na wypadek gdybyś zmieniła zdanie, kiedy alkohol wywietrzeje ci z głowy.

– Nie zmienię zdania.

Po raz drugi tego wieczoru w jej oczach stają łzy. Tym razem nie stara się ich ukryć.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie musisz nic mówić.

Claire bierze mnie w ramiona, mocno przytula. Czuję się bezpieczna, jakbym wreszcie wróciła do domu. Potem dzwoni jej komórka, a ja podskakuję i się cofam. To Jade raportuje, że wróciła z Fisher Island.

– Muszę iść – mówi Claire.

– Czekaj. Weź je ze sobą. – Biorę albumy ze zdjęciami i fotografie mojego przyrodniego rodzeństwa i wychodzę za nią do sypialni. Światło się pali, rolety są opuszczone.

– Możesz się nimi podzielić z Gene'em i innymi.

Claire bierze ode mnie albumy.

– Dziękuję. Za wszystko.

– Ja dziękuję tobie. Za jeszcze więcej.

Claire jest już prawie przy drzwiach sypialni, kiedy zatrzymuje się i odwraca do mnie, poruszając figlarnie brwiami.

– Co powiesz? Ostatni rzut oka, za stare czasy?

Rzuca albumy na łóżko i wyłącza światło podnosi rolety. Podchodzi do okna z moją lornetką.

– Chyba nie ma go w domu – oznajmia po paru sekundach. – No, cóż. Tak pewnie jest lepiej. – Bierze albumy i wychodzi na korytarz. Przy drzwiach mnie obejmuje. Rozpływam się w jej uścisku. – Zadzwonię jutro.

Czuję, że w mojej głowie kształtują się słowa, już prawie padają z moich ust, ale Claire wychodzi, zanim udaje mi się je wypowiedzieć. Drzwi zamykają się za nią, a ja obserwuję przez wizjer, jak odchodzi korytarzem.

– Kocham cię – szepczę.

Claire zatrzymuje się nagle i odwraca, jakby mnie usłyszała. Macha mi i znika w windzie.

*

Gdy wracam do sypialni, w mieszkaniu Paula Gillera pali się światło. Wstrzymuję oddech, biorę lornetkę i podchodzę do okna. Przez małe krążki soczewek widzę mężczyznę i kobietę, poruszających się ze skrepowaniem po pokoju. Zerkam na zegarek przy łóżku, cyfry lśnią czerwienią. Nie ma nawet jedenastej, za wcześnie na powrót dla mężczyzny takiego jak Narcyz. A może teraz, gdy stał się zwykłym Paulem Gillerem, przesunął plan dnia o godzinę.

Tylko że nie zgadza się coś jeszcze.

Kobieta. Reguluję ostrość. Ta jest o wiele mniej efektowna od tych, z którymi widziałam go przez cały tydzień. Włosy ma krótsze i jaśniejsze. A Paul Giller ani myśli się do niej dobierać. Stoi po drugiej stronie pokoju, całkowicie ubrany, i przerzuca strony gazety.

Co się dzieje?

Dopiero potem zauważam walizkę na łóżku. Paul się dokądś wybiera? Czy dzisiejsza wizyta policji skłoniła go do wyjazdu na parę dni, tak jak Davida Trottera? Zastanawiam się, czy Giller także ma matkę, którą w razie potrzeby można zawieźć do szpitala.

Paul podnosi głowę znad magazynu, gdy kobieta podchodzi do łóżka i zaczyna rozpakowywać walizkę: dzinsowa kurtka, bluzka, druga bluzka, dzinsy, folkowa spódnica, buty na płaskim obcasie. Same nudne ciuchy. Nic seksownego. Żadnych

koronkowych koszulek nocnych czy podniecającej bielizny. Kobieta znika w garderobie i wraca z garścią wieszaków. Umieszcza na nich spódnicę, dżinsy, kurtkę i odnosi do garderoby. Bluzkę wrzuca do kosza na bieliznę przy łóżku. Buty odkłada do worka wiszącego na drzwiach szafy. Najwyraźniej czuje się tu jak w domu.

Żona? Kieruję spojrzenie na jej ręce, starając się dostrzec błysk złotej obrączki na właściwym palcu, ale jestem za daleko. Nie mam pewności.

Doświadczenie podpowiada mi, że to jego żona. Wyjechała na tydzień, przez który Paul zmienił się w Narcyza i spełniał swoje najbardziej szalone fantazje. Czy ona wie, kim staje się jej mąż, gdy ona traci go z oczu? Czy to ją obchodzi?

Kobieta idzie do łazienki i zamyka drzwi. Paul natychmiast rozbiera się do bokserek i kładzie się do łóżka. Tym razem nie preży się przed lustrem, nie paraduje nago przed oknem, nie zagląda do mojego mieszkania przez lornetkę. Może rozmowa z policjantami go przestraszyła. A może, tak jak powiedział, nawet nie ma lornetki. Może wszystko to sobie wyobraziłam, tak jak pewnie sądzą funkcjonariusze Castillo i Dube.

Paul przegląda leniwie magazyn, a jego żona, jeśli to żona, wraca z łazienki w delikatnej koszulce z różowej koronki. Uczesła się i postarała wyglądać ładnie. Ale Paul nie zwraca na nią uwagi, dopóki kobieta nie wyciąga ręki do wyłącznika światła. Wtedy powstrzymuje jej dłoń i z pewnym rozdrażnieniem pokazuje magazyn, który czyta.

Żona Paula kładzie się obok niego. Opiera się o wezglowie, zerkając niespokojnie na męża, jakby siłą woli starała się go skłonić, by przerwał lekturę i wziął ją w ramiona. Po paru minutach postanawia przejąć inicjatywę. Nieśmiało gładzi go po udzie. Paul opuszcza magazyn i kręci głową. Niemal słyszę, jak mówi: „Już późno. Jestem zmęczony”. Kobieta kiwa głową i przez chwilę siedzi w milczeniu. Potem odsuwa się i nakrywa głowę kocem, żeby światło jej nie raziło. A może ukrywa łzy. Nawet z daleka czuję jej wstyd.

Niespełna pięć minut później Paul, zwany też Narcyzem, rzuca magazyn na podłogę i wyciąga rękę, żeby zgasić światło. Zostaję w ciemności, z obrazem jego żony zakrywającej głowę kocem. Czuję poszewkę na swojej twarzy, czuję wstyd rozlewający mi się w żyłach i biegnący do serca.

Telefon dzwoni tuż przed siódmą następnego ranka.

Wyrywa mnie ze snu, choć nie pamiętam nawet, żebym się kładła do łóżka, nie mówiąc już o zaśnięciu. Najwyraźniej zrobiłam obie te rzeczy jednocześnie. Mętnie przypominam sobie rekiny pływające wokół moich stóp, mężczyzn bez twarzy wyciągających do mnie ręce w rękawiczkach, bierne kobiety obserwujące mnie z dalekich balkonów. W głowie mi dudni, a w język wżarł się smak wina, nieprzyjemne przypomnienie o alkoholu, który wlałam w siebie wczoraj wieczorem.

– Halo? – szepczę, przyciskając słuchawkę do ucha, a potem znowu, mimo ciągłego sygnału, który mnie wita, powtarzam: – Halo? Kto tam?

Rzucam słuchawkę i padam na poduszkę. Drzemię jeszcze przez godzinę, aż znowu przeraźliwy dzwonek wyrywa mnie ze snu jak szarpnięcie za ramię. Tym razem pamiętam, żeby sprawdzić numer na wyświetlaczu. Nieznany.

– Heath? – pytam bez wstępów. Tępe pulsowanie bólu rozsadza mi skronie. – Heath, to ty?

Nikt nie odpowiada i już mam się rozłączyć, zlekceważyć ten telefon jak poprzedni jako poranną kontynuację nocnych koszmarów, kiedy słyszę czyjs oddech.

Kiedy po nim rozlega się głos, brzmi cicho i chrapliwie, jak żwir pod oponami.

– Powiedz, że mnie kochasz – charczy mi w ucho.

Krzyczę i rzucam słuchawkę, która odbija się od podłogi i zatrzymuje na marmurowych płytkach w łazience.

– Nie! – jęczę, opadając na kolana przy łóżku. – Nie, nie, nie, nie.

Telefon dzwoni niemal natychmiast potem. Raz... dwa... trzy... cztery razy, każdy sygnał jak cios nożem w moją pierś. Jeśli nie przestanie, umrę.

Przestaje i dopiero wtedy zaczynam oddychać, płytko i z trudem. Z drżącymi rękami dopełzam do słuchawki leżącej na podłodze jak przewrócony na grzbiet żuk. Spoglądam na wyświetlacz, spodziewając się słów „Numer nieznany”, tymczasem widzę: „Carlito” i numer. Co za Carlito? Co to wszystko znaczy? Szybko oddzwaniam. Ktoś natychmiast odbiera.

– Halo – rzucam, nie czekając, aż się odezwie.

– Powiedz, że mnie kochasz – charczy obleśnie głos.

– Nie! – Natychmiast rzucam telefon i wybucham płaczem.

Po sekundzie znowu rozlega się dzwonek. „Carlito” ukazuje się bezczelnie na

wyświetlaczu. I znowu nie odbieram, czekam przez cztery sygnały, kiedy włączy się poczta głosowa. Po paru sekundach słyszę informację: „Masz dwie nowe wiadomości. Aby ich wysłuchać, naciśnij 1”. Wciskam. „Pierwsza nowa wiadomość”.

– Dzień dobry, tu Johnny K. z warsztatu Carlita – informuje mnie głos. – Dzwonię, żeby powiedzieć, że skończyliśmy pani porsche i może je pani odebrać.

Zostawia numer kontaktowy.

– Boże... – Atakuje mnie nowa fala łez. Co to znaczy?

Powiedz, że mnie kochasz.

„Druga nowa wiadomość”, informuje poczta głosowa, a ja usiłuję oddzielić iluzję od wyobraźni.

– Dzień dobry. Tu Jasmine z warsztatu Carlita – mówi jakaś kobieta. – Czy pani do nas oddzwoniła? Chyba nas rozłączyło. – Zostawia ten sam numer kontaktowy.

Oddzwaniem. Znowu ktoś odbiera, zanim przebrzmi pierwszy sygnał. Tym razem daję mu szansę się odezwać.

– Warsztat Carlita. Tu Jasmine. Gdzie mam przełączyć?

– Mogę rozmawiać z Johnnym? – pytam.

– Johnnym K. czy Johnnym R.?

– Co?

– Johnnym R. czy Johnnym K.? – powtarza, tym razem odwrotnie.

– Nie wiem. Chwileczkę. – Odtwarzam w pamięci wiadomość: „Tu Johnny K. z warsztatu Carlita”. – Z Johnnym K. – rzucam głośniejszym głosem, niż zamierzałam. Wyobrażam sobie, jak biedna kobieta odsuwa słuchawkę od ucha.

– Czy to pani do nas zadzwoniła parę minut temu? – pyta.

– Chyba nas rozłączyło.

– Wydawało mi się, że ktoś krzyknął „Nie!” czy coś w tym stylu. Dziwne.

– Naprawdę? Rzeczywiście dziwne.

– Proszę zaczekać, łączę z Johnnym.

Krótki przerywnik z salsy.

– Tu Johnny Kroft.

Ten sam głos co na nagraniu poczty głosowej. Nie taki jak tamten.

– Tu Bailey Carpenter. Zdaje się, że dzwonił pan w sprawie mojego samochodu.

– Zgadza się. Srebrne porsche.

– Tak jest.

– Przepraszam, że zadzwoniłem tak wcześnie. Chciałem panią złapać przed wyjściem do pracy.

– O siódmej rano?

– O siódmej? Nie, dziesięć minut temu.

Dziesięć minut temu, powtarzam w myślach.

– Powiedział pan, że mój samochód jest gotowy?

– Tak. Miał dość głębokie zadrapanie na masce i zbity reflektor, no i parę

mniejszych wgnieceń z boku. Będzie kosztować cztery tysiące siedemset dolarów i dwadzieścia sześć centów.

„Powiedz, że mnie kochasz”.

– Co?

– Przykro mi. Wiem, że to dużo – usprawiedliwia się Johnny Kroft.

Co się dzieje?

– Ale co można na to poradzić? – dodaje. – To porsche, nie? Drogi samochód, drogie naprawy.

– Co pan powiedział?

„Powiedz, że mnie kochasz”.

– Co powiedziałem? – powtarza. – Drogi samochód, drogie naprawy... – mówi pytającym tonem, jakby sam nie był pewien. – Przepraszam. Nie chciałem pani obrazić. Oczywiście to mnóstwo pieniędzy...

– Nie powiedział pan, żebym...? – urywam. Jasne, że nie powiedział. Funkcjonujemy w dwóch różnych rzeczywistościach. Moja jest taka, że najwyraźniej oszalałam. – Więc mogę odebrać samochód?

– Kiedy tylko pani zechce. – Podaje mi adres na rogu Third Street i Northwest First Avenue, o krok od mojego mieszkania. Obiecuję, że wpadnę dzisiaj. On odpowiada, że chętnie mi pokaże, co zrobili, i dodaje, że jego zdaniem będę zadowolona.

Powiedz, że mnie kochasz.

Odkładam słuchawkę. Ale słowa drążą mi mózg. „Powiedz, że mnie kochasz”. „Powiedz, że mnie kochasz”. „Powiedz, że mnie kochasz”. Idą za mną pod prysznic. „Powiedz, że mnie kochasz”. „Powiedz, że mnie kochasz”.

– No to oficjalnie ci odbiło – powiadamiam siebie, ściągając mokre włosy w kucyk. Wychodzę spod prysznica i ubieram się – obszerne białe dżinsy i luźny czarny dzianinowy top – po czym unoszę roletę i patrzę na mieszkanie Paula Gillera. Nawet bez lornetki widzę jego i jego żonę poruszających się po sypialni. Są ubrani – on w sportową koszulę i dżinsy, ona w uniform podobny do tego, który nosi moja dentystka. Mijają się przed łóżkiem, nie dotykając się.

Dzwoni telefon, a ja podskakuję.

– Halo?

– Tu Claire. Obudziłam cię?

– Nie. Już wstałam. – Nie przyznaję się, na czym minął mi czas od siódmej, kiedy pierwszy dzwonek telefonu brutalnie wyrwał mnie ze snu, bo nie jestem już pewna niczego. Powtarzam sobie, że wypłam z Claire prawie dwie butelki wina i że alkohol nadal krąży w moich żyłach, bez wątpienia sprawiając, że słyszę słowa, których nikt nie wypowiedział. Nie dzwonił do mnie gwałciciel, żaden głos nie wymaga, żebym coś powiedziała. Dostałam jedynie wiadomość z warsztatu Carlita.

– Mój samochód jest gotowy – mówię. – Zamierzałam pójść go odebrać.

– Proszę, powiedz mi, że nie chciałaś sama wrócić nim do domu. – Claire nie czeka

na odpowiedź. – Zaraz będę.

– Nie, to twój dzień wolny. Masz wypoczywać i niczym się nie przejmować...

– Nie kłóć się ze mną – ucina moja siostra. – Zawsze chciałam przejechać się porsche.

Odkłada słuchawkę, a ja wracam do okna. „Chyba zauważyłaś, że mężczyzna, którego obserwujesz, pasuje do opisu gwałciciela”, powiedziała Claire. Czy to możliwe?

Kim w ogóle jest Paul Giller?

Po chwili pochylałam się nad komputerem w drugim pokoju. Od tygodni nawet na niego nie spojrzałam. Moje ręce zastygają, drżąc, nad klawiaturą. To twój zawód, mówię do siebie. Tym się zajmujesz. Jeśli nie zaczniesz czegoś robić, czegoś konkretnego, nigdy nie odzyskasz zdrowych zmysłów.

Wyszukuję w Google’u Paula Gillera.

Na ekranie natychmiast pojawia się ponad tuzin wyników. Kilka od razu odrzucam. Dwa dotyczą fotografa Paula Gillera z Teksasu, inne Paula Gillera, który, ukończywszy sto sześć lat, jest najstarszym mieszkańcem Ohio. Ale następne pięć to informacje o Paulu Gillerze, który mieszka w Miami, Paulu Gillerze, którego rząd efektownych portretów przypomina człowieka z naprzeciwka. Aktor, jak czytam na jego profilu w internetowej bazie danych filmowców. Więcej na IMDbPro, dodaje strona. Kontakt, widok, dodaj lub zmień zdjęcia. Ciekawe, czy Heath go zna.

Po paru minutach poznaję jego drugie imię (Timothy), datę urodzenia (12 marca 1983 roku), miejsce urodzenia (Buffalo w stanie Nowy Jork), wiem, że jest synem bardzo szanowanego, nieżyjącego już dyrygenta (Andrew Gillera) i że ma swoją stronę (www.paulgiller.com). Natychmiast na nią zaglądam.

Zawiera krótką biografię, listę numerów kontaktowych do agentów, które spisuję, oraz jego CV (role epizodyczne w kilku kręconych tu filmach i mała, ale stała rola w zdjętym już z anteny serialu telewizyjnym, który parę lat temu kręcono w Los Angeles). Krótki opis informuje, że Paul Giller ma metr osiemdziesiąt dwa i waży dziewięćdziesiąt pięć kilo. Doświadczenie uczy mnie, żeby odejmować pięć centymetrów i dodawać dziesięć kilo, ale w przypadku Paula Gillera opis wydaje się dokładny. Z jego biografii wynika także, że spędził trochę czasu w Nashville, gdzie nagrał album, obecnie dostępny na iTunes. Mogę posłuchać próbki, jeśli zechcę. Nie chcę. Wymienia także kilka reklam, na ogół lokalnych.

I znowu nachodzi mnie ta niepokojąca myśl, że Heath może go znać. Czy istnieje między nimi jakiś związek?

– Nie bądź śmieszna – mówię głośno, nagle rozgniewana, choć nie wiem dlaczego. Wychodzę ze strony Paula Gillera i loguję się na Facebooku.

Ponieważ nie jestem „znajomą” Paula, mam ograniczony dostęp do jego strony. Ale widoku swoich zdjęć mi nie odmówił: na niektórych pozuje poważny, na innych z uśmiechem, na paru profilem i bez koszuli. Nie widzę jego zdjęć z innymi ludźmi,

mężczyznami ani kobietami, żadnej fotografii kobiety, z którą widziałam go wczoraj wieczorem i dziś rano, ani kobiet, które przyprowadzał do domu w zeszłym tygodniu. Brak wzmianki o żonie.

Z życzeń powrotu do zdrowia zamieszczonych na jego ścianie wnioskuję, że Paul Giller spędził ostatnio parę dni w szpitalu z powodu wirusowego zapalenia płuc. Jeśli był tam w nocy, kiedy mnie zaatakowano, to by go wykluczało jako podejrzanego.

Wychodzę z Facebooka i dzwonię pod numer agencji Paula.

– Dodzwonili się państwo do agencji Reed, Johnson i Wspólnicy, reprezentującej największe talenty Miami – oznajmia nagrany kobiecy głos. – Obecnie agencja jest nieczynna. Jeśli chcą państwo zostawić wiadomość dla Selmy Reed, proszę nacisnąć 1. Jeśli chcą państwo zostawić wiadomość dla Marka Johnsona, proszę nacisnąć 2. Jeśli chcą państwo...

– Państwo nie chcą – mamroczę, rozłączam się i wracam do sypialni.

Co ja sobie wyobrażałam? No jasne, że agencja jest zamknięta. Dopiero wpół do dziewiątej.

Podchodzę do okna i biorę lornetkę. Paul i jego towarzyszka nadal są w sypialni i nadal nie zwracają na siebie uwagi, starannie omijając się w ciasnej przestrzeni. Kobieta sięga do torebki, wyjmuje szminkę i maluje usta, nie patrząc w lustro, a potem wychodzi zdecydowanym krokiem z pokoju. Paul też.

Dokąd idą?

Żona Paula pewnie do pracy – tak sugeruje jej strój i pora dnia. Za to jego strój niczego nie zdradza. Dokąd to tak wcześnie rano?

Nie zastanawiam się nad tym, co postanowiłam, nawet nie uświadamiam sobie, co postanowiłam, i już biegnę korytarzem, chwytam torebkę i zmierzam do drzwi. Jeśli się zatrzymam i zastanowię, choćby przez minutę, porzucę to szaleństwo i wrócę do bezpiecznego łóżka.

Tylko że w łóżku też ogarnia mnie szaleństwo.

Winda zjawia się po paru sekundach i już mam do niej wejść, kiedy widzę stojącego w niej mężczyznę. Jest wysoki i masywny, o siwiejących włosach i nosie zbyt wąskim przy szeroko rozstawionych oczach. Kolana prawie uginają mi się z ulgi. To nie on mnie zgwałcił.

Choć, czy mogę mieć pewność?

– Jedzie pani ze mną? – pyta mężczyzna z uśmiechem.

Waham się przez chwilę i instynkt detektywa wpycha mnie do windy. To twój zawód. Tym się zajmujesz. A jedynym sposobem na odzyskanie kontroli nad swoim życiem jest jej przejęcie. Skoro policjanci nie mają prawa prowadzić śledztwa w sprawie Paula Gillera, ja mogę to zrobić. Oni nie mogą śledzić go bez tak zwanej wystarczającej przyczyny, ale mnie nic nie ogranicza.

Ja mogę go śledzić, ile chcę. Nikt mnie nie powstrzyma.

Winda zatrzymuje się na dwudziestym piętrze. Wsiadają mężczyzna i kobieta

w średnim wieku. Uśmiechają się. Nie ma się czego bać. Już ci lepiej, odzyskujesz panowanie nad życiem. Tak myślę, kiedy winda znowu się zatrzymuje, tym razem na trzynastym piętrze.

Drzwi się otwierają i wsiada David Trotter.

Krzyczę. Wszyscy odwracają się w moją stronę, a ja cofam się w kąt. Mam ochotę zapaść się pod ziemię, ale jest za późno, David Trotter już mnie zobaczył. Gapi się na mnie.

– Co z tobą, do cholery? – rzuca. Drzwi windy zamykają się za nim. – Co ja ci zrobiłem?

– Proszę mi dać spokój.

– Dać ci spokój? Moja matka dostała wylewu, na miłość boską! Leży w szpitalu w Palm Beach. Musiałem tam pojechać, nie sypiam od wielu dni, a jak wracam do domu, czeka na mnie policja...

– Przepraszam. To było nieporozumienie...

– No myślę!

– Proszę...

– Spokojnie – odzywa się siwowłosa mężczyzna.

– Chciałem ci pomóc!

– To była pomyłka.

– Niech się pan uspokoi – rzuca kobieta. – Pan ją straszy.

– Ja ją straszę? Ta dziwka oskarżyła mnie o gwałt!

– Boże... – Czuję, że osuwam się na podłogę. Winda zatrzymuje się na parterze, drzwi się otwierają, ukazując zalany słońcem hol.

– Nie zbliżaj się do mnie – ostrzega David Trotter, celując we mnie palcem wskazującym jak pistoletem. Potem wychodzi z windy.

– Mogę pani pomóc? – pyta siwowłosa mężczyzna, wyciągając do mnie rękę.

Kręcę głową i z trudem dźwigam się z podłogi. Potem mijam go i wychodzę.

– Co to było? – słyszę czyjeś pytanie, mijając pośpiesznie recepcję.

– Panno Carpenter! – woła inny głos, ale ja się nie zatrzymuję.

Po paru minutach stoję przed budynkiem Paula Gillera. Nie wiem, co dokładnie zamierzam zrobić, ale na pewno to zrobię.

*

Budynek, w którym mieszka Paul Giller i przed którego ozdobnymi drzwiami z kutego żelaza i szkła właśnie stoję, jest o kilka pięter wyższy od tego, w którym mieszkam, i utrzymany w bardziej surowym nowoczesnym stylu. A może po prostu surowym. Hol cały w bieli – białe marmurowe ściany i posadzki, jedna biała sofa, w kącie sztuczne białe kwiaty sięgające z białego porcelanowego wazonu aż pod

wysoki sufit. Za mało mebli jak na taką przestrzeń, co może świadczyć o całym budynku, który od czasu ukończenia stoi na pół pusty. Początkowo pomyślano go jako luksusowy apartamentowiec, taki jak mój. Potem, gdy był prawie gotowy, nastąpiło nagle załamanie gospodarki. Lokatorzy uciekali masowo. Ceny spadły na łeb, na szyję. Chętnych na mieszkania było coraz mniej, potem całkiem znikli. Wówczas deweloper zmienił taktykę. Postanowił wynająć pozostałe mieszkania, choć sądząc po dużych reklamach na fasadzie (luksusowe apartamenty do wynajęcia na miesiąc, dłuższe okresy niewymagane), ten pomysł sprawdził się umiarkowanie. Zauważam, że w recepcji nikt nie siedzi, a domofon znajduje się tuż za drzwiami wejściowymi. Otwieram je – są lżejsze, mniej solidne, niż się wydają – i znajduję na liście nazwisko Paula Gillera oraz numer jego mieszkania. Zauważam także, że budynek ma zarządcę, ale kiedy wciskam guzik – sporządzając w pamięci listę pytań, które mu zadam – nikt nie odbiera.

Wtedy ich dostrzegam.

Idą ramię w ramię przez hol i choć się nie dotykają, zachowują się dość przyjaźnie. Na pewno przyjaźniej niż przed chwilą w mieszkaniu. On pochyla się do niej, ona uśmiecha się w odpowiedzi na coś, co powiedział. Może w windzie przeprosił za swoje chamskie zachowanie poprzedniego wieczoru, powiedział słowa, których potrzebowała. Kto wie? Widzimy to, co chcemy widzieć. Słyszymy to, co chcemy słyszeć.

Nie zawsze, przypominam sobie.

„Powiedz, że mnie kochasz”.

Obracam się gwałtownie. Jakiś mężczyzna, przechodząc, potrąca mnie ramieniem, jakbym była niewidzialna.

Nie czuję już siebie – uświadamiam sobie w panice, kiedy moje odbicie w pobliskiej szybie znika w nagłym rozbłysku słońca. Nie wiem już, co jest prawdą, a co wytworem mojej wyobraźni. Nie wiem już, kim jestem.

Ale przecież wiem. Jestem prywatnym detektywem. I robię to, co potrafię najlepiej: obserwuję.

Pochylam głowę, gdy Paul Giller i jego żona, jeśli nią jest, przechodzą obok mnie, niemal na wyciągnięcie ręki, i opuszczają budynek. Patrzą, jak stają na krawężniku i czekają na zmianę świateł.

Ten sam impuls, który mnie tu przywiódł, każe mi iść za nimi. Nadal mnie nie zauważyli, a ja staram się zachować bezpieczną odległość. Przystają na następnym rogu, całują się lekko i rozchodzą w dwie strony. Przez chwilę nie wiem, za kim iść, ale Paul ułatwia mi wybór, zatrzymując taksówkę i wsiadając do niej. Znika w porannym korku. Pani Giller, jak zaczęłam o niej myśleć, idzie dalej pieszo.

Ruszam za nią, by nie stracić jej z oczu.

Ta okolica stanowi dziwne połączenie starego i nowego, wysokich szklanych drapaczy chmur i parterowych sklepików z różnościami, wyrafinowanych

restauracji i rozchwianych straganów z owocami, egzotycznymi i miejscowymi, istniejących obok siebie, zrosniętych ze sobą i nierozdzielnych, choć nie zawsze do siebie dopasowanych. I chociaż w dzielnicy biznesowej językiem urzędowym jest angielski, tu słyszy się głównie hiszpański.

Ale tego ranka nie słyszę nic. Widzę tylko kobietę w jasnoniebieskim uniformie, idącą energicznie ulicą, z rozkołysanymi rękami. Jestem zaledwie parę kroków za nią, kiedy ona nagle zatrzymuje się i odwraca. Spodziewam się pytania: „pani mnie śledzi?”.

Ale nie. Kobieta podchodzi do wystawy i patrzy na pantofle w neonowych kolorach. Czekam, wstrzymując oddech. Po paru chwilach tęsknego wpatrywania się w malinowo-fioletowe szpilki na przerażająco wysokich obcasach, pani Giller odwraca się od wystawy. Przyklękam na jedno kolano, udając, że zawiązuję but, choć gdyby ona dobrze mi się przyjrzała, zauważyłaby, że noszę klapki. Wstaję chwiejnie, gdy ona rusza dalej.

Młody mężczyzna mija mnie z takim impetem, że prawie mnie przewraca.

– ...praszam – rzuca przez ramię, nie zatrzymując się.

Potrącona, obracam się wokół własnej osi i omal nie upadam na chodnik. Na szczęście czyjeś ręce powstrzymują mój upadek. Jedna muska mój biust.

Odrzucam ją, odskakując jak oparzona.

– Spokojnie – mówi mężczyzna w średnim wieku, unosząc obie dłonie, jakby ktoś mierzył do niego z pistoletu. Kręci głową i odchodzi, mrużąc coś pod nosem.

– Nic się pani nie stało? – pyta jakaś kobieta.

– Nic – odpowiadam i dodaję: – Dziękuję.

Nawet jeśli nieznajoma mnie słyszy, nie zdradza tego; ginie w tłumie.

Zginęła także pani Giller. Rozglądam się wkoło, ale nigdzie jej nie ma. Ogarnia mnie wielka ulga i równie wielkie rozczarowanie. Co właściwie spodziewałam się osiągnąć? Tak będzie lepiej, wmawiam sobie, postanawiając skontaktować się z zarządcą budynku Paula Gillera i wydobyć z niego potrzebne informacje.

I nagle ją dostrzegam.

Obróciwszy się, widzę swoje odbicie w szybie zakładu fryzjerskiego, który właśnie się otwiera. Pani Giller stoi za kontuarem recepcji wraz z inną młodą kobietą o długich, kręconych ciemnych włosach i ogromnych kolczykach kołach. Śmieją się. Otwieram drzwi; chłodny strumień klimatyzowanego powietrza spływa na mnie z otworów w suficie. Kobiety nadal rozmawiają, nie zwracając uwagi na moją obecność.

– Kogo mam pierwszego? – pyta pani Giller kobiety z wielkimi kołami.

Ta sprawdza w komputerze.

– Loretę De Souse, za pół godziny.

Ramiona pani Giller opadają.

– Cholera. Co za początek tygodnia. Nigdy jej się nie podoba kolor, który wybierze.

Nie ma cierpliwości, żeby siedzieć nie-ruchomo i czekać, aż paznokcie wyschną. Potem je rozmazuje i każe mi robić wszystkie od początku. Cholera.

Czyli nie asystentka dentystki. Manikiurzystka.

– Przepraszam – rzucam.

Dwie pary zaskoczonych oczu zwracają się ku mnie.

– W czym mogę pomóc? – pyta kobieta z wielkimi kolczykami.

Spoglądam na panią Giller.

– Chciałabym zrobić sobie paznokcie.

Salon jest czysty i nowoczesny, o białych ścianach, czarnych zlewach i skórzanych obrotowych fotelach w kolorze burgunda. Wszędzie lustra. I choć to poniedziałkowy poranek, kiedy większość salonów fryzjerskich jest zamknięta, tu praca wre. Już pojawiły się klientki; jedna gada bez końca przy myciu głowy, siedząc z odchylną do tyłu głową, inna ma zamknięte oczy i głowę ginącą pod paskami folii aluminiowej, jeszcze inna rozmawia przez telefon i przegląda plotkarskie czasopismo, podczas gdy jej stylistka – wąski w biodrach młodzieniec o platynowych włosach z różowymi pasemkami, w spodniach w lamparcie cętki, śmiga wokół jej głowy z nożyczkami jak gigantyczny komar.

– Przepraszam, ale nie mamy czasu na pedikiur i manikiur. Za pół godziny przyjdzie klientka – mówi pani Giller.

– Loreta De Sousa.

– Co? – Kobieta się obraca, jej brązowe oczy rozszerzają się ze strachu. – Zna ją pani?

– Usłyszałam to nazwisko, wchodząc.

Pani Giller oddycha z ulgą i kręci głową zawstydzona.

– Przepraszam. Nie powinnyśmy głośno obgadywać klientek. Tabatha byłaby przerażona.

– Tabatha? To właścicielka?

– O Boże, nie. Nie ogląda pani *Tabatha przejmuje sprawę?*

Kręcę głową.

– To taki program w telewizji Bravo. Super – mówi, sadzając mnie na krześle przed małym stanowiskiem do manikiuru. – Tabatha to taka świetna blondynka, która przejmuje małe firmy, na przykład salony fryzjerskie, co to ledwie sobie radzą, i wszędzie rozmieszcza ukryte kamery, żeby wszystko obserwować, a potem wyjaśnia, gdzie leży błąd i co zrobić, żeby go naprawić. Zmienia ludziom życie. Serio.

– Zdziwiająca – odpowiadam. Tak naprawdę zdziwia mnie to, że moja siostrzenica nie jest jedyną wielbicieleką programów reality. Tabatha i jej liczne klony rzeczywiście zmieniają ludzkie życie, bo programy reality zmieniają rzeczywistość. Od tej myśli niemal kręci mi się w głowie; rozglądam się po pomieszczeniu, usiłując się na czymś skupić.

Na ścianie obok wisi kilka rzędów przezroczystych półek z buteleczkami kolorowych lakierów, od najbielszej bieli po najczarniejszą czern. Za mną stoją półki

z najróżniejszymi kosmetykami – mleczkami do twarzy, balsamami do ciała, kremami przeciwzmarszczkowymi – oraz dwa wiśniowe fotele, w których robi się pedikiur.

– To fotele masujące – wyjaśnia pani Giller, widząc moje spojrzenie. – Absolutnie fantastyczne. Szkoda, że nie mamy czasu na pedikiur. Może następnym razem. Zdecydowała się pani na kolor?

Wzruszam ramionami.

– Co pani proponuje?

Kobieta obrzuca mnie szybkim spojrzeniem.

– Hm, nie wydaje mi się, żeby lubiła pani pastele. Mam rację?

Kiwam głową.

– Może czerwień? Mamy taki nowy świetny odcień. – Pokazuje mi buteleczkę z gęstym czerwonym płynem. Wygląda tak samo jak inne buteleczki z czerwonym lakierem, no ale to ona jest ekspertką.

– Wspaniale.

Pani Giller stawia buteleczkę na stole i krząta się przy zlewie. Oceniam jej wiek na tuż po trzydziestce. Ma jakieś metr sześćdziesiąt pięć i pewnie waży siedemdziesiąt kilo. Jej ciemnoblonde włosy sięgają brody. Jest ładna w zwyczajny, codzienny sposób. Brązowe oczy, wąski nos, usta o ładnym wykroju – chyba najatrakcyjniejsze w jej twarzy. Nie ma w niej nic odrażającego ani nic porażającego. Oprócz mocno wytuszowanych rzęs nie ma makijażu. Trudno ją sobie wyobrazić jako żonę Paula Gillera, znanego też jako Narcyz, mającego upodobanie do znacznie młodszych i bardziej uwodzicielskich pań.

Pani Giller odwraca się do mnie.

– Przepraszam. Właśnie sobie uświadomiłam, że nie znam pani imienia.

– Avery – mówię pierwsze, co mi wpadło do głowy. – A pani?

– Elena. – Wyciąga do mnie prawą rękę. Na palcu nie ma obrączki. To nie musi nic znaczyć. Przecież to manikiurzystka.

Elena stawia na stole plastikowy pojemnik z ciepłym mydłanym płynem i zanurza w nim moją prawą dłoń. Tymczasem ogląda lewą.

– Miałaś kiedyś robiony manikiur?

– Tak, oczywiście.

– Ale nie ostatnio. Masz ręce w strasznym stanie. Jak długo obgryzałaś paznokcie?

Robi mi się strasznie głupio. Miałam zwyczaj skubać zębami paznokcie, kiedy się zdenerwowałam, choć przed gwałtem udało mi się opanować ten paskudny nawyk. Nawet nie pamiętam, kiedy do niego wróciłam, lecz dowody są niepodważalne. Usiłuję cofnąć rękę, ale kobieta trzyma ją mocno.

– Widzisz te prążki? – Wskazuje cienkie linie na powierzchni moich paznokci. – Postaram się je trochę wyrównać polerką, ale jeśli nie przestaniesz obgryzać, zostaną na zawsze. A szkoda by było, bo masz bardzo ładne ręce. – Bierze pilnik

i przesuwa nim po paznokciach mojej lewej dłoni.

Zastanawiam się, z której strony zacząć.

– Masz czas w poniedziałek rano – odzywa się ona, zanim udaje mi się podjąć decyzję. – Czym się zajmujesz?

– Czym się zajmuję? – powtarzam.

– Trudne pytanie? – Podnosi głowę i marszczy brwi.

– Straciłam pracę – odpowiadam. W sumie to nie kłamstwo. – Na razie nie szukam drugiej.

– Pewnie. Trzeba dobrze wybrać. Najgorzej szukać na gwałt.

Pewnie, że na gwałt bym nie chciała, myślę i zastawiam się, skąd mi się nagle wzięło to makabryczne poczucie humoru.

– Co robiłaś?

Znowu pauza. I znowu półprawda.

– Byłam asystentką prawnika.

– Czyli kim?

– Niech mnie diabli, jeśli wiem. – Cieszę się, że kobieta parska śmiechem.

– Może dlatego cię zwolnili.

Teraz to ja się śmieję. Dochodzę do wniosku, że lubię Elenę. Zasługuje na kogoś lepszego niż Paul Giller.

– Ale serio – mówi ona. – Co naprawdę robią asystentki prawników? I nie mów, że asystują prawnikom.

– To taka ładniejsza nazwa sekretarki – wyjaśniam.

To ją zadowala.

– Pewnie to trudne. Tyle tych nadętych ważniaków.

Wyobrażam sobie Holdena, Cunninghama i Kravitz zebrałych jak do fotografii. Sean Holden wysuwa się na środek, wszystkich spychając w tło, do ról drugoplanowych. Nawet w wyobraźni, nawet wiedząc to, co wiem teraz, jego widok mnie pociąga i czuję, że się ku niemu pochylam. Bez ostrzeżenia zza jego pleców wyłania się kobieta w ciąży. U jej boku idą dwie dziewczynki o zamazanych twarzach, choć ich oczy widzę wyraźnie. Wpatrują się we mnie oskarżycielsko. „Zostaw naszego ojca w spokoju”, ostrzega to spojrzenie. Zmuszam je, by zniknęły.

– To co się stało? – pyta Elena. – Reorganizacja w firmie?

– Nie, zachorowałam – odpowiadam, odzyskując panowanie nad sobą i przypominając sobie, po co tu przyszłam. – Na zapalenie płuc. – Spoglądam na nią w nadziei, że chwyci przynętę, powie mi o niedawnym pobycie w szpitalu Paula Gillera.

– Żartujesz. I za to cię wyrzucili?

– Długo nie było mnie w pracy.

– Chyba im nie wolno wyrzucać ludzi za to, że się rozchorowali. Rozumiem, że znasz mnóstwo prawników, ale mam kuzyna, który pracuje w kancelarii i jest

bardzo dobry. Może powinnaś z nim porozmawiać.

Wzdrygam się i cofam rękę.

– Przepraszam, skaleczyłam cię?

– Nie. Wszystko w porządku.

– Nazywa się Peter Sullivan. Znaczy ten kuzyn. Pracuje w kancelarii Ron Baker i Wspólnicy. Znasz?

Na szczęście nigdy nie słyszałam o Ronie Bakerze i Wspólnikach. W Miami działają setki, może nawet tysiące kancelarii.

– A ty gdzie pracowałaś?

Waham się, odkasłując, żeby zyskać trochę czasu.

– W Bennet-Robinson – odpowiadam, łącząc pierwsze nazwiska z dwóch znanych kancelarii.

– Nie znam. Powinnaś zadzwonić do mojego kuzyna – oznajmia z większym naciskiem niż poprzednio, wkładając moją lewą rękę do mydlin i zaczynając pracować nad prawą. – To mi wygląda na piękny przypadek bezprawnego zwolnienia. Avery...

Oglądam się, żeby sprawdzić, kto wszedł do salonu.

– Avery? – powtarza pani Giller i dopiero wtedy dociera do mnie, że zwraca się do mnie.

– Oj, przepraszam.

– Zapomniałaś, jak masz na imię?

– Mówiłaś coś?

– Że zapalenie płuc to wredna choroba. Moja matka miała je parę lat temu. No i jeden mój znajomy niedawno wylądował przez nie w szpitalu.

Mój znajomy?

Niedawno?

– Poważnie się rozchorował. Dawali mu kroplówkę i w ogóle.

– Okropne. Też stracił pracę?

– Nie. To aktor. I tak prawie nie pracuje. Jest w takiej jednej agencji, która znajduje mu prace tymczasowe. Dziwne. Nie mają nic wspólnego z graniem. Hej, może też powinnaś się do takiej zapisać.

– Może. – Więc jednak rozmawiamy o Paulu Gillerze.

Kobieta zaczyna obcinać moje paznokcie wielkimi cążkami.

– Masz bardzo mocne paznokcie.

Nie wiem, czy to zwykła uwaga, czy komplement. Mam ochotę wypytać ją o tego jej znajomego, ale wiem, że nie mogę się spieszyć.

– Długo tu pracujesz? – Zaczynam inny temat, zamierzając za chwilę powrócić do starego.

– Parę lat.

Znowu rozglądam się od niechcienia.

- Ładnie tu.
- Też mi się podoba.
- Mieszkaś w pobliżu?
- Dość blisko.
- Tyle tu się buduje – zauważam.
- No – mruży ona i nie rozwija tematu.
- Masz męża? – A co tam, myślę.
- Nie. A ty?
- Nie.

Elena skończyła obcinać paznokcie i bierze pilniczek.

- Prostokątne czy owalne?
- Co?

– Paznokcie. Spiłować je na kanciasto czy owalnie? Jak brylanty – dodaje ze śmiechem.

– Nie wiem.

– Ja uważam, że owalne są lepsze. Łatwiej o nie dbać, a widzę, że nie poświęcasz paznokciom wiele czasu.

Jej naganę odczuwam jak klaps w rękę. Znowu cofam dłoń.

– Przepraszam. Bolało?

– Nie. Tylko... Niech będą owalne.

– No to robimy owalne – mówi i zaczyna piłować.

– Czyli nie masz nikogo wyjątkowego? – sonduję, spodziewając się, że mnie ofuknie.

Elena przestaje opiłowywać moje paznokcie i rozluźnia chwyt. W jej oczach pojawia się tęskne spojrzenie, pewnie takie samo jak moje, kiedy myślę o Seanie.

– No, w sumie... Jest taki facet. Ale to nic stałego.

Serce mi przyspiesza.

– To ten od zapalenia płuc?

– Skąd wiesz?

– Zgadłam. Powiedziałaś, że był w szpitalu.

– Tak.

– Długo?

– Parę dni. – Elena kręci głową, zamyślona. – Ale potem przeleżał jeszcze wiele tygodni. Dosłownie nie wstawał z łóżka. Wprowadziłam się do niego. Zająłam się nim. Opiekowałam się nim, aż wydobrzył. Wiesz, jacy są mężczyźni, kiedy chorują. Żałośni.

– Dawno to było?

– Chyba w sierpniu. Może pod koniec lipca. Tu miesiące zlewają się ze sobą. Wiesz, jak to jest.

Bardzo dobrze to wiem. Wiem także, że to znaczy, iż Paul Giller wyszedł już ze

szpitala, kiedy zostałam zgwałcona, i to go nie eliminuje z grona podejrzanych. Patrząc, jak Elena pracuje nad poobgryzаныmi skórkami przy paznokciach.

– Ale je zapuściłaś – mówi.

– To wina mojego byłego – oznajmiam.

– Jak to?

– Przyłapałam go na zdradzie.

– Serio?

– Musiałam wyjechać z miasta na parę dni. Wróciłam wcześniej, niż się spodziewałam. I niż on się spodziewał – dodaję, obserwując jej twarz. – Znalazłam go w łóżku z moją najlepszą przyjaciółką.

– Cholera. Dlaczego to zawsze jest najlepsza przyjaciółka? Co zrobiłaś?

– Wyrzuciłam go.

– A z przyjaciółką?

– Jaką przyjaciółką?

Elena kiwa głową i choć nie komentuje, wiem, że ten ruch znaczy: znam ten temat. Jeśli podejrzewa Paula Gillera o zdradę, to nie zamierza mi się zwierzyć. Prawdopodobnie dowiedziałam się już od niej wszystkiego, czego mogłam się dowiedzieć.

Próbuję jeszcze parę razy, pytam, czy lubi podróżować.

– Nie, niezbyt.

Wyznaję, że zastanawiam się, czy nie wykorzystać mojego przymusowego urlopu na podróże i czy mogłaby mi coś polecić. Odpowiada, że w San Francisco jest zawsze ładnie. Pytam, czy była tam ostatnio, a ona zaprzecza. Zastanawiam się, z jakiej podróży wróciła, ale nie potrafię znaleźć sposobu, żeby to z niej wyciągnąć, nie zdradzając się przy tym, że przyglądałam się przez lornetkę mieszkaniu jej chłopaka i że widziałam ją, kiedy rozpakowywała walizkę. Poza tym jakie to ma znaczenie, gdzie była? Liczy się tylko to, że Paul Giller nie leżał w szpitalu w czasie, gdy mnie zaatakowano, że nie mogę go wyeliminować jako podejrzanego.

– Możesz trochę rozluźnić rękę? – pyta Elena, zaczynając malować moje paznokcie. – Nawet bardzo – dodaje. – Jesteś sztywna jak deska.

– Przepraszam. – Staram się usłuchać. – Lepiej?

– Musi wystarczyć.

Do końca sesji żadna z nas się nie odzywa. Po wszystkim spoglądam na swoje dłonie. Wyglądają, jakby ktoś odciął mi czubki palców i zostawił dziesięć krwawiących kikutów.

– Co sądzisz? – pyta Elena.

– Bardzo ładnie.

– Muszą wyschnąć. – Stawia na stole małą suszarkę i wkłada w nią moje ręce. – Mam nadzieję, że nigdzie się nie spieszysz.

Nagle przypominam sobie, że Claire czeka na mnie w warsztacie Carlita. Co się ze

mną dzieje? Jak mogłam o tym zapomnieć? Spoglądam na przegub, ale przecież nie mam zegarka.

– Która to godzina? – rzucam, o wiele głośniej, niż zamierzałam. Elena cofa się, zaniepokojona.

– Prawie dziesiąta.

– Cholera! – Wyjmuję ręce z suszarki i zrywam się tak gwałtownie, że moje krzesło się przewraca.

– Uważaj na paznokcie – ostrzega Elena.

– Muszę lecieć. – Chwytam torebkę.

– Zapłacisz w recepcji! – woła za mną.

Nie mam pojęcia, ile kosztuje zabieg, nie mam czasu o to pytać, więc sięgam do portfela i wyjmuję z niego dwie dwudziestodolarówki. Rzucam je na blat recepcji i pędzę do drzwi.

– Dlaczego zawsze trafiają mi się wariatki? – słyszę głos Eleny, zanim drzwi zamykają się za mną z trzaskiem.

*

– Gdzieś ty się włóczyła? – pyta Claire, kiedy wpadam do warsztatu Carlita.

– Przepraszam, trochę pobłądziłam.

– O mój Boże. – Krew odpływa z twarzy mojej siostry zapatrzonej w moje dłonie. – Coś ty zrobiła?

Idę wzrokiem za jej spojrzeniem; lakier rozmazał mi się na wierzchniej stronie palców i dłoni, przez co wyglądają jak zakrwawione.

– Nic. To lakier.

– Lakier? – Claire chwyta mnie za palce i sprawdza, by się upewnić.

– To długa historia.

– Oby była dobra.

– Panna Carpenter? – pyta jakiś mężczyzna, podchodząc do nas.

Moja siostra milknie, a ja dopiero teraz zauważam otoczenie. Stoimy w czymś, co wygląda jak wielka szklana bańka o przejrzystych ścianach. Mam wrażenie, że nie znajdujemy się we wnętrzu budynku, tylko na rogu gwarnej ulicy. Podłoga jest z wapienia i wygląda całkiem jak chodnik, choć przykryty strategicznie rozmieszczonymi kolorowymi dywanami. Mnóstwo sztucznych drzew sprawia wrażenie bujnej roślinności. Meble z żółtej jak masło skóry w poczekalni mają ultranowoczesny design, same płynne linie i brak kątów prostych. Za akrylowym kontuarem recepcji siedzi olśniewająca ciemnoskóra młoda kobieta. Stojący przed nią komputer wydaje się unosić w powietrzu. Kobieta ma na sobie ciemnofioletowy podkoszulek z głębokim dekoltem prezentujący niezbyt dyskretne implanty, jakby

mówiła: „Tyle kosztowały, że musi być jebwidać”. Dziwi mnie taka pewność siebie. I nie-pokoi. Można ją źle zrozumieć.

A przecież w nocy, gdy zostałam zaatakowana, nie odsłoniłam ani kawałka skóry. Mój strój w niczym nie prowokował. Powinnam się wstydzić. Dobrze wiem, że w gwałcie nie chodzi o seks, tylko o władzę, gniew i nienawiść.

– Panna Carpenter?

Spoglądałam na miłego mężczyznę pod czterdziestkę, o prostych brązowych włosach opadających na orzechowe oczy osadzone blisko orlego nosa. Choć jeszcze nie ma południa, jego policzki już wyglądają, jakby wymagały golenia. Pomimo sympatycznego uśmiechu ten przedwczesny zarost nadaje mu niepokojący wygląd. Mężczyzna ma na sobie dzinsy i koszulę w niebiesko-białą kratę z przypiętym na piersi identyfikatorem: „Cześć, jestem Johnny K.”. Czy Johnny K. może być człowiekiem, który mnie zgwałcił? Cofam się o krok, niechcący przydeptując palce Claire.

– Miło, że pani w końcu dotarła. Pani siostra się martwiła.

– Przepraszam.

Johnny K. śmieje się, jakbym powiedziała coś niesamowicie dowcipnego.

– Proszę za mną. Pokażę pani, co zrobiliśmy z samochodem.

Claire i ja idziemy za nim pod szklaną kopułą do wielkiego betonowego garażu pełnego luksusowych samochodów w różnym stadium naprawy. Czekoladowy mercedes stoi wysoko na podnośniku, a dwaj mechanicy pracują przy podwoziu. Inny pracownik pedantycznie lakieruje bladobłękitnego jaguara. Widzę nowiutkie jaskrawoczerwone ferrari z wielkim wgnieceniem z boku.

– Wszystko dobrze? – pyta Claire. – Wyglądasz jakoś blado. Chcesz usiąść?

Kręcę głową. Zauważam co najmniej sześciu mechaników przy pracy. Z wyjątkiem jednego wszyscy są ciemnowłosi, w wieku od dwudziestu do czterdziestu lat, średniego wzrostu i średniej budowy. Jedyne wyjątkiem to mężczyzna bliski pięćdziesiątki, łysiejący, choć i on ma średni wzrost i średnią wagę. Każdy z nich może być tym, który mnie zgwałcił.

– O czym myślisz? – pyta Claire, przyglądając mi się uważnie.

– O niczym.

– Kłamczucha. – Delikatnie ściska moje ramię.

– Jak pani widzi – wyjaśnia Johnny Kroft – wyklepaliśmy wgniecenia i wypełniliśmy rysy, polakierowaliśmy, wypolerowaliśmy i voil`a, jest jak nowy. Świetny samochód. Jak zechce go pani sprzedać, proszę zadzwonić najpierw do mnie.

– Nigdy go nie sprzedam – odpowiadam.

– Nie? Hm, dobrze panią rozumiem. W każdym razie tu jest faktura. – Podaje mi spis napraw. – Może pani zapłacić w recepcji. Każę przyprowadzić samochód przed drzwi frontowe.

Claire i ja dziękujemy i idziemy do głównego pomieszczenia.

– Przepraszam, ale nie przyjmujemy czeków – oznajmia recepcjonistka. –

Płatności można dokonać kartami Visa, MasterCard, American Express...

– Nie mam... ukradziono mi je – jąkam. Claire wyjmuję portfel i podaje młodej kobiecie swoją kartę kredytową. – Co robisz? – pytam.

– Właśnie się nieco wzbogaciłam.

– Nie! To były pieniądze dla ciebie.

Moja siostra wzrusza ramionami.

– Łatwo przyszło, łatwo poszło.

– Zwrócę ci to – mówię, ustępując. Nie mam wyboru.

– Pogadamy o tym później. Najpierw odstawimy cię do domu.

Nie jedziemy do domu.

Prujemy szosą w stronę South Beach. Z boku huczy ocean. Kiedy opuściliśmy parking Carlita, zaproponowałam, żebyśmy się wybrały na przejażdżkę, a Claire szybko się zgodziła. Doszłam do wniosku, że przyda mi się odetchnąć od mieszkania, popatrzeć na inne widoki, sprawić, że moja siostra się uśmiechnie.

– Czy gdziekolwiek na świecie istnieje piękniejszy kawałek ziemi? – pyta Claire, zmieniając biegi z wyraźną radością. Ja pólżę na siedzeniu dla pasażera i chłonę tę czystą wspaniałość: bezchmurne niebo, wysokie palmy, piaszczystą plażę, zapierający dech w piersiach ogrom głęboko niebieskiego morza.

Jeszcze nigdy nie pozwoliłam nikomu prowadzić porsche. Nawet Heath nie dostał tego zaszczytu. Kocham mojego brata z całego serca, ale on sam przyznaje, że łatwo się rozkojarza i często go ponosi.

A tak właściwie, to gdzie on się podziewa? To niepodobne do niego, żeby zniknąć na tak długo i nawet nie zadzwonić. Dlaczego się nie odzywa? Czemu nie odpowiedział na żadną z wiadomości, którymi zasypałam jego pocztę głosową?

– Zawsze chciałam pojechać do Paryża – wyznaje Claire.

– Powinnyśmy to zrobić – odpowiadam. – Może w lecie, kiedy Jade będzie miała wakacje? Mogłybyśmy się wybrać we trzy.

Claire kręci głową.

– Miło pomarzyć, ale nie zdołam...

– Zdołasz. Zobaczysz. Zadzwonię do biura turystycznego taty i każę agentce zająć się wszystkim.

Claire kręci głową.

– Co?

– To brzmi tak prosto.

– Bo jest proste.

– Nic o tym nie wiem.

Nie po raz pierwszy myślę, że nasze życie potoczyło się tak odmiennymi drogami. Ja dorastałam w kochającym domu z dwojgiem uwielbiających mnie rodziców. Byłam hołubiona i rozpieszczana. Każdą moją potrzebę zaspokajano z wyprzedzeniem, każdą prośbę spełniano. Zagraniczne wycieczki, drogie prezenty, apartament w wysokościowcu. Wystarczyło poprosić. A nawet i to nie. Claire tego nie miała. Przez całe życie musiała walczyć, ciężko pracować na każdego dolara, na każde wakacje. Ma powody mnie nienawidzić. A jednak jest przy mnie.

– Nie potrafię wyrazić, jak bardzo ci dziękuję – mówię.

– Za co?

– Za wszystko, co zrobiłaś... i co robisz.

– Daj spokój – rzuca ona lekceważąco. – Ty też byś to dla mnie zrobiła.

– Nie – odpowiadam uczciwie.

Gdyby sytuacja przedstawiała się odwrotnie, gdyby to Claire zgwałcono, a nie mnie, może bym jej współczuła, może nawet bym do niej zadzwoniła, żeby spytać, czy mogę jakoś pomóc, jak robią to ludzie, którzy tak naprawdę nie chcą, żeby skorzystano z ich propozycji, i na tym prawdopodobnie moje wysiłki by się skończyły. Może mamy DNA mojego ojca, ale przez lata niewiele nas łączyło. Jeszcze parę tygodni temu byliśmy sobie zupełnie obce. Teraz, myślę w przybliżeniu dumy, stałyśmy się siostrami.

– Jesteś głodna? – pyta Claire, kiedy wjeżdżamy do Miami Beach i suniemy w ślimaczym tempie zakorkowaną przez cały rok Collins Avenue.

Uświadamiam sobie, że zapomniałam o śniadaniu.

– Jestem. Tak!

Obie śmiejemy się z niespodziewanej żarliwości mojej odpowiedzi.

– W takim razie głosuję za zrobieniem postoju na lunch.

South Beach słynie z restauracji. Już mam zaproponować jedną z moich ulubionych, modne Afterglow na Washington Avenue, miejsce uczęszczane przez młodych i pięknych, szczytujące się ultrazdrowym i przeważnie surowym menu, ale potem przypominam sobie, że szczytują się także najwyższymi cenami w mieście. W tej okolicy istnieje sporo bardzo drogich knajp, ale skoro nie mam kart kredytowych, postanawiam ograniczyć się do lokalu, w którym będę mogła zapłacić gotówką. Zapamiętuję, żeby zadzwonić do kogo trzeba i rozpocząć starania o zastąpienie skradzionych kart. Nie mogę nieustannie żerować na Claire.

– Przypomnij mi, żebym zadzwoniła do banków i zorganizowała ci nowe karty kredytowe – odzywa się Claire, jakby czytała mi w myślach.

Biorę ją za rękę.

– Jesteś niesamowita.

– Daj spokój. Tylko mi się tu nie rozklejaj – ostrzega. – Nie lubię sentymentalizmu.

Wycieram wzbierające łzy upačkanym lakierem wierzchem dłoni.

– Myślisz, że żartuję? Spytaj Jade. Albo lepiej mojego byłego męża, jeśli znajdziesz gdzieś drania. Powiedzą ci, że nie mam w sobie ani krzty sentymentalizmu. Ani romantyzmu. Czysty praktycyzm.

– Nie można być jednocześnie romantycznym i praktycznym?

– Nic o tym nie wiem – powtarza.

Zapadamy w przyjazne milczenie aż do South Beach, gdzie zostawiamy samochód na parkingu przy Lincoln Road i ruszamy dalej pieszo. Ulice są zatłoczone jak zawsze. Rozpuszczone dzieciaki w designerskich ciuchach

przemykające na rolkach obok siwowłosych emerytów z balkonikami, poważni chasydzi w czarnych ubraniach, starający się nie zauważać drag queens w wymyślnych strojach przed magicznymi pastelowymi budynkami w stylu art déco, turyści w słomkowych kapeluszach, walczący z fruującymi planami miasta i dzielnie broniący się przed natrętami.

Wchodzimy na nadbrzeżny bulwar. Zerwał się wiatr i bawi się naszymi włosami. Jest cudownie. Po raz pierwszy od bardzo dawna czuję się jak człowiek. Nie jestem już ofiarą. Jestem dziewczyną, która spaceruje z siostrą po zatłoczonej plaży, z wiatrem wplątującym jej nadzieję we włosy.

I nagle widzę go na rogu ulicy.

– Co się stało? – pyta Claire. – Co jest?

Mężczyzna koło trzydziestki, średniego wzrostu i średniej budowy, o ciemnych włosach i spojrzeniu tak intensywnym, że parzy mi skórę jak żelazo do piętnowania.

– Bailey, co się dzieje?

Opuszczam głowę i wskazuję go brodą, nie odrywając spojrzenia od ziemi. Serce mi łomocze gdzieś w gardle, dusi słowa, zanim zdążą nabrać kształtu. Kiedy w końcu udaje mi się wydobyć z siebie głos, brzmi jak nie mój.

– Ten facet.

– Który?

Podnoszę głowę i widzę na rogu kilkanaście osób czekających na zmianę świateł. Jedna trzecia to kobiety, a połowa mężczyzn ma około trzydziestu lat, średni wzrost, średnią budowę i ciemne włosy. Żaden nie ma bladego pojęcia o moim istnieniu. Nikt na mnie nie patrzy.

Mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu zniknął.

Czy w ogóle tam stał?

– Falszywy alarm – mówię, zmuszając się do słabego uśmiechu.

– Na pewno nic się nie stało?

– Zupełnie nic. – Rozglądam się ukradkiem i nie widzę nikogo, kto by budził podejrzenia.

Oczywiście z wyjątkiem wszystkich mężczyzn w okolicy.

Muszę przestać to robić. Doprowadzam się do szaleństwa.

Za późno! – woła głos w mojej głowie. Gryzę się w język, żeby go uciszyć, chwytam Claire za rękę i pozwalam się jej przeprowadzić przez ulicę.

Oddaliśmy się od oceanu i szukamy restauracji, do której nie stoi kolejka na pół przecznic. W końcu znajdujemy mały lokalik na Michigan Avenue, w którym bardzo krótko czekamy na miejsce. Kelnerka o długich, ciemnych włosach i seksownych ruchach, w szpilkach, których obcasy mają więcej centymetrów niż jej czarna spódniczka ledwie kryjąca pośladki, prowadzi nas przez chłodne, mroczne pomieszczenie do małego stolika w kącie patio w głębi lokalu. Patio

otaczają krzewy intensywnie fioletowych bugenwilli, a osłaniają je chroniące przed słońcem parasole w koralowo-białe pasy. Siadamy w półokrągłych fo-telikach przy stoliku z kutego żelaza ze szklanym blatem. Po chwili pojawia się kelner z menu. Ma jakieś dwadzieścia pięć lat, średni wzrost i średnią budowę, brązowe włosy i oczy. Duże ręce. Wpatruję się przez szklany blat w bruk pod nogami i staram się nie wyobrazić sobie tych rąk zaciskających się na mojej szyi.

– Powiedz, że mnie kochasz – mówi kelner, pochylając się nad moim ramieniem, by podać mi menu.

Podnoszę na niego oczy.

– Co?

– Czy mogę paniom podać coś do picia?

– Poproszę kieliszek waszego białego wina – odpowiada Claire, przyglądając mi się podejrzliwie. – Bailey?

– Tylko woda.

– Na pewno?

Kiwam głową, żałując, że tu przyszliśmy, że zaproponowałam tę przejażdżkę, że w ogóle wyszłam z domu.

– Mineralna czy stołowa? – pyta kelner.

– Bailey... – ponagla znowu Claire.

Nie mam pojęcia, ile czasu upłynęło od pytania kelnera. Nie jestem nawet pewna, czego dotyczyło.

– Mineralna.

– Zwykła czy gazowana?

Zaczynam się pocić.

– Gazowana.

– Perier czy San Pellegrino?

– Poproszę wino – rzucam, machając niecierpliwie ręką.

– Dwa białe, w tej chwili – mówi wesoło kelner.

– Od kiedy trudniej jest zamówić wodę niż wino? – zwracam się do Claire.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Jestem tylko głodna.

– No, to dobry znak... wraca ci apetyt.

Znowu udaje mi się uśmiechnąć. Pamiętam, gdzieś przeczytałam, że jeśli udajesz coś wystarczająco długo, zaczynasz to czuć. Mam nadzieję, że to prawda, choć wątpię, żebym zdołała zachować pozory tak długo, aż staną się rzeczywistością.

– No dobrze. – Claire przegląda menu. – Gotowany łosoś wygląda nieźle.

– Rzeczywiście – zgadzam się, choć nie wiem, gdzie go znalazła. Ja widzę tylko gąszcz liter.

– Bailey – odzywa się Claire, a zatroskany wyraz jej twarzy zdradza, że nie po raz pierwszy powtórzyła moje imię. – Bailey, co się dzieje?

– Za duży wybór – mówię, gdy kelner wraca z winem.

– Mają panie ochotę posłuchać o naszych specjalnościach? – Wymienia całą listę i daje nam parę minut na podjęcie decyzji.

– Wszystko brzmi bajecznie – wzdycha Claire.

Ja już zapomniałam, co mamy do wyboru.

– Poproszę sałatkę z homara i grapefruita – oznajmia Claire kelnerowi, gdy ten wraca, a ja kiwam głową. Tak jest łatwiej. Poza tym straciłam apetyt. Na myśl o jedzeniu chce mi się wymiotować. – Za lepsze czasy – dodaje moja siostra, wznosząc kieliszek i trącając nim mój.

– Za lepsze czasy – zgadzam się, pociągając łyk.

– No dobrze. – Claire nagle poważnieje. – Uważam, że okazałam wielką cierpliwość. Powiesz mi w końcu, co się stało?

– Co się stało? – Nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

– Dziś rano. Ta nagła potrzeba zrobienia sobie paznokci.

Biorę głęboki oddech, przypominam sobie wypadki poranka, starając się uporządkować je tak, żeby miały sens dla Claire i dla mnie. Dziwne, ale myślenie o tym, przywoływanie szczegółów jakoś mnie uspokaja. Udaje mi się opowiedzieć spokojnie i bez emocji o tym, jak znalazłam w internecie Paula Gillera, jak śledziłam jego i jego żonę, która ma na imię Elena, i która nie jest jego żoną. Zainteresowanie Claire zmienia się w troskę, a potem w prawdziwy niepokój.

– Czekał – przerywa mi. – Mówisz, że szukałaś w internecie Paula Gillera? Czego się dowiedziałaś?

– Niewiele. Tylko że to aktor i że ostatnio przeszedł zapalenie płuc, więc spędził trochę czasu w szpitalu.

– Cholera – mamrocze Claire. – I poszłaś do jego mieszkania?

– Do budynku – poprawiam.

– Masz pojęcia, jakie to niebezpieczne? A jeśli to naprawdę on cię zgwałcił? Zastanów się przez chwilę. A jeśli cię zobaczył?

– Nie zobaczył.

– Jesteś pewna?

– Zdecydowanie. – Czy rzeczywiście? Kiedy ostatni raz byłam czegoś pewna?

– A potem go śledziłaś?

– Aż wsiadł do taksówki. Potem śledziłam Elenę.

Claire usiłuje jednocześnie przyjąć do wiadomości i zlekceważyć te informacje. Nachyla się nad stołem.

– Bailey, obiecaj mi coś.

– Co?

– Obiecaj, że nie zbliżysz się więcej do mieszkania Paula Gillera, że zostawisz pracę detektywa prawdziwym detektywom.

– Ja jestem prawdziwym detektywem.

– Oraz ofiarą.

Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale ona mówi dalej:

– Wiem, że chcesz się czymś zająć, że chcesz rezultatów. Ale patrzeć na kogoś z zacisza własnego mieszkania to jedno, a szukać go, śledzić i wypytywać jego dziewczynę, to coś zupełnie innego. To po prostu...

– Szaleństwo?

– ...proszenie się o kłopoty. Obiecuj, że nigdy więcej nie zrobisz nic takiego.

– Claire...

– Bailey! – Moje imię brzmi jak donośny wykrzyknik kończący dyskusję raz na zawsze. – Obiecuj – powtarza Claire.

Pojawia się kelner z naszymi sałatkami.

– Smacznego – mówi.

– Obiecuj – nalega Claire po jego odejściu.

– Obiecuję – zgadzam się niechętnie.

– Dobrze. – Moja siostra oddycha głęboko. – Nie będziemy więcej o tym wspominać. Jedz.

Nadiewam na widelec kawałek homara z częstką grapefruita, wkładam do ust i połykam.

– Najpierw trzeba pogryźć – poucza Claire.

Nadiewam kolejny kęs i ostentacyjnie go przeżuвам.

– Mądrała. – Chwila pauzy. – No, to jaki werdykt?

– Przepyszne – chwale, choć nie czuję smaku.

Troska bije z twarzy Claire, drobne zmarszczki otaczają jej usta, wgłębienia na grzbiecie nosa robią się wyraźnie głębsze niż tydzień temu, wyglądają, jakby miały tam zostać na stałe. Przykro mi, że to przeze mnie, że dodaję mojej siostrze zmartwień, których i tak jej nie brakuje. Postanawiam nie denerwować jej bardziej. Dotrzymam obietnicy, nie zbliżę się do Paula Gillera. Niech policja się tym zajmie. Uporządkuję swoje życie.

– Ja płacę – rzucam, kiedy kelner pojawia się z rachunkiem. Udaję, że sprawdzam kwotę, choć ta gmatwanina cyferek jest dla mnie niezrozumiała. Wyciągam z torebki garść dwudziestodolarówek w nadziei, że to wystarczy.

– Gotówka? Od dawna jej nie widziałem. – Kelner śmieje się, ukazując dwa duże kły.

Czuję te zęby wbijające się w moją pierś i zachłystuję się powietrzem.

– Coś się stało? – pyta on.

– Nie, nic.

– Zaraz wrócę z resztą.

– Nie trzeba.

Chcę, żeby już sobie poszedł.

– W takim razie bardzo paniom dziękuję. Było mi bardzo miło. Życzę udanego

popołudnia.

*

– Masz ochotę pooglądać wystawy? – pytam Claire.

Ja pragnę tylko wrócić do domu i zakopać się w łóżku, ale boję się jej to powiedzieć. Nie chcę, żeby straciła cierpliwość, zainteresowanie, wiarę w moją rekonwalescencję i w swoją rolę.

Przez następną godzinę oglądamy wystawy niemal wszystkich sklepów w South Beach.

– Boże, chciałabym móc się jeszcze wbić w coś takiego – wzdycha Claire na widok biało-niebieskiego bikini ze stringami w jednym ze sklepów z kostiumami kąpielowymi. A potem: – Kogo ja oszukuję? Nigdy nie miałam figury do czegoś takiego. Nawet w tak zwanych najlepszych czasach. Odziedziczyłam biodra po matce – wyznaje ze śmiechem.

A ja pieniądze po ojcu, dodaję w myślach.

– Moim zdaniem jesteś piękna – mówię głośno.

Oczy zachodzą jej mgłą, odwraca głowę. Przechodzimy na drugą stronę jezdni, żeby pospacerować po plaży. Zdejmuję buty, czuję, jak piasek drapie mnie między palcami. Ile czasu minęło, odkąd szłam tą plażą? Kiedy matka umierała, przychodziłam tutaj codziennie. Uwielbiałam szum oceanu, jego fale, rozbijających się o brzeg. Kończyły mnie nieustanne przypływy i odpływy, ciągła odnowa, jej niezmiennność.

– Mieszkałaś tutaj, prawda? – pyta Claire.

– Trochę dalej. Parę przecznic na zachód. – Wydaje mi się jednocześnie dziwne i smutne, że Claire nigdy nie widziała domu, w którym dorastałam, że mój ojciec tak sprawnie rozdzielił różne aspekty swojego życia, odizolował je od siebie. – Chcesz spojrzeć?

– Jeśli chcesz mi pokazać.

– Chyba tak. – Biorę ją za rękę i prowadzę z powrotem przez ulicę. – Bardzo bym chciała.

Rezydencja, w której się wychowałam, jest zajmującą czterysta metrów kwadratowych, rozłożystą parterową hacjendą w hiszpańskim stylu z koralowymi dachówkami, pokojami wysokości ośmiu metrów i posadzkami z włoskiego marmuru. Ozdobna brama z kutego żelaza oddziela od ulicy półkolisty podjazd z pomarańczowej i szarej cegielki, na którym bez trudu zmieściłoby się sześć samochodów. Na lewo od głównego wejścia znajduje się garaż na cztery auta, w którym nigdy stały: czarny rolls, miedzianorudy bentley i jaskrawoczerwone maserati, a także srebrne porsche, które odziedziczyłam po mamie. Ojciec w końcu pozbył się rollsa i bentleya, a Heath miał odziedziczyć maserati, ale pozew naszego przyrodniego rodzeństwa to uniemożliwił. Z tego samego powodu, do czasu zapadnięcia wyroku, nie możemy sprzedać domu. Stoi pusty, meble nadal na swoich miejscach, nieruszone. Majątek musi pozostać nietknięty, tak w domu, jak i na zewnątrz.

Zawsze kochałam to miejsce. Pokoje, choć ogromne, są pogodne i ciepłe, utrzymane w barwach ziemi, pełne wielkich, bardzo miękkich sof, foteli, drewnianych stołów, antyków i pięknie tkanych dywanów. Na ścianach tłoczą się jaskrawe abstrakcyjne obrazy artystów znanych i nieznanych. Jeszcze jako dziecko czułam się bezpiecznie w tym labiryncie pokoi, poznając każdy zakamarek klasycznej hiszpańskiej architektury. Szczególnie podobał mi się obszerny wewnętrzny dziedziniec pełen kwiatów i wysokich kwitnących drzew. Heath i ja uważaliśmy go za nasz prywatny plac zabaw. Kryliśmy się w krzakach i wyskakiwaliśmy na siebie zza niebieskich i różowych hortensji.

– Nie będziemy mogły wejść do środka – mówię do Claire, kiedy skręcamy w moją dawną uliczkę. – Nie mam klucza.

Wcześniej miałam dwa, jeden z szufladzie, drugi na tym samym łańcuszku, co klucz mojego apartamentu, który ukradł mi gwałciciel.

– To tamten na końcu, tak? – pyta Claire.

Kiwam głową i idziemy w jego stronę.

W połowie drogi orientuję się, że coś się nie zgadza. Brama, normalnie zamknięta, stoi otworem. Podchodzimy bliżej. Widzę na podjeździe kilka samochodów, jeden, zaparkowany częściowo poza nim, miażdży oponami grządkę białych i fioletowych niecierpków.

– Zdaje się, że masz gości – zauważa Claire, wyjmując z torebki komórkę.

– Co robisz?

– Dzwonię na policję.

– Nie – rzucam, rozpoznając ciemnozielone volvo. – Znam ten samochód.

– Tak?

– Należy do Trávisa.

– Twojego dawnego chłopaka? – To bardziej stwierdzenie niż pytanie, choć Claire czeka, aż przytaknę. – Co on tu robi? Jak się dostał?

– Nie mam pojęcia.

Wchodzimy przez otwartą bramę, docieramy do masywnych drzwi wejściowych z drewna i szkła i usiłujemy zajrzeć przez misterny wzór z liści palmowych na szybie. Widzę marmurowy hol z wielkim dębowym stołem, na którym stoi wyglądający upiornie prawdziwie bukiet sztucznych kwiatów. W głębi widzę patio, na którym bawiłam się z Heathem. Wygląda na puste.

Naciskam klamkę. Drzwi się otwierają.

– Dzwonię na policję – powtarza Claire.

– Czekaj – mówię, bo dociera do mnie charakterystyczny zapach marihuany. Jeśli Travis tu jest, to Heath pewnie też. Heath ma klucz, Travis nie. Chyba że zabrał mi go z torebki, kiedy zostałam zgwałcona. To by oznaczało, że to on mnie zgwałcił. Ale to niemożliwe. Wiem o tym. Prawda? – Proszę, zaczekaj.

Claire opuszcza telefon.

– Heath! – wołam. – Heath, jesteś tu?

Zaglądamy w korytarze prowadzące do lewego i prawego skrzydła domu.

– Naprawdę myślisz, że twój brat jest tak głupi, żeby pogwałcić zakaz sądowy?

Heath nie jest głupi. Ale i nie słynie z dobrych decyzji.

Skrećamy do pierwszego z trzech salonów. Słyszę jęk i wy-czuwam jakiś ruch po lewej stronie. Zastygam w miejscu, kiedy smukłe ręce obejmują oparcie piaskowej sofy, zza którego wyłania się strzecha rozczochranych rudych loków. Dziewczyna mruży oczy, choć światło ma za plecami.

– Kim jesteś? – pyta zaspany, nieprzytomny głos.

– Bailey. To mój dom.

– Ale czad. Miło cię poznać. Jestem Samantha. – Dziewczyna, która nie może mieć więcej niż osiemnaście lat, usiłuje się podnieść. Wtedy dostrzegam, że jest naga. Na szczęście przewraca się, nie zdoławszy się wyprostować, i już nie próbuje wstać.

– Nie do wiary – mówi Claire.

– Jest Heath? – pytam Samanthę. Słowa drapią mi gardło.

– Jaki Heath? – dobiega mnie niewyraźna odpowiedź.

– A Travis?

– A tak, Travis – rzuca dziewczyna, jakby to wyczerpywało temat.

Usiłuję się opanować. Znajoma panika narasta we mnie z każdym krokiem.

– Miło było! – woła za nami Samantha.

Wychodzimy z pokoju i ruszamy korytarzem.

– Jak w filmie – odzywa się Claire, gdy idziemy przez jadalnię z wąskim dębowym dwunastoosobowym stołem w średniowiecznym stylu, do wielkiej nowoczesnej kuchni i równie wielkiego pokoju śniadaniowego. Poza Samanthą nie spotykamy nikogo. Zawracamy i ruszamy w przeciwnym kierunku.

Mijamy drugi salon i imponujące bogactwo książek w gabinecie ojca, pokój telewizyjny z ogromnym ekranem HD zamontowanym na ścianie naprzeciwko ośmiu wielkich skórzanych foteli w kolorze czerwonego wina, stojących w dwóch rzędach. Rolety są opuszczone, telewizor działa, choć bez dźwięku, nikt go nie ogląda.

– Heath! – wołam. Znajduję guzik na oparciu fotela i wyłączam telewizor. Ten ruch sprawia, że robi mi się niedobrze. Walczę z niemal zbyt silną chęcią ucieczki.

Wchodzimy do trzeciego, najmniejszego z salonów. Na środku stoją cztery sofy, ustawione w kwadrat. Zaglądamy do czterech pokoi gościnnych – pustych – choć z każdym krokiem dusząco słodki zapach marihuany staje się mocniejszy. W końcu docieramy do szerokiego korytarza, by się przekonać, że drzwi do głównej sypialni są zamknięte. Stojąc z ręką na klamce, wymieniam spojrzenie z Claire, która unosi komórkę jak broń, gotowa wybrać 911. Serce łomocze mi tak gwałtownie, że chyba zaraz pęknie.

Sypialnia tonie w mroku, więc początkowo ich nie widzę.

– Au! – rozlega się, gdy drzwi trącają ciało leżące zaledwie kilka centymetrów od moich stóp. Po omacku szukam kontaktu i włączam halogeny w suficie. Światło zalewa sypialnię.

– Jasna cholera! – rozlega się męski głos z łóżka na środku pokoju.

Heath?

– Wyłącz to cholerne światło, dobra?

– Co się... – zaczyna inny męski głos z podłogi u stóp łóżka. Widzę podnoszącą się nieznaną głowę z niezapalonym jointem w wąskich wargach. Mężczyzna niemal natychmiast znika.

Choć pali się światło, trudno określić, ile osób jest w pokoju. Oprócz mojego brata i faceta na podłodze, dostrzegam dwie kobiety, w różnym stadium negliżu, leżące na puchowej kołdrze na łóżku. Pozostaje także kwestia tego półprzytomnego ciała, którego płeć muszę jeszcze określić, skulonego przed drzwiami sypialni.

– Dobry Boże – wzdycha Claire, gdy drzwi łazienki otwierają się i do pokoju wchodzi Travis. Na mój widok przez jego przystojną twarz przemyka zażenowanie. Ma na sobie dżinsy i obszerną koszulę w hawajskie wzory, której nigdy u niego nie widziałam. Jest boso.

– Bailey – rzuca. – Co ty tu robisz?

Moje łomoczące serce się uspokaja. Wściekłość wypiera panikę.

– Co j a tu robię?

– Wiem, że to musi kiepsko wyglądać...

– Wierz mi, nie masz pojęcia, jak to wygląda – wtrąca Claire.

– A ty kto? – pyta Travis.

– Co tu się dzieje do cholery?

– O to powinnaś spytać swojego brata. – Travis wskazuje Heatha, który wysuwa rękę spod kołdry i zakrywa sobie głowę poduszką.

– Wyjdź – mówię cicho.

– Bailey...

– I zabierz ze sobą przyjaciół.

Travis kiwa głową w milczeniu. Podchodzi do łóżka, pochyla się i klepie w głowę leżącego tam mężczyznę, z którego ust wy-pada joint. Nawet to go nie budzi. Travis siada na łóżku między dwiema półprzytomnymi, półnagimi kobietami.

– No dobrze, moje panie. Koniec imprezy. Wstajemy!

– Macie wszyscy opuścić mój dom – syczę.

– Z tego, co wiem, to również mój dom – odzywa się Heath spod poduszki.

– Z tego, co ja wiem – odpiera Claire – dopiero sąd o tym zdecyduje.

– A ty kto? – pyta znowu Travis.

– Czekaj – mówi Heath, nadal spod poduszki. – Niech zgadnę. Czy to ptak? Czy to samolot? – Siada gwałtownie, poduszka zsuwa się z jego twarzy, a brudne włosy spadają mu na czoło i oczy. – Nie! To SuperClaire!

– Heath, na miłość boską...

– Pewnie jej nie poznałeś, bo dziś występuje w codziennym przebraniu łagodnej pielęgniarki i zbawczyni udręczonych zaginionych sióstr, ale nie daj się zwieść! SuperClaire ma tajemną tożsamość. Pod tą nietwarzową niebieską bluzką i zbyt obcisłymi spodniami khaki kryje się niebiesko-czerwony trykot prawdziwej intrygantki, fałszywej przyjaciółki i złodziejki spadków. Nie potrzebuję rentgena, żeby cię przejrzeć – zwraca się do Claire, mierząc w nią rozdygotanym palcem, po czym pada na łóżko w ataku dzieciennego chichotu.

– Skończyłeś? – pytam.

– Skończyłeś? – przedrzeźnia mnie brat.

– Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym zadzwoniła na policję – mówię.

Słowo „policja” budzi wszystkich. Dwie kobiety owijają się w kołdrę i siadają; ich nagie ramiona płaczą się ze sobą, gołe nogi także, trudno stwierdzić, gdzie kończy się jedna i zaczyna druga.

– Gdzie moje majtki? – mamrocze jedna, na oślep macając w zmiętej pościeli.

– Chyba ich nie miałaś, słodki pysiu – odpowiada Heath, klepiąc ją po gołej pupie, podczas gdy ona zagląda pod łóżko.

Dwaj mężczyźni wstają z podłogi. Mają zaszkłone oczy i sztywne, choć dziwnie wdzięczne ruchy. Wydaje mi się, że wszystko odbywa się w zwolnionym tempie. Młody człowiek u stóp łóżka, w rozpiętych czarnych dżinsach – ma mniej więcej dwadzieścia pięć lat, ciemne włosy i chudy, bezwłosy tors – zerka na drzwi.

– Ktoś powiedział „policja”?

– Napiłbym się wody – odzywa się inny mężczyzna, oparty o drzwi sypialni. Zwraca się do mnie, jakbym była tu na jego usługi, a kiedy nie odpowiadam, wyraźnie się niecierpliwi. Nosi bokserki w Myszki Miki, choć dawno przekroczył trzydziestkę, a jego rozczochrane, sięgające ramion włosy mają dziwny, prawie neonowy odcień żółcieni, który kojarzy mi się z wielkim mleczem. Widzę ciemne odrosty. Na ich podstawie obliczam, że ufarbował włosy w zeszłym miesiącu. Być może wtedy, kiedy zostałam napadnięta. Może tuż potem. Zamykam oczy i staram się odpędzić te myśli. Co mój brat robi z tymi ludźmi?

– Powinieneś zabrać swoje ciuchy i wyjść – odzywa się Claire.

– Powinnaś się zająć chorymi ludźmi – odpala Heath ze śmiechem.

– Heath – rzucam ostrzegawczo. – Proszę. To nie jest śmieszne.

– Tu faktycznie masz rację. – Mój brat odrzuca pościel. – To żalosne.

Claire ciska mu dzinsami w głowę. Nie wiem, gdzie je znalazła. Nie wiem, czy należą do niego.

– Na miłość boską, okryj się czymś. Nie wiesz, że to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje twoja siostra?

– Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje moja siostra – ripostuje niezrażony Heath – to ludzie, którzy udają, że im na niej zależy, podczas gdy myślą tylko o sobie.

– I co to za ludzie? – Claire patrzy mu prosto w oczy.

– Co tu się dzieje? – pyta dziewczyna, gdy Heath wkłada nogi w nogawki spodni i szybko zakrywa smukłe biodra.

– Zdaje się, że przyjechała policja – odpowiada jej przyjaciółka.

– Jesteście z policji? – pyta mężczyzna z bezwłosym torsem.

Czy to on mnie zgwałcił? Czy ktoś, kto wygląda tak wątło, mógł mnie tak łatwo pokonać?

Facet przenosi wzrok z Claire i ze mnie na Trávisa.

– No więc są policjantkami czy nie?

– Napiłbym się wody – oznajmia mlecz.

– Daję wam dwie minuty, a potem dzwonię na policję – za-powiada Claire.

– No weź, kobieto – jęczy mlecz. – Potrzebujemy więcej czasu. Nawet nie wiem, gdzie są moje spodnie.

– Gdzie Samantha? – pyta jedna z dziewczyn, przesuwając dłonią po pościeli, jakby spodziewała się, że znajdzie koleżankę w jej fałdach.

– Chyba w salonie – odpowiada Claire.

– Co tam robi?

– Spytasz ją, wychodząc.

– Bardzo mi przykro – mówi Travis. – Szczerze, Bailey...

– Idź już.

Travis odwraca się do Heatha.

– Chodź, stary. Zwijamy się.

– Nie sędzę.

– Pogwałciłeś decyzję sądu – przypomina mu Claire.

– To mnie pozwij – odpala Heath. – A, zapomniałem. Już mnie pozwałaś. To pozwij mnie drugi raz – dodaje, jeszcze bardziej zaczepnie. – W ogóle co tu robisz? Nie wiesz, że pogwałciłaś decyzję sądu?

Już mam wyjaśnić, że chciałam pokazać Claire z zewnątrz dom, w którym się wychowałam, kiedy ona mnie powstrzymuje.

– Szkoda słów. – Spogląda na zegarek. – Jedna minuta.

Wszyscy gorączkowo rzucają się po ubrania i uciekają z pokoju.

Z wyjątkiem Trávisa i Heatha.

– Bailey, proszę... – próbuje jeszcze mój były.

– Wyjdz.

Travis wychodzi bez dalszych protestów. Heath wstaje z łóżka.

– Ty nie.

– Przecież powiedziałaś...

– Ty nie – powtarzam.

– Proponuję ci układ – oznajmia mój brat. – Zostanę... jeśli ta siostra miłosierdzia wyjdzie.

– Heath...

– Wybieraj. – Spogląda na Claire. – Możesz ją zostawić na parę minut, świątobliwa siostrzyczko? Dotrzymasz towarzystwa Travisowi. Poznasz go lepiej. Macie sporo wspólnego. On też jest pijawką.

– Bailey? – pyta Claire.

– Dam radę.

– Da radę – powtarza mój brat.

Claire niechętnie wychodzi z pokoju. Heath zamyka za nią drzwi kopniakiem bosej stopy.

– Co się dzieje, Heath?

– Nic się nie dzieje. Przesadzasz. Zaprosiłem przyjaciół. Wielkie rzeczy.

– To są twoi przyjaciele?

– A co, nieładni?

– W ogóle wiesz, jak się nazywają?

– Co za różnica, jak się nazywają? To uczeni obywatele, aktorzy i przyszłe gwiazdy, co do jednego.

– To szumowiny.

– Jesteś niesprawiedliwa.

– Czekaj. Powiedziałaś, że to aktorzy? – Zastanawiam się gorączkowo. – Znasz Paula Gillera?

– Kogo? – Heath spogląda na drzwi, potem na podłogę, wszędzie, byle nie na

mnie.

– Paula Gillera. To aktor. Znasz go?

– A powinienem?

– Dlaczego na mnie nie patrzysz?

– Dlaczego się drzesz?

– Znasz Paula Gillera? – powtarzam.

– Już mówiłem, nie. Co ci się stało?

– Ty mi się stałeś! – krzyczę, przestając nad sobą panować. – Sprowadzasz tych obcych ludzi do domu rodziców, jarasz do nieprzytomności w środku dnia, włamujesz się...

– Nie włamałem się. Mam klucz, zapomniałaś? Nie czaję, o co się tak wściekasz. Co ci odbiło? To mój dom. Nasz. Ojciec zostawił go nam razem ze swoją fortuną, a nasze chciwe przyrodnie rodzeństwo, ze świętą Claire włącznie, nie ma do niego żadnego prawa. Będę walczyć z nimi do ostatniego tchu o każdy grosz.

– Czym? – pytam sucho.

– Jak to czym?

– Potrzebujesz czegoś więcej niż siły woli, żeby z nimi walczyć. Gene grozi, że zablokuje nasz majątek na lata, a ma możliwości i wie, jak to zrobić. Wcześniej czy później nasze oszczędności się skończą. Nie mam pojęcia, kiedy odzyskam siły na tyle, żeby wrócić do pracy, a ty jesteś bezrobotny.

– Co? Myślisz, że się nie staram?

– Tego nie powiedziałam.

– Brakowało mi tyle, o, tyle – pokazuje mi prawie stykające się kciuk i palec wskazujący – żeby dostać tę cholerną reklamę Whiskasa. Tarzałem się po tej głupiej podłodze godzinami, godzinami, z tym zasranym kotem, który mnie lizał po twarzy, dawałem reżyserowi dokładnie to, czego chciał. Agent powiedział, że mam to jak w banku, reklama na cały kraj, miałbym kasy w cholere i trochę. I nagle w ostatniej chwili uznali, że chcą iść w innym kierunku. Agentka powiedziała, że bym nie brał tego do siebie. Reżyser był mną zachwycony. Tylko że jestem trochę za przystojny. Po obejrzeniu nagrań klient uznał, że mogę zaćmić tego parszywego futrzaka. Więc postanowili wybrać jakiegoś zwyczajniejszego gościa, z którym mógłby się identyfikować przeciętny właściciel kota.

– Przykro mi – mówię. – Wiem, jakie to frustrujące.

– Nie masz zielonego pojęcia – warczy mój brat. – Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy ktoś zamyka ci drzwi przed nosem. Raz po raz. Tobie wszystko zawsze przychodzi z taką łatwością.

Czy on naprawdę tak myśli? Jego egocentryzm zapiera mi dech w piersiach. Heath zawsze był zajęty tylko sobą – co dziwne, to dodaje mu uroku – ale żeby nie dotarło do niego, co przeżywałam przez te tygodnie?

Heath łagodnieje, jakby moje myśli wyświetliły mi się na czole.

– Przepraszam – mówi z ręką na sercu. – To było bezmyślne. Nawet jak na mnie. – Rzuca mi najładniejszy z kolekcji swoich pojednawczych uśmiechów. – Nie chciałem się na ciebie wydrzeć. Wiem, że ostatnio nie jest ci lekko...

Heath nigdy nie potrafił radzić sobie z przykrościami. Rozumiem, że nie chce się mieszać w to, co przeżywam, że musi zminimalizować tę traumę, bo się rozpadnie.

– Po prostu przez całe życie użeram się w kółko z tym samym – ciągnie, wracając do nawyku mówienia o sobie. Nogi uginają się pode mną i osuwam się na łóżko, żeby nie upaść. – Albo jestem za przystojny, albo nie dość przystojny. Za wysoki, za niski, za chudy, za muskularny. Nigdy w sam raz. Nigdy taki, jak trzeba.

Wiem, że chodzi mu nie tylko o pracę. Z całą pewnością ma na myśli rozczarowanie, które – jak twierdzi – zawsze widział na twarzy ojca, ale nie mam siły teraz tego roztrząsać.

– Taka jest ta branża – odpowiadam. Serce mi się kraje z jego powodu, choć to taki egoista. – Wiedziałaś, kiedy w nią wchodziłeś.

– Przecież nie siedzę na tyłku. Chodzę na przesłuchania, wystawiam się na krytykę.

– A pisanie?

– Co pisanie?

– Ten twój scenariusz...

– Nadal nad nim pracuję – ucina. – Do czego zmierzasz? Chcesz powiedzieć, że powinienem zrezygnować z marzeń i iść do jakiejś głupiej roboty? Do tego to prowadzi?

– Nie, skąd – mówię, ale naprawdę myślę, że choć w programach typu *Idol* zwycięzca apeluje we łzach do widzów, by nie rezygnowali z marzeń bez względu na wszystko, zapominamy o tysiącach innych uczestników, milionach innych zdesperowanych kandydatów do sławy, których marzenia nigdy się nie spełnią, i o tym, że czasem po prostu lepiej wybrać inne marzenie, że lepiej naprawdę żyć, niż marzyć o życiu, które się nigdy nie urzeczywistni.

– Po prostu nie mamy dochodów, nasz majątek jest zablokowany...

– Potrzebuję tylko paru ogólnokrajowych reklam i nie będę musiał korzystać z pieniędzy taty, bez względu na decyzję sądu. Będę miał dość pieniędzy, żeby dla odmiany zaopiekować się tobą tak, jak ty zawsze opiekowałaś się mną. Nie gniewaj się na mnie, proszę. Nie zniosę tego. Kocham cię najbardziej na całym świecie. Mam tylko ciebie.

– Ja też cię kocham. – Walczę z chęcią, by go przytulić. – Ale pomyślałam, że na dłuższą metę mądrzej będzie iść na ugodę...

– Żartujesz? Czy ona żartuje? – pyta Heath ścian.

– Heath, posłuchaj. To mnóstwo pieniędzy. Mówimy o milionach dolarów. Dziesiątkach milionów dolarów.

– Nie dam tym sępom nawet dziesięciu centów.

Spuszczam głowę. Nie o tym chciałam z nim rozmawiać, choć teraz już sama nie wiem, co zamierzałam mu powiedzieć. Prawie się uśmiechem. Mój brat ma na mnie taki wpływ.

– Gdyby tata chciał równo podzielić majątek – ciągnie mój brat – zrobiliby to.

– Wiem.

Szczerze mówiąc, wcale nie wiem. Faktem jest, że nasz ojciec nade wszystko kochał walkę. Claire powiedziałaaby, że od początku miał nadzieję na tę rozprawę sądową.

– A my powinniśmy szanować jego wolę – ciągnie Heath. – Nie możemy iść na łatwiznę. Mimo wszystkiego, przez co ostatnio przechodzimy.

M y, myślę ironicznie. Ale głośno pytam:

– Na pewno nie znasz Paula Gillera?

– Nigdy o nim nie słyszałem.

Muszę mu uwierzyć.

– Obiecasz, że nie zrobisz więcej nic takiego? Że uszanujesz zakaz sądu i tu nie wejdiesz?

– Od tej pory będę grzeczny. Przysięgam.

– Nie musisz przysięgać. Tylko obiecaj.

Heath rzuca mi najbardziej szczerzy uśmiech ze swojego repertuaru, ten sam, który – jak mi kiedyś wyznał – doskonalił przed lustrem przez wiele godzin, jeśli nie dni. Gdyby jakiś producent szukał odtwórcy wrażliwego, niezrozumianego przez świat starszego brata nieszczęsnej bohaterki, w nim odnalazłby ideał. Uśmiech staje się jeszcze bardziej promienny.

– Obiecuję.

– Jestem bardzo zła na mojego brata.

Siedzę na brązowej sofie w gabinecie Elizabeth Gordon, a ona zajmuje granatowy fotel naprzeciwko mnie, dokładnie tak jak tydzień temu.

– Co cię tak zdenerwowało?

Opowiadam o incydencie w domu rodziców.

– Co denerwuje cię bardziej: to, że brat złamał zakaz sądowy, czy że w ogóle tam był?

– Że złamał zakaz – odpowiadam szybko. Za szybko, uświadamiam sobie i wiem, że ona pewnie też tak myśli. – To nie wszystko – ciągnę, choć nie mam pojęcia, co zamierzam dodać.

– Widzę, że jesteś rozdarta – zauważa Elizabeth. – Postaraj się o tym powiedzieć.

Ile razy słyszałam, jak młodzi rodzice mówią swojemu zdenerwowanemu trzylatkowi, żeby „postarał się powiedzieć”. Czy gwałt spowodował u mnie aż taki regres?

– Nie chodzi tylko o to, że był w domu. W całym tym zajściu było coś wstrętnego.

– Opowiadam o stanie pokojów i o pijawkach, którymi otacza się mój brat. Nie wspominam o swoich podejrzeniach, że Heath coś przede mną ukrywa.

– Bałaś się?

– Nie. Czego miałabym się bać?

– Sypialni pełnej nagich mężczyzn pod wpływem narkotyków. Mogę zrozumieć, dlaczego to mogłoby cię przestraszyć.

Przechyla głowę, a jej kręcone włosy opadają na ramię, odsłaniając delikatny brylancik w uchu.

– Masz inne kolczyki – zauważam.

Unosi odruchowo rękę do ucha.

– A jakie miałam ostatnio?

– Małe złote kółeczka.

– Jesteś bardzo spostrzegawcza. – Terapeutka pochyła się ku mnie. – Może opowiesz mi o swoich spostrzeżeniach.

– W tym właśnie problem.

– Jak to?

– Nie jestem już pewna swoich spostrzeżeń.

– Dlaczego?

– Ciągłe czuję się dziwnie.

– Jak? Mówimy o atakach paniki?

– Czasem. Ale to coś więcej.

– A konkretnie? Możesz mi zaufać – dodaje po pauzie. – Rozumiem, że ostatnio było ci bardzo ciężko...

– „Ciężko” nawet w przybliżeniu nie oddaje tego, co czuję – przerywam jej.

– A co oddaje?

– Czuję się, jakbym się dusiła. Jakbym traciła rozum.

– To dobrze.

– Jak to dobrze? Co dobrego mi z tego przyjdzie?

– Posłuchaj. – Terapeutka znowu się do mnie pochyla. – Ludziom trudno zrozumieć działanie tego procesu, ale wyjaśniając tę sytuację mnie, wyjaśniasz ją sobie. – Odkłada długopis na leżący na kolanach notatnik. – Wyobraź sobie siebie na lodowisku. Martwisz się, że lód się pod tobą załamie, bo jest cienki. Terapia pozwala zwiększyć grubość lodu, żebyś mogła się bezpieczniej ślizgać. Z większą pewnością siebie. W tej chwili lód nie jest bardzo gruby. – Robi pauzę, żeby obraz lepiej do mnie dotarł. – Rozumiem, że samo myślenie o tych sprawach cię denerwuje, a co dopiero rozmowa o nich, ale pomożesz sobie, jeśli to ujawnisz...

Zerkam na beżową puszystą wykładzinę.

– Nie wiem, czy potrafię. Nie wiem.

– Lepiej podzielić się tym, co się w tobie dzieje, ubrać te uczucia w słowa, niż dusić je w sobie i czekać, aż wybuchną. Wiem, że w tej chwili nieszczególnie ufasz ludziom. Ale pytanie brzmi: czy możesz zaufać mnie? Czy zaufasz mnie i sobie na tyle, by ubrać te uczucia w słowa? Jeśli tak, obiecuję, że pomogę ci złagodzić ten intensywny lęk.

– Jak możesz mi to obiecać?

– Bo mogę ci pomóc, jeśli mi pozwolisz.

– Nie wiem, czy jestem na to gotowa.

– Będę czekać, aż poczujesz, że jesteś.

– Nie możesz sobie wyobrazić, co się ze mną dzieje.

– No to opowiedz mi o tym.

– Nie śpiam. Mam straszne koszmary. Ale kiedy się budzę, boję się jeszcze bardziej.

– Opowiedz mi o swoich snach. Opisz je z jak największą ilością szczegółów.

Wyliczam powtarzające się koszmary: o rekinach pływających pod moimi stopami w spokojnej wodzie, o mężczyźnie bez twarzy czekającym na mnie na brzegu, o kobiecie obserwującej mnie przez lornetkę z balkonu – kobiecie, która ma moją twarz.

– To wyraz lęku – mówi Elizabeth. – Czujesz się bezradna, zagubiona i przerażona. Może nawet trochę winna.

– Winna?

– Wyczuwam, że obarczysz się odpowiedzialnością za to, co cię spotkało.

– Wiem, że nie powinnam...

– Zapomnij o tym, co powinnaś, a czego nie powinnaś. Robisz to, co robisz. Co według ciebie mogłaś zrobić inaczej?

– Powinnam być bardziej spostrzegawcza, bardziej czujna...

– A ja powinnam być niższa – odpowiada ona, wzruszając ramionami.

– To kiepskie porównanie. Nie masz wpływu na swój wzrost.

– Czy poczucie kontroli nad sytuacją jest ważne?

– A nie jest?

Terapeutka pisze słowo „kontrola” na środku kartki z notesu, który odsuwa tak, żebym nie mogła go widzieć.

– Wszyscy lubią czuć, że panują nad sytuacją.

– Tylko że to niemożliwe? To chcesz powiedzieć? Że nie miałam na to wpływu, tak jak ty na swój wzrost?

– Nie staram się nic ci powiedzieć. To ty mi coś powiedz. Czy gdybyś była tej nocy bardziej spostrzegawcza, bardziej czujna, coś by to zmieniło?

– Mogłabym go usłyszeć wcześniej. Mogłabym go zobaczyć. Powstrzymać.

– Naprawdę? Tak realistycznie. Naprawdę sądzisz, że obroniłabyś się przed nim?

Widzę siebie, przykucniętą w kępie kwitnących krzewów, wpatrzoną przez lornetkę w budynek naprzeciwko. Słyszę trzask gałązek za mną, odczuwam lekką zmianę w powietrzu. Znowu czuję smak rękawiczki kneblującej mi usta i blokującej krzyk, czuję grad uderzeń pięścią w brzuch i twarz, które obezwładniają mnie i pozbawiają przytomności. Czy mogłabym zachować się inaczej?

– Nie wiem.

– A ja wiem. Nie mogłabyś go powstrzymać.

– Mogłabym krzyknąć.

– Myślisz, że ktoś by cię usłyszał?

– Nie wiem. – Było późno. Większość ludzi pewnie spała albo siedziała przyklejona do telewizorów. Zamknęli okna, żeby nie wpuszczać upału, ustawili klimatyzację na pełen nawiew, żeby nie było duszno. Nawet gdyby ktoś mnie usłyszał, pewnie zlekceważyłby moje krzyki. A gdyby nawet wyjrzał przez okno, możliwe, że nic by nie zobaczył. Byłam dobrze ukryta.

Nagle przypominam sobie, że tego ranka, kiedy przyszedłam się rozejrzeć po okolicy, odniosłam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Uznałam to za zawodową paranoję, ale może to nie była paranoja. Może ktoś naprawdę patrzył. Może gwałcił.

– Nic, co mogłabyś zobaczyć i zrobić, nie ma znaczenia w ogólnym rozrachunku – mówi Elizabeth, nieświadoma moich rozmyślań – bo tak naprawdę liczy się tylko to, co zobaczyłaś i co się wydarzyło. A tego jest aż za dużo. Nie musisz się jeszcze zastanawiać nad tym, co mogłoby się wydarzyć. To te wszystkie „gdyby” nie

pozwalają ci ruszyć z miejsca i rozprawić się z prawdziwymi problemami.

– Czyli?

– Ty mi powiedz.

– A jeśli nie wiem?

– To będziemy musiały się nad tym zastanowić – zapowiada Elizabeth. –

Popracować nad tym wspólnie.

Kiwam głową, prawie spodziewając się usłyszeć, że nasz czas się skończył, że to będzie dobry punkt wyjściowy następnej sesji. Tymczasem po zerknięciu na zegarek przekonuję się, że sesja dopiero się zaczęła.

– Może masz mi do powiedzenia coś więcej – mówi terapeutka.

– Na przykład?

– Nie wiem. Co się działo oprócz incydentu z bratem?

Mogę? Naprawdę mogę jej powiedzieć wszystko? Mogę jej opowiedzieć o szaleństwie? Biorę głęboki oddech i wypuszczam go powoli. Powietrze uchodzi ze mnie jak z balonu. Z trudem wyrzucam z siebie słowa.

– Podejrzewam, że zaczynam wariować.

– Jak to?

– Wszędzie go widzę.

– Mężczyznę, który cię zgwałcił?

– Tak. – Kręcę głową. – Dziwne, co? Nie widziałam go, a jednak widzę go wszędzie.

Każdy mężczyzna między dwudziestką a czterdziestką, biały, czarny czy pomiędzy, byle miał średni wzrost i średnią budowę. Patrzą na niego i myślę, że to mógłby być on.

– Wcale nie wydaje mi się to szaleństwem – odpowiada Elizabeth. – Masz rację. To może być on.

– Wczoraj widziałam go na rogu ulicy w South Beach – ciągnę, nie dając się tak łatwo pocieszyć.

– Mów dalej.

– Wydaje mi się, że słyszę, jak szepcze mi do ucha, żąda, żebym powiedziała, że go kocham. Czasem budzę się w środku nocy przekonana, że słyszałam dzwonek telefonu, ale kiedy podnoszę słuchawkę, słyszę tylko sygnał. Kiedy sprawdzam historię połączeń, okazuje się, że tak, ktoś dzwonił, i sędzę, że to musi być człowiek, który mnie zgwałcił. Ale nie jest. Może to tylko mój brat...

– Dlaczego twój brat miałby dzwonić do ciebie w środku nocy, a potem odkładać słuchawkę?

– Nie wiem.

– Policja na pewno może sprawdzić...

– Policja już uważa mnie za wariatkę.

– Dlaczego?

Opisuję epizod z Davidem Trotterem.

– No i jest jeszcze ten facet... – zaczynam.

– Jaki facet?

A co tam, myślę. Zabrnęłam tak daleko, mogę iść na całość.

– Nazywa się Paul Giller. Mieszka w apartamencie naprzeciwko.

– To twój przyjaciel?

– Nie – mówię głośno. Za głośno. Elizabeth robi notatkę. – Wcale go nie znam.

– Ale wiesz, jak się nazywa.

– Tak. Policjanci mi powiedzieli.

– To podejrzany?

– Oni tak nie uważają.

– A ty tak.

Opowiadam jej o Paulu Gillerze lub Narcyzie, o tym, jak zaczęłam go obserwować, dlaczego nadal to robię, i że nie potrafię przestać.

– Pewnie powinnam się tego wstydić.

– Nie ma się czego wstydić. Dzielisz się ze mną swoimi myślami.

– Ale widziałam, jak uprawia seks.

– Przed oknem, przy włączonych wszystkich światłach i roz-suniętych zasłonach – przypomina mi.

– On w ogóle nie ma zasłon – poprawiam. – Wygląda to tak, jakby dopiero się wprowadzili.

– Oni?

Opowiadam jej o Elenie, o tym, jak poszłam za nią do jej pracy, o informacjach, które z niej wyciągnęłam podczas zaimprovizowanej sesji manikiuru.

– Obłąd, co?

– Ja tak wcale nie sędzę – sprzeciwia się Elizabeth. – Może to ryzykowne, ale nie szalone. Starasz się zapanować nad sytuacją najlepiej, jak potrafisz. Robisz to, czego cię nauczono.

Ściskam ręce między kolanami, żeby nie zaklaskać. Ona nie uważa mnie za wariatkę! – krzyczy coś we mnie. Sądzi, że przejmuję kontrolę nad życiem.

– I pewnego razu widziałaś, jak obserwował cię przez lornetkę?

– Tak mi się wydawało. Ale kiedy policjanci poszli z nim porozmawiać, twierdził, że nawet nie ma lornetki. Zaproponował, żeby przeszukali jego mieszkanie.

– I zrobili to?

– Nie.

Elizabeth wzrusza teatralnie ramionami, jakby mówiła: no oczywiście.

– Czyli mógł kłamać. Czy Paul Giller ma alibi na noc, której cię zaatakowano?

– Policjanci twierdzą, że nie mogą go spytać bez wystarczającego powodu. Naprawdę nie uważasz, że oszalałam?

– Podsumujmy to, co wiemy, dobrze? Dowiadujesz się, że w mieszkaniu, dokładnie naprzeciwko twojego, mieszka mężczyzna, który pasuje do ogólnego

opisu gwałciciela. Widzą go także twoja siostra i siostrzenica. Zgadza się?

– Tak.

– Więc wiemy, że nie jest wytworem twojej wyobraźni. Wiemy, że istnieje. I że lubi paradować nago przed oknem, pokazując się całemu światu.

– No, jednak mieszka na dwudziestym trzecim piętrze.

– No dobrze. To połowie świata – ustępuje Elizabeth z uśmiechem. – A twoja siostra i siostrzenica także były świadkami jego zachowania.

– Tak.

– Więc wiemy, że to rzeczywistość. I że facet lubi uprawiać seks przed oknem.

– No, to widziałam tylko ja – odpowiadam nagle osłabłym głosem.

– Myślisz, że to się mogło nie wydarzyć?

– Nie wiem.

– Myślisz, że to sobie wyobraziłaś?

– Nie.

– Co?

– Nie – odpowiadam silniejszym głosem.

– Dobrze. Ja też nie.

– I nie sądzisz, że mam paranoję? Albo psychozę?

– Nie masz psychozy. I powiedziałabym, że lekka paranoja jest w twoim przypadku całkowicie usprawiedliwiona. Zostałaś pobita i zgwałcona. Twój świat wywrócił się do góry nogami. Masz prawo czuć się tak, jak się czujesz.

Mam prawo, myślę. Nie zwariowałam.

– Przeszłaś przez piekło, Bailey. A ten zbok, którego obserwowałaś – czy wie o tym, czy nie, czy cię zgwałcił, czy nie – z pewnością nie pomaga. Jesteś spięta i nieufna. Twoje sny, podobnie jak ogólny niepokój, oznaczają, że masz poczucie utraty kontroli. Dziś zrobiłaś ciekawą uwagę: że nie wiesz, co jest prawdą, a co nie. To znaczy, że nie masz psychozy.

Nie zwariowałam.

– Znasz określenie „zespół stresu pourazowego”?

– Oczywiście. Czy jego objawem nie są halucynacje?

– Mogą być. To nie oznacza szaleństwa.

Mam zespół stresu pourazowego. Nie zwariowałam.

– Więc co mogę z tym zrobić?

– Dokładnie to, co robisz. Przychodzić tutaj. Rozmawiać o tym. Uśmiechasz się.

O czym myślisz?

Czuję, że uśmiech, z którego w pierwszej chwili nie zdawałam sobie sprawy, staje się coraz szerszy, porusza moimi policzkami.

– Po prostu... to śmieszne.

– Co?

– Czuję się lepiej.

– Jak to?

– Powiedziałaś, że nie oszalałam, choć czuję się, jakbym oszalała. Więc może jednak nie oszalałam. Szaleństwo, co? – Parskam śmiechem.

– Nie tracisz kontaktu z rzeczywistością. Przeżyłaś stres i traumę.

– Dziękuję. – Mam ochotę wstać, wyjść, opuścić jej gabinet, zanim ta euforia się ulotni. – Bardzo dziękuję.

– Nadal mamy mnóstwo pracy.

– Wiem. Ale sama świadomość, że nie uważasz mnie za wariatkę, sprawia, że odzyskuję panowanie nad sobą.

– Nie oszalałaś.

– Nie oszalałam.

– Pamiętasz, kiedy ostatnio miałaś poczucie, że panujesz nad swoim życiem?

Przeszukuję wspomnienia i czuję, że moja nowa pewność siebie zaczyna blednąć.

– Nie wiem. Pewnie przed śmiercią mamy. Od tego czasu wszystko stało się chaosem.

– Z pewnością nie miałaś wpływu na to, co stało się z twoją matką. Ale znalazłaś sposób, żeby sobie z tym poradzić. Znalazłaś sposób, żeby zapanować nad swoim życiem.

– Zostając detektywem?

– Nie sądzę, żeby ten wybór był przypadkowy. Albo chaotyczny, jak powiedziałaś. Chciałaś odpowiedzi. Wybrałaś zawód, który pozwala ci je znajdować. Tak samo było po śmierci twojego ojca. Dzięki pracy mogłaś pogodzić się z jego odejściem, żyć dalej. I nawet teraz, gdy policja odmówiła sprawdzenia Paula Gillera, wzięłaś sprawę w swoje ręce. Sama przeprowadziłaś dochodzenie. Może to nie najbardziej rozważna rzecz na świecie, ale dzięki temu przestałaś się czuć zepchnięta do roli ofiary. Dzięki temu czujesz, że bardziej panujesz nad życiem.

Ona ma rację. Nigdy nie czuję bardziej, że panuję nad swoim życiem, niż wtedy, gdy pracuję.

– Tylko że podczas pracy zostałam zgwałcona – mówię głośno, uprzedzając prośbę Elizabeth, żebym ubrała swoje myśli w słowa.

– I dlatego to jest dla ciebie tak bardzo traumatyczne. Zostałaś zaatakowana w miejscu, w którym czujesz się najsilniejsza.

Tym razem jednak wstaję.

– Dałaś mi wiele do przemyślenia.

– Mam nadzieję, że ci się to przyda.

– Chyba mnie uzdrowiłaś. – Śmieję się, jakby po to, żeby podkreślić swój nieporadny żart. Choć tak naprawdę mam nadzieję, że Elizabeth powie, że to nie żart, że naprawdę zostałam uzdrowiona, że nie muszę już przychodzić, że moje lęki znikły na zawsze, bo nie zwariowałam, nie zwariowałam, nie zwariowałam.

– Dopiero musnęłyśmy powierzchnię – odpowiada ona. – Nadal mamy wiele do

omówienia.

- Na przykład?
- Na przykład nie rozmawialiśmy, tak naprawdę, o twoim ojcu.
- To raczej problem Claire, nie mój.
- Nie masz o nim nic do powiedzenia?
- Tylko tyle, że za nim tęsknię.
- Więc uważasz, że niektórzy mężczyźni są dobrzy?

Uśmiecham się.

- Chyba tak.
- To miłe zakończenie tej sesji. Prawda?

*

Wychodzę z gabinetu Elizabeth Gordon jak na skrzydłach. Łapię pierwszą taksówkę.

Nie zwariowałam.

Nie wszyscy mężczyźni są nieodpowiedzialnymi kłamcami. Nie biją swoich dziewczyn, nie kłamią, że nie sypiają ze swoimi żonami, nie organizują narkotykowych orgii w sypialni zmarłego ojca. Nie wszyscy są gwałcicielami.

A ja nie zwariowałam.

– Dokąd? – pyta taksówkarz.

Ma koło czterdziestki, szerokie bary i mocne plecy, wąsy i kędzierzawe ciemne włosy. Normalnie dostałabym ataku paniki, ale on nie jest człowiekiem, który mnie zgwałcił. Nie wszyscy mężczyźni to gwałciciele. Niektórzy są dobrzy.

Nie zwariowałam.

Mam już podać taksówkarzowi swój adres, kiedy nagle zmieniam zdanie.

Nigdy nie czuję się silniejsza niż wtedy, gdy pracuję. Czas popracować. Policjanci twierdzili, że przesłuchali wszystkich mieszkańców okolicy, w której zostałam zgwałcona. Ale na razie dochodzenie niczego nie wykazało. Jeśli policja nie może mi pomóc, pomogę sobie sama.

Co oznacza powrót na miejsce zbrodni.

Jak mówi Elizabeth Gordon, może to nie jest najrozsądniejsza rzecz na świecie, ale przestanę się czuć zepchnięta do roli ofiary, pozbawiona kontroli. Biorę głęboki oddech.

– Northeast 152 Street w Północnym Miami.

Jak tu uroczo za dnia, myślę, spoglądając na rząd pastelowych budynków liczących nie więcej niż sześć kondygnacji, schludnych, czyściutkich i pochodzących z zupełnie innych czasów – czasów sprzed nastania szklanych wysokościowców. Palmy rzucają długie, leniwe cienie na szeroką ulicę. Taksówkarz zatrzymuje się w takim cieniu, jakieś pół przecznicy od miejsca, w którym tamtej nocy zostawiłam samochód.

– Może być? – pyta.

– Świetnie – odpowiadam, choć nie jest świetnie. Zaczęłam dygotać po mniej więcej dziesięciu minutach jazdy. Drzenie stawało się tym gwałtowniejsze, im bardziej się zbliżaliśmy. Teraz ręce trzęsą mi się tak bardzo, że prawie trafiam pieniędzmi za kurs w głowę taksówkarza, i otwieram drzwi z taką siłą, że niemal je wyrywam. Wyskakuję czym prędzej, żeby nie powiedzieć kierowcy, że się rozmyśliłam, że się pomyliłam, że nie tu chciałam przyjechać, że to ostatnie miejsce na ziemi, w którym chcę się znaleźć.

Taksówka rusza, zostawiając mnie w niespodziewanym kręgu słońca, jakby odnalazł mnie reflektor. Panie i panowie, ogłasza głos niewidzialnej osoby, patrzcie, kto do nas zawitał! Ależ to sama Bailey Carpenter, wracająca tam, gdzie wszystko się zaczęło – a może raczej gdzie wszystko się rozpadło? Co tu robisz, Bailey? Powiedz swoim fanom, co niby chcesz tu osiągnąć.

Powiedz, że mnie kochasz.

Idę niepewnie parę metrów, po czym kolana uginają się pode mną i muszę stanąć, by nie upaść. Robię pięć głębokich oddechów, dbając, by każdy wydech był powolny, co ma zdusić rosnącą panikę. Przejmuję kontrolę nad swoim życiem.

Nie zwariowałam.

– Przepraszam. Mogę pomóc? – Głos jest niepozorny i przyjazny, podobnie jak jego właścicielka. Kobieta ma mniej więcej metr pięćdziesiąt wzrostu i co najmniej osiemdziesiąt lat. Jej twarz wygląda jak brązowe płótno pełne zagnieceń i załamań. Kolejny relikwyt przeszłości, myślę. Z czasów, zanim chirurgia plastyczna zmieniała kobiece twarze w upiorne, nieruchome maski. Kobieta ma na sobie bluzkę w kwiatki i rybaczkę w różowo-białą kratkę, co nie powinno do siebie pasować, ale pasuje. Patrzą, jak się zbliża, ciągnąc za sobą małego pieska na jaskrawozielonej smyczy. Pies, zapasiony york, ma zieloną kokardkę w gęstej jedwabistej sierści na głowie, a kiedy kobieta staje o krok ode mnie, on przysiada na sandałach swojej pani. Sapie nierównym urywanym rytmem i przygląda mi się z jęczyczką

zwisającym z boku mordki, jakby widział, że tu nie pasuję.

– Zgubiła się pani? – pyta kobieta.

Uznaję, że to równie dobre określenie mojej sytuacji jak każde inne.

– Nie – odpowiadam mimo to. – Wszystko w porządku, dziękuję.

– Strasznie gorąco – zauważa kobieta. – Trzydzieści trzy stopnie, jak podają gazety. – Odsuwa z twarzy pasmo wilgotnych rzędzących siwych włosów. – Ale co tam. Nie takie upały widziałam. W zeszłym tygodniu skończyłam dziewięćdziesiąt dwa lata.

Jak to jest, że niektóre kobiety dożywają dziewięćdziesięciu dwóch lat, podczas gdy inne umierają w wieku pięćdziesięciu pięciu?

– Gratulacje – mówię, starając się nie zazdrościć jej długowieczności. – Wygląda pani znakomicie.

Kobieta reaguje na mój komplement dziewczęcym chichotem i nieśmiałym machnięciem zreumatyzowanej dłoni.

– Staram się wychodzić na spacer parę razy dziennie, choć ta wilgoć wykańcza moją fryzurę. Ale Poopsie musi siusiu. Prawda, Poopsie?

Poopsie patrzy na swoją panią wielkimi, złymi brązowymi oczami, jakby starał się ocenić, ile to jeszcze potrwa i czy powinien wstać, czy się nie opłaca.

– Pani tu mieszka?

– W tym różowym domu. – Staruszka wskazuje brodą kwadratowy pięciokondygnacyjny budynek z białymi okiennicami. – Moja córka chciała mnie przekonać do domu opieki, mówiła, że będzie mi łatwiej. Raczej chodziło o to, że jej będzie łatwiej. A ja lubię moje życie takie, jakie jest. Oczywiście musiałam zrezygnować z golfa – dodaje tęsknie.

Myślę o Travisie. Nauczył mnie grać i byłem w tym całkiem niezła, czego się zresztą spodziewał. „Istnieje coś, czego nie potrafisz?” – spytał z lekką zazdrością.

Widzę go stojącego boso w drzwiach łazienki mojego ojca, ze skruchą malującą się na przystojnej twarzy. Czy czuł się winny, bo znalazł się w niezręcznej, może nawet żenującej sytuacji? Czy z innego powodu?

– Mogę o coś spytać? – pytam staruszki.

– Oczywiście.

– Podobno niedawno na tej ulicy została zgwałcona młoda kobieta...

– Naprawdę? – Wyblakłe orzechowe oczy rozszerzają się ze strachu. – Gdzie to usłyszałaś?

Wzruszam ramionami, jakbym nie pamiętała.

– Jakiś miesiąc temu...

– Nie mam pojęcia. – Kobieta chwyta wolną ręką kołnierzyk kwiecistej bluzki, przygarniając ją do pomarszczonej szyi.

– Nic pani nie słyszała?

– Nie. Na pewno na tej ulicy?

– Na sto procent. Policja z panią nie rozmawiała?

– Ależ skąd. Ojej. To przecież taka bezpieczna okolica. Na pewno chodziło o Northeast 152, a nie Southeast?

Wskazuję kępę krzewów na końcu drogi; czuję drżenie ręki i natychmiast ją opuszczam.

– Zdaje się, że to stało się tam.

– O Boziu. Nie do wiary. To takie okropne. Biedactwo! Czy wszystko z nią dobrze?

– Nie wiem – mówię zgodnie z prawdą.

– Słyszałeś, Poopsie? – mamrocze starsza pani, odwracając się. – Kobieta zgwałcona na naszej ulicy. Może jednak pora się przeprowadzić. – Ogląda się na mnie. – Zechce pani poczekać, aż wejdem do domu?

– Oczywiście.

Patrzę, jak staruszka oddala się chodnikiem prowadzącym do drzwi jej budynku, otwiera je, zatrzymuje się i macha do mnie. Ruszam ulicą; mój oddech z każdym krokiem staje się cięższy, mniej miarowy. Usiłuję sobie wmówić, że to przez dokuczliwą duchotę, ale wiem, że to nieprawda.

Zbliżam się do miejsca, w którym zaparkowałam tamtej nocy samochód. Teraz stoi tam biała honda civic, a ja zatrzymuję się przed nią, starając się nie widzieć siebie leżącej bezwładnie pod drzwiami od strony pasażera, z ręką uniesioną nad głowę, by chwycić klamkę, podczas gdy moje ciało przeszywał wibrujący ból. Staram się nie słyszeć wycia alarmu odprowadzającego mnie w nieświadomość.

Wiem od policjantów, że alarm usłyszał jakiś starszy mieszkaniec pobliskiego bloku, który zadzwonił na policję. Nie, nie widział, co się stało, powiedział przesłuchującym go funkcjonariuszom. Po prostu usłyszał alarm, wyjrzał przez okno i zobaczył kobietę leżącą na skraju drogi.

Idąc chodnikiem zastanawiam się, kto to był. Zatrzymuję się przed owalną kępą krzewów w pobliżu zakrętu, dokładnie naprzeciwko czteropiętrowego cytrynowego budynku, który obserwowałam w nocy, gdy zostałam zaatakowana. Tak łatwo było wśliznąć się w zarośla, przykucnąć wśród kwiatów i zniknąć w ciemności.

Ale ja nie zniknęłam.

Ktoś mnie zobaczył. Ktoś na mnie patrzył.

Zawsze ktoś patrzy.

Przykucam. A może to nogi się pode mną ugięły? Chwiejnie obracam się w stronę budynku naprzeciwko, unosząc wyimaginowaną lornetkę w stronę mieszkania na trzecim piętrze, dokładnie tak jak wtedy, gdy usłyszałam trzask łamanej gałązki i poczułam, że powietrze za moimi plecami rozstępuje się jak kurtyna.

Odruchowo się obracam, moje ciało spina się w oczekiwaniu na ciosy, ręce unoszą się, żeby chronić głowę. Zagryzam wargi, żeby nie krzyknąć, a gdy uświadamiam sobie, że nikogo tu nie ma, wyrywa mi się szloch. Wodzę wzrokiem po górnych piętrach budynków za mną. Niewykluczone, że ktoś mnie widział, że

był świadkiem całego zajścia. Albo gorzej: że mężczyzna, który mnie zgwałcił, mieszka w jednym z tych bloków. Czy policja naprawdę wszystkich przesłuchała?

Decyduję, że z dwóch mieszkań na najwyższym piętrze kremowego budynku rozciąga się najlepszy widok na okolicę. Zrywam się na nogi, postanawiając zacząć od tych lokatorów.

– Hej! – woła jakiś młody mężczyzna z chodnika, mniej niż pół metra od krzaków, w których stoję. Wygląda na równie zaskoczonego moim nagłym pojawieniem się, jak ja jego widokiem.

Zachłystuję się powietrzem; brzmi to jak krzyk.

– Przepraszam – mówi szybko mężczyzna. – Nie chciałem pani przestraszyć. Po prostu nikogo się tutaj nie spodziewałem.

– Ani ja – odpowiadam.

Mężczyzna ma około trzydziestu lat, jest wysokim, szczupłym szatynem z dołeczkami w policzkach; jeszcze przed miesiącem uznałabym go za atrakcyjnego. W ręce trzyma do połowy pustą butelkę wody. Jest ubrany w narodowy uniform biegacza: podkoszulek, nylonowe spodenki do kolan i sportowe obuwie. Szukam na nich znajomego znaczka Nike. Na szczęście nie znajduję.

Oczywiście to nic nie znaczy. Ten, kto mnie zgwałcił, ma pewnie więcej niż jedną parę butów. Rzucam nerwowo okiem na pustą ulicę i sięgam do torby po broń, zanim sobie przypominam, że już jej nie mam. Nie mam też gazu ani pałki. Nawet perfum, którymi mogłabym prysnąć natrętowi w oczy, gdyby za bardzo się zbliżył. Nie zajęłam się nawet zorganizowaniem zastępczej komórki. Nie mogę do nikogo zadzwonić, nic zrobić.

– Zgubiła coś pani? – pyta mężczyzna spokojnie i przyjaźnie. Jego głos w niczym nie przypomina głosu mężczyzny, który mnie zgwałcił.

– Kolczyk – rzucam pierwsze, co przyszło mi do głowy. Mam nadzieję, że mężczyzna nie dostrzeże, że nie noszę kolczyków.

– Pomóc pani?

– Nie, dziękuję. Już znalazłam. – Wskazuję torbę, jakby niesforny kolczyk znajdował się bezpiecznie w jej wnętrzu.

– No to miała pani szczęście. Jak wylądował w tych krzakach?

Dlaczego my w ogóle rozmawiamy? Skąd się wziął ten gość? Jak długo tu był? Czy mógł mnie śledzić od chwili, gdy wysiadłam z taksówki? Czy obserwował mnie tamtej nocy? Czy to człowiek, który mnie zgwałcił?

Ma miłą twarz. Nie wygląda i nie mówi jak gwałciciel. Uprawia jogging, jak Boga kocham. Ale kto powiedział, że biegacze nie mogą być gwałcicielami, a gwałciciele nie mogą mówić łagodnym głosem i miło wyglądać?

– Wczoraj wbiegł tu mój pies – kłamię. – Pewnie zgubiłam kolczyk, kiedy go stąd wyciągałam.

– To jak znaleźć igłę w stogu siana.

– Aha. – Dlaczego on tu jeszcze jest?

– Jakiego ma pani psa?

– Co?

– Zaraz. Niech zgadnę. Na pewno jakiegoś egzotycznego. Portugalskiego psa wodnego?

– Dobermana – rzucam, jakby samo to słowo wystarczyło, żeby obudzić lęk.

– Naprawdę? Nigdy bym nie pomyślał.

Znowu zastanawiam się, dlaczego w ogóle rozmawiamy i dlaczego mam ochotę ciągnąć tę rozmowę. Stoję dokładnie tam, gdzie mnie zaatakowano, rozmawiam z mężczyzną, którego nie znam, z obcym, który pasuje do ogólnego opisu człowieka, który mnie pobił i zgwałcił. Dlaczego?

– Nic pan o mnie nie wie.

– Ale chciałbym.

– Co?

– Ma pani czas na kawę?

Co?

– Niedaleko stąd jest Starbucks.

Czy on mnie podrywa? A może to jeden z tych zboczeńców czerpiących chora przyjemność ze śledzenia zgwałconych przez siebie kobiet, z którymi się potem przyjaźnią, wchodzą w ich życie, stają się ich powiernikami, chłopakami, czasem nawet mężami, i rozkoszują się swoją władzą nad nieświadomymi niczego kobietami, raz po raz sprowadzając je do roli ofiary?

– Czy pan mnie podrywa?

– No... tak. Dokładnie to robię. Normalnie nie mam tego w zwyczaju, nie zagaduję obcych kobiet w krzakach, ale nie wiem... tak jakoś pani wyskoczyła... to wyglądało jak uśmiech losu. No, jak w kinie. Romantyczne spotkanie. A przy okazji, jestem Colin. Colin Lesser. A pani?

– Bailey. Bailey Carpenter. – Co się ze mną dzieje? Co mnie opętało, że podałam mu prawdziwe nazwisko? – Nie chcę kawy – dodaję szybko.

– Nie musisz pić kawy. Możesz zamówić koktajl albo muffina...

– Nic nie chcę.

– Dobrze. Rozumiem. Nie denerwuj się. Przepraszam, że się narzucałem.

Kiedy mężczyzna się odwraca, dostrzegam idącą ku nam kobietę z dzieckiem w wózku i nabieram śmiałości.

– Czeka.

Nie wszyscy mężczyźni to gwałciciele. Niektórzy są dobrzy.

Mężczyzna się odwraca.

– Mieszkaś tutaj? – pytam.

Spogląda na zegarek.

– Jakies czterdzieści pięć minut biegiem w tę stronę. – Wskazuje na południe, po

czym spogląda na mnie, jakby czekał na mój następny ruch.

– Biegłeś czterdzieści minut w takim upale?

– Jak człowiek się wychowa w Miami, to się przyzwyczaja. – Pociąga długi łyk wody. – Jesteś bardzo spostrzegawcza.

– Tak mówią.

– Kto?

– Biegasz codziennie? – pytam, ignorując jego pytanie.

– Na ogół. Czy teraz ja mogę cię o coś spytać?

Kiwam głową. Kobieta z wózkiem zbliża się do nas; słyszę płacz dziecka.

– Wyjdiesz kiedyś z tych krzaków?

Staram się powstrzymać uśmiech.

– Gdzie pracujesz? – pytam, uparcie tkwiąc w miejscu, jakbym go nie usłyszała. – Skoro możesz biegać w upalne popołudnie?

– Jestem kręgarzem – odpowiada, zbyt szybko, żeby to było kłamstwo. – W środę po południu mam wolne. A ty? Ogrodniczka? Architekt krajobrazu? – W niebieskich oczach znowu po-jawiają się iskierki.

– Chwilowo niezatrudniona.

– W jakim zawodzie?

– Pracowałam dla prawników.

– Trudne towarzystwo. Jeszcze trudniejsze czasy. Zwolnili cię?

– Można to tak określić.

– A ty jak byś to określiła?

– Wolę myśleć o tym jako o czasowym urlopie.

Mężczyzna się uśmiecha. Sympatycznie.

– Słuszne podejście. Szklanka pełna w połowie. To mi się podoba. – Dołeczki w jego policzkach się pogłębiają.

– Cieszę się, że to aprobujesz.

– To co, często tu przychodzisz, Bailey Carpenter? – pyta, a ja staram się nie wzdrygnąć, słysząc, z jaką łatwością rzucił moje imię.

Nie wszyscy mężczyźni to gwałciciele. Niektórzy są dobrzy.

– Nie. To nie moja okolica. – Czy on już wie, gdzie mieszkam?

– Przychodzisz tu tylko z psem.

– Czasami. Tak.

– Z dobermanem.

– Zgadza się.

– Jak się nazywa?

Waham się, usiłując wymyślić coś odpowiednio złowieszczonego. Przychodzą mi do głowy tylko staruszka i jej york.

– Poopsie – rzucam.

– Poopsie? Serio?

– To miała być ironia.

– Nie masz psa, prawda?

Kręcę głową.

– Nie mam.

– I nie zgubiłaś kolczyka.

– Nie zgubiłam.

– Po prostu stoisz sobie w krzakach w obcej okolicy?

Znowu się waham. Kobieta z wózkiem jest coraz bliżej, dziecko płacze głośniej.

– Wiesz coś o gwałcie, który miał miejsce na tej ulicy jakiś miesiąc temu? – pytam nagle, obserwując uważnie twarz Colina Lessera. Dlaczego miałabym nie spytać? Nawet jeśli to on mnie zgwałcił, przecież nie zwariował i nie spróbuje niczego głupiego na oczach świadka znajdującego się trzy metry od nas.

– Nie. Nie wiem nic o gwałcie. – Wskazuje miejsce, w którym stoję. – To się wydarzyło tutaj?

– Tak.

– Jesteś policjantką?

– Nie.

– To dlaczego tu stoisz?

Kobieta z wózkiem mijają nas, uśmiechając się do Colina i spoglądając na mnie nieufnie.

Zostaję z nim sama. Oby był tym, kim się wydaje. Przyjaznym facetem, który wybrał się na popołudniową przebieżkę. Patrząc na jego usta, kiedy pociąga kolejny łyk wody, i wyobrażam sobie, że to te usta wpiły się w moją pierś.

– Wszystko w porządku? – pyta on.

– Tak. Bo co?

– Skrzywiłaś się. Jakby nagle cię coś zabolalo.

– Nie. – Nie nagle, myślę.

– Nie zapominaj, że jestem kręgarzem. Znam się na bólach i dolegliwościach. – Sięga do kieszeni szortów, wyjmując wizytówkę i podaje mi ją, po czym śmieje się z zażenowaniem. – Zawsze noszę kilka przy sobie.

Muszę się wychylić, żeby przyjąć wizytówkę. Jakoś udaje mi się to zrobić, nie dotykając palców mężczyzny. „Dr Colin Lesser, kręgarz”, widzę obok adresu i telefonu jego gabinetu. Znajduje się na Biscayne Boulevard, o parę krótkich przecznic od mojej kancelarii.

Czy zauważył mnie, kiedy tam pracowałam? Czy zaczął mnie śledzić? Czy to on mnie zgwałcił?

Nie wszyscy mężczyźni to gwałciciele. Niektórzy są dobrzy.

– Trochę pobladłaś. Nie chcesz gdzieś usiąść? – pyta mężczyzna. – Niekoniecznie w Starbucksie.

– Nie mogę.

– Moglibyśmy porozmawiać o tym, co tu się stało, jeśli chcesz.

– Co?

– Tylko jeśli chcesz.

– Powiedziałeś, że nic nie wiesz.

– No, to nie całkiem prawda. Wiem parę rzeczy.

Wstrzymuję oddech.

– Nie tylko o gwałcie. – Jego głos łagodnieje. Dołeczki w policzkach znikają, za to pojawiają się zmarszczki wokół ust będące wyrazem troski. – To byłaś ty, prawda?

– Co?

– Ta kobieta, którą zgwałcono...

– Dlaczego tak myślisz?

– No, bo tak wyglądasz, tak się zachowujesz...

– Nie.

– Dobrze. Przepraszam.

– I nie chcę kawy. Nie chcę nigdzie z tobą iść.

– Przepraszam. Nie chciałem cię zdenerwować.

– Nie zdenerwowałeś mnie.

– To dobrze.

– To dobrze – powtarzam. Jeśli powiem coś więcej, prawdopodobnie wybuchnę płaczem.

– No, to było mi bardzo miło cię poznać, choć trochę dziwnie – mówi mężczyzna i chce się odwrócić, ale nagle się zatrzymuje. – Jeśli kiedyś zmienisz zdanie co do kawy, to... masz moją wizytówkę.

– Miłego biegania.

Czekam, aż mi zniknie z oczu, po czym wychodzę z krzaków, niecierpliwie otrzepując białe bawełniane spodnie z różnych listków. Z kieszeni wystaje mi duży liść pomarańczy. Rzucam go na ziemię razem z wizytówką Colina Lessera, ale zaraz ją podnoszę i chowam głęboko do kieszeni. Czy na pewno jest tym, za kogo się podaje?

Przypominam sobie innego miłego mężczyznę, inne zaproszenie, inną wizytówkę. W sądzie, rano tego dnia, w którym mnie napadnięto. Czy Owen Weaver zastanawia się, dlaczego do niego zadzwoniłam? Czy w ogóle o mnie pomyślał? Czy słyszał, co mnie spotkało? Czy to on jest za to odpowiedzialny?

Nie wszyscy mężczyźni to gwałciciele. Niektórzy są dobrzy.

Spoglądam na te dwa mieszkania, z których najlepiej byłoby widać, co się wydarzyło tamtej nocy. Wydaje mi się, że w jednym z nich poruszyły się zasłony. Czy naprawdę to zrobię? Odbiło mi?

Przejmuję kontrolę, ripostuję, nieśmiało podchodząc do kremowego budynku.

Nie zwariowałam.

Wnętrze zdecydowanie widziało lepsze czasy. W odróżnieniu od fasady, która niedawno została odmalowana, w środku budynek wygląda i pachnie jak zapleśniały. Klimatyzacja, jeśli w ogóle działa, bardziej hałasuje, niż chłodzi. Wentylator pod sufitem leniwie miele stęchłe powietrze. Hol jak przeniesiony z lat pięćdziesiątych: staroświecka tapeta w zielone łodygi bambusa na białym tle, niegdyś modne trzciniowe meble, wełniana wykładzina w zielone i różowe spirale. Pomimo tych wesołych kolorów – a może z ich powodu – hol wygląda smutno, jakby wiedział, że najlepsze lata ma za sobą, jak wystrojona czterdziestoletnia przyzwoitka na imprezie w liceum.

Podchodzę do domofonu przy zamkniętych szklanych drzwiach prowadzących do wind i odczytuję nazwiska mieszkańców, zastanawiając się, czy nacisnąć wszystkie guziki w nadziei, że ktoś odruchowo wpuści mnie do środka, nie zadając pytań. Zadziwiająco, ale pomimo tego, co wiemy, co powinniśmy wiedzieć, albo co wydaje nam się, że wiemy o przestępstwach i o sposobach zapobiegania im, ta stara sztuczka działa przynajmniej w połowie przypadków. Poruszam klamką, zastanawiając się, ile czasu zajęłoby mojej siostrzenicy otworenie tego zamka. Nagle widzę, że z jednej z dwóch wind wysiadają dwaj starsi panowie. Idą w moją stronę, więc udaję, że rozmawiam z kimś przez domofon.

– Pani pozwoli – mówi pierwszy mężczyzna, otwierając przede mną drzwi. Kłania się, ukazując sporą łysinę z zaczesanymi pasmami rzadkich siwych włosów.

Wchodzę do środka.

– Dziękuję.

– Miłego dnia.

– Kto to był? – mamrocze jego towarzysz, gdy zamykają się za mną drzwi.

Wsiadam do windy, zanim ktoś mi zarzuci, że nie powinnam tu być. Kabina rusza z piskiem i skrzypieniem. Po chwili zatrzymuje się na pierwszym piętrze. Opuszczam głowę, gdy drzwi się otwierają, i widzę dwie pary spuchniętych kostek, a obok łaskę i balkonik. Odsuwam się w głąb windy. Robi się ciasno. Drzwi się zamykają, kabina rusza z szarpnięciem w górę.

– Jedziemy w górę? Dlaczego jedziemy w górę? – pyta kobieta z pretensją. – Sidney, wcisnęłaś górę?

– Stoję tuż koło ciebie, Miriam. Kiedy miałem coś wcisnąć?

– To dlaczego jedziemy w górę?

– Ja wcisnęłam – przyznaję się z dziwnym poczuciem winy. Podnoszę oczy

i widzę dwie zaskoczone stare twarze.

– Moja żona i ja chcieliśmy zjechać – wyjaśnia Sidney.

– Przykro mi – mamroczę. – Za parę sekund wysiądę...

– Nigdy nie uważasz – narzeka Miriam. – Teraz będziemy musieli pojechać na samą górę. Spóźnimy się.

– Idziemy na spacer – sprzeciwia się Sidney. – Jak możemy się spóźnić?

Ich kłótnia w dziwny sposób mnie rozluźnia, odwraca uwagę od czekającego mnie zadania. Choć nie na długo. Kiedy dojeżdżamy na piąte piętro, znowu zaczynam się denerwować.

– Miłego dnia – rzucam, wysiadając.

Miriam wzdycha.

– Sidney, na miłość boską, wciśnij ten cholerny guzik, bo będziemy tu stać do końca świata.

Idę korytarzem wzdłuż ściany budynku, wzdłuż której biegnie ulica. W ciasnej przestrzeni unosi się zapach jedzenia, mieszanka oleju i wonnych przypraw, która wżera się w szarawe ściany i wytartą zieloną wykładzinę. Klimatyzacja działa tu tak samo marnie, jak na dole, i zanim docieram do dwóch ostatnich mieszkań, na podkoszulku, z przodu, pojawiają się ciemne plamki potu.

Stoję przed mieszkaniem 612, powtarzając w pamięci to, co mam powiedzieć. Naciskam dzwonek. Otwiera mi mężczyzna w średnim wieku, z siwą zaczeską i równie siwą bujną brodą. Ma na sobie granatowo-białą koszulę z krótkimi rękawami i obszerne szare spodnie, a kiedy mruży szaroniebieskie oczy, krzaczaste zrosnięte brwi wyginają się jak włochate gąsienice.

– Co pani sprzedaje, młoda damo?

– Kto to, Eddy? – odzywa się kobiecy głos z głębi mieszkania.

– Właśnie spytałem – odkrzykuje mężczyzna. – Chyba nie świadek Jehowy, co?

– Nie. Nazywam się Bailey Carpenter. – W ostatniej chwili postanawiam wymienić prawdziwe nazwisko. Właściwie, dlaczego nie?

Za Eddym pojawia się kobieta. Ma jasną skórę i sięgające ramion blond włosy w stylu Alicji w Krainie Czarów. Jej wargi są ze dwa razy większe, niż powinny być, a skórę na wąskiej twarzy ma napiętą do granic wytrzymałości. Wygląda bardziej jak płaz niż człowiek; jak gadająca ryba z kreskówki Disneya.

– Kto to? – pyta męża. Jej twarz nie wyraża żadnych emocji. – Zawsze głosujemy na republikanów – dodaje, zanim zdąży się odezwać.

– Dobrze wiedzieć – odpowiadam. – Ale mnie chodzi o napad, do którego doszło miesiąc temu przed państwem budynkiem.

– Znaczący gwałt? – Kobieta bierze męża pod rękę.

– Tak.

– Pani z policji?

– Jestem detektywem.

- Bo już powiedzieliśmy wszystko, co wiemy – mówi Eddy.
- Może zechcą państwo przypomnieć sobie parę szczegółów.
- Jakich szczegółów? – pyta podejrzliwie kobieta, choć jej twarz nadal pozostaje nieruchoma, bez śladu uczuć. – Jak powiedzieliśmy policji, nic nie widzieliśmy.
- Zupełnie nic?
- Nic. Rozumiem, że policja jeszcze nie złapała tego człowieka.
- Nie, jeszcze nie. Państwa balkon wychodzi na krzaki, w których doszło do napadu.

Eddy zerka przez ramię do wnętrza mieszkania.

- Tak, ale wtedy nie byliśmy na balkonie.
- Oglądaliśmy telewizję – dodaje jego żona. – Akurat szły *Zabójcze umysły*.
- I nic państwo nie słyszeli?
- Alarm samochodowy. – Eddy wzrusza ramionami. – Zdaje się, że włączył się po wszystkim.
- A państwa sąsiedzi?
- O ile wiemy – odpowiada żona Eddy’ego – nikt nic nie widział ani nie słyszał.
- Nie zauważyli państwo, żeby któryś z sąsiadów dziwnie się zachowywał?

Eddy śmieje się cicho.

- Wszyscy są walnięci.
- Eddy – fuka jego żona.
- Zastanawiałam się, czy to możliwe, żeby...
- Co? Żeby lokator z tego domu zgwałcił tę kobietę? – Żona Eddy’ego kręci głową.
- Widziała pani ludzi, którzy tu mieszkają? Mają po sto lat! Od co najmniej trzydziestu lat jesteśmy tu najmłodszą parą.

Cofam się o krok. Niczego się tu nie dowiem.

- Przepraszam za kłopot. Dziękuję, że zechcieli państwo ze mną porozmawiać.
- Powinna pani zajrzeć do pani Harkness z mieszkania obok – mamrocze Eddy, zamykając drzwi.

– Eddy, na miłość boską – mówi jego żona. – Przestań dręczyć tę biedaczkę. Już i tak ma dość na głowie.

- Kim jest pani Harkness?
- Naszą sąsiadką. Ma taki sam widok jak my. – Eddy wygląda przez szparę w drzwiach. – I ma dziwnaczego wnuka, który praktycznie tu mieszka – szepcze.
- Eddy!
- Z tym chłopakiem jest coś nie tak i sama o tym wiesz! – odkrzykuje on.

Twąż jego żony pojawia się w wąskiej szparze w drzwiach. Widzę w jej oczach gniew.

– Nie możemy pani pomóc – rzuca, i zamyka mi drzwi przed nosem.

Stoję tam przez parę długich sekund, usiłując przetrwać to, czego się właśnie dowiedziałam. A więc pani Harkness ma nie tylko balkon wychodzący na miejsce,

w którym mnie napadnięto, ale i wnuka, którego jej najbliższy sąsiad uważa za dziwnego. Czy policja o nim wie?

Po chwili, postanawiając zignorować łomotanie w piersi i ostrzegawcze sygnały w mózgu, dzwonię do mieszkania 611. Za drzwiami słyszę kłótnię kilku osób. Wyteżam słuch, starając się rozróżnić słowa.

Drzwi się otwierają i staje przede mną krzepka, siedemdziesięcioparoletnia kobieta. Jest mniej więcej mojego wzrostu, o szczupłej budowie i dużych, przenikliwych piwnych oczach. Ma krótkie włosy, jasne i kędzierzawe, z aureolą siwych odrostów na skroniach. Na bluzie jej jaskraworóżowego welurowego dresu, na imponującym biuście, widnieje wielkie słowo „słodka”.

– Pani Harkness?

– Tak? W czym mogę pomóc?

– Przepraszam, że przeszkadzam...

– Oglądałam serial. – Macha ręką w stronę telewizora w salonie. – Może zaczekać. I tak nic się tam nie dzieje. W czym mogę pomóc? – powtarza. Zza jej pleców dmucha zimne powietrze.

– Czy mogłabym pani zadać parę pytań?

– Na temat?

– Na temat gwałtu, do którego doszło jakiś miesiąc temu przed pani budynkiem.

Jej uśmiech znika, ramiona wyraźnie się napinają.

– Już rozmawiałam z policją.

– Tak, wiem. Chciałabym tylko ustalić parę rzeczy.

Pani Harkness spuszcza wzrok na swoje stopy. Ma na nogach białe sportowe buty. Staram się nie zauważać subtelny znak Nike. Oddychanie zaczyna mi przychodzić z trudem, jakby ktoś za mną stanął i ścisnął mi pierś. Od tego ucisku zaraz pękną mi żebra.

– Nie mam nic do dodania do tego, co już wam powiedziałam.

Zakłada, że jestem z policji, a ja nie zamierzam wyprowadzać jej z błędu.

– Czasem im częściej coś powtórzymy... – zaczynam, cytując ulubione powiedzenie oficer Marx.

– Jestem całkowicie pewna, że nic nie wiem – upiera się pani Harkness.

A ja jestem równie pewna, że kłamie. Ma dość wyraźny tik, który ją zdradza – po każdym kłamstwie zakłada nieistniejące włosy za prawe ucho i wydyma usta.

– W tamtym czasie spałam. Nic nie widziałam. Nic nie słyszałam.

– Czy pozwoli pani, że spojrzę z pani balkonu? – I już wchodzę do jej mieszkania, zanim kobieta zdąży zaprotestować.

– Nie rozumiem po co.

– To zajmie tylko chwilę.

– No dobrze. – Kiedy przechodzimy koło zamkniętych drzwi pokoju, pani Harkness odwraca głowę, by na nie nie patrzeć. Dlaczego? Ktoś tam jest?

W mieszkaniu panuje lodowaty ziąb. Starsi ludzie na ogół wolą przegrzanie niż wychłodzenie; zastanawiam się, czy to jej „dziwny wnuk” lubi takie temperatury. Zastanawiam się także, gdzie jest w tej chwili, czy siedzi za zamkniętymi drzwiami, które minęliśmy, czy coś wie o gwałcie, czy to on mnie zaatakował. Dochodzę do wniosku, że powinnam natychmiast wyjść, ale oczywiście tego nie robię. Tak wiele przeszłam, że ucieczka teraz byłaby wariactwem. A ja nie zwariowałam.

Przed wiszącym na ścianie telewizorem HD stoi narożnik obity beżową skórą oraz fotel od kompletu. Na lewo znajduje się mała przestań jadalna i miniaturowa kuchenka. Zauważam stojącą na szklanym stoliku puszkę coli i niedopitą butelkę piwa. Na narożniku leży cienki niebieski koc, a na podłodze stosik pism. To na wierzchu ma tytuł „Motocyklowa Mania”.

– Lubi pani motocykle? – pytam.

Pani Harkness wydyma usta i zakłada kosmyk nieistniejących włosów za ucho.

– Tak, lubię. Mój nieżyjący mąż miał motocykl.

Muszę przyznać, że jest dobra. Gdyby nie ten tik, byłaby pierwszorzędną kłamczuchą.

– Och jej – mówię nagle, jakbym dopiero teraz zauważyła butelkę piwa. – Ma pani towarzystwo! – Rozglądam się. – Bardzo przepraszam...

Pani Harkness znowu zakłada włosy za ucho.

– Nie mam towarzystwa – rzuca szybko. – Po prostu nie mogłam się zdecydować, co chcę pić. – Znowu wydęcie warg, znowu niepotrzebne sięgnięcie za ucho. – Podobno z colą wszystko smakuje lepiej – dodaje ze śmiechem – ale czasem nie ma jak zimne piwko.

Kolejna cecha kłamców. Zawsze czują potrzebę, żeby upiększać swoje kłamstwa.

– Bardzo ładne mieszkanie – zauważam. – Jedna czy dwie sypialnie?

– Jedna. Nie potrzebuję więcej. Mój mąż umarł.

– Dawno? – pytam lekkim tonem. Otwieram drzwi na balkon.

– Trzy lata temu. Czy możemy to przyspieszyć? Ucieka mi serial...

– To nie potrwa długo. – Wychodzę na balkon. Gorące powietrze oblepia mi twarz jak poszewka poduszki. Zachłystuję się, cofam głowę, moje ciało zderza się z balustradą, za którą widać ulicę.

Nakazuję sobie spokój. To zwykły objaw zespołu stresu po-urazowego. Tylko tyle. Nie zwariowałam.

Spoglądam w dół i widzę, jak na dłoni, kępę krzewów, w której zostałam zgwałcona. Za dnia widać wszystko: kwiaty, krzewy, trawnik w środku, gdzie mnie napadnięto. Na rogu ulicy znajduje się latarnia, więc nawet w nocy ktoś stojący na tym balkonie mógł widzieć przynajmniej część wypadków. Czy tak właśnie było? Czy ktoś stał na tym balkonie i przyglądał się napadowi, czy też zobaczył mnie, zaczajoną w tych krzakach, i postanowił mnie zaatakować? I czy ten ktoś lubi piwo, magazyny o motocyklach i chłód w mieszkaniu? Czy tego kogoś da się opisać jako

dziwnego? I czy ten ktoś może się w tej chwili ukrywać w sypialni swojej babci, ktoś powoli zakradający się w moją stronę...

Odwracam się, wyciągam rękę, żeby odepchnąć napastnika, z gardła wyrywa mi się zduszony krzyk, staje się głośniejszy, a opanowanie, które sobie wmawiałam, wylatuje przez balkon.

Pani Harkness również krzyczy. Stoi w salonie, rozgląda się dziko, bez przerwy, jakby bała się przestać.

– Co się stało? Co się dzieje?

Potrzebuję minuty, żeby odzyskać oddech i wziąć się w garść. Po policzkach płyną mi strumienie łez. Nikogo tu nie ma. Tylko pani Harkness.

– Co się stało? – pyta staruszka, wyraźnie zdenerwowana.

Wracam do lodowatego mieszkania, wycierając łzy wierzchem dłoni.

– Czy mogę prosić o szklankę wody?

Pani Harkness idzie szybko do malutkiej kuchni i wraca z zimną wodą w plastikowej szklance. Podaje mi ją. Piję łapczywie, a ręce trzęsą mi się tak bardzo, że co najmniej połowę wylewam sobie na podkoszulek.

– Kim pani jest? Co się stało? Pani nie jest z policji, prawda?

Kręcę głową.

– To pani jest tą kobietą, tak? – dodaje ona po dłuższej chwili. – Tą zgwałconą.

Wzdrygam się; tak łatwo mnie rozszyfrować. Najpierw Colin Lesser, teraz pani Harkness. Równie dobrze mogłabym chodzić z transparentem.

– Policja wie, że pani tu przyszła?

– Miałam nadzieję, że zdołam odkryć to, co oni przegapili – wyjaśniam, kiedy już jestem względnie pewna, że głos mi się nie załamie.

– I udało się?

– Chyba tak – mówię, zbyt zmęczona, by kłamać. – Rozumiem, że ma pani wnuka.

– Kto pani to powiedział?

– Jest tu w tej chwili?

– Na pewno Saunders z mieszkania obok. Zawsze chce mi narobić kłopotów. Ten drań ma ochotę na to mieszkanie; odkąd się wprowadził, chce je zagarnąć. Usiłuje mnie stąd wykurzyć od śmierci mojego męża.

– Czy pani wnuk tu jest?

Pani Harkness wydyma usta i zakłada włosy za prawe ucho.

– Nie powiedziałam, że mam wnuka.

– Policja bez trudu się tego dowie.

Jej twarz jakby obwisa – znak mojego zwycięstwa. Nagle pani Harkness wygląda na swoje siedemdziesiąt parę lat.

– Ten drań zawsze skarży się na Jasona; twierdzi, że za bardzo hałasuje albo puszcza za głośną muzykę. Ale to nieprawda. Nikt poza nim się nie skarży. Tylko Saunders. I tylko dlatego, że ma za dużo wolnego czasu. Pół roku temu odszedł

z pracy i nie może znaleźć nikogo, kto chciałby go zatrudnić. A to ci niespodzianka.

– Czy Jason jest tutaj, w tym mieszkaniu?

– Chcę, żeby pani już wyszła.

– Na pewno tego właśnie pani chce? Bo to rzuci na pani wnuka jeszcze większe podejrzenia. Policja może uzyskać nakaz rewizji.

– Niczego nie znajdą. Mój wnuk jest dobrym młodym człowiekiem.

– Chcę z nim tylko porozmawiać.

– Nie miał nic wspólnego z tym, co panią spotkało.

– Zatem nie ma się czego bać.

– Widziałam panią tamtego dnia – rzuca kobieta oskarżycielsko.

– Widziała mnie pani?

– Ukrywała się pani w krzakach. Obserwowała apartament naprzeciwko przez lornetkę. Omal nie zadzwoniłam na policję, żeby zgłosić podglądacza.

– Więc dlaczego pani tego nie zrobiła?

– Uznałam, że lepiej się nie mieszać.

– Ze względu na Jasona?

– Oczywiście, że nie. – Znowu wydęcie ust, znowu manewr z włosami.

– Jason tu był tej nocy, prawda?

– To nie ma znaczenia. Jason pomieszkuje u mnie od lata. Nie dogaduje się ze swoim ojczymem. Powiedziałam, że zawsze chętnie go przyjmę, że będę wdzięczna za towarzystwo...

– Powiedziała pani policji, że Jason był u pani?

– Nie widziałam powodu. Żadne z nas nie widziało napadu. Oboje spaliśmy.

– Powiedziała pani, że jest tu tylko jedna sypialnia...

– Tak. I co z tego?

– Zakładam, że Jason sypia tutaj, na tej sofie. – Zerkam na koc leżący w kącie skórzanego narożnika.

– Do czego pani zmierza?

– Że tak naprawdę nie wie pani, gdzie był Jason w chwili napadu. Że mógł się bez trudu wymknąć, kiedy pani zasnęła, i dlatego nie wspomniała pani o nim policji.

– To bzdura. Co pani robiła w tych krzakach, po co pani podgląda ludzi? Moim zdaniem sama się pani prosiła.

Jej słowa uderzają mnie jak policzek, wyciskają nowe łzy. Odwracam głowę. I wtedy go dostrzegam.

Chłopak średniego wzrostu i średniej postury, mniej więcej dwudziestoletni, o sięgających brody włosach i nieprzenikniętych ciemnych oczach. Stoi nie dalej niż trzy metry ode mnie, i choć jego ręce zwisają spokojnie, czuję, że sięga nimi do mojej szyi.

– Co się dzieje, babciu? – pyta.

Powiedz, że mnie kochasz.

– O Boże... – Nogi uginają się pode mną. Szklanka z wodą wyslizguje mi się z dłoni i upada na podłogę.

Jason chwytą mnie za łokieć, ciągnie na fotel, zmusza, żebym usiadła.

– Zabieraj łapy! – krzyczę, odtrącając go.

– Hej – rzuca on, rozeźlony. – Co jest?

– Jason, skarbie – mówi jego babcia głosem kojącym i cichym. – Wracaj do sypialni. Ta pani wychodzi.

– Dlaczego mnie uderzyła? Nie wolno bić.

– Proszę, kochanie. Idź do sypialni.

Chłopak puszcza mój łokieć, choć nadal gapi się na mnie ciemnymi, gniewnymi oczami.

– Niech ona stąd idzie.

– Już wychodzi, skarbie. Za parę minut.

– Co ona tu w ogóle robi?

– Przyszła o coś spytać.

– O co? O mnie? Chcesz coś o mnie wiedzieć?

Kręcę głową. W oczach stają mi łzy.

– Daj mi minutkę i zaraz jej nie będzie.

Jason rzuca mi spojrzenie jednocześnie zniecierpliwione i wściekłe. Potem odwraca się i człapie do sypialni, zostawiając mnie drżącą w fotelu, w który mnie wcisnął.

– Teraz pani rozumie, dlaczego nie powiedziałam policji o Jasonie. Jest... inny.

– Jest wściekły.

– Miał trudne życie. Jego matka, moja była synowa, była uzależniona od narkotyków i alkoholu. Jason urodził się z alkoholowym zespołem płodowym. Mój syn nie należy do najbardziej odpowiedzialnych ojców świata, a na nieszczęście, jego ojczym jest jeszcze gorszy. Jason przez całe życie walczył. Ale damę pani słowo, to dobry chłopiec. Nie zgwałcił pani.

– Wie pani, że pasuje do opisu człowieka, który to zrobił.

– Jason tego nie zrobił.

– Skąd ta pewność?

– Bo znam mojego wnuka. A teraz – dodaje pani Harkness, otwierając drzwi wyjściowe – muszę prosić, żeby pani wyszła. Bo tym razem naprawdę wezwę policję.

Zostaję na miejscu.

– Proszę to zrobić.

– Czy pani zwariowała? Jak Boga kocham, co pani sobie myślała?

Oficer Castillo wygłaszał mi kazanie przez prawie godzinę, odkąd opuściliśmy mieszkanie pani Harkness i wróciliśmy do mojego. Rozumiem jego desperację. Sama zadaję sobie to pytanie, choć jemu bym się do tego nie przyznała.

– Zdaje pani sobie sprawę, że mogła pani zaszkodzić całemu dochodzeniu?

– Jakiemu dochodzeniu? – odparowuję. – Nawet nie wiedzieliście, że pani Harkness ma wnuka.

– Dowiedzielibyśmy się.

– Naprawdę? Kiedy?

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– O to, że nie miała pani powodu iść do pani Harkness. – Policjant przeciąga ręką przez gęste czarne włosy i wygląda przez okno mojego salonu.

– Miałam prawo.

– Mogę panią aresztować za podawanie się za policjantkę.

Zasugerował to już parę razy.

– Nie powiedziałam jej, że jestem z policji.

– Wmówiła jej pani...

– Nic podobnego. Nie mam wpływu na to, co założyła.

– Tak czy owak...

– Proszę posłuchać – przerywam, zniecierpliwiona tą rozmową. – Nie zrobiłam nic złego ani nielegalnego. Mam prawo przepytwać potencjalnych świadków. Jestem licencjonowanym detektywem...

– Jest pani ofiarą.

Ofiarą, powtarzam w myślach, wzdragając się przed tą natychmiastową i całkowitą degradacją mojego statusu, przed zesłaniem do tego nieszczęsnego podgatunku rodzaju ludzkiego, jakim są ofiary.

– Dziękuję za to uprzejme przypomnienie, prawie zapomniałam. Ale tak czy owak – ciągnę, rzucając mu słowa w twarz – chyba rozumie pan, że mogę być pomocna.

– W jaki sposób? Wtrącając się w nasze sprawy, zrażając potencjalnych świadków, z góry określając wynik dochodzenia...

– Jakiego dochodzenia? Nic nie macie. Gdyby nie ja, nie mielibyście nawet podejrzanego.

– Twierdzi pani, że rozpoznała w Jasonie Harknessie człowieka, który panią zgwałcił? – odzywa się śledczy Dube. Do tej pory milczał, najwyraźniej zadowolony, że może stać na uboczu i przyglądać się mojej potyczce z Castillem.

Piorunuję go wzrokiem. Dobrze wie, że nie mogę stwierdzić z całą pewnością, że to Jason Harkness mnie zaatakował, że prawie nie pamiętam napastnika. Nie ma szans, żebym go rozpoznała.

– A głos? – pyta Castillo łagodniejszym tonem.

– Co głos?

– Jason Harkness odezwał się do pani. Miał głos jak człowiek, który panią zgwałcił?

Zamykam oczy, słyszę szept gwałciciela. Powiedz, że mnie kochasz.

Osuwam się na sofę, ogarnia mnie fala zawrotów głowy, kiedy usiłuję porównać te dwa głosy, nałożyć jeden na drugi, zmieszać je ze sobą, wymusić zgodność.

– Nie wiem.

– Nie wie pani?

– Nie mogę mieć pewności. To możliwe...

– Możliwe – powtarza Dube z wymownym potrząśnięciem głowy. – Przy tak silnym argumencie nie będziemy mieć najmniejszego problemu z otrzymaniem nakazu.

– Oto, co wiem – oznajmiam. – Jason Harkness pasuje do ogólnego opisu mężczyzny, który mnie zgwałcił. Przebywał w okolicy w czasie napadu. Okna mieszkania jego babki wychodzą dokładnie na miejsce, w którym mnie zaatakowano, więc miał zarówno dostęp, jak i sposobność. Co więcej, to zwichrowany, gniewny młody mężczyzna, który w latach, gdy kształtuje się osobowość, został wykorzystany lub co najmniej zaniedbany, co jest całkiem niezłym wstępem do przyszłych brutalnych czynów. Sprawdziliście, czy ma kartotekę?

– W pierwszej kolejności – odpowiada Castillo, wskazując swoją komórkę.

– I?

– Czekam, aż ktoś oddzwoni.

Następuje chwila ciszy, za którą wszyscy jesteśmy wdzięczni. Mamy czas sobie przypomnieć, że nie jesteśmy przeciwnikami, że gramy po tej samej stronie i chcemy tego samego: znaleźć człowieka, który mi to zrobił, i wsadzić go za kratki.

Szczerze mówiąc, ja chcę czegoś więcej. Chcę mu wydrapać oczy, rozerwać mu gardło, wykastrować go i zbić na krwawą miazgę, po czym rzucić jego zmasakrowane, okaleczone ciało rekinom, które pływają w moich koszmarach. Tego chcę. Ale zadowolę się znalezieniem go i wsadzeniem za kratki.

– Przepraszam – zaczynam. – Nie chciałam nikomu wchodzić w drogę...

– To nie jest kwestia wchodzenia w drogę – odpowiada Castillo. – To kwestia racjonalnego myślenia. Jesteś za blisko sprawy, Bailey. – Niespodziewanie

przechodzi na ty. – Rozumiem, że chcesz pomóc, ale nie możesz. Najwyżej możesz dać się zabić.

– To chyba przesada.

– Zastanów się. A jeśli Jason Harkness naprawdę jest gwałcicielem? Co by było, gdybyś zapukała do drzwi jego babki i nie zastała jej w domu? Tylko jego? Zastanawiałaś się, co by się mogło wydarzyć?

Muszę przyznać, że tego nie wzięłam pod uwagę. Kiedy teraz o tym myślę, czuję zimny dreszcz na plecach.

– Strzelasz na oślep we wszystkich kierunkach. Parę dni temu byłaś przekonana, że zgwałcił cię Paul Giller...

– Nie powiedziałam, że jestem przekonana – sprzeciwiam się, choć nie mam już serca do tej dyskusji.

– No dobrze – kapituluje policjant. – Nic nie zyskamy na odgrzewaniu tego jeszcze raz.

Kiwam głową.

– Co teraz?

– Pozwól nam pracować. I żyj swoim życiem – dodaje po pauzie.

A jak ci się wydaje, co ja robię? – mam ochotę spytać, ale uznaję, że rozsądniej będzie się powstrzymać. Niczego nie zyskam, stawiając się.

– Możecie sprawdzić jeszcze kogoś – mówię tylko, wyjmując z kieszeni wizytówkę Colina Lessera i podając ją policjantowi.

Ten zerka na nią i na mnie.

– Kto to?

– Ktoś, kogo dziś poznałam.

– Rozumiem, że to nie ma nic wspólnego z faktem, że jest kręgarzem.

Robię, co mogę, żeby w swojej relacji nie podkreślać absurdalnych okoliczności naszego spotkania.

– Uprawiał jogging, a ty stałaś w krzakach, gdzie cię zgwałcono – podsumowuje Castillo, nie dając mi się tak łatwo wywinąć. Ścisła nos u nasady, jakby zaczynała mu się migrena.

– Pomyślałam, że to można sprawdzić...

– Oczywiście. Przyjrzymy się mu. – Chowa wizytówkę Colina. – Będziemy się zbierać.

Dzwoni telefon, a ja podskakuję.

– Odbierz – mówi Castillo. – Sami trafimy do wyjścia.

Idą do drzwi, a ja kieruję się do kuchni i odbieram telefon. To Finn z recepcji.

– Wiem, że policjanci jeszcze są u pani – zaczyna – i pomyślałem, że uprzedzę. Pani brat Heath jedzie na górę. Jest pod wpływem...

Ogarnia mnie panika. Uświadamiam sobie, że Heath jest po jednej stronie moich drzwi, a policjanci po drugiej.

– Bailey? – woła, stukając głośno i uparcie. – Bailey? Wiem, że nadal się wściekasz, ale przyszedłem, żeby przeprosić i błagać o przebaczenie.

Fakt, że mój brat jest albo pijany, albo pod wpływem narkotyków, albo jednego i drugiego, nie uchodzi uwagi policjantów.

– Za co? – pyta Castillo, kiedy podchodzę. – Coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

Kręcę głową. Nie powiedziałam im o incydencie w moim rodzinnym domu. Bo po co?

Otwieram drzwi. Heath prawie wpada do mieszkania. Cuchnie alkoholem i otacza go chmura dymu z jointa, którego trzyma w palcach.

– To chyba żart – rzuca Castillo, cofając się o parę kroków przed zataczającym się na niego Heathem.

– Oż kurka. – Na widok policjantów mój brat zaczyna chichotać.

– Heath, na miłość boską...

– Proszę to oddać. – Castillo wyjmuje jointa spomiędzy palców Heatha i gasi go.

– Ej, no co...

– Bailey, twój brat powinien się napić wody – zauważa Castillo.

– Albo ginu z tonikiem! – woła za mną Heath, kiedy biegnę do kuchni.

– Przypuszczam, że pójdziemy do salonu – słyszę głos funkcjonariusza Dube.

– A kto dokładnie wysuwa to przypuszczenie? – informuje się Heath. – Chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

– To oficer dochodzeniowy Dube – mówi Castillo, kiedy wracam z wodą dla mojego brata.

– To żart, co nie? – odpowiada natychmiast Heath i zanosi się chichotem. – Oficer dochodzeniowy Doobie[2]? Bailey, on ze mnie żartuje?

– Zamknij się – syczę, i idę za mężczyznami do salonu, gdzie wciskam szklanekę w rękę mojego brata. Stoimy we czwórkę przed sofami. Nikt nie siada.

Castillo patrzy wściekle na Heatha.

– Co pan wyprawia?

– Co ja wyprawiam? – powtarza Heath. – Przyszedłem wspomóc młodszą siostrzyczkę w potrzebie.

– Myśli pan, że takie zachowanie jej pomaga?

– Na pewno bardziej niż pańskie. – Heath pije długi łyk wody. – Nawiasem mówiąc, boska koszula. W tych jaskrawych hawajskich wzorach jest coś, co emanuje kompetencją.

– Proszę, Heath. Uspokój się.

– Proszę mi powiedzieć, że pan tu nie przyjechał samochodem – rzuca funkcjonariusz Dube.

– Dobrze – zgadza się mój brat z uśmiechem. – Jak pan sobie życzy. Nie przyjechałem.

– Nie podskakuj.

– Bo co? Bo mnie posadzisz?

Oficer Castillo wrzuca jointa Heatha do tej samej kieszeni, do której włożył wizytówkę Colina Lessera.

– Masz tego więcej przy sobie?

– A co, chcesz zajarać?

– Heath...

– Niestety nie, funkcjonariuszu Doobie. A nie, zaraz! Ten drugi to funkcjonariusz Doobie, tak?

I odwraca się, nucąc „Doobie, doobie, do...”.

– Heath...

– Możecie mnie zrewidować, jeśli chcecie. – Mój brat rzuca się na sofę, wyciągając przed siebie długie nogi i zakładając ręce za głowę, jakby relaksował się w hamaku na plaży.

– Nie aresztujcie go – odzywam się. Mam ochotę dać mu kopa.

Castillo kiwa głową.

– Tylko, Bailey... Nie zostawiaj go, zanim nie wytrzeźwieje.

– Nie zostawię. Dziękuję.

Dzwoni komórka Castilla, który odbiera po pierwszym sygnale.

– Castillo – rzuca policjant. Obserwuję jego twarz. – Naprawdę? Dobrze, dzięki. Bardzo interesujące. – Rozłącza się, patrząc na mnie. – Wygląda na to, że Jason Harkness rzeczywiście był notowany.

– Za co?

– Nie wiemy. Akta zabezpieczone.

– Co to znaczy?

– Właśnie to. Najwyraźniej popełnił przestępstwo jako nieletni i jego akta zostały utajnione.

– I nie można ich odtajnić?

– Nie wygłupiaj się – odzywa się Heath. – Nawet ja to wiem. Kiedy raz utajnią akta, to na amen.

– Twój brat ma rację – przyznaje Castillo. – Chyba że ktoś z biura oskarżyciela publicznego o tym usłyszy i pociągnie za kilka sznurków.

Czy mogłabym poprosić o to Gene'a? Czy w ogóle wzięłby to pod uwagę? A gdyby – co mało prawdopodobne – zgodził się zajrzeć do zabezpieczonych akt Jasona Harknessa, czego zażądałby w zamian?

– Przepraszam. Nie mogę go prosić...

– Nie musisz. Nie martw się. Na pewno ktoś zwróci mu na to uwagę. Oczywiście te dowody na nic się nie przydadzą w sądzie. Nie będzie można ich brać pod uwagę.

– Ale by pomogły – zauważam. – Jeśli w tych aktach znajduje się wzmianka o skazaniu za jakiś napad, mielibyśmy się na czym oprzeć. Moglibyśmy za ich pomocą uzyskać przyznanie się do winy...

– Nie będzie żadnego „my” – mówi Castillo z naciskiem. – Myślałem, że wyraziłem się jasno.

– Oczywiście. Tak mi się powiedziało.

– Kim jest Jason Harkness? – chce wiedzieć Heath. – To podejrzany?

– Siostra ci wyjaśni – odpowiada Castillo i razem z Dube’em wychodzi na korytarz. – Weź się w garść – radzi Heathowi.

– Weź się w garść – przedrzeźnia go mój brat, kiedy drzwi się za nimi zamykają. –

Za kogo on się uważa?

– Za policjanta, idioto.

– Niezbyt dobrego. – Heath zrzuca buty i po marmurowej podłodze toczy się z pięć skrętów. Mój brat natychmiast opada na czworaki i zbiera swoje skarby.

– Co ci odbiło? – pytam. – Robisz wszystko, żeby cię aresztowali?

Heath macha lekceważąco ręką.

– Do butów nigdy nie zaglądamy.

– Bardzo starałeś się ich sprowokować...

– Na swoją obronę powiem, że nie spodziewałem się ich obecności.

– Co to za argument?

– Zaskoczyli mnie. Wiesz, że kiedy mnie ktoś zaskoczy, robię się napastliwy.

– Fakt, byłeś napastliwy jak cholera.

– Oho! Witaj z powrotem, siostrzyczko. Miło widzieć, że odzyskujesz charakterek.

Tęskniłem za tobą.

Jego uwaga na chwilę zapiera mi dech. Opadam na sofę naprzeciw niego. Czy Heath ma rację?

– Słuchaj, przyszedłem ci powiedzieć, że naprawdę cię przepraszam za tamto. Miałaś rację. Nie powinienem był łamać za-kazu sądowego. I sprowadzać do domu ojca tych ludzi. To było niedopuszczalne, w dodatku niebezpieczne i może nawet głupie. Zrobiłem coś złego i przepraszam. Czy brzmi to dorośle?

– Nawet, nawet.

– Dobrze. Więc czas to uczcić. – Heath unosi uratowanego jointa. – Fajka pokoju?

– Odłóż to dziadostwo.

– Nie, dopóki nie weźmiesz bucha. No przełam się. Co ci szkodzi się trochę odprężyć? – Heath wyjmuję sfatygowane pudełko zapalek z kieszeni obcisłych skórzanych spodni i zapala jointa, zaciągając się głęboko. Pozostałe skręty chowa do kieszeni. Potem podaje mi papierosa.

Nie paliłam trawy od zerwania z Travisem, a nawet przedtem nieczęsto mi się to zdarzało i nie dawało szczególnej przyjemności. Biorę jointa i zamierzam zgasić go tak jak oficer Castillo. Niespodziewanie dla samej siebie podnoszę go jednak do ust i zaciągam się. Dym wypełnia mi gardło i wnika głęboko do płuc.

– Brawo – mówi Heath z dumą i sięga po skręta.

Przez piętnaście minut podajemy go sobie, aż dosłownie rozpada mi się w ręce.

Czuję bardzo przyjemne działanie trawy i zastanawiam się, co się właściwie stało. Przez prawie piętnaście minut nic mnie nie ruszało i uznałam, że po długiej abstynencji uodporniłam się na wpływ narkotyku, a tu proszę... Ogarnął mnie spokój, a nawet rozleniwienie.

Dzwoni telefon, a ja po raz pierwszy od napadu nie podskakuję. Od niechcenia spoglądam na źródło dźwięku.

– Kto to? – pyta Heath. – Nie odbieraj – dodaje zaraz potem.

Ale ja już wstaję. Dzwonek przyciąga mnie jak magnes.

– Halo?

– Bailey?

– Claire?

– Spałaś? Obudziłam cię?

– Nie. Która godzina?

– Po szóstej. Masz dziwny głos. Wszystko dobrze?

Usiłuję wziąć się w garść. Claire z całą pewnością nie pochwaliby jarania.

– Bardzo dobrze.

– Masz atak paniki?

– Nie. Jestem tylko trochę zmęczona.

– I jak było po południu?

Czy policja już się z nią skontaktowała?

– Z Elizabeth Gordon – dodaje Claire, jakby wyczuła moje zaskoczenie. – Poszłaś do niej, prawda?

Oddycham z ulgą, choć to ulga zmieszana z wyrzutami sumienia. Nie lubię okłamywać Claire. Nie lubię mieć przed nią tajemnic.

– Tak. Tak, oczywiście.

– I? Jak poszło?

– Dobrze.

– Myślisz, że ci pomaga?

– Tak. Naprawdę.

– Doobie, doobie, do – śpiewa Heath w innym pokoju, a ja nie mogę się opanować – parskam śmiechem.

– Bailey, Bailey, co się dzieje? Czy ktoś tam jest?

– Nie, skąd. Nikogo tu nie ma. Nic się nie dzieje. – Zmuszam się do kaszlu. – Chyba się czymś zaraziłam.

– Cholera. Wiedziałam, że masz dziwaczny głos.

Dziwaczny, powtarzam w myślach, usiłując sobie przypomnieć, gdzie ostatnio słyszałam to słowo.

– Chcesz, żebym po pracy przyniosła ci rosół?

– Nie, dziękuję. Chcę się wcześniej położyć spać.

– To chyba dobry pomysł. Na pewno nie chcesz, żebym wpadła?

– Idź do domu, do Jade, i przestań się o mnie martwić.

– Dobrze. Ale zadzwoń, jeśli poczujesz się gorzej. Bez względu na porę. I tak pewnie nie będę spała.

– Zadzwonię jutro – obiecuję.

– Zdrowiej!

Odkładam słuchawkę, czując, że przyjemny szumek zaczyna się rozwiewać. Wracam do salonu i staję w progu. Heath zapala kolejnego jointa i leniwie mi go podaje. Kręcę głową i idę do sypialni. Padam na nieposłane łóżko i nakrywam głowę kołdrą, żeby odgrodzić się od wieczornego słońca.

*

Dzwoni telefon. Otwieram oczy w ciemności. Sięgając po słuchawkę, spoglądam na zegarek i widzę, że dochodzi północ. Podnoszę telefon do ucha i już mam powiedzieć „halo”, kiedy uświadamiam sobie, że po drugiej stronie nie ma nikogo. Słuchawka buczy. Odkładam ją na ładowarkę.

Głowa mi ciąży jak odlana z cementu, w gardle tak wyschło, że z trudem przełykam ślinę. Wstaję z łóżka i człapię do łazienki, nalewam sobie szklanek wody. „Twój brat powinien się napić wody” – słyszę głos funkcjonariusza Castillo. Kiedy to było? Jak dawno temu?

Nagle przed oczami staje mi Heath, rozwalony na mojej sofie w salonie, z odchyloną do tyłu głową, z piękną twarzą ukrytą za chmurą marihuanowego dymu. Wszystko staje się jasne.

– Niech to diabli.

Co ja sobie myślałam, do cholery?

Wracam do sypialni, biorę z nocnej szafki nożyce, idę korytarzem, trzymając je przed sobą.

– Heath? – wołam, włączając światło i spoglądając na sofę, gdzie go ostatnio widziałam.

Sofa jest pusta.

Podobnie jak druga sofa, podłoga, kuchnia, łazienka dla gości i sofa w moim gabinecie.

– Heath! – wołam znowu, choć wiem, że mojego brata już tu nie ma, że musiał się wymknąć, kiedy zasnąłam.

Co znaczy, że zostawił otwarte drzwi.

Natychmiast przekręcam zamek, jeszcze raz przeszukuję mieszkanie, z łomoczącym sercem, drżącymi nogami, w narastającej panice. Zaglądam w każdy kącik i zakamarek; wszelki ślad po moim narkotykowym spokoju niktą, choć dusząca woń marihuany nadal mnie prześladowuje.

Wracam do sypialni, teraz już wiedząc, że nie zdołam zasnąć. Biorę lornetkę z nocnej szafki i wciskam guzik unoszący rolety. Wiem, że światło w mieszkaniu Paula Gillera będzie się palić. Mam świadomość, że sprzeciwiam się kolejnemu poleceniu policjantów, że ostrzegli mnie, żebym nie podglądała sąsiadów, ale co tam! Już i tak im podpadłam, a to lepsze niż snucie się po pokojach przez całą noc i przeklinanie się za głupotę.

Widzę ich.

Stoją przed łóżkiem i kłócą się ze sobą. Nawet bez dźwięku słyszę, że Paul podnosi głos w gniewie. Teatralnie macha rękami, nieustannie dziabiąc powietrze palcem wskazującym. Elena kręci głową i płacze – prosi, przerywa, stara się coś wtrącić.

Podchodzę do okna, reguluję ostrość, by wyraźniej widzieć tych dwoje obcych ludzi. Jeśli mina Paula może świadczyć o jego stanie, to za chwilę straci panowanie nad sobą. Patrzę, bezradna i zafascynowana, jak zbliża się groźnie do Eleny, przypierając ją do okna.

Przez parę minut zostają w tej pozycji: Paul krzyczy, Elena się kuli, Paul oskarża, Elena zaprzecza. A potem ona ma dość. Usiłuje się wyrwać, ale udaje jej się dobiec tylko do łóżka, kiedy on łapie ją za łokieć i obraca ku sobie. Dziewczyna usiłuje się wyzwolić, co rozwściecza go jeszcze bardziej. Uderza ją mocno w twarz, z takim rozmachem, że Elena pada na łóżko, a kiedy usiłuje się podnieść, on uderza ją jeszcze raz.

I nie przestaje.

– Nie! – krzyczę. Policzki mi płoną od siły jego uderzeń, w uszach mi dzwoni, kiedy Paul siada na niej okrakiem i zaczyna ją bić pięściami. – Nie! – krzyczę, gdy zrywa z niej nocną koszulę i rozpina dżinsy. – Nie! – krzyczę, gdy brutalnie się w nią wdziera.

Szlochając, docieram na oślep do telefonu.

Claire powiedziała, że mogę do niej zadzwonić. O dowolnej godzinie.

– Bailey? – słyszę ją w słuchawce. – Co się stało? Wszystko dobrze?

Opowiadam jej, co przed chwilą zobaczyłam.

– Dzwon na policję – rzuca. – Już jadę.

Dwadzieścia minut później Claire stoi przed moimi drzwiami, ubrana w szare dresowe spodnie, wymięty szary podkoszulek i jadowicie zielone crocsy. Twarz ma nietkniętą makijażem, a włosy ściągnięte w luźny kucyk na karku.

– Co się dzieje? – pyta, idąc prosto do sypialni i podnosząc lornetkę z podłogi. – Policja już przyjechała?

– Nie.

– Nic nie widzę – mówi, wodząc spojrzeniem po fasadzie budynku Paula. – Wszystkie światła zgaszone.

– Co? Nie... jeszcze przed chwilą się paliły.

Claire podaje mi lornetkę, żebym sama sprawdziła.

Kręcę głową. Paul musiał wyłączyć światło, kiedy poszłam otworzyć drzwi.

– Zadzwońska na policję, prawda? – pyta Claire.

– Powiedziałam im, że kobieta została napadnięta w swoim domu. Podałam im adres i numer mieszkania.

– I co powiedzieli?

– Nie czekałam, żeby się przekonać. Powiedziałam, co musiałam, i odłożyłam słuchawkę.

– Nie przedstawiłaś się?

Znowu kręcę głową, starając się otrząsnąć z poczucia winy. Wiem, że policja nie zawsze szybko reaguje na anonimowe zgłoszenia. Powinnam była podać nazwisko.

Claire zastanawia się przez chwilę.

– Okej. Okej. Poczekamy i zobaczymy, co się stanie. Co z tobą? Czujesz się lepiej?

– Nie wiem.

Siostra bierze mnie w ramiona.

– Bardzo mi przykro. Powinnam tu być.

– Nie. Powiedziałam, żebyś nie przyjeżdżała.

– Nie musiałam cię słuchać. Powinnam wyczuć, że coś jest nie tak. – Kładzie mi rękę na czole. – Jesteś rozgorączkowana. Masz termometr?

– To nie gorączka.

– No, nie wiem. Wydajesz się trochę rozgrzana.

– To nic takiego. – Spuszczam wzrok i znowu ogarnia mnie poczucie winy. – Tak się czasem dzieje po trawie.

– Co?

– Paliłam marihuanę – szepczę.

- Co? – powtarza ona.
- Heath tu był – dodaję, jakby to wyjaśniało wszystko.
- Paliliście trawę?

Wzruszam ramionami. Co mogę powiedzieć?

- Przepraszam.
- Nie musisz mnie przeproszać. Jesteś dorosła. Ale...

- Co?
- Jesteś pewna, że naprawdę to widziałaś? – pyta Claire bezpośrednio jak nigdy.

– Myślisz, że zmyślam?

– Nie. Z całą pewnością nie. Ale skoro byłaś upalona...

– Myślisz, że miałam halucynacje?

– Istnieje taka możliwość, prawda? Na pogotowie przywożą nam mnóstwo osób, które dziwnie zareagowały na niby niewinnego blanta. Heath mógł ci dać skręta zaprawionego czymś mocniejszym.

– Ale to było parę godzin temu.

– Jeśli to LSD, może zostać w twoim organizmie przez kilka dni. Wiesz, że tak jest. Czy istnieje możliwość, że to ci się przywidziało?

Czy istnieje? Jedyne, co wiem na pewno, to to, że po raz pierwszy widzę w oczach Claire nieufność. I bardzo mi się to nie podoba.

– Nie wiem. Spałam. Zadzwoił telefon...

– Telefon? – powtarza moja siostra. – Kto dzwonił?

– Nie wiem. W słuchawce usłyszałam tylko sygnał. Może mi się naprawdę przyśniło...

– Gdzie jest Heath? – Claire ogląda się na korytarz, jakby spodziewała się go zobaczyć, zaczajonego w mroku.

– Wyszedł, zanim się obudziłam.

– Więc nie było go tu, kiedy zobaczyłaś... – Jej głos cichnie. Pytanie pozostaje niedokończone.

– Nie. Nie było go. Niczego nie widział. – A ja coś widziałam? Teraz już nie wiem i czuję, że Claire też mi nie dowierza. – Nie może potwierdzić moich słów.

Policzki Claire czerwienieją, jakbym ją uderzyła.

– Nie chodzi o to, że ci nie wierzę. Po prostu...

– Powątpiewasz – kończę za nią.

Claire otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale wydobywa się z nich tylko westchnienie.

Dzwoni telefon i obie podskakujemy.

– Dobra. To na pewno nie jest sen – oznajmia Claire, podnosząc słuchawkę. – Halo? – Jej ramiona napinają się, potem się rozluźniają. – Dobrze. Dziękuję. Tak. Może ich pan tu przysłać. – Odkłada telefon. Uświadamiam sobie, że wstrzymywałam oddech. – To Stanley z recepcji. Policja już tu jest.

– Tutaj? Jak to?

– Zaraz się przekonamy.

Dwaj policjanci w mundurach natychmiast wyczuwają zapach marihuany. Ledwie im otwieram, zaczynają węszyć jak psy, które złapały trop. Jeden kiwa znacząco głową drugiemu. Tego młodszego poznaję z dwóch spraw, nad którymi pracowałam, choć za nic nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska.

– Bailey – mówi on na powitanie.

– Sam – słyszę własny głos. Jego imię pojawia się nie wiadomo skąd i wypada z moich ust w ostatniej chwili.

– Słyszałem, co się stało. Bardzo mi przykro.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że mówi o gwałcie.

– To mój partner – wyjaśnia Sam. – Patrick Llewellyn.

– Dobry wieczór – odzywamy się jednocześnie, ja i Claire.

Patrick Llewellyn jest o kilka dobrych centymetrów wyższy i co najmniej o dziesięć lat starszy od swojego kolegi, który, jak sobie przypominam, ma na nazwisko Turnbull. Jest tak biały, jak Sam jest czarny, włosy ma rude i delikatne, kontrastujące z czarnymi, kędzierzawymi włosami Sama. Obaj są przystojni w ten szorstki, nonszalancki sposób, który często cechuje policjantów, a mundury jeszcze podkreślają ich urok.

– A pani jest...? – pyta Sam, zwracając się do Claire.

Claire przedstawia się jako moja siostra, nie dodając „przyrodnia”, za co jestem jej nieskończenie wdzięczna.

– W czym możemy pomóc?

– Chyba wiedzą panie, dlaczego przyszliśmy – zaczyna Patrick Llewellyn.

Sam odkaśluje.

– Może usiądziemy?

– Oczywiście. – Claire prowadzi ich do salonu, zaprasza, żeby usiedli na sofach.

Idę za nimi. Woń marihuany staje się mocniejsza z każdym krokiem. Krzywię się, gdy funkcjonariusz Llewellyn siada niemal dokładnie tam, gdzie jeszcze parę godzin temu Heath leniwie palił skręta. Sam zajmuje miejsce obok kolegi, ja i Claire przysiadamy na sofie naprzeciwko.

– Mogę zaproponować wam coś do picia? – pyta Claire, jakby przyjmowanie o tej porze policjantów w salonie, gdzie uporczywy zapach trawy otacza nas mdlącą chmurą, która jeszcze teraz może doprowadzić do zawrotów głowy, było czymś zupełnie normalnym. – Wodę albo sok?

– Nie, dziękuję – mówi Llewellyn, a jego partner kręci głową. – Zechce pani opowiedzieć, co dokładnie się dziś wydarzyło? Zadzwoiła pani na posterunek, twierdząc, że zaatakowano kobietę – dodaje, widząc moje wahanie.

– Tak.

– Nie podała pani swojego nazwiska.

– Nie.

– Mogę spytać dlaczego?

– Myślałam, że to nieważne.

– Przecież wiesz, jak jest – odzywa się Sam z dezaprobatą. – Co dokładnie się wydarzyło? – pyta z notesem w ręce i długopisem zawieszonym nad kartką.

Opisuję, co widziałam w mieszkaniu Paula Gillera, uparcie patrząc w podłogę, żeby nie widzieć min policjantów.

– Nie po raz pierwszy zgłasza pani na policję Paula Gillera – podejmuje Llewellyn, przeglądając notes, jakby upewniał się co do faktów.

– Paul Giller tak powiedział?

– Czy to prawda?

– Tak – przyznaję.

– Co to ma wspólnego z tamtym? – pyta Claire niecierpliwie. – Ważne jest to, co dziś zobaczyła Bailey.

– Czyli co dokładnie? – pyta znowu Sam.

– To, że kobieta została pobita i...

– Była tu pani? – przerywa Sam.

– Nie. Przyjechałam...

– Więc niczego pani nie widziała?

– No nie, ale...

– W takim razie proszę pozwolić odpowiedzieć na pytanie siostrze. – Znowu jest to bardziej rozkaz niż prośba.

Claire prostuje się z urazą i zakrywa nos ręką, kiedy poruszone jej ruchem powietrze przyniosło nowy poddmuch marihuany.

– Widziałam, jak Paul Giller bije i gwałci swoją dziewczynę – mówię policjantom.

– Jest pani tego pewna?

Spoglądam na Claire. Jestem?

– Skąd wiesz, że to jego dziewczyna? – pyta Sam.

Dochodzę do wniosku, że lepiej nie wspominać o swoich wcześniejszych wyczynach. Jeszcze uznają, że prześladuję sąsiadów.

– No, założyłam...

Sam nagle spogląda na coś na podłodze. Pochyla się i sięga pod stół do kawy. Kiedy się prostuje, trzyma w ręce skręta.

Claire przewraca oczami, ja swoje zamykam. Przypominam sobie, jak papierosy wyleciały z buta mojego brata, który gorączkowo starał się je pozbiierać. Najwyraźniej jednego przeoczył.

– Słuchaj, wiem, że ostatnio przechodzisz trudne chwile, i rozumiem, że potrzebujesz ucieczki, naprawdę – mówi Sam – ale jeśli zadzwoniłaś pod wpływem...

– Nie byłam pod wpływem.

– Czyli nie zapaliłaś sobie małego blanta?

– Niejednego, sądząc po zapachu – przerywa Patrick Llewellyn.

– No dobrze, mogłam być trochę na haju. Ale nie wtedy, kiedy widziałam Paula Gillera. Nie wierzycie mi – dodaję, bo ich miny są bardzo wymowne.

– Nie chodzi o to, w co wierzymy – oznajmia Sam – tylko co się wydarzyło.

– A najwyraźniej nie wydarzyło się nic – dodaje Llewellyn.

– Odwiedziliśmy Paula Gillera i przesłuchaliśmy jego i jego dziewczynę – ciągnie Sam. – W sypialni nie było żadnych śladów walki i oboje stanowczo zaprzeczali, jakoby do niej doszło.

– To jasne, że ona zaprzeczała – odzywa się Claire, spiesząc mi na pomoc. – Jeśli on stał obok niej...

– Nie miała ani jednego siniaka.

Drętwieję. Siniaki, które tuż po napadzie pokrywały niemal całe moje ciało, zaczęły zniknąć dopiero niedawno.

– Proszę zrozumieć – tłumaczy Llewellyn. – Nie możemy wiele zrobić, kiedy obie strony twierdzą, że nie było żadnej napaści. Chce pani mojej rady? Proszę przestać podglądać sąsiadów.

– Nie podglądam.

– Czyżby? A jak by to pani nazwała? Przyglądanie się sąsiadom przez lornetkę nie jest zasadniczo przestępstwem, ale rzucanie fałszywych oskarżeń już tak.

– Chyba nie oskarża pan ofiary – rzuca Claire.

– Pani siostra nie jest ofiarą – odparowuje on. – W każdym razie nie w tej sprawie.

– Spójrz na to z naszej perspektywy – przerywa mu Sam. – Miesiąc temu padłaś ofiarą brutalnego ataku. Od tego czasu rzuciłaś kilka bezpodstawnych oskarżeń nie tylko na tego Gillera, ale również na kilku innych mężczyzn, w tym Davida Trottera i Jasona Harknessa.

Usiłuję ukryć wstrząs. Więc już wiedzą o Jasonie Harknessie.

– To jest w twoich aktach – wyjaśnia Sam, uprzedzając moje pytanie.

– Kim jest Jason Harkness? – pyta Claire.

– Tydzień temu miałaś niegroźny wypadek samochodowy – ciągnie Sam, znowu sprawdzając notatki. – A dziś zadzwoniłaś anonimowo na policję, zgłaszając napad, która – jak zaklinają się na wszystkie świętości rzekomy sprawca i jego ofiara – nie miała miejsca. Mało tego, znajdujemy w twoim mieszkaniu marihuanę...

– Która, nie muszę chyba przypominać, jest nadal nielegalna w stanie Floryda – dodaje Llewellyn.

Kręci mi się w głowie. Co oni mówią?

– Aresztujecie mnie?

– Nie. Przymkniemy na to oko...

– A Paul Giller? Na niego też przymkniecie oko? – pyta Claire.

– Na szczęście dla pani siostry, pan Giller nie zdecydował się wnieść oskarżenia.

– Oskarżenia? Za co? – pytam.

– Na przykład za prześladowanie.

– Jakie prześladowanie? Absurd!

– Czyżby? Powiedziałbym, że Paul Giller ma dobry powód, żeby się konkretnie wkurzyć. Uważa, że z jakiegoś powodu zawzięła się pani na niego.

Claire zrywa się na równe nogi. Najwyraźniej ma już serdecznie dość.

– Przepraszam, że marnowałyśmy wasz czas, panowie.

– Może powinnaś się do kogoś zwrócić o pomoc – szepcze do mnie Sam w drodze do wyjścia.

– Dziękuję – warczy Claire, zamykając drzwi, zanim policjanci zdążyli rzucić coś na do widzenia. – Kim do cholery jest Jason Harkness? – pyta, odwracając się do mnie.

Wchodzę do sypialni.

– Jestem bardzo zmęczona. Możemy to załatwić innym razem?

Claire idzie za mną.

– Nie, nie możemy. Kim do cholery jest Jason Harkness? – powtarza. – Czego mi nie powiedziałaś?

Osuwam się na łóżko i niechętnie zwierzam się jej ze wszystkiego, co zaszło, kiedy opuściłam dziś gabinet Elizabeth Gordon. Jej twarz wyraża kolejno zaciekawienie, lekkie zaniepokojenie i kompletne osłupienie, tak jak się spodziewałam.

– Nie rozumiem...

– Chciałam coś zrobić... odzyskać panowanie nad życiem... a nie tylko siedzieć bezwolnie i cały czas się bać.

– Nie o tym mówię. Zrobienie czegoś, odzyskanie panowania nad życiem, to rozumiem. Nie potrafię pojąć, dlaczego mi nie powiedziałaś. O co chodzi, Bailey? Nie ufasz mi?

– Oczywiście, że ci ufam.

– To dlaczego nie powiedziałaś mi, co planujesz?

– Bo nie planowałam. Po prostu... jakoś się stało.

Mija parę sekund, zanim moja siostra odzyskuje mowę.

– Czy nie powiedziałaś mi o czymś jeszcze?

Kręcę głową, postanawiając nie wspominać o spotkaniu z Colinem Lesserem. Współczucie rozsądnego myślącego człowieka ma swoje granice. Cierpliwość również.

Claire podchodzi do okna i patrzy na mieszkanie Paula Gillera.

– Więc uważasz, że ten Jason Harkness może być człowiekiem, który cię zgwałcił?

Wzruszam ramionami. Nic już nie wiem.

– A Paul Giller? Co z nim?

– Nie wiem. – Padam na łóżko, zasłaniam ramieniem oczy. – Myślisz, że

zwariowałam, tak?

– Nie, nie myślę, że zwariowałaś. No – dodaje po chwili – może troszeczkę.

Głos ma łagodny, nawet serdeczny. Słyszę cichy szum opuszczanej rolety. Podnoszę rękę i spoglądam na Claire, która się rozbiera.

– Co robisz?

– Idę spać. – Moja siostra wyjmuje szczoteczkę do zębów z kieszeni spodni. –

Widzisz? Przygotowałam się.

– Co? Nie. Nie możesz tu zostać.

– Naprawdę myślisz, że masz siłę mnie wyrzucić?

– A co z Jade?

– Spała jak niemowlę. Zostawiłam jej liścik i zaraz się nagram na jej pocztę głosową.

– Nie. Nie mogę cię o to prosić.

– Nie prosisz. Ja decyduję. A teraz bądź cicho i idź spać. Muszę być w pracy dopiero w południe. – Idzie do łazienki.

– Claire...

– Nie ma za co – mówi, zanim udaje mi się znaleźć słowa podziękowania. – No to złapmy trochę snu.

*

Śni mi się koszmar, w którym biegacz z wielkim rzeźnickim nożem goni mnie drogą nad oceanem. Po drugiej stronie ulicy, przed małym kościołem, Heath pali skręta z Paulem Gillerem. Napastnik dogania mnie, łapie za włosy, odchyła mi głowę do tyłu i bez trudu podrzyna gardło. Padam na chodnik, wykrwawiając się na beton, a niebo trzęsie się od śmiechu i bicia dzwonów.

Wiem, że to telefon, jeszcze zanim się całkiem obudziłam; że to jego dzwonek wdarł się do mojego snu. Siadam i spoglądam na Claire, która śpi obok mnie. Nie przeszkadza jej żaden koszmar ani natrętny dzwonek telefonu. Nie słyszy go? Czy ten telefon w ogóle dzwoni, czy to nadal sen?

– Claire – odzywam się, muskając jej ramię. – Claire...

Moja siostra porusza się i przewraca na plecy.

– Hmmm?

– Telefon...

Odwraca głowę w moją stronę i otwiera oczy.

– Co? – Siada. – Co się dzieje?

– Słyszysz telefon?

Claire ogląda się gwałtownie na nocną szafkę.

– Ktoś dzwonił?

Uświadamiam sobie, że telefon już umilkł.

– Miałaś koszmar?

– Chyba tak – mówię, uznając, że tak będzie łatwiej.

Claire mnie przytula.

– Śpij, kochanie. – Zmusza mnie, żebym się położyła, i kładzie głowę na mojej poduszce, trzymając opiekuńczo jedną rękę na moim biodrze. – Musisz się wyspać.

Czuję jej ciepły oddech na karku. Claire zasypia, ja wiem, że nie zdołam. Leżę obok niej, bojąc się zamknąć oczy, czekając, aż telefon zadzwoni znowu.

*

Dzwoni tuż po ósmej rano.

To iluzja, myślę.

– Nie odbierzesz? – pyta Claire, trąc oczy, i siada.

– Ty go słyszysz?

– No pewnie.

Sięgam po słuchawkę.

– Halo?

– Tu Jade – informuje mnie głos bez niepotrzebnych wstępów. – Czy moja mama nadal u ciebie jest?

– Obok mnie. – Oddaję telefon siostrze i idę do łazienki, postanawiając darować sobie obchód mieszkania. Nie chcę niepokoić Claire bardziej niż to absolutnie konieczne.

Gdy dwadzieścia minut później wracam do sypialni, wyszorowana i owinięta obszernym frotowym szlafrokiem, już ubrana Claire czeka na mnie z kubkiem świeżo zaparzonej kawy.

– U Jade wszystko w porządku?

– Tak. Chciała tylko wiedzieć, o której dziś wrócę. Co pewnie oznacza, że chodzą jej po głowie jakieś bezceństwa. Nastolatka... co mogę powiedzieć?

Czuję się winna, że odebrałam Jade matkę.

– Nie patrz tak – mówi Claire. – To nie ma nic wspólnego z tobą. Jak kawa? Wystarczająco mocna?

Moja siostra nauczyła się czytać w myślach.

– Idealna – zapewniam, jeszcze zanim pociągnęłam pierwszy łyk.

– To jakie masz plany na dziś? – pyta. W tej samej chwili dzwoni telefon. – Mam odebrać? – Szybko rzuca okiem na wyświetlacz. – Numer nieznanym – mówi i podnosi słuchawkę. – Halo? – Krótka pauza. – Nie, tu jej siostra. Kto dzwoni? – Claire podaje mi słuchawkę. – Jakiś doktor Lesser – szepcze z uniesionymi brwiami.

Czuję, że krew mi odpływa z twarzy. Przywołuję całą siłę woli, żeby się

uśmiechnąć, i wszystkie siły, żeby zamienić kubek na telefon. Dlaczego do mnie dzwoni? Czego chce? Jak zdobył mój numer?

– Halo?

– Cześć. Pamiętasz mnie?

– Oczywiście.

– Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale chciałem cię złapać, zanim wyjdiesz.

Dlaczego dzwoni? Skąd ma mój numer?

– Dobrze, przejdę do rzeczy. Uważam, że jesteś... interesująca, że się tak wyrażę...

Więc dzwonię, bo miałem nadzieję, że namówię cię na wspólny obiad.

Wygooglowałem cię, jeśli się zastanawiasz, jak...

Następny, który czyta mi w myślach.

Czuję na sobie uważne spojrzenie Claire.

– Nie mogę.

– Nie możesz, czy po prostu nie interesuję cię tak, jak ty interesujesz mnie?

– Dziękuję za telefon – dodaję. – Umówię się na kolejne spotkanie, kiedy tylko będę znała mój plan dnia. – Rozłączam się, nie dając mu dojść do słowa. – Mój

dentysta – kłamię. – Okazuje się, że nie przyszłam na wizytę.

– I sam do ciebie zadzwonił?

– Pewnie ma spokojny poranek – mówię.

W tej samej chwili telefon dzwoni mi w rękę.

– W odróżnieniu od nas – mruczy Claire.

Podnoszę słuchawkę do ucha. W głowie mam wir myśli. Dlaczego okłamałam Claire? Dlaczego tak naprawdę Colin do mnie zadzwonił? Czy to możliwe, że jest tym, kim się wydaje – mężczyzną, który się mną zainteresował i chce mnie zaprosić na obiad?

– Halo? – prawie krzyczę, bo tak się spięłam, żeby odsunąć od siebie te myśli.

Słucham znajomego głosu i serce podchodzi mi do gardła, a oddech zamiera w płucach.

„Powiedz, że mnie kochasz”.

– Boże... – Rozłączam się i upuszczam słuchawkę na podłogę.

– Co się stało? – rzuca Claire. – Kto to był?

– Castillo – odpowiadam, kiedy udaje mi się odzyskać głos.

– Co powiedział? Mów!

– Okazuje się, że dziesięć przecznic od miejsca, w którym mnie zaatakowano, została zgwałcona następna kobieta. Złapali gwałciciela i chcą, żebym go zidentyfikowała.

– Kiedy?

– Jak najszybciej.

Claire odstawia moją kawę na nocną szafkę.

– Jedziemy.

Jakieś czterdzieści minut później Claire zatrzymuje mój samochód przed posterunkiem na 400 Northwest 2nd Avenue, w centrum Miami, w dzielnicy znanej jako Mała Hawana. Znosi się na deszcz; wiatr, który już wieje z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę, staje się coraz bardziej porywisty. W radiu mówili, że na wschodzie Kuby rozkręca się tropikalna burza, choć nadal istnieje szansa, że ominie Florydę i zginie marnie gdzieś na środku Atlantyku.

– Gotowa? – pyta Claire, wyłączając silnik i odpinając pasy.

Gotowa na spotkanie z gwałcicielem?

– Dasz radę. – Klepie mnie po dłoni.

Spoglądam na nowoczesny, względnie biały budynek, który wygląda jak architektoniczny miszmasz, z topornym zewnętrznym szkieletem wystającym z jego boków i obejmującym górne kondygnacje. Budynek ma dwa, może trzy piętra – trudno ocenić pod tym kątem. Intensywnie niebieskie litery na frontonie ogłaszają: „Wydział Policji w Miami”. Wysokie liściaste drzewa – z tych, których nazwy powinnam znać, ale nie potrafię ich spamiętać – ocieniają ulicę i podjazd prowadzący do wejścia.

Dasz radę, powtarzam w myślach. Dasz radę.

Nie jestem w stanie się ruszyć.

– Możemy tu chwilę posiedzieć – proponuje Claire, choć wiem, że nie ma czasu, musi być w południe w pracy. – To taka interesująca okolica – dodaje, rozglądając się po zdecydowanie skromnej ulicy, na której nie ma nic wartego uwagi. – Wiedziałaś, że nieopodal znajdowały się żydowskie delikatesy? Potem zjawily się kubańskie bodegi i kawiarenki. A teraz teren przejęli Latynosi.

– Ciekawe – mówię, choć dobiegają mnie tylko urywki jej słów. – Skąd ty to wszystko wiesz?

Obie zdajemy sobie sprawę, że nie interesuje mnie jej odpowiedź, że tylko staram się przedłużyć tę rozmowę, którą Claire zamierzała oderwać moje myśli od narastającej paniki.

– Jade uczyła się w szkole miejscowej historii. A może raczej ja się uczyłam, a ona olewała. No cóż. Może nauczy się przez osmozę.

– Jesteś dobrą mamą.

– Jury jeszcze obraduje na ten temat – mruczy Claire.

– I wspaniałą siostrą.

Jej śmiech brzmi dziwnie gorzko.

– Heath tak nie myśli.

Heath nie myśli, kropka – poprawiam ją bezgłośnie, choć nigdy bym tego nie powiedziała. Stałabym się nielojalna wobec jedynej bliskiej mi osoby. Jedynej do niedawna.

– Bo cię nie zna.

– I nie chce mnie poznać.

– Zmieni zdanie.

– Może. – Claire spogląda na zegarek. – Jesteś gotowa?

– Jak mam rozpoznać kogoś, kogo nie widziałam?

– Dobrze się przyjrzyj. Nie będziesz się spieszyć. Zrobisz, ile możesz. Tylko o to cię proszą.

Kiwam głową i otwieram drzwi samochodu. Porywisty podmuch wpycha mnie do środka, jakby ostrzegał, żebym się nie wychylała. Claire przechodzi na moją stronę i chwytam mnie za rękę, prowadzi przez parking. Wiatr szarpie moimi włosami, miota nimi we wszystkich kierunkach, jakbym dotknęła linii wysokiego napięcia. Każde pasmo zmienia się w cienki bicz tnący moje policzki i powieki.

– Śmieszne, jak to się potoczyło, prawda? – rzucam, zatrzymując się nagle za starym czarnym buickiem. Zaskakuje mnie to, co zamierzam powiedzieć.

– To znaczy?

– Gdyby to wszystko się nie wydarzyło... gdybym nie została zgwałcona... mogłybyśmy nie nawiązać znajomości.

– To prawda.

– Więc może powinnam mu podziękować.

– A może raczej kopniesz go w jaja?

Uśmiecham się, naprawdę się uśmiecham.

– O, to faktycznie lepszy pomysł.

*

Oficer Castillo czeka na nas w holu.

Pomieszczenia na parterze są przestronne i jasne pomimo ołowianych chmur za ciągnącymi się przez całą ścianę oknami oraz powagi tego, co się dzieje w labiryncie wewnętrznych gabinetów. Byłam tu wiele razy przy okazji moich dochodzeń i zawsze uważałam ten budynek za w miarę przyjemny pomimo wiszących na ścianach fotek z aresztowań i zdjęć dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców Ameryki. Teraz po raz pierwszy poczułam tu strach.

– Bailey... Claire – mówi Castillo na powitanie. – Dziękuję, że przyjechałyście tak szybko. Pewnie zaraz rozpęta się burza.

– Miejmy nadzieję, że najgorsze nas ominie – komentuje Claire.

– Denerwujesz się? – pyta mnie policjant, kiedy odgarniam włosy z twarzy. – Jak się czujesz?

– Przerażona. – Zastanawiam się, czy wie już o wydarzeniach z zeszłej nocy.

– Nie trzeba. Pamiętaj, ty ich widzisz, oni ciebie nie.

Wcale mi to nie pomaga.

Castillo prowadzi nas korytarzem, którego ściany pokrywają plakaty rekrutacyjne, wiadomości i obwieszczenia o nadchodzących wydarzeniach, a także oprawione w ramki portretowe zdjęcia przedstawicieli wyższego dowództwa.

– Rozumiem, że wczoraj w nocy wpadli do ciebie funkcjonariusze – rzuca Castillo od niechcienia, jakby wspomniał o jakimś nieistotnym drobiazgu. – Porozmawiamy o tym później – dodaje złowieszczco i otwiera drzwi do gabinetu.

– Cholera – mamrocę pod nosem.

– Dasz radę – powtarza Claire, niewłaściwie interpretując moją reakcję.

Dołącza do nas oficer Dube, który wchodzi za nami do gabinetu i zamyka za sobą drzwi. Wita się, pyta mnie o samopoczucie, informuje, że nie ma powodu się bać, bo ja będę widzieć podejrzanych, a oni mnie nie. Nadal mi to nie pomaga.

Pokój, w którym się znajdujemy, jest mały i pozbawiony okien. Halogeny, nijaka posadzka z płytek. Oprócz paru pomarańczowych plastikowych krzeseł stojących pod szarobiałą ścianą po lewej, w pomieszczeniu nie ma mebli. Nie ma też zdjęć ani akwarel. Nic nie odwraca uwagi, bo to miejsce jest przeznaczone do obserwowania podejrzanych, którzy wkrótce staną rzędem po drugiej stronie szyby zajmującej większą część ściany. Wciskam sweter w granatowe paski w białe bawełniane spodnie – te same co wczoraj, uświadamiam sobie, widząc smugi brudu na biodrach – i odkasłuję. Kiedyś bardzo dbałam o to, w co się ubieram.

– Chce pani coś do picia?

– Poproszę wodę.

Oficer Dube wychodzi.

– Dla mnie nic – rzuca Claire, choć nikt jej nie pytał. – Sądzicie, że znaleźliście człowieka, który zgwałcił moją siostrę?

– Zatrzymaliśmy podejrzanego w sprawie gwałtu, do którego doszło wczoraj w nocy, w okolicy, gdzie zaatakowano Bailey.

W tej samej okolicy, do której wczoraj wróciłam, myślę, powstrzymując mimowolny wewnętrzny dreszcz. Zastanawiam się, czy moja wizyta ma coś wspólnego z tym napadem. Czy mogę być za niego jakoś odpowiedzialna?

– Ten sam modus operandi? – słyszę głos Claire. Te słowa brzmią w jej ustach tak osobliwie, że prawie parskam śmiechem.

– Są pewne różnice.

– Jak to różnice?

– Może zaczekajmy, aż pani siostra zdoła spojrzeć na podejrzanych – proponuje Castillo, gdy drzwi znowu się otwierają i wchodzi Dube z wodą dla mnie. Wkłada mi

w drżące ręce tekturowy kubek. Piję, zanim woda wyleje się na podłogę.

– Nie ma powodu się denerwować – powtarza Dube. – Pani ich widzi, ale oni pani nie.

Drzwi się otwierają. Wchodzi młoda kobieta, wysoka i koścista, o długich rękach i szerokich biodrach. Kruczoczarne włosy okalają nieco końską twarz. Pewnie obrońca z urzędu.

– Cześć – odzywa się szeptem `a la Marilyn Monroe, równie niestosownym, jak niepokojącym.

– Na pewno znasz procedurę – stwierdza Castillo, po czym wyjaśnia: – Przyprawimy pięciu mężczyzn. Każdy wystąpi naprzód, żebyś mogła się mu dobrze przyjrzeć, potem odwróci się profilem. Poprosimy ich także, żeby powiedzieli to, co gwałciiciel powiedział tobie...

Powiedz, że mnie kochasz.

Nogi uginają się pode mną. Ręce zaczynają dygotać. Kubek z wodą upada na podłogę. Z gardła wyrywa mi się krzyk.

– Zostaw – rozkazuje Castillo, gdy Dube się pochyla po kubek i sięga po papierowy ręcznik, żeby wytrzeć wodę. – Wiem, jakie to dla ciebie trudne, Bailey, ale to bardzo ważne. Może nie przyjrzałaś mu się dobrze, ale słyszałaś jego głos. Dasz radę – powtarza słowa Claire.

Moja siostra ściska mnie za rękę.

– Niestety, muszę poprosić siostrę Bailey, żeby opuściła pokój – szemrze kobieta.

– Nie mogłaby zostać? – błagam Castilla. – Proszę.

– Nie możemy dopuścić do potencjalnego wpływu na świadka – płynie ku mnie szept, który zaczyna być denerwujący.

Dube otwiera drzwi.

– Może pani usiąść tam – mówi do Claire, pokazując jej rząd pomarańczowych krzeseł w korytarzu.

Claire mnie obejmuje.

– Weź głęboki oddech – przypomina. – Dobrze się przyjrzyj. Nie spiesz się. Zrób, ile możesz. Jestem tuż za drzwiami. – Po raz ostatni ściska mi dłoń i wychodzi.

– Gotowa? – pyta Castillo, gdy drzwi się za nią zamknęły. Już trzyma palec na guziku interkomu i gdy widzi moje kiwnięcie głową, każe wprowadzić mężczyzn.

Weź głęboki oddech.

Biorę, po czym powoli wypuszczam powietrze, patrząc, jak do dobrze oświetlonego pomieszczenia po drugiej stronie szyby wchodzi pięciu mężczyzn. Każdy trzyma przy piersi małą tabliczkę z numerem. Na rozkaz wszyscy odwracają się twarzą do mnie, pięć par oczu patrzy przed siebie beznamiętnie. Podziałka na ścianie za nimi wskazuje, że mają od metra siedemdziesięciu dwóch do metra osiemdziesięciu wzrostu. Wszyscy są średniej budowy, choć numer jeden i pięć są znacznie bardziej umięśnieni niż pozostali. Wszyscy mają brązowe włosy. Numer

dwa i cztery oceniam na dwadzieścia parę lat, numer jeden i pięć są nieco starsi, numer trzy ma pewnie dziesięć lat więcej. Numery trzy i cztery to Latynosi, trzej pozostali są biali. Wszyscy mają na sobie ciemne podkoszulki i niebieskie dżinsy.

Wszyscy wydają mi się mgliście znajomi.

Zwłaszcza numer pięć. Na pewno go już widziałam.

Dobrze się przyjrzyj.

– Numer jeden, proszę wystąpić.

Numer jeden robi krok do przodu.

Mierzę go wzrokiem od stóp do głów.

– Proszę odwrócić się w lewo. Teraz w prawo.

Z profilu mężczyzna wygląda nieco lepiej niż en face, choć nie nazwałabym go przystojnym. Górne oświetlenie podkreśla jego bicepsy, które teraz wydają się wydatniejsze niż przed chwilą.

Czy to może być mężczyzna, który mnie zgwałcił?

– Proszę powiedzieć „Powiedz, że mnie kochasz” – poleca Castillo, a ja wzdrygam się, słysząc te słowa w jego ustach.

– Powiedz, że mnie kochasz – rzuca numer jeden bez akcentu.

Kręcę głową. Nie sędzę, żeby to on mnie zgwałcił.

– Proszę się cofnąć.

Numer jeden wraca na swoje miejsce.

– Numer dwa, proszę wystąpić.

Numer dwa robi leniwy krok naprzód. Jest zgarbiony, a na twarzy posiekanej bliznami po trądziku maluje się znudzenie. Obraca się w lewo i prawo i mówi „Powiedz, że mnie kochasz”.

Choć jego głos w niczym nie przypomina głosu gwałciciela, muszę walczyć z falą mdłości. W jego tonie brzmi coś złowieszczonego, zgarbienie ramion zdradza jakąś przyrodzoną wściekłość. Kręcę głową, zerkam na numer pięć i serce mi przyspiesza. Czy to ten człowiek, którego wczoraj złapała policja, który zgwałcił inną kobietę niedaleko miejsca, gdzie mnie zaatakowano? Czy to numer pięć mnie zgwałcił?

– Proszę się cofnąć. Numer trzy, proszę wystąpić.

Numer trzy wygląda na czterdzieści lat. Oprócz tego, że jest najstarszy, jest też najbardziej roztrzęsiony. Wyskakuje przed siebie, przestępuje z nogi na nogę i prawie dygocze, obracając się najpierw w lewo, potem w prawo. Wyrzuca z siebie: „Powiedz, że mnie kochasz” z ledwie słyszalnym akcentem.

To nie on mnie zgwałcił.

Numer cztery.

Numer cztery jest najmłodszy i najwyższy. A także najchudszy. Obraca się w lewo, potem w prawo, mamrocze słowa, które miał powiedzieć, więc musi je powtórzyć – i to dwa razy. Te powtórki dowodzą tylko tego, że to nie on mnie napadł.

Numer pięć wychodzi naprzód w chwili, gdy numer cztery się cofa.

Jest najprzystojniejszy ze wszystkich i wygląda na najsilniejszego. Jest także mocno opalony, nawet trochę zaczerwieniony od słońca. Nie czekając na polecenie, odwraca się w lewo i w prawo.

– Ktoś tu się rwie do współpracy – zauważa oficer Dube.

– Proszę powiedzieć: „Powiedz, że mnie kochasz” – rozkazuje Castillo.

– Powiedz, że mnie kochasz – mówi mężczyzna. Głośno. Wyraźnie.

Zdecydowanie.

Kolana uginają się pode mną. Pokój się przekrzywia. Podłoga biegnie na spotkanie z moją głową.

Castillo podtrzymuje mnie w ostatniej chwili.

– Oddychaj głęboko – radzi.

Łapię zachłannie powietrze.

– To on? – pyta funkcjonariusz Dube. – Rozpoznała pani jego głos?

Kręcę głową. Łzy, których nie czułam, skapują mi z brody.

– To nie on.

– Na pewno?

– Wyglądał tak znajomo... pomyślałam... ale jego głos...

– To chyba już skończyliśmy – szemrze prawniczka infantylnym szeptem. –

Dziękuję, panowie. Panno Carpenter – rzuca zamiast pożegnania.

Wychodzi z pokoju. Moja siostra przypada do mnie.

– Co się stało? – pyta natychmiast. Pięciu mężczyzn opuszcza pomieszczenie za szybą. – Wszystko w porządku? Rozpoznałeś go? – Prowadzi mnie do pomarańczowych krzeseł i siadamy.

– Pani siostra nie zidentyfikowała żadnego z mężczyzn – oznajmia Castillo, starannie kryjąc rozczarowanie.

– Na pewno? – pyta mnie Claire.

Kiwam głową.

– Numer pięć wydawał się bardzo znajomy – wyznaję.

– Może dlatego, że pracuje na budowie za pani domem. Pewnie widziała go pani w okolicy.

– Albo przez lornetkę – dodaje Dube z wyraźną, choć niepotrzebną, naganą.

– Ma wyrok w zawieszeniu za napaść – dodaje Castillo. – Dlatego mogliśmy go tu ściągnąć.

– Napaść seksualną?

– Nie. Bójkę w barze. Pięć lat temu. Ale warto było spróbować.

– Czy to on jest podejrzany o drugi gwałt? – pytam.

– Nie. To był numer dwa.

Znowu widzę zgarbionego młodego mężczyznę o dziobatej twarzy. „Powiedz, że mnie kochasz” – słyszę jego warknięcie. Tylko że to nie było warknięcie człowieka,

który mnie zgwałcił.

– A może numer jeden? To mógł być on...

– To był funkcjonariusz Walter Johnston. Z wydziału Miami.

Głowa mi opada.

– Cholera. Przepraszam.

– Niepotrzebnie. To nie jest najmiłszy facet świata. Ale ma żelazne alibi na noc, w którą cię napadnięto. Pracował razem z dziesiątkami innych policjantów.

– Przepraszam – powtarzam, bo nie przychodzi mi do głowy nic innego.

– No trudno, ty się starałaś, my się staraliśmy... Skoro nie ma tu tego gościa, będziemy szukać dalej.

– Zrobiłaś, co mogłaś – pociesza mnie Claire.

– Musimy porozmawiać o zeszłej nocy – oznajmia Castillo.

– O Boże... Naprawdę nie mam siły na kazanie.

– Wie pani, że to było głupie, prawda? – pyta Dube, nie owijając w bawełnę.

Zrobiłam ostatnio tyle głupich rzeczy, że trudno mi się skupić na tej jednej.

– To może poczekać – ustępuje Castillo. – Tylko zrób mi przysługę i nie dzwoń już anonimowo na posterunek. To nie podnosi twojej wiarygodności. – Wyjmuje wizytówkę z tylnej kieszeni spodni i podaje mi ją. – Dzwoń od razu do mnie. Na odwrocie jest mój numer domowy.

– Dziękuję. – Chowam wizytówkę do kieszeni. Kolejna do rosnącej kolekcji.

– Wszystko w porządku? Coś ci przynieść? Może wody?

– Potrzebuję tylko paru minut.

– Nie spiesz się. – Castillo wychodzi z pokoju. Funkcjonariusz Dube idzie za nim.

– Masz pojęcie, jaka jestem z ciebie dumna? – pyta Claire po ich odejściu.

– Dumna ze mnie? Dlaczego?

– To, co zrobiłaś, wymagało ogromnej odwagi.

– Niczego nie zrobiłam.

– Nie umniejszaj tego, co zaszło, tylko dlatego, że nie zyskałaś rezultatu, o który ci chodziło. Stawiłaś czoło swoim najgorszym lękom. Spojrzałaś w twarz pięciu potencjalnym gwałcicielom. Nie uciekałaś. Nie schowałaś się. Nie rozpadłaś się na kawałki. To coś znaczy. Według mnie znaczy bardzo dużo.

Padam jej w ramiona, opieram głowę na jej piersi.

– Kocham cię – mówię i uświadamiam sobie, że to prawda.

– Ja też cię kocham – odpowiada ona, przełykając łzy. Szybko się opanowuje. – Chodź, odstawię cię do domu.

*

W domu na poczcie głosowej czekają na mnie dwie wiadomości. Pierwsza od Sally,

która przeprasza, że nie dzwoniła od paru dni, ale była bardzo zajęta w pracy, jej syn okropnie się zaziębił i dlatego nie zorganizowałam sobie zastępczej komórki, żebyśmy mogły przynajmniej pisać SMS-y. Dodaje, że w pracy jest młyn, odkąd Sean Holden wrócił z rejsu...

– Cholera – rzucam. Sean wrócił i do mnie nie zadzwonił. Co to znaczy? I, co ważniejsze, dlaczego mnie to obchodzi? Sean może i jest świetnym prawnikiem, ale jest także kłamcą i oszustem.

– Idiotka z ciebie – mamroczę do siebie. Zdenerwowałam się, bo żonaty mężczyzna, w dodatku mój szef, zdradził mnie... z własną żoną! – Idiotka – warczę, czekając na drugą wiadomość i mimo wszystko licząc, że to od Seana.

– Bailey, tu Gene – ryczy mi nagle w ucho mój przyrodni brat. – Muszę z tobą jak najszybciej porozmawiać.

– Cholera – powtarzam i kasuję obie wiadomości. Po chwili dzwoni telefon.

– Dzień dobry – słyszę głos w słuchawce. – Tu Finn z recepcji. Przyszedł pani brat. Ten duży – dodaje szeptem.

Wzbiera we mnie panika. Niech to diabli. Naprawdę nie mam na to siły.

– Dobrze. Przyślij go na górę.

– Nie odpowiedziałas na mój telefon – mówi Gene, wpadając do mieszkania, jakby zamierzał staranować każdego, kto stanie mu na drodze.

W takich momentach żałuję, że zostawiłam sobie telefon stacjonarny. Większość moich znajomych już dawno z nich zrezygnowała. Może kiedy odzyskam swoją skradzioną komórkę...

– Dopiero wróciłam do domu. Byłam na okazaniu.

– Złapali go?

– Nie. Nie zdołałam...

– Szkoda. – Gene drapie się po cienkim nosie. Po nosie mojego ojca na twarzy jego matki, uświadamiam sobie.

Idzie nieproszony do salonu i siada, poprawiając ciemnoniebieski krawat. Zauważam krople deszczu na ramionach jego lnianego garnituru w niebiesko-białe paski.

– O co chodzi z tymi zapieczętowanymi aktami?

– Co? Nie. Nigdy...

– Wiesz, że nie mogę do nich zajrzeć.

– Nigdy nie proponowałam... nigdy bym cię nie poprosiła...

– I wiesz, że takich informacji nie można użyć w sądzie.

– Wiem. Bardzo przepraszam.

– Usiądź, Bailey – rzuca, jakbyśmy byli w jego gabinecie, a nie w moim mieszkaniu. – I słuchaj uważnie, bo nie zamierzam tego powtarzać. Nigdy. Jasne?

Kiwam głową, wstrzymując oddech.

– Jason Harkness włamał się jako piętnastolatek do sklepu, uderzył sprzedawcę

w głowę butelką i zabrał czterdzieści trzy dolary i dziewiętnaście centów – referuje Gene sucho. – Spędził rok i cztery miesiące w poprawczaku, a potem złożył wniosek o utajnienie jego akt. Od tej pory jest nienotowany. Nic w jego dokumentach nie wskazuje na skłonność do gwałtu, choć zdecydowanie jest zdolny do przemocy. Więc nie wiem, czy to pomoże. To tyle. – Splata dłonie na kolanach.

– Dziękuję. – Usiłuję ocenić znaczenie tych informacji. I czekam na ciąg dalszy. Nie znam dobrze Gene’a, ale czuję, że będzie się spodziewał czegoś w zamian.

Nie muszę czekać długo.

– Słuchaj – mówi, odkaszlnąwszy. – To dla ciebie oczywiście bardzo stresujący czas. I nie chcemy, twoi bracia, siostra i ja, być dla ciebie źródłem dalszego stresu.

Czy Claire z nimi rozmawiała? Przekonała braci, żeby wy-cofali pozew?

– Zastanawialiśmy się... mieliśmy nadzieję, że zechcesz iść na ugodę – rzuca Gene, nie dając mi czasu na reakcję.

– Ugodę?

– Nie chcemy, a ty nie potrzebujesz przykrej i bardzo publicznej walki w sądzie, zwłaszcza teraz, gdy starasz się odzyskać siły po tym ohydny ataku. Byłoby tragedią, gdyby ten proces utrudnił ci powrót do zdrowia...

– Masz na uwadze wyłącznie moje dobro. – Sarkazm skapuje z moich słów jak jad. Gene jakby tego nie zauważył.

– No właśnie. Z pewnością gdybyśmy usiedli i przedyskutowali to jak rozsądni, dorośli ludzie...

– Myślisz, że pozywanie mnie o prawa do całego majątku mojego ojca jest rozsądne?

– Był także moim ojcem. Miał siedmioro dzieci, nie tylko dwoje. I prosimy wyłącznie o to, co się nam należy. – Gene robi się czerwony na twarzy. Niecierpliwie tupie w mój dywan z krowiej skóry. Nie lubi sprzeciwu. – Słuchaj, Bailey. To oczywiste, że nasz ojciec nie był przy zdrowych zmysłach, kiedy zmienił testament – próbuje innej taktyki. – Miał depresję po śmierci twojej matki i urazę do swoich starszych dzieci za to, co uważał za obojętność dla jego przeżyć.

– Twierdzisz, że nie powinien mieć depresji i nie miał prawa do urazy?

– Nie miał prawa nas wydziedziczyć.

– Te pieniądze należały do niego.

– Należały do rodziny – upiera się Gene. – Zapominasz, że moja matka bardzo ciężko pracowała, żeby go wspomóc...

– A ty zapominasz, że nasz ojciec bardzo hojnie ją uposażył po rozwodzie. Jeśli się nie mylę, obu swoim byłym żonom dał po kilka milionów dolarów, jak również zapewnił poważne wsparcie swoim dzieciom.

– Co błędnie w porównaniu z fortuną, która dostanie się tobie i Heathowi. A skoro o nim mowa – ciągnie Gene jednym tchem, sięgając po kolejną taktykę – wątpię, żeby nasz ojciec chciał, by twój brat roztrwoniał jego fortunę na narkotyki i swoich

rozwiązłych, wykorzystujących go znajomych.

– Rozwiążli, wykorzystujący go znajomi – powtarzam i udaje mi się powiedzieć to z oburzeniem, choć podzielam tę opinię. – Śmiałe stwierdzenie.

– Fakty są faktami – oznajmia Gene, jakby kończył przemówienie w sądzie. – Heath lubi imprezować, jego znajomi są w najlepszym razie wątpliwi, nigdy w życiu nie pracował...

– Jest aktorem i scenarzystą.

– Serio? W jakich filmach zagrał? Jakie scenariusze napisał?

– Wiesz, że w dzisiaj nie jest łatwo. To musi potrwać. Heath się stara....

– Bailey...

– Eugene... – mówię, z satysfakcją używając formy imienia, której nienawidzi.

Pieniądze ojca to by wziął, ale jego imienia – nie. Przed jego wizytą byłam już prawie zdecydowana zawrzeć z nim, i resztą mojego przyrodniego rodzeństwa, ugodę.

– Po prostu uważam, że błędem byłoby oddanie takich pieniędzy w ręce kogoś, kto najprawdopodobniej puści je z dymem – oznajmia Gene, przypieczętowując swój los raz na zawsze.

– A ja uważam, że pora, żebyś wyszedł.

– Bądź rozsądna...

Wstaję i idę do przedpokoju. Gene wzdycha i rusza za mną. Otwieram drzwi, a on niechętnie wychodzi.

– Chcę ci podziękować za zdjęcia, które dałaś Claire – rzuca jeszcze z wyraźnym przymusem. – To bardzo miło z twojej strony.

– Więc jesteśmy kwita – odpowiadam i zamykam mu drzwi przed nosem.

Jakąś godzinę później stoję przed rzędem wind w holu wieżowca z lśniącego białego marmuru, w którym znajduje się kancelaria Holden, Cunningham i Kravitz. Mam dość mgliste pojęcie, jak się tu znalazłam – podróż podskakującą na wybojach taksówką po zalanych deszczem ulicach Miami – i jeszcze bardziej mgliste pojęcie, po co w ogóle tu przyjechałam. Żeby spotkać się z Sally? Rozmówić się z Seanem? Uciec przed obecnością Gene’a, uparcie pozostającą w moim mieszkaniu, które zaczęło mi się wydawać bardziej więzieniem niż bezpiecznym schronieniem?

W każdym razie znalazłam się tu. Nagły obezwładniający strach przejął kontrolę nad moimi nogami i wbił je w podłogę tak głęboko, jak te efektowne marmurowe kolumny. Patrzę, jak sześć wind sunie to w górę, to w dół, nieustannie, choć nieregularnie; jak ich mosiężne drzwi w stylu art déco otwierają się i zamykają; jak dobrze ubrani ludzie pospiesznie wchodzą i wychodzą; jak ten proces powtarza się tyle razy, że traci znaczenie, tak jak zbyt często powtarzane słowo. Czuję, jak z podeszew moich stóp rozchodzi się nieprzyjemne odrętwienie, okrąża moje palce, potem pełźnie ku udom i wślizguje się między nogi.

Doświadczam epizodu zespołu stresu pourazowego, mówię do siebie. Nie zwariowałam.

– Bailey?

Z ust wyrywa mi się głuchy jęk sprzeciwu; wszyscy, którzy go usłyszeli, cofają się o krok.

– Przepraszam – odzywa się młoda kobieta, choć patrzy na mnie tak, jakby spodziewała się przeprosin ode mnie. – Pomyślałam, że to ty. Jestem Vicki z księgowości – Mówi to pytającym tonem, jakby nie była pewna. – Rany boskie, jesteś przemoczona.

– Tak? – Szybko zerkam na siebie i przekonuję się, że Vicki z księgowości ma rację. Woda skapuje mi z rąk i gromadzi się w kałużach wokół moich stóp.

Vicki parska śmiechem.

– Tak, jesteś! – Spogląda na mnie, jakby spodziewała się, że stanę w płomieniach. – Wszystko dobrze?

– Doskonale.

Vicki z księgowości jest ładną brunetką o prostych, błyszczących włosach, sięgających jej prawie do pasa. Ma na sobie szarą sukienkę i czarne szpilki, tak wysokie, że trudno sobie wyobrazić, jak udaje jej się w nich stać, o chodzeniu nie wspominając. Ja też kiedyś nosiłam takie buty, myślę, spoglądając na swoje płaskie

sandały. I chodzenie w nich nie sprawiało mi żadnego kłopotu.

– Jedziesz na górę? – Vicki wciska guzik, choć już się świeci. Kiwam głową, a ona się uśmiecha. – Jak leci?

Ciekawe, ile wie, ile informacji, prawdziwych i fałszywych, wypuścił z siebie plotkarski młyn?

– Codziennie trochę lepiej.

– Myślisz, że wkrótce wrócisz?

– Może.

– Mam nadzieję. Tęsknimy za tobą.

A to dziwne, bo to chyba nasza najdłuższa rozmowa.

– Ja też za wami tęsknię – mówię, częściowo dlatego, że tak wypada, a częściowo dlatego, że... to prawda.

Przyjeżdża winda, drzwi się rozsuwają.

– Jedziesz? – pyta Vicki z księgowości, wchodząc do środka i czekając, aż zrobię to samo. Drzwi uderzają w jej ramię, rozlega się brzęczyk, bo moje nogi nie chcą ruszyć z miejsca i za długo zwlekam. – Bailey? Jedziesz?

Jakiś mężczyzna przebiega obok mnie; jego ruch wypycha mnie do windy. Vicki z księgowości wybiera dwudzieste czwarte piętro, a potem zerka na mnie z palcami zawieszonymi nad panelem:

– Pan Holden jest na dwudziestym siódmym, tak?

Dlaczego założyła, że przyszedłam do Seana? Wie o naszym romansie? Kolejna soczysta ploteczka o mnie?

– Na dwudzieste szóste. Najpierw chcę się przywitać z Sally.

– A, no tak. Zarobiona po kokardę. Pracuje nad rozwodem Aurory i Poppy’ego Gomezów. Uwierzysz, co się tam dzieje? Podobno w ciągu ostatnich dwóch lat przespał się z tysiącem kobiet. Czyli co noc inna.

Tłumaczę sobie, że Vicki z księgowości przesadza dla lepszego efektu, i że to nie świadczy o jej umiejętności liczenia.

– Przepraszam – odzywa się jakaś kobieta z głębi kabiny, gdy winda zatrzymuje się na siedemnastym piętrze. Czuję, że kilka ciał zmienia pozycję za moimi plecami i kobieta wysiada, mijając się z wsiadającym mężczyzną – około trzydziestu pięciu lat, średniego wzrostu i średniej budowy. Pachnie drogim mydłem i świeżą, chłodną wonią płukanki do ust.

Powiedz, że mnie kochasz.

Opieram się o ścianę, powtarzając sobie, że muszę zachować spokój. To nie jest mężczyzna, który mnie zgwałcił. Dzisiejsze okazanie wytrąciło mnie z równowagi, rozjątrzyło moją wyobraźnię.

Nie zwariowałam.

Po chwili docieramy na dwudzieste piąte piętro i Vicki wychodzi do imponującej, wyłożonej płytami zielonego marmuru recepcji kancelarii Holden, Cunningham

i Kravitz. Odwraca się, żeby się ze mną pożegnać, i przekonuje się, że stoję o krok za nią.

– O... – rzuca z zaskoczeniem. – Myślałam, że jedziesz na dwudzieste szóste.

– Chyba najpierw powinnam zadzwonić do Sally – mówię, udając, że szukam w torebce komórki. – Powiedziałaś, że siedzi po uszy w robocie...

Vicki z księgowości uśmiecha się ze skrępowaniem.

– No, to było miło cię zobaczyć. Powodzenia we wszystkim.

– Dziękuję. – Patrzę, jak wita się z recepcjonistką i przechodzi przez szklane drzwi do biur we wschodniej części budynku. Za tymi drzwiami rozlega się monotony szum głosów ludzi zajmujących się swoimi sprawami.

Kiedyś mój głos też tam rozbrzmiewał. Też miałam sprawy, którymi mogłam się zajmować.

– Przepraszam, mogę pomóc? – pyta recepcjonistka. Nigdy jej tu nie widziałam. Pewnie jest nowa. I zachwycająca – nie ma na to innego słowa.

– Jestem Bailey Carpenter – przedstawiam się, podchodząc do masywnego kontuaru z zielonego granitu. – Pracuję tutaj. Jestem na krótkim urlopie – dodaję, nieproszona.

Recepcjonistka oślepia mnie uśmiechem gwiazdy filmowej.

– Chce się pani spotkać z kimś konkretnym?

Waham się. Dochodzę do wniosku, że nie powinnam była tu przyjeżdżać, że muszę natychmiast wyjść. Odwracam się do wind w chwili, gdy drzwi jednej z nich się otwierają i wychodzi Sean Holden.

A może nie wychodzi.

A może tylko sobie wyobraziłam jego i to spojrzenie typu „O cholera!”.

– Bailey! – woła serdecznie, podchodząc do mnie z wyciągniętymi rękami. – Nie spodziewałem się ciebie. Co tu robisz?

Czuję suchość w gardle. Kręci mi się w głowie, zaraz zemdleję.

– Pracuję tu. Pamiętasz?

I nagle on otacza mnie ramionami. Choć tylko na sekundę. Na tyle, żeby wyszeptać:

– Zamierzałem zadzwonić... – Potem cofa się, mówiąc: – Widzę, że kogoś złapała ulewa. – Strzepuje krople wody, które zostawiłam po uścisku na jego beżowej lnianej marynarce.

– Zapomniałam parasolki – udaje mi się wykrztusić.

– Jak sobie radzisz?

– Kiedy wróciłeś? – pytamy jednocześnie.

– W niedzielę. E... daj mi chwilę, dobrze? – Podchodzi do recepcji.

– Dzień dobry panu – mówi wesoło olśniewająca dziewczyna. Nie mogę nie zauważyć, jak na niego patrzy. Z jej granatowych oczu prawie sypią się iskry. Czy Sean patrzy na nią tak samo?

Słyszałem, że to niezły podrywacz, powiedział kiedyś Gene. Czy zawsze byłam tak ślepa? Czy zawsze byłam tak głupia?

Na tyle głupia, żeby nie zabrać ze sobą parasolki, pomimo ostrzeżeń przed nawałnicą. Na tyle głupia, żeby wplątać się w romans z żonatym mężczyzną, pomimo świadomości, że to się źle skończy. Na tyle głupia, żeby nadal omdlewać na jego widok.

– Powiesz Barry’emu Yorkowi, że spóźnię się parę minut?

– Oczywiście.

– Czy ktoś jest w sali konferencyjnej B?

Recepcjonistka sprawdza w książce kluczy.

– Żywej duszy.

Sean wraca do mnie.

– Chodź. – Bierze mnie za ramię i prowadzi przez szklane drzwi, leżące naprzeciwko tych, za którymi zniknęła Vicki z księgowości.

Sala konferencyjna B to mały kwadratowy pokój, którego sięgające od połogi do sufitu okna wychodzą na zachodnią część miasta, choć w tej chwili widać przez nie tylko czarne niebo i ulewę.

– Dzień robi się paskudny – zauważa Sean, a ja zastanawiam się przez chwilę, czy chodzi mu o deszcz, czy o moją niespodziewaną wizytę. Sean zamyka za nami dębowe drzwi, znowu przelotnie mnie ściska i cofa się, zanim zdołam odpowiedzieć tym samym. Daje mi znak, żebym usiadła na jednym z dwunastu czerwonych foteli stojących wokół dębowego stołu, a ja prawie na nie upadam. Sean siada obok mnie, obraca się tak, że nasze kolana się stykają, bierze mnie za rękę i spogląda mi w oczy.

– Jak się czujesz, Bailey? Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

Wzruszam ramionami. Boję się cokolwiek powiedzieć, żeby się nie rozpląkać. Dlaczego akurat teraz postanowił być ze mną szczery?

– Bardzo przepraszam – mówi i wiem, że nie chodzi mu tylko o uwagę o moim wyglądzie.

Gdy z oczu zaczynają mi płynąć łzy, spuszczam głowę. Nie jestem gotowa na tę rozmowę. Jeszcze nie.

– Jak podróż?

– Dobra. Bardzo dobra. Dziewczynkom się podobało.

– A tobie?

– No, jak wiesz, nie przepadam za rejsami.

Skąd miałabym wiedzieć?

– Powinieneś był mi powiedzieć. – Nie potrafię się dłużej hamować. – O dziecku.

Sean wzdycha.

– Wiem. Chciałem. Przyszedłem do ciebie, ale... nie potrafiłem. Nie po tym, co cię spotkało.

Jakże wygodnie dla ciebie, że zostałam zgwałcona, myślę, ale opieram się chętnie,

by rzucić to na głos.

- Co ci mogę powiedzieć? Że jestem tchórzem, że jestem draniem? Możesz w każdej chwili zaprotestować – dodaje ze sztucznym śmiechem, ściskając mi dłoń.
- To był tylko jeden raz. Jedna noc, kiedy za dużo wypiliśmy do kolacji i...
- No nie – przerywam głośniejszym głosem niż oboje się spodziewaliśmy. Sean zerka nerwowo przez ramię na drzwi. – Nie obrażaj mojej inteligencji.
- To skomplikowane.
- Sypiasz z żoną, Sean. Dla mnie to całkiem proste.
- To w niczym nas nie dotyczy.
- To nas dotyczy we wszystkim.
- To nie znaczy, że nie jesteś dla mnie ważna.
- Po prostu ty jesteś ważniejszy.
- To niesprawiedliwe.
- Prawnik spodziewa się sprawiedliwości? Niezwykłe.
- Jesteś dla mnie bardzo ważna. Wiesz o tym.
- Okazujesz to w zabawny sposób.

Milczenie.

- Jesteś zła – mówi w końcu Sean. – I zdenerwowana, co rozumiałe.
- Cieszę się, że to rozumiesz.
- To się nie mogło wydarzyć w gorszym momencie...
- Fakt. Najpierw zostaję zgwałcona, potem mój kochanek robi dziecko swojej żonie. Bardzo kiepsko się złożyło.

I znowu Sean ogląda się niespokojnie na drzwi.

- Może zechcesz trochę ciszej...
- Kiedy urodzi się dziecko, Sean?
- W lutym.
- Czyli wiedziałeś o tym od jakiegoś czasu.
- Parę miesięcy – przyznaje.
- Chłopiec czy dziewczynka?
- Chłopiec – odpowiada z uśmiechem. – Coś podobnego, nie? – Spogląda na mnie, szukając aprobaty, jakbyśmy byli kumplami cieszącymi się z jego szczęścia.
- Gratulacje. – Wstaję. – Powinam już iść. Po południu prześlę ci rezygnację.
- Bailey, nie. To absolutnie niepotrzebne, nie proszę, żebyś odeszła z pracy...
- A ja nie proszę o twoje pozwolenie.

Kolejne westchnienie.

- Dobrze. Jak sobie życzysz – oznajmia Sean oficjalnym tonem. Przynajmniej ma tyle przyzwoitości, żeby nie okazywać ulgi. – Poradzisz sobie?
- Fałszywa odwaga przepełnia mi pierś. Prawie wypinam ją dumnie.
- Możesz na to liczyć.

Jakoś udaje mi się trzymać, kiedy wychodzę z sali konferencyjnej, z trudem stawiając kroki i powstrzymując łzy. Czekam na windę z wysoko uniesioną głową. Wchodząc, zamykam oczy, żeby nie widzieć innych pasażerów. Otwieram je dopiero na parterze. Trzymam się na nogach wyłącznie siłą woli; idę przez hol i wychodzę na pochmurny świat. Deszcz na chwilę przestał padać, choć niebo jest sine, a wicher wieje równie wściekle, jak poprzednio.

Spostrzegam go w chwili, gdy opuszczam budynek.

Stoi na chodniku i walczy z parasolem, który wiatr wywrócił na lewą stronę. Choć strój do joggingu zmienił na czarne spodnie i sportową kurtkę, natychmiast go rozpoznaję. Colin Lesser. Wiem, że pracuje w tej okolicy i że jest pora lunchu, więc nic dziwnego, że na siebie wpadliśmy. A jednak wydaje mi się, że to coś więcej niż zbieg okoliczności. Czy on mnie śledzi?

– Co tu robisz? – pytam.

Podnosi głowę, zaskoczony.

– Co?

– Bardzo przepraszam – mówię. Dopiero teraz widzę, że mężczyzna, na którego naskoczyłam, to całkiem obca osoba. – Wzięłam pana za kogoś innego.

Nieznajomy mamrocze coś pod nosem i pospiesznie odchodzi.

Co się ze mną dzieje? Pewnie wyobraziłam sobie Colina Lessera, ponieważ do mnie dzwonił. Zamykam oczy i przypominam sobie jego adres wydrukowany na dole wizytówki. Jego gabinet znajduje się jakieś trzy przecznice stąd, niespełna dwie minuty sprintu. O czym ja myślę?

Najwyraźniej wcale nie myślę, przemyka mi przez głowę, kiedy ruszam biegiem.

Gabinet Colina Lessera mieści się na pierwszym piętrze osiemnastopiętrowego blad różowego budynku, niespełna trzy przecznice od kancelarii. Wchodzę po schodach, z ulgą omijając windę, i znajduję lokal w połowie długiego korytarza. Przyszłam tu przeprosić za moje dziwne i prawdopodobnie niegrzeczne zachowanie podczas dzisiejszej rozmowy telefonicznej, i wyjaśnić, że choć Colin jest atrakcyjnym i niewątpliwie fascynującym mężczyzną, nie powinniśmy w najbliższym czasie się spotykać. Tak sobie wmawiam. Może nawet w to wierzę.

Gabinet wydaje się pusty, co mnie nie dziwi, skoro to pora lunchu. Nikt nie urzęduje za schludnym biurkiem w recepcji, ani jeden pacjent nie siedzi w zacisznej poczekalni z zielonym narożnikiem przed dużym telewizorem nastawionym na CNN. Ekspres ciśnieniowy jest wbudowany w bladozieloną ścianę, obok kilku

efektownych olejnych abstrakcji, a na kamiennym blacie szerokiego stolika do kawy leży kilka najnowszych plotkarskich magazynów.

– W czym mogę pomóc? – Głos brzmi znajomo. Odwracam się, spodziewając się ujrzeć Colina. Tymczasem stoję twarzą w twarz z łysiejącym mężczyzną o życzliwych oczach i łagodnym uśmiechu, starszym od Colina o jakieś trzydzieści lat.

– Szukam doktora Lessera.

– Znalazła go pani.

– To pan?

Co to znaczy? Że Colin nie jest tym, za kogo się podaje? Że naopowiadał mi samych kłamstw? Że nasze spotkanie nie miało wiele wspólnego z przypadkiem i jeszcze mniej z romantyzmem, że Colin mnie śledził, że to on mnie zgwałcił...

– Była pani umówiona?

– Co? Nie. Po... pomyliłam się... – Idę do drzwi.

– Chwileczkę. Może chciała się pani spotkać z moim...

– Bailey? – słyszę.

Odwracam się i widzę znanego mi Colina Lessera, wychodzącego z położonego w głębi gabinetu. Jest ubrany w biały fartuch, narzucony na koszulę w kratę i spodnie khaki. Nawet z tej odległości wyraźnie widzę dołeczki w jego policzkach.

– Co ty tu robisz?

– E... no...

– Widzę, że poznałeś mojego ojca.

– Przepraszę was na chwilę – mówi starszy mężczyzna, i odchodzi wewnętrznym korytarzem.

– Co tu robisz? – powtarza Colin.

– Jestem głodna – odpowiadam, i z zaskoczeniem uświadamiam sobie, że to prawda. – Miałam nadzieję, że znajdziesz czas na lunch.

*

– Więc odeszłaś? – pyta, opierając łokcie na laminowanym blacie i pochylając się ku mnie.

– Naprawdę uważałam, że nie mam innego wyjścia. Przecież to było głupie, nie? Romans z żonatym facetem, a przy tym moim szefem... – Zerkam na talerz Colina Lessera, na którym leży nadjedzona ogromna kanapka z konserwową wołowiną. Colin nie odrywa spojrzenia ciemnoniebieskich oczu od moich ust, które nie przestają się poruszać, odkąd usiedliśmy.

Po zadaniu paru pobieżnych pytań – Jak długo przyjmujesz pacjentów? Jak to jest pracować z ojcem? Byłeś żonaty? – i otrzymaniu kilku miłośnicie zwyczajnych

odpowiedzi (cztery lata, świetnie, zerwałem z dziewczyną rok temu) – kompletnie zdominowałam rozmowę. Mówiłam, pożerając opiekaną kanapkę z indykiem, a teraz po prostu nie mogę przestać. Otwieram serce przed mężczyzną, którego ledwie znam, i którego jeszcze godzinę temu podejrzewałam, że mógł mnie zgwałcić.

– Nie wiem, dlaczego ci to opowiadam.

– Mogłabyś go oskarżyć o napastowanie seksualne – zauważa Colin.

– Nie napastował mnie. Do niczego mnie nie zmusił.

– Ale ktoś to zrobił – mówi on po pauzie.

– Tak – słyszę własny głos.

Dlaczego zwierzam się temu człowiekowi? Bo ma takie same dobre oczy jak jego ojciec? Bo akurat mi się napatoczył? Właściwie wcale się nie napatoczył. Zadałam sobie trud, żeby go tu ściągnąć. Dlaczego? Bo jestem zła na Seana? Bo chcę sobie udowodnić, że inny mężczyzna – zdrowy na umyśle, rozsądny mężczyzna, który normalnie by mi się podobał – może mnie uznać za atrakcyjną? Bo rozpaczliwie chcę uwierzyć, że mimo tego, co mnie spotkało, niektórzy mężczyźni są dobrzy? A może mam mroczniejsze, bardziej ukryte podejrzania?

– To byłeś ty? – słyszę własny głos.

– Co ja?

– Czy to ty mnie zgwałciłeś?

– Co?!

Podchodzi do nas kelnerka. Ma około sześćdziesięciu lat i mówi z mocnym węgierskim akcentem. Jej rozkołysane piersi napinają mundurek w kolorze musztardy tak bardzo, że mało brakuje, żeby okrągłe czarne guziczki puściły z trzaskiem.

– Co się stało? – pyta Colina, którego twarz śmiertelnie pobladła. – Nie smakuje panu kanapka?

– Co powiedziałaś? – pyta on, nie zwracając uwagi na kobietę. – Dlaczego, na miłość boską, tak pomyślałaś?

– Deser? Kawa? – pyta kelnerka, zbierając talerze.

– Kawa – rzuca Colin.

– Dwie – dodaję.

– Ty serio? Naprawdę myślisz, że mogłem cię zgwałcić? – Colin rozgląda się po zatłoczonych delikatesach, jakby spodziewał się, że zaraz przypadnie do niego policjant, przygniecie go do blatu i skuje mu ręce za plecami.

– A zrobiłeś to?

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Okej.

– Okej? – powtarza on. – To wszystko? Okej?

Kelnerka przynosi nam kawy, stawia też na stole dzbanuszek ze śmietanką

i cukier w saszetkach.

– Nie rozumiem. Co tu w ogóle robisz, skoro myślisz, że mogłem... – pyta Colin po jej odejściu.

– Nie myślę tak. Naprawdę.

– To dlaczego...?

– Możemy zapomnieć, że o tym wspomniałam?

– Zapomnieć? Nie, nie dam rady. Co tu się dzieje, Bailey? Chciałaś ze mnie wydusić coś obciążającego?

– Nie. Przysięgam.

– Więc co?

– Nie wiem. Najwyraźniej mam problemy...

– Najwyraźniej.

Żadne z nas się nie odzywa przez dobre dwie minuty. Pijemy kawę i gapimy się na deszcz.

– Rozumiem, że policja go nie złapała – odzywa się Colin, gdy milczenie staje się nieznośne.

– Nie.

– I zakładam, że nie widziałaś jego twarzy?

– Nie.

Do czego on zmierza?

– To nie byłem ja. Przysięgam. To nie ja.

– Wierzę ci.

– Okej.

– Okej.

Colin podnosi kubek z kawą i nie odstawia go, póki nie wypije ostatniej kropli.

– Powinienem już wracać – mówi w końcu. – Za piętnaście minut mam pacjenta. – Wstaje i sięga do kieszeni. Kładzie na blacie dwadzieścia dolarów. – Naprawdę muszę uciekać...

– Wiem. Rozumiem. Naprawdę.

– Poradzisz sobie?

– Oczywiście.

– Mam nadzieję, że go złapią.

– Ja też.

Colin zatrzymuje się na chwilę, jakby spierał się sam z sobą, czy powiedzieć coś jeszcze. Gdy wreszcie się odzywa, przekaz jest prosty i kryształowo przejrzysty:

– To cześć, Bailey.

Godzinę później siedzę w taksówce przed budynkiem, w którym mieszka Paul Giller.

– To właściwy adres? – pyta kierowca, przyglądając mi się podejrzliwie w lusterku wstecznym.

Tak naprawdę pyta, dlaczego nie wysiadam z samochodu, skoro przyjechaliśmy na miejsce, a ja już zapłaciłam. W dodatku znowu przestało padać. Idealny moment.

Nie zamierzałam tu przyjeżdżać. Planowałam wrócić do domu. A jednak, kiedy siedemdziesięcioletni siwowłosa taksówkarz zapytał, gdzie jechać, podałam mu nie swój adres, lecz Paula Gillera.

Działam na czystej adrenalinie i wiem o tym.

Tylko że...

Od dawna nie czułam się tak silna.

Nie zwariowałam.

Aha, akurat.

Powiedzcie to Colinowi Lesserowi.

I Davidowi Trotterowi.

I Jasonowi Harknessowi.

Powiedzcie to śledczym Castillowi i Dube'owi.

Powiedzcie to sędziemu, myślę i prawie parskam śmiechem.

Parę sekund po błyskawicy następuje złowrogi grzmot. Za chwilę znowu lunie. Rzsądek podpowiada, by porzucić kretyński plan, który mi strzelił do głowy, i wracać do domu. Ale oczywiście skoro nie zwariowałam, robię coś dokładnie odwrotnego: wysiadam z taksówki i biegnę do wejścia wysokiego szklanego budynku. Otwieram drzwi i idę prosto do domofonu.

Nazwisko zarządcy budynku znajduje się na samym dole. Wciskam brzęczyk i czekam.

– Tak? – rozlega się męski głos. – Mogę pomóc?

Mimo woli cofam się o krok.

– Chciałam spytać o mieszkanie.

– Zaraz przyjdę.

Rozglądam się po pustawym holu, zastanawiając się, czy to minimalistyczne umeblowanie to styl, czy konieczność. Istnieją oznaki, że gospodarka zaczyna się poprawiać, przynajmniej zdaniem kilku ekspertów, których widziałam w telewizji. Może rynek nieruchomości odbije się od dna i ludzie znowu zaczną kupować

mieszkania. Skończy się wynajmowanie apartamentów na miesiąc, żeby utrzymać się na powierzchni. Hole znów zapełnią się meblami.

Mężczyzna, w starannie wyprasowanych dżinsach i niebieskiej koszulce polo, zbliża się do mnie po drugiej stronie oszklonych drzwi. Jest niski, w średnim wieku, przystojny. Szpakowata czupryna, wspaniała postawa, wysportowane ciało. Otwiera drzwi i zaprasza mnie do środka, wyciąga rękę na powitanie. Uścisk mocny, niemal obezwładniający, zgniata moje palce.

– Adam Roth – przedstawia się. – A pani...?

– Elizabeth Gordon – mówię i zaraz ogarnia mnie strach, że mężczyzna może znać Elizabeth Gordon, że może być jej pacjentem.

– Miło panią poznać. Paskudny dzień na szukanie mieszkania. – Prowadzi mnie do swojego biura.

To małe pomieszczenie w porównaniu z wielkim, pustym holem wygląda jak składzik. Na środku znajduje się duże biurko zawałone papierami, teczkami i planami pięter. Za nim stoi wygodny fotel z brązowej skóry, przed nim – dwa podobne, mniejsze foteliki. W kącie ustawiono kilka składanych krzeseł. Duża biblioteczka, pełna kolorowych segregatorów, znajduje się na prawo od biurka, na lewo widzę sztalugi z wizerunkiem wysokiego szklanego budynku, pewnie tego, choć trudno stwierdzić, bo wszystkie wyglądają jednakowo.

– Znosi się na niezłą nawałnicę – zauważa Adam Roth, siadając za biurkiem i dając mi znak, żebym też usiadła. – W czym mogę pomóc?

– Szukam mieszkania.

– Chce pani je kupić czy wynająć?

– Wynająć.

Wyraźnie go rozczarowałam.

– Na pewno? To idealny moment. Ceny spadły, odsetki są bardzo niskie...

– Nie wiem, jak długo zostanę w Miami.

– Rozumiem. Zatem chodzi o wynajem na krótki okres.

– Tak.

– Czynsz płatny za rok z góry czy z miesiąca na miesiąc?

– Pewnie to drugie.

Adam Roth uśmiecha się, choć wygląda na jeszcze bardziej zawiedzionego.

– Jakie mieszkanie panią interesuje?

– Z jedną sypialnią, najlepiej na górnym piętrze, wychodzącym na zachód.

– Naprawdę? Większość lokatorów woli widok na wschód. No dobrze – mruczy, przekładając papiery na biurku, aż w końcu znajduje teczkę, o którą mu chodzi. – Zobaczmy, czym dysponujemy.

– Ile pięter ma budynek?

– Dwadzieścia dziewięć.

– Zatem chciałabym mieszkanie na wyższym piętrze. Może w okolicach

dwudziestego siódmego? – Na domofonie przeczytałam, że Paul Giller mieszka w apartamencie 2706.

– Powinienem panią ostrzec, że cena rośnie z każdym piętrem, a widok jest w zasadzie taki sam. – Adam Roth macha ręką mniej więcej w stronę mojego wieżowca. – Sprawdźmy... Mam jedno mieszkanie na dwudziestym piętrze, dwa na dwudziestym pierwszym, jedno na dwudziestym czwartym i jedno na dwudziestym ósmym.

– Jaki numer ma to na dwudziestym ósmym?

– Jaki numer? Eee... 2802. Pyta pani z jakiegoś konkretnego powodu?

– Z czystej ciekawości. Kiedyś mieszkałam na dwudziestym ósmym piętrze i pomyślałam, że byłoby ciekawie, gdybym znowu trafiła pod ten sam numer. – Wzruszam ramionami i rzucam mu mój najbardziej zniewalający uśmiech, uśmiech uroczej ekscentryczki, nie wariatki. – Chciałabym na nie spojrzeć, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Oczywiście. Po to tu jestem. – Adam Roth sięga do szuflady biurka po komplet kluczy. – Czynnosc wynosi tysiąc sześćset dolarów za miesiąc. Ale jeśli zapłaci pani z góry tylko dwadzieścia tysięcy dolarów, wyjdzie mniej na miesiąc i mogłaby pani zacząć pomnażać kapitał własny.

– Gdybym tylko miała wolne dwadzieścia tysięcy dolarów – improwizuję. Wstaję i wychodzę za nim z biura.

– Należy wpłacić depozyt i czynsz z góry za pierwszy i ostatni miesiąc – mówi zarządca w drodze do wind. – Czym się pani zajmuje, jeśli wolno spytać?

– Jestem terapeutką.

– Naprawdę? Od fizjoterapii, terapii zajęciowej czy...

– Psychoterapii.

Jedziemy windą na dwudzieste ósme piętro.

– Tędy. – Adam Roth wskazuje w prawo i idziemy korytarzem wyłożonym szarą wykładziną. Spoglądam na apartament 2806, podczas gdy on wkłada klucz do zamka apartamentu 2802.

– Pani Gordon... Czy powinienem się zwracać do pani „doktor Gordon”? – pyta, gdy nie reaguję na swoje nazwisko.

– Wystarczy „pani”.

Drzwi otwierają się i wchodzimy do malutkiego przedpokoju wyłożonego szarobiałym marmurem. Adam Roth oprowadza mnie po niewielkim mieszkanku.

– Wszystkie okna od podłogi do sufitu. W salonie marmurowa posadzka. Granitowe blaty w kuchni. Nowoczesny sprzęt, w tym zmywarka, kuchenka mikrofalowa i pralkosuszarka – wylicza. – A teraz sypialnia. – Wchodzimy do kwadratowej klitki, której cała zachodnia ściana jest oszklona. – Wykładzina na podłodze plus garderoba i marmurowa łazienka. Jak na dzisiejsze standardy całkiem spory rozmiar. I co pani sądzi?

– Ślicznie. Czy wszystkie wychodzące na zachód mieszkania z jedną sypialnią mają ten sam rozkład?

– Tak. Mogą się nieznacznie różnić, jeśli lokator kupił mieszkanie przed rozpoczęciem budowy, ale na ogół w całym budynku rozkład jest ten sam.

Pochodzę do okna, spoglądam na mój apartamentowiec, usiłując zgadnąć, które mieszkanie należy do mnie, ale deszcz zasłania widok. Opieram głowę o szybę i wyteżam wzrok.

– Wszystko w porządku? – pyta Adam Roth.

– Tak, staram się tylko podjąć decyzję...

Liczę piętra od parteru, ale to za trudne, więc muszę się zadowolić ogólnym określeniem lokalizacji mojego mieszkania. Ale to jasne – nawet przy tym deszczu, nawet z dokładnością do jednego czy dwóch pięter – że Paul Giller równie dobrze widział moje mieszkanie, jak ja jego.

– Jakies pytania? – pyta Adam Roth po powrocie do salonu.

– Ile mieszkań jest obecnie zajętych?

– Mniej niż połowa. Mieliśmy wielu niezdecydowanych i kiedy rynek się załamał...

– A stosunek właścicieli mieszkań do najemców? – przerywam, zastanawiając się, do której kategorii należy Paul Giller.

– Chyba pół na pół.

– Czy najemcy często się zmieniają?

– Nie, niezbyt. Zapewniam panią, że to bardzo bezpieczny budynek, jeśli to panią martwi.

– Nic mnie nie martwi. Sądzę, że znam kogoś, kto tu mieszka.

Adam Roth spogląda na mnie pytająco.

– Poznałam go w zeszłym tygodniu na imprezie. Chyba powiedział, że jest aktorem. Boże, jak on się nazywa? Paul jakiś tam. Gilmore? Gifford?

– Giller? – podpowiada zarządca.

– Tak! Właśnie! Paul Giller. Przystojny facet. Powiedział, że tu mieszka.

– Tak.

– Od dawna?

Adam Roth nie odpowiada.

Udaję, że przyglądam się granitowemu blatowi w kuchni.

– Nie pamiętam, czy wynajmuje to mieszkanie, czy je kupił.

– Niestety, nie mogę udzielać takich informacji. Sama musi go pani o to spytać.

– Ach, wątpię, żebyśmy się znowu spotkali. Po prostu byłam ciekawa. Faceci opowiadają niestworzone historie. Wie pan, jak to jest.

– Więc po to pani przyszła? Sprawdza pani potencjalnego chłopaka?

– Co? Nie! Skąd. Miałam wrażenie, że Paul Giller mieszka z dziewczyną.

– O to także będzie pani musiała spytać go sama. A teraz, jeśli tu skończyliśmy... –

Zarządca idzie do drzwi.

– Chyba tak.

– Zakładam, że nie interesują pani inne mieszkania.

– Nie, dziękuję. Już się zorientowałam w sytuacji.

– Czy mam powiedzieć panu Gillerowi, że pani o niego pytała? – pyta Adam Roth, gdy wchodzimy do windy.

– Nie warto.

– Tak podejrzewałem. Było mi miło panią poznać. – Drzwi windy się otwierają. –

No, proszę. Jest i pan Giller.

Cofam się o krok, choć wiem, że nigdzie się nie ukryję.

– O, przepraszam – dodaje Adam Roth, nawet nie siląc się na ukrycie uśmiechu. –

Coś mi się pomyliło. To jednak nie on.

Wciskam ręce w kieszenie spodni, trochę dlatego, żeby nie zobaczył, jak drżą, a trochę żeby nie chwycić go za gardło. Wbijam wzrok w podłogę, bojąc się nawet zerknąć na zbliżającego się do nas mężczyznę, który nie jest Paulem Gillerem.

– Dzień dobry – mówi Adam Roth i dodaje do mnie: – To pan Whiteside.

– Jaki tam dobry – warczy pan Whiteside, wchodząc do windy. – Widział pan, co się dzieje na dworze?

– Dobry dzień na pozostanie w domu – zgadza się zarządca. – Proszę nie zmoknąć! – woła za mną, gdy wychodzę w nawałnicę.

*

Heath czeka na mnie w holu.

– Wyglądasz jak zmokła kura – powiadamia mnie.

– Gdzie się podziewałeś w nocy? – odpowiadam pytaniem, otrząsając się z deszczu. Heath odskakuje na bezpieczną odległość. Wzrusza ramionami. Tylko tyle się od niego dowiem.

– Dzień dobry! – woła do mnie Wes, kiedy mijamy recepcję. – Mam nadzieję, że pani za bardzo nie zmokła.

– Wygląda jak zmokła kura – informuje go Heath.

– Wielkie dzięki. – Przyciskam guzik windy. – Jestem wykończona. – Choć jakaś część mojego jestestwa (troskliwa siostrzana część) cieszy się na widok całego i zdrowego Heatha, zabójczo prezentującego się w czarnych rurkach i czarnej jedwabnej koszuli, inna część (ta po ludzku zmęczona) chce, żeby sobie poszedł i dał mi runąć na łóżko i udawać, że dzisiejszego dnia nie było. – Chcesz czegoś?

Mój brat rzuca mi spojrzenie pełne bólu. Ogarniają mnie wyrzuty sumienia.

– Dlaczego zawsze zakładasz, że czegoś chcę? Nie jestem Claire...

– Claire niczego nie... – urywam. Heath najwyraźniej jest zazdrosny i czuje się

mocno zagrożony moją nową relacją z przyrodnią siostrą. Nie ma sensu tego wyjaśniać ani się bronić. – Przepraszam – kończę. Tak jest łatwiej.

– Przepraszam przyjęte – mówi Heath. Drzwi windy się otwierają i wchodzimy do kabiny. – Chociaż... skoro o tym wspominasz... jednak mogłabyś coś dla mnie zrobić.

– Dlaczego mnie to nie dziwi?

– Potrzebuję przysługi. Zamierzałem o nią poprosić wczoraj, ale... odleciałaś.

W ostatniej chwili do windy wbiega kobieta w średnim wieku. Uśmiecha się zalotnie do Heatha i wybiera piętnaste piętro.

– Jakiej przysługi? – pytam po jej wyjściu.

– Potrzebuję pieniędzy.

– Jak to, potrzebujesz pieniędzy?

Mój brat milczy do chwili, gdy winda staje na moim piętrze.

– Heath?

– Pożyczki. Nie prosiłbym, ale nie wiem, do kogo się zwrócić. Mam kłopoty i potrzebuję pieniędzy.

– Jakie kłopoty?

– Nie sądzisz, że lepiej porozmawiać o tym w mieszkaniu, a nie na korytarzu?

– Nie sądzisz, że lepiej od razu powiedzieć, co jest grane? – ripostuję, otwierając drzwi.

– Potrzebuję trzydziestu tysięcy dolarów.

– Trzydziestu tysięcy? To żart?

– Na jakiś czas. Możesz to odjąć od mojej części spadku.

– Do zakończenia sprawy nie ma żadnego spadku. A sprawa, przypominam ci, będzie się ciągnąć latami.

– Hm, w takim razie może się zrobić nieciekawie, bo skończyła mi się kasa. I zdaje się, że jestem winien paru osobom pieniądze. Osobom, które nie są tak wyrozumiałe jak ty.

– Co ty wygadujesz?

– To bardzo proste. Zrobiłem parę zakładów.

– Od kiedy uprawiasz hazard?

– Nie wiem. Od pięciu, dziesięciu lat? I zwykle dobrze mi idzie. Tylko nie ostatnio.

– Mówimy o lichwiarzach?

– Paskudna nazwa, ale zasadniczo trafna. Spłaciłem im większość długu, kiedy sprzedałem mieszkanie. Zresztą za połowę ceny.

– Sprzedałeś mieszkanie?!

– A myślałaś, że dlaczego mieszkam w domu rodziców?

– Własnym uszom nie wierzę. – Zastanawiam się, czy między długami Heatha a napadem na mnie może istnieć jakieś powiązanie. Czy ten gwałt był jakimś ostrzeżeniem? Czy mój brat za niego odpowiada, choćby niechcący?

– Jestem im winien jeszcze tylko dwadzieścia tysięcy – oznajmia Heath – i będę na prostej.

– Powiedziałeś trzydzieści.

– No, muszę też z czegoś żyć. No weź, Bailey. Uznaj to za zaliczkę. Spłace ci wszystko co do centa. Proszę. Nie każ mi błagać. Jesteśmy rodziną. Nie, jak niektóre osoby.

– Możemy nie wspominać o Claire? – Osuwam się na sofę i kryję twarz w rękach, trochę dlatego, że kręci mi się w głowie, a trochę dlatego, że Heath ma rację. Nie zastanawiałam się ani chwili, wypisując Claire czek na dziesięć tysięcy dolarów.

– Ostrożnie – uprzedza Heath. – Kapiesz na wszystko.

– Zadzwoń do banku – mówię. – Poproszę, żeby przelali te pieniądze na twoje konto.

– Świetnie. – W głosie mojego brata słychać wyraźną ulgę. – Jesteś super. Serio. Moja bohaterka.

– Bohaterka – powtarzam i prawie parskam śmiechem. Też mi bohaterka. – Nie możesz tak ciągle dawać ciała – dodaję. – A ja nie mogę cię ciągle ratować. Nie mam na to siły.

– Żartujesz? Nie znam nikogo silniejszego od ciebie.

Patrzę na niego z niedowierzaniem.

– To prawda – dodaje Heath.

Dzwoni telefon.

– Tu Wes z recepcji – słyszę, gdy podnoszę słuchawkę telefonu w kuchni. – Przyszła pani siostrzenica.

Jade? Po co?

– Proszę ją wpuścić.

– Nie mów – rzuca Heath od drzwi. – Święta Claire zasuwa na górę z mlekiem i ciasteczkami?

– Jade – odpowiadam, zastanawiając się, co jeszcze mogło się dziś wydarzyć.

– Muszę spadać, zanim tu dotrze. – Heath ściska mnie mocno. – Kocham cię. Nigdy w to nie wątp.

– Nie wątpię.

Heath cofa się szybko.

– Zmień te mokre ciuchy – woła, odchodząc. – Zadzwoń wieczorem – dodaje, kiedy zamykam drzwi.

Po chwili puka Jade.

– Spotkałam tego twojego boskiego brata – rzuca tytułem powitania. Ma na sobie dzinsy tak obcisłe, jakby je namalowano na jej nogach, dopasowany niebieski sweter i espadryle na ośmiocentymetrowych koturnach. Rzęsy pomalowała co najmniej trzema warstwami tuszu, jasne włosy spadają jej na ramiona luźnymi falami. Po jednej jej stronie stoi mała walizka, po drugiej duża torba.

– Co to?

– Matka ci nie mówiła? Wprowadzamy się.

– Co?

– Tylko na parę dni, dopóki się trochę nie uspokoi. Ona ci wyjaśni. – Dzwoni telefon, jakby na potwierdzenie jej słów. – To pewnie ona. Wiesz, że kapie z ciebie woda?

Wracam do kuchni. Jade ciągnie walizkę i torbę korytarzem. Na wyświetlaczu widzę numer Claire. Podnoszę słuchawkę.

– Mów – rzucam.

Jest ósma wieczorem, niedziela. Jade i jej matka mieszkają u mnie od czwartkowego popołudnia. Jade śpi na rozkładanej kanapie w gabinecie, Claire dzieli ze mną moje królewskie łóżko. Powiadomiła mnie, że podjęła decyzję o przeprowadzce po rozmowie telefonicznej z oficerem Castillo, który wyznał jej, że doprowadziłam go na skraj szaleństwa, i że ktoś musi nade mną zapanować, zanim nieodwracalnie zaszkodzię sobie lub sprawie. Okazuje się, że Adam Roth, zarządca budynku, skontaktował się z policją od razu po spotkaniu ze mną, ponieważ Paul Giller opowiedział mu o moim tak zwanym nękaniu. Castillo powiadomił Claire, że naraziłam na szwank nie tylko policyjne śledztwo, ale i własne bezpieczeństwo, że na podstawie mojego zachowania każdy dobry obrońca obudziłby w przysięgłych wątpliwości co do moich zdrowych zmysłów, i że ten, któremu w końcu postawi się zarzut gwałtu, wyjdzie wolny, jeśli nadal będę oskarżać każdego mężczyznę w zasięgu wzroku. W rezultacie tej przemowy Claire zadzwoniła do Jade, kazała jej wyjść ze szkoły wcześniej, spakować parę rzeczy i pojechać do mojego mieszkania, gdzie i sama przyjechała po dyżurze.

Usiłowałam jej wyjaśnić, co robiłam w biurze Adama Rotha, ale wszelkie racjonalne motywy zbladły, przyćmione przez rewelacje o moim odejściu z pracy i zaskoczeniu Colina Lessera. Claire starała się nie robić zbyt zatroskanej miny, kiedy opisywałam spotkanie z Seanem i lunch z Colinem, ale wiem, co myślała: że Castillo ma rację, że szaleję; że moja wiarygodność, a nawet zdrowe zmysły stoją pod wielkim znakiem zapytania.

Od czasu, kiedy się wprowadziły, pada prawie bez przerwy, więc nie wychodzimy. Nasze dni wypełniają gry komputerowe i programy reality. Jemy lody, oglądamy filmy i plotkujemy o najnowszych smakowitych szczegółach rozwodu Poppy'ego i Aurory Gomezów, zaś po zachodzie słońca wyjmujemy lornetkę i na zmianę podglądamy mojego sąsiada.

Paul Giller nie zrobił przez ten weekend nic ciekawego ani niepokojącego. Wychodzi, wraca. Czasem towarzyszy mu Elena, czasem nie. Żadnych erotycznych ekscesów, żadnych aktów przemocy, nawet jednego zerknięcia w naszą stronę. „Nudny się zrobił” – zauważyła Jade, gdy Paul i Elena wrócili po północy i od razu położyli się do łóżka.

Obecność mojej siostry i siostrzenicy jakoś mnie pokrzepia. Choć początkowo nie chciałam dzielić łóżka z Claire, przekonałam się, że jej bliskość działa na mnie kojąco. Co więcej, ona pozostaje błogo nieświadoma moich dziwnych nocnych

obyczajów, nie ma pretensji, kiedy wstaje kilka razy do łazienki, nie żąda, żebym się nie ruszała, nie każe mi się położyć, gdy budzi mnie koszmar. Na chwilę wyrwana ze snu klepie mnie po plecach, mamrocze, że to tylko sen, że tu jest i nie pozwoli mi skrzywdzić. I to wystarcza.

Częściowo z szacunku, bo wiem, że musi się wyspać do pracy, a częściowo ze strachu, bo nie chcę, żeby mnie uznała za jeszcze większą wariatkę, ograniczam liczbę obchodów mieszkania i pryszniców. W rezultacie paranoja trochę odpuszcza. Będzie mi żal, kiedy się jutro wyprowadzą – Claire musi wrócić do pracy, a Jade do szkoły.

– No i są – obwieszcza Jade.

Claire i ja biegniemy do okna

– Co robią? – pyta moja siostra, wyteżając wzrok, by dostrzec coś przed deszcz, który nie przechodzi od czwartku.

– Wygląda na to, że nic. A nie, zaraz, Elena poszła do łazienki. Zamknęła drzwi. Paul bierze komórkę, ogląda się, jakby sprawdzał, czy go nie słyszy, a teraz rozmawia przez telefon, uśmiechając się i śmiejąc. Cały zachwycony.

– Pokaż. – Claire wyjmuje jej lornetkę z rąk. – Skąd wiesz, że się uśmiecha? Ja nic nie widzę przez ten deszcz.

– Bo jesteś stara i wzrok ci już nie działa tak dobrze co za młodych lat – wyjaśnia Jade, wznosząc oczy ku sufitowi.

– Bo wzrok mi już nie działa tak dobrze jak za młodych lat – poprawia ją matka.

– No przecież mówię.

Claire podaje mi lornetkę. Spoglądam przez nią akurat wtedy, gdy Paul chowa komórkę do kieszeni. Po chwili drzwi łazienki się otwierają i Elena wychodzi, owinięta dwoma ręcznikami – jednym okręciła piersi, drugim głowę. Właśnie wzięła prysznic. Siada przy toalecie i włącza suszarkę. Paul znika w łazience.

– Chyba szykują się do wyjścia.

– Gdzie oni tak ciągle chodzą? – dziwi się Claire.

– Hello – rzuca Jade z politowaniem. – To Miami. Słynne na cały świat z nocnego życia. Nie wszyscy kładą się o dziesiątej, wiesz?

– Na samą myśl o tym, że wyjdą w taką pogodę, dostaję bólu głowy – wzdycha Claire, kiedy oddaje lornetkę Jade.

– No, to co tam u twojego brata? – zagaduje moja siostrzenica, znowu oddając się obserwacji. – Nie widziałam go od czwartku.

– Heath cię odwiedził? – pyta Claire.

– Wpadł na chwilę. – Nie opowiedziałam jej o wizycie brata ani o prośbie o pieniądze. Znowu zastanawiam się, czy jego długi mają coś wspólnego z gwałtem, ale gdybym podzieliła się tą troską z Claire, tylko bardziej bym skomplikowała sytuację.

– To nudne – orzeka Jade. – Możemy przynajmniej włączyć telewizor?

– Nie, dopóki nie wyjdą – odpowiada jej matka. – Nie chcę, żeby w tym pokoju świeciło się jakieś światło. Nic nie może im zdradzić, że ich obserwujemy.

– Moim zdaniem jego to nie obchodzi. – Jade podaje mi lornetkę, choć w zasadzie to nie moja kolej.

– Coś nowego? – pyta Claire parę minut później.

– Nie. Tak! Wychodzi z łazienki! – oznajmiam. – Z ręcznikiem na biodrach. Podchodzi do okna. O Boże.

– Co? – rzucają jednocześnie matka i córka.

– Chyba pomachał.

– Co? – powtarzają obie.

– Niech spojrzę. – Claire odbiera mi lornetkę i podnosi ją do oczu.

– Macha? – pytam z łomoczącym sercem.

– Trudno stwierdzić. Tak strasznie pada, że nic nie widzę. Wydaje mi się, że tylko poprawia włosy.

Czyżby? Odtwarzam jego ruch w pamięci, patrzę, jak Paul Giller unosi rękę do głowy.

– Pokaż – mówi Jade, i Claire oddaje jej lornetkę.

– No i co?

– Tylko stoi. Oho – zdejmuje ręcznik. Cholera. Odwrócił się. Ładny tyłek!

– Jade...

– No ładny, co zrobię.

– Co się dzieje?

– Podszedł do szafy. Ona nadal suszy włosy. Marnie jej to wychodzi. – Jade przygląda się Paulowi i Elenie przez następne pół godziny. – Dobra. W końcu się wygrzebali. Ależ brzydka ta jej sukienka.

Claire znowu zagarnia lornetkę.

– Moim zdaniem ładna.

– Pozostanę przy swoim zdaniu.

– Co sądzisz o jej sukience? – pyta mnie Claire. – Spójrz.

Zerkam przez lornetkę na strój Eleny: minisukienkę bez rękawów z dużym dekoltem i falbankami na biodrach. Przyglądam się jej odsłoniętemu ciału, szukając siniaków, ale nie dostrzegłabym ich nawet, gdyby nie padało. Ten atak, który – wydawało mi się – widziałam, wydarzył się tylko w mojej wyobraźni. Jak inaczej to wytłumaczyć?

– Wygląda ładnie – mówię.

Paul Giller, ubrany we wzorzystą koszulę włożoną w obcisłe ciemne spodnie, staje za Eleną, obejmuje ją w talii i wtula brodę w jej szyję. Elena żartobliwie go odtrąca i wychodzą z pokoju, zanosząc się śmiechem.

Parę sekund później Paul wraca po komórkę zostawioną na łóżku. Podchodzi do okna, spogląda na ulewę.

Potem podnosi palce do ust i przesyła mi pocałunek.

Z gardła wyrywa mi się zduszony krzyk.

– Co? – pyta Claire. Jade patrzy na mnie.

Kręcę głową.

– Nic.

*

– Ja mam dość – oznajmia Claire o jedenastej. Chwyta pilota z kolan córki i wyłącza telewizor pomimo jej głośnych protestów. – Idę spać. Wy też powinnyście to zrobić.

– Ale jest tak wcześnie – jęczy Jade. Leży między nami na łóżku i spogląda błagalnie to na matkę, to na mnie.

– Już późno – ucina Claire. – Muszę być w pracy o ósmej, a ty masz jutro szkołę.

– Przecież jeszcze nie wrócili do domu – protestuje Jade, wskazując mieszkanie Paula Gillera.

– A skąd wiadomo, kiedy wrócą? No już. Możesz pooglądać telewizję w swoim pokoju.

Jade wzdycha i przechodzi nad matką, żeby zejść z łóżka.

– Dobrze. Jak chcesz. Do zobaczenia rano.

– Dobranoc, kochanie! – wołamy za nią obie.

– Nie musimy się wyprowadzać jutro – mówi mi Claire po wyjściu córki. – Możemy zostać jeszcze tydzień. Dopóki nie poczujesz się...

– Mniej szalona?

– Bardziej pewnie.

– Nie. Macie własne życie. Nie mogę oczekiwać, że wiecznie będziecie mnie niańczyć.

Claire niechętnie ustępuje.

– Ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Przestań obserwować mieszkanie Paula Gillera.

Właściwie sama już podjęłam tę decyzję.

– Dobrze.

– Ten warunek ma dwie części – uściśla Claire.

– Jaka jest druga?

– Oddaj lornetkę.

– Co? Nie. Należała do mojej matki.

– Wiem i nie zabiorę ci jej na zawsze. Tylko na jakiś czas. Aż poczujesz się lepiej. Wezmę ją na przechowanie.

– Nie o to chodzi.

– Chodzi o to, że dopóki ją tu masz, będzie cię kusić, żeby przez nią spojrzeć. – Patrzy na mnie takim samym błagalnym spojrzeniem jak przed chwilą Jade. – Proszę, Bailey. Już wystarczy.

Kiwam głową.

– Grzeczne dziecko. – Całuje mnie w czoło i mości się w łóżku. – Spróbujmy zasnąć.

Kładę się obok niej i nakrywam głowę kołdrą.

Claire obraca się na bok, plecami do mnie. Po chwili jej oddech staje się głębszy, a ja usiłuję naśladować jego spokojny, miarowy rytm. Po paru minutach twardo śpię.

*

Jakieś trzy godziny później budzi mnie dzwonek telefonu.

– Claire – mamroczę, sięgając na oślep po słuchawkę. – Claire, obudź się. Słyszysz to?

Odbieram po drugim sygnale. Ale jeszcze zanim rzucę: „halo”, wiem, że po drugiej stronie nikogo nie ma, że usłyszę tylko buczenie. Pewnie nikt nie dzwonił. Odwracam się do Claire, nadal ze słuchawką.

Ale Claire nie ma. Obok mnie nikt nie leży.

– Claire? – Wygrzebuję się z pościeli, odkładam słuchawkę na ładowarkę i już mam sięgnąć po nożyce, kiedy ją dostrzegam.

Siedzi na krześle przed oknem, z opuszczoną głową i lornetką na kolanach.

– Claire? – powtarzam, powoli do niej podchodząc, ogarnięta nagłym strachem, że moja siostra umarła. – Claire? – Dotykam jej ramienia, a kiedy nie reaguje, potrząsam nią.

Claire budzi się z drgnieniem.

– Co? Co się stało?

– Wszystko w porządku? – pytam. – Co tu robisz?

Jej spojrzenie powoli przytomnieje.

– Która to godzina?

– Po drugiej. Jak długo tu siedzisz?

– Jakąś godzinę. Musiałam iść do łazienki i właśnie się kładłam, kiedy uświadomiłam sobie, że rolety są uniesione. Poszłam je opuścić i zobaczyłam światło w oknach Gillera. Więc postanowiłam spojrzeć. I chyba zasnęłam.

– Rozumiem, że nie działo się nic ciekawego.

– Nie. Ani trochę. Boże, jak mi się chce pić. Masz ochotę na gorącą czekoladę? Bo ja bardzo.

– Brzmi nieźle.

Claire wstaje.

– Zrobię. Chcesz mi pomóc?

– A mogłabym zostać i popatrzeć? – Podnoszę lornetkę z krzesła.

– Bailey...

– Ostatni raz, obiecuję.

– Dobrze. Wracam za dwie minuty. Potem to zabieram.

Kiwam głową, siadam na krzesle, z którego wstała Claire, a ona przechodzi na palcach obok zamkniętych drzwi pokoju, w którym powinna spać Jade, choć słyszę włączony telewizor. Podnoszę lornetkę do oczu i spoglądam w deszcz.

Jakby na dany sygnał do sypialni wbiega Elena. Paul Giller wchodzi powoli za nią. Ona kręci głową i dziko gestykułuje.

– Claire! – wołam. – Jade!

Ale żadna mnie nie słyszy.

Elena robi ruch w stronę łazienki, ale Paul staje jej na drodze, przypiera ją do okna. Elena unosi ręce, jakby starała się osłonić. Paul na chwilę znika mi z oczu, zasłonięty ścianą deszczu.

Potem znowu go widzę.

Zbliża się do niej powoli, z wyciągniętą prawą ręką. Wstaję, przywieram do szyby, regulując ostrość. Usiłuję sobie wmówić, że nie widzę tego, co widzę, czyli broni, z której Paul Giller mierzy w głowę Eleny. Elena płacze, macha rękami, gorączkowo stara się go przekonać, żeby odłożył pistolet.

– Claire! – wołam. – Jade! Chodźcie tu!

Z pokoju Jade słyszę wycie policyjnych syren, a gwizdek czajnika z kuchni świadczy, że woda na naszą czekoladę już się zagotowała.

I raptem ręce Eleny wylatują nad jej głowę, jej ciało obraca się wokół własnej osi, twarz przywiera do szyby. Krew płynie z ziejącej rany na czole, a martwe oczy spoglądają przez deszcz i zatrzymują się na moich. Jej palce poruszają się na zakrwawionej szybie, a ona ześlizguje się w dół i znika mi z oczu.

Paul Giller powoli podchodzi do okna. Celuje we mnie z broni.

Wtedy zaczynam krzyczeć. Krzyczeć. I krzyczeć.

Claire wbiega pędem do pokoju, Jade tuż za nią, obie również krzyczą:

– Co się stało? Bailey, co się dzieje?

Znajdują mnie na podłodze, jakbym też została postrzelona. Płaczę i bełkoczę, nie mogąc się opanować.

– O co chodzi, Bailey?

– On ją zastrzelił! Ten bydlak ją zastrzelił!

– Co? Co ty opowiadasz?

Jade wydiera mi lornetkę i spogląda na mieszkanie Paula Gillera.

– Ciemno – stwierdza.

– Co? Nie! – Zrywam się na nogi. – Jak to ciemno?

– Nic nie widzę.

– Przed chwilą paliło się światło. Widziałaś! – zwracam się do Claire, błagając o potwierdzenie.

– Tak, widziałam. Światło na pewno się paliło.

– Teraz się nie pali – stwierdza Jade.

– Co się stało? Co ci się przywidziało?

Te słowa działają na mnie jak kubeł lodowatej wody. Co mi się przywidziało?

Opowiadam, co się wydarzyło, zaczynając od momentu, kiedy Claire wyszła z mojej sypialni, a Elena wbiegła do swojej.

– Na pewno ci się nie przyśniło? – pyta Claire głosem łagodnym i ciepłym. – Może się zdrzemnęłaś...

– Nie spałam.

– Na pewno miał broń? Przecież bardzo pada. Przedtem wydawało ci się, że pomachał, a teraz... jak możesz być pewna, że trzymał broń?

– Bo wiem, jak wygląda broń – twierdzę uparcie. – Co by to mogło być innego? Zabił ją! Zrobił jej dziurę w czole! Cała szyba była we krwi. Nie ma szans, żeby przeżyła. Musimy zadzwonić na policję.

Żadna z nich się nie rusza.

– Może jednak poczekajmy – proponuje Claire.

– Jak to?

– Zastanów się. Nie możesz ciągle wszczynać fałszywych alarmów.

– Myślisz, że kłamię?

– Nie, skąd. Na pewno nie. Ale policja tak pomyśli – przekonuje, a w jej oczach pojawiają się łzy. – Nie chcę, żebyś wyszła na...

– Na kogo?

– Wierzę, że sądzisz, że widziałaś, jak Paul Giller zastrzelił swoją dziewczynę.

– Tylko nie wierzysz, że to się naprawdę wydarzyło. – Słyszę rozczarowanie w swoim głosie. Skoro Claire nie wierzy, to kto mi uwierzy?

– Policja powie, że to dziwne, że nic się nie działo, dopóki nie wyszłam.

– Co? Nie. Dlaczego to ma być dziwne? To może być zbieg okoliczności...

– Niezły zbieg okoliczności. Wszystkie trzy obserwowałyśmy mieszkanie Paula Gillera od kilku dni. I przez ten czas nie wydarzyło się absolutnie nic.

– Ale parę minut temu się wydarzyło. Mówię ci, że Paul Giller zastrzelił swoją dziewczynę.

– Dobrze. Opowiedz mi to jeszcze raz. Przekonaj mnie. Wtedy może przekonamy Castilla.

Biorę głęboki oddech, opowiadam tę historię drugi, a potem trzeci raz. Istnieją tylko dwie możliwości: 1. Paul Giller rzeczywiście zastrzelił swoją dziewczynę, 2. Wyobraziłam to sobie.

– Wiem, co widziałam – upieram się, choć tak naprawdę z każdą chwilą tracę pewność siebie.

Claire ma rację. Policja uzna za wysoce podejrzaną, że wszystko to wydarzyło się dopiero wtedy, gdy Claire wyszła i znowu zostałam jedynym świadkiem. Jeśli ten ostatni incydent okaże się kolejnym fałszywym alarmem, to tylko umocni ich podejrzenia, że przez ten gwałt kompletnie zwariowałam.

– Istnieje jeszcze jedna możliwość – dodaję po chwili.

Claire i Jade wpatrują się we mnie wyczekująco.

– Że Paul Giller zainscenizował dzisiejsze wydarzenia – ciągnę. Pomysł zaczyna nabierać kształtów i realności.

– Jak to? – pyta Claire.

– A jeśli to zasadzka?

– Nie rozumiem. Jaka zasadzka?

– Może tylko udał, że zastrzelił swoją dziewczynę.

– Po co miałyby to robić?

– Żeby Bailey pomyślała, że zwariowała – odzywa się Jade, włączając się w mój tok rozumowania.

– Oglądasz za dużo telewizji – kwituje Claire.

– A jeśli mam rację? – pytam.

– W jakiej sprawie? Naprawdę myślisz, że Paul Giller odegrał scenę specjalnie dla ciebie?

– Nie tylko tę scenę – oznajmiam, zastanawiając się na głos. – A jeśli wszystko zainscenizował? Od samego początku? Dziki seks przed oknem, bicie i gwałt, które nie miały miejsca, morderstwo, którego byłam świadkiem?

– Ale dlaczego miałyby chcieć ci wmówić, że oszalałaś?

Nasuwają mi się trzy powody.

– Po pierwsze dlatego, że jest chorym sukinsynem, którego to bawi – wyliczam, i czuję z zaskoczeniem, że nagle stałam się spokojna i racjonalnie myśląca.

– Możliwe – zgadza się Claire – ale musiałyby być prawdziwym świrem...

– A po drugie? – wtrąca Jade.

– Po drugie dlatego, że gdybym dała sobie wmówić szaleństwo, nie zgłosiłabym tego, co dziś widziałam, i morderstwo by mu się upiekło.

– No, nie wiem... Strasznie by ryzykował.

– A po trzecie? – nie ustępuje Jade.

Biorę głęboki oddech.

– Po trzecie dlatego... – Kolejny oddech. – ...że Paul Giller jest człowiekiem, który mnie zgwałcił. – Powoli wydycham powietrze. – I jeśli podważy moją wiarygodność, wmawiając wszystkim, że zwariowałam, że prześladowę go od tygodni bez żadnego powodu, zarzucając mu wszystkie możliwe winy, policja nigdy go nie oskarży i nie zostanie ukarany.

Claire i Jade zastanawiają się nad tą teorią.

– Nadal coś się nie zgadza – mówi Claire, której oczy biegają gorączkowo, podczas gdy mózg usiłuje przyswoić wszystkie wiadomości. – Jak Giller mógłby to wszystko skoordynować? Skąd by wiedział, kiedy go obserwujesz albo kiedy jesteś sama? Skąd by wiedział, że wyszłam z pokoju? To nie ma sensu – powtarza. – Czegoś brakuje.

Muszę się z nią zgodzić. Skąd by to wszystko wiedział? To naprawdę nie ma sensu.

Odtwarzam w pamięci wydarzenia tego wieczoru, patrzę, jak Elena wbiega do pokoju, kuli się przed swoim rozwścieczonym chłopakiem, który unosi broń i pociąga za spust, jej krew rozbryzgująca się na szybie, jej martwe oczy spoglądające błagalnie w moje. Czy Paul Giller to wszystko zainscenizował? I czy mogę zaryzykować? Czy mogę pozwolić, żeby pozostał bezkarny, ponieważ nie zgłoszę tego na policję?

– Wiem, co widziałam – oznajmiam.

– Zatem nie mamy wyboru – odpowiada Claire.

*

Oczywiście wszystko dzieje się dokładnie tak, jak przewidziała moja siostra.

Claire dzwoni na prywatny numer Castilla i opowiada mu, co się wydarzyło. Policjant nie cieszy się, że go budzimy w środku nocy i nie traktuje nas poważnie. Każe Claire poczekać, po czym dzwoni na posterunek i pyta, czy ktoś zgłosił strzały w okolicy albo samo zdarzenie, po czym informuje nas, że nic podobnego nie miało miejsca. Dopiero gdy Claire kłamie, że widziała dzisiejsze wypadki, zgadza się przysłać radiowóz.

– Nie powinnaś była go okłamywać – mówię.

– Nie powinnam robić wielu rzeczy – odpowiada.

Dalsza część nocy przebiega według znanego scenariusza: policjanci idą do mieszkania Paula Gillera, znajdują go samotnego i złego, że budzi się go w środku nocy. Otrzymują od niego pozwolenie przeszukania mieszkania. Nie znajdują ani śladu Eleny, ani śladu krwi, ani śladu jakiegokolwiek bójk. Choć na każdym piętrze znajdują się kamery monitoringu, nie są włączone ze względu na małą liczbę lokatorów. Nie istnieje żaden wizualny dowód, że Elena mogła się wymknąć z budynku, albo że w ogóle w nim była. Paul Giller grozi, że pozwie nie tylko mnie, ale cały wydział policji w Miami-Dade i osobiście funkcjonariusza Castillo, jeśli te oburzające szykany nie ustaną. Policjanci przychodzą do mojego mieszkania, żeby przekazać te informacje i wyrazić niezadowolenie. Nie przyjmują żadnych wyjaśnień, zadają dokładnie te same pytania co Claire, choć Castillo przyznaje, że

jeśli moja trzecia teoria okaże się słuszna i Paul Giller naprawdę jest człowiekiem, który mnie zgwałcił, to mam rację przynajmniej co do jednego: że prawie zapewniłam mu nietykalność. Ostrzega mnie, żebym przestała obserwować mieszkanie Paula Gillera, bo będzie musiał mnie aresztować za napastowanie. Przypomina Claire, że okłamywanie policji podlega karze. A potem wychodzi.

– No, tośmy odniosły wstrząsający sukces – odzywa się Jade, gdy zostajemy same.

– Bardzo przepraszam.

– To nie twoja wina.

– Więc czyja?

– Niczyja. Jest, jak jest – mówi Claire, wyraźnie zmęczona. – Nie mówmy już o tym. Chodźmy spać.

– A byłam pewna – mamroczę

Nie zwariowałam.

– Wiem – pociesza mnie Claire. – I ja ci wierzę. Naprawdę.

– Ja też ci wierzę – popiera ją Jade.

– Niestety policja nie – zauważa Claire. – A teraz pojawił się większy problem.

– Jaki?

– Mnie też już nie wierzą.

O wpół do ósmej rano, przespawszy w sumie dwie godziny, Claire wychodzi do pracy. Zostawia mnie z listą ustnych poleceń: nie zbliżaj się do okna w sypialni, nie wychodź z mieszkania, daj spokój Paulowi Gillerowi.

Oddaje moją lornetkę Jade i poleca zabrać ją, kiedy będzie szła do szkoły.

– Zadzwoń do ciebie podczas mojej przerwy, sprawdzę, jak sobie radzisz – mówi do mnie. Wiem, że tak naprawdę zadzwoni, żeby sprawdzić, czy mi nie odbiło.

– Nie spóźnij się do szkoły – rzuca do córki, wychodząc.

– To jak, chcesz jajecznicę? – pyta Jade po jej odejściu. – To moja specjalność.

– Nie wiedziałam, że umiesz gotować.

– Nie umiem. Umiem robić jajecznicę. Dlatego to moja specjalność.

Parskam śmiechem.

– Nie powinnaś się ubrać?

Jade idzie do kuchni i szybko wydobywa z szafek patelnię i miskę.

– Nie idę dziś do szkoły – oznajmia rzeczowo, podciągając spodnie w żółte kropki, które zsunęły się jej do połowy szczupłych bioder.

Sięga do lodówki po jajka, wbija je do miski, szybko wyławia drobinki skorupki długimi, szlachetnymi palcami, po czym dodaje wodę, sól i pieprz i zaczyna energicznie mieszać.

– Zostaję z tobą.

– Nie możesz. Twoja matka się wścieknie.

– To jej nie mów. No weź, Bailey. Naprawdę myślisz, że zdołam się skupić na algebrze po tym, co zaszło wczoraj?

Postanawiam się nie sprzeciwiać. Widziałam już dość sporów mojej siostry z córką, żeby wiedzieć, że nikt nie przegada Jade. Poza tym cieszę się, że będę miała towarzystwo. Nie ufam już sobie. Nie ufam temu, co mogłabym zobaczyć.

Lub nie zobaczyć.

Po chwili jajecznica trafia na talerz obok paru tostów z masłem, pięknie ułożonych na stole w jadalni. Claire zrobiła przed wyjściem kawę i Jade nalewa mi filiżankę, a sobie przynosi puszkę coli.

– Jak ty możesz to pić z samego rana? – pytam.

– Kofeina to kofeina. Muszę się jakoś obudzić.

– Przepraszam za tę noc – powtarzam po raz nie wiem który.

– Żartujesz? To był czad. Czuję się jak w filmie.

Uśmiecham się i przełykam kęs jajecznicy.

– Pycha, nawiasem mówiąc.

– Dziękuję. To moja specjalność. – Jade ziewa.

– Zdołałaś zasnąć po wyjściu policji? – pytam.

– Trochę drzemałam, trochę się budziłam. A ty?

– Niewiele. Od koszmaru do koszmaru.

– O gwałcie?

– Chyba tak. Nie wprost. Zawsze są takie same: goni mnie zamaskowany

mężczyzna, jakaś kobieta się temu przygląda, pod stopami krążą mi rekiny...

– Rekiny?

– Moja terapeutka twierdzi, że te sny wyrażają strach.

– Trzeba mieć wyższe studia, żeby się kapnąć? Myślisz, że one ci coś przekazują? –

pyta Jade jednym tchem. – No wiesz, coś więcej niż to, że się boisz?

– Na przykład?

– Nie wiem. Raz doktor Drew powiedział, że ludzie miewają powracające sny, ponieważ te sny chcą im coś przekazać i będą się powtarzać tak długo, aż to coś do człowieka dotrze.

– Jaki doktor Drew?

– No, z *Celebrity Rehab* – rzuca moja siostrzenica i potrząsa rozczochranymi włosami. – Naprawdę, Bailey. Jak możesz być detektywem, skoro nie masz pojęcia o współczesnym świecie? Jakbyś przyleciała z innej planety. Choć to może nie był doktor Drew, tylko doktor Phil, albo nawet doktor Oz.

– Przyszło ci kiedyś do głowy, że twoja matka może mieć rację, mówiąc, że oglądasz za dużo telewizji?

Teraz to Jade wzrusza ramionami, co – muszę przyznać – wychodzi jej fantastycznie. Angażuje w ten ruch całe ciało.

Kończymy śniadanie. Idę do kuchni i nalewam sobie drugą filiżankę kawy.

– No, to kto wczoraj dzwonił? – pyta Jade, gdy wracam do jadalni.

– Co?

– Heath?

– Jak to?

– Co: „jak to”? Gdzieś koło północy przysnęłam, w środku *Prawa i porządku*, bo widziałam ten odcinek z pięćset razy, i obudził mnie telefon. Gdzieś koło, nie wiem... drugiej w nocy?

W żyłach zaczyna mi tętnić adrenalina. Jeżą mi się wszystkie włosy na ciele. Ręce mi dygoczą.

– Słyszałaś dzwonek?

– Na biurku tuż koło mojej głowy stoi telefon. Jak miałam go nie słyszeć?

Wybucham gwałtownym płaczem wdzięczności.

– Bailey, co się dzieje?

Opowiadam jej o tajemniczych telefonach i o tym, że kiedy je odbierałam,

słyszałam w słuchawce tylko buczenie sygnału. Mówię jej o swoich podejrzeniach, że to wszystko halucynacje.

– Ale wiesz, że jak wciśniesz gwiazdkę, sześć i dziewięć, to możesz sprawdzić historię połączeń? – Jade patrzy na mnie jak na kosmitkę.

– Robię tak... przeważnie. Ale ciągle wyświetla mi się „numer nieznan”. Początkowo myślałam, że to Travis...

– Kto to jest Travis?

– Albo Heath.

– Myślisz, że brat mógł ci robić takie numery? Po co?

– Nie mógłby – mówię, choć wcale nie jestem taka pewna. Nie wiem już, do czego jest zdolny Heath i co nim kieruje.

Jade nagle szeroko otwiera oczy, przytomniejąc w sekundę. Zrywa się na równe nogi.

– Co? – Wstrzymuję oddech, jakbym wiedziała, co teraz powie.

– A może to Paul Giller?

Przyszło mi to już do głowy.

– Może. – Znowu zaczynam krążyć po jadalni. Jade robi to samo po swojej stronie stołu.

– To ma sens. W ten sposób upewniał się, że będziesz go obserwować.

Zatrzymuję się i odwracam do niej.

– Jak to?

– Wczoraj moja matka spytała, skąd wiedział, że go podglądasz. No, gdyby do ciebie zadzwonił, umyślnie cię obudził... Zastanów się, Bailey. Czy ktoś do ciebie zadzwonił przed tym, jak Giller pobił i zgwałcił swoją dziewczynę?

Wracam myślami do tamtej nocy, przewijam w pamięci film wspomnień i odtwarzam go od tyłu, najpierw gwałt, potem bicie, potem budzący mnie telefon, od którego wszystko się zaczęło.

– Tak. Tak!

– A w innych przypadkach?

– Nie wiem. Nie pamiętam. – Wydarzyły się zbyt dawno, żebym mogła mieć pewność.

– On się dowiaduje, że go podglądałaś, i postanawia to wykorzystać – myśli na głos Jade. – Dzwoni do ciebie, budzi cię, wie, że zobaczyłaś, że w jego mieszkaniu pali się światło, a ponieważ jesteś z natury ciekawska i pracujesz jako detektyw, pewnie zaczniesz go obserwować...

– Ale to nie odpowiada na inne pytanie twojej matki: skąd wiedział, kiedy jestem sama...

Jade traci rozpęd.

– No dobrze. Tego jeszcze nie rozgryzłam. Ale to zrobię. Razem z tobą.

Obchodzę stół i biorę moją siostrzenicę w objęcia, przytulam ją mocno do siebie.

- Dziękuję.
- Za co?
- Że tu jesteś. Że mi wierzysz. Że zrobiłaś mi jajecznicę.
- To moja specjalność.

*

Gdy wychodzę spod prysznic, Jade, ubrana w dżinsy i białą bluzę z kapturem, stoi z lornetką w ręce przy moim oknie i obserwuje mieszkanie Paula Gillera.

- Nie powinnaś tego robić – mówię, okręcając się frotowym szlafrokiem.
- Nie, to ty nie powinnaś tego robić – poprawia mnie. – O mnie nie było mowy.
- Widzisz coś?

– Chyba widziałam, jak się przygotowuje do wyjścia. Trudno coś zauważyć w tym świetle, zwłaszcza że pada. Zaczynam podejrzewać, że czas budować arkę.

Spoglądam na zegarek przy łóżku. Jest prawie dziewięta. Dzwoni telefon.

– Nie odbieraj – rozkazuje Jade, podbiegając i sprawdzając wyświetlacz. – O cholera. To matka. Jednak odbierz.

– Co mam jej powiedzieć?

– Że dziesięć minut temu wyszłam do szkoły.

Moja siostrzenica wraca do okna, a ja podnoszę słuchawkę.

– Tak, wyszła parę minut temu – kłamię. – Robi fantastyczną jajecznicę.

– Nie powinnaś tego mówić – rzuca Jade, kiedy odkładam słuchawkę. – Niszczysz mi reputację. Oho. Wychodzi.

Staję za nią i spoglądam jej przez ramię.

– Nic nie widzę.

– Masz. – Jade podaje mi lornetkę i rusza do drzwi.

– A ty dokąd?

– Przeszukać jego mieszkanie.

– Co? Nie! Czeka! Nie możesz!

– Oczywiście, że mogę. Na pewno ma taki sam gówniany zamek jak ty kiedyś.

– Nie o to mi chodzi.

Jade przystaje.

– Nie ma się o co martwić. Wejdę i wyjdę, zanim ktoś się zorientuje.

– Ale co chcesz zrobić?

– Rozejrzeć się szybko. Sprawdzić, czy znajdę coś, czego policja mogła nie zauważyć podczas tak zwanego przeszukania.

– Nie mogę ci na to pozwolić.

– Będziesz mnie gonić w szlafroku? – Moja siostrzenica jest już w połowie korytarza.

- Jade!
 - Obserwuj teren. Zadzwoń, kiedy dotrę na miejsce.
 - Jade!
- Ale już jej nie ma.

*

Piętnaście minut później dzwoni telefon.

– Jestem w budynku – szepcze moja siostrzenica, a ja widzę ją w pustawym holu, z kapturem na głowie. – Przemokłam na wylot. Czekałam z dziesięć minut, zanim udało mi się wśliznąć, kiedy ktoś wychodził. Teraz czekam na windę i ociekam wodą.

– Jade, to szaleństwo. Za bardzo się narażasz. Jak cię złapią, znowu trafisz do izby dziecka.

– Nikt mnie nie złapie. Obserwuj mieszkanie. Włączę światło, więc będziesz widziała, co się dzieje.

- Nie. Wracaj!
- O, winda. Drzwi się otwierają...
- Tylko się nie rozłączaj.
- Kurczę. Ktoś wsiada – rzuca Jade i się rozłącza.

*

– Cześć – mówi jakąś minutę później.

– Co to było, do cholery?! – krzyczę.

– Przepraszam. Zapomniałam naładować komórkę, no i trochę mi pada, a w windach zasięg jest zawsze kiepski. A potem wsiadł taki starszy facet i nie chciałam z tobą gadać, dopóki nie wysiądzie, a wysiadł na dwudziestym piątym piętrze.

– Prawie dostałam przez ciebie zawału!

– Nie ma powodu do obaw. Tylko nie świruj, jak znowu nas rozłączy.

– Ja już świruję!

– To przestań. Wiem, co robię. Uczyłam się od najlepszych, pamiętasz?

– To nie jest program reality.

– Nie, to sto razy lepsze.

– Jade...

– Idę korytarzem – informuje mnie, lekceważąc moje jęki. – Tu nie jest tak ładnie jak u ciebie.

– Zawróć i wracaj do domu.

- Stoję przed jego mieszkaniem.
- Nie rób tego.
- Czekaj moment.
- Jade... Jade! Proszę... – Dociera do mnie jakiś chrobot oraz kilka jędrnych przekleństw. – Jade, co się dzieje?
- Ten głupi zamek jest oporniejszy, niż myślałam.
- Więc daj spokój i wracaj do domu.
- Jeszcze tylko trochę...
- Jade...
- Jest! Wiedziałam. Kawał szajsu.
- Co się dzieje?
- Weszłam – raportuje Jade.

*

Wstrzymuję oddech, spoglądając przez lornetkę na mieszkanie Paula Gillera. Ręce tak mi się trzęsą, że nie mogę jej wycelować we właściwe okno.

- Gdzie jesteś? – pytam.
- W salonie – odpowiada Jade, włączając światło. – Widzisz mnie?
- Nie. Widzę światło, ale deszcz zasłania prawie wszystko. Musisz podejść do okna.

Moja siostrzenica zbliża się do okna i zrzuca kaptur. Macha do mnie jedną ręką; drugą trzyma komórkę przy uchu.

- Bardzo tu dziwnie – oznajmia, rozglądając się.
- Dlaczego?
- No, prawie nie ma mebli. Nawet sofy. Tylko parę plastikowych krzeseł, takich jakie się zabiera na plażę.
- Może jeszcze nie dowieźli mu mebli – podsuwam. – Skoro dopiero się wprowadził...
- No, nie wiem. Wygląda to, jakby nikt tu nie mieszkał. – Jade znika mi oczu.
- Gdzie jesteś? Dokąd poszłaś?
- Do kuchni. W szafkach nie ma żadnych talerzy ani nic. Tylko parę plastikowych szklanek. A w piekarniku nadal leży instrukcja obsługi, jakby nigdy go nie używano.
- Połowa kuchenek w Miami stoi nieużywana. Mnóstwo osób już nie gotuje...
- Tak, ale jedzą. W lodówce nie ma żadnego jedzenia. To bardzo dziwne.
- Coś jeszcze?
- Na razie nie.
- Gdzie jesteś?
- Idę do sypialni.

– Jade?

– Już. – Światło w sypialni nagle się zapala. – Widzisz mnie? – Moja siostrzenica podchodzi do szyby.

– Tak. A ty co widzisz?

– Mniej więcej to, co widziałyśmy przez lornetkę, tylko że z daleka lepiej to wygląda. Jest łóżko, para szafek nocnych, duże lustro, komoda, toaletka, kilka lamp. Wszystko bardzo tanie. Wiesz, jakby z jakiejś starzyzny. Nigdzie nie ma zasłon.

– Jakież ślady walki?

– Nie. Tylko nieposłane łóżko. O, zaraz. – Sięga w fałdy pościeli. – Idiota zapomniał komórki. – Podnosi ją, żeby mi ją pokazać.

– To znaczy, że lada chwila wróci. Jak tylko się zorientuje...

– Już dawno mnie nie tu będzie – zapewnia Jade, rzucając komórkę na łóżko, i znów znika mi z oczu. Podejrzewam, że kucnęła.

– Co robisz?

– Szukam krwi.

– Widzisz coś?

– Ani kropelki. I trupa pod łóżkiem też nie ma.

– A przy oknie? Też żadnych plam?

W oknie pojawia się głowa Jade.

– Nic. Oprócz plam z wody, która ze mnie kapie na wszystko. Wiesz, co by się nam przydało? Te sprytne latarki, co mają w telewizji, że jak zaświecisz, to widać ślady krwi, którą ktoś usiłował zmyć.

– Dobrze. Starczy tego. Idź już stamtąd.

– Jeszcze zajrzę do garderoby.

– Nie... przestań... co się dzieje? – Przytrzymuję komórkę ramieniem i gorączkowo poruszam lornetką, szukając mojej siostrzenicy.

– Robi się coraz dziwniej – informuje mnie Jade. – Jestem w garderobie i nie widzę tu prawie żadnych ubrań. Parę par dżinsów, czarne spodnie, parę męskich koszul. Sukienka. Jakiś uniform. Sportowe buty.

Zagryzam wargę, żeby nie krzyknąć.

– Jakiej marki?

– Nike.

– Czarne?

– Raczej grafitowe.

Blisko, myślę, i serce podchodzi mi do gardła. W głowie mi się kręci.

– Mam je zabrać? – pyta Jade.

– Nie. – Jeśli weźmiemy buty z mieszkania Paula, nie będziemy ich mogli użyć w sądzie jako dowodu obciążającego. – Możesz zrobić im zdjęcie telefonem?

– Mogę spróbować.

– Z przodu, tyłu, obu boków, z góry i dołu.

– Dobra. Tylko się rozłączę. Najpierw zajrzę do łazienki.

Ledwie dostrzegam jej mglistą postać.

– Widzisz coś?

– Niewiele. Maszynkę do golenia, krem do golenia, szczoteczkę do zębów, pastę do zębów. Otwieram szafkę. No nieźle, nie ma nawet aspiryny. Cholera... Co to?

– Co co?

– Chyba coś usłyszałam. – Jade pojawia się w drzwiach łazienki.

Spoglądam w okno salonu.

– Nic nie widzę. Czekaaj. O, cholera. Ktoś wchodzi! – Patrzę ze zgrozą, jak Paul Giller wkracza do mieszkania i z przechyloną głową spogląda na palącą się lampę. – To on! – krzyczę. – Zauważył światło. Cholera.

Jade ogląda się w stronę włącznika na ścianie sypialni, jakby się zastanawiała, czy ma czas podbiec i wyłączyć światło.

– Zapomnij! – wołam. Paul Giller zrzuca buty i idzie do sypialni. – Schowaj się pod łóżko. Szybko!

– Co się dzieje? – szepcze Jade po sekundzie. Słyszę w jej głosie strach.

– Nie wiem. Nie widzę go. Jesteś pod łóżkiem?

– Tak.

– Nic już nie mów. Trzymaj tylko telefon przy uchu, a ja ci powiem, kiedy go zobaczę.

– Boję się.

– Ćśś. Nic nie mów. Nadal go nie widzę. Zaraz. Jest. Wchodzi do pokoju... widzi zapalone światło... Jest wyraźnie zdziwiony... rozgląda się, otwiera garderobę... teraz sprawdza łazienkę... podchodzi do okna. – Cofam się gwałtownie od własnego okna.

– Co się dzieje? Bailey, co się dzieje?

– Ćśś! Bo cię usłyszy. Nic nie mów.

Zbliżam się powoli do okna i z ulgą stwierdzam, że Paul tam nie stoi.

Tylko... gdzie on jest? Gdzie się podział, do cholery?

Jest. Sięga w zmiętą pościel po komórkę. Już ma ją włożyć do kieszeni, gdy nagle się zatrzymuje. Stoi w tej pozycji bez ruchu przez parę sekund, wpatrzony w coś na podłodze.

Zauważył, że ktoś się ukrywa pod łóżkiem, parę centymetrów od jego stóp?

Paul odwraca się powoli, pochyla się, przyklęka.

– Cholera! – krzyczę szeptem, widząc, jak Paul dotyka dłonią podłogi. – Wiesz, że wykładzina jest mokra – rzucam przez zaciśnięte gardło. Patrzę z rosnącą zgrozą, jak Paul znika mi z oczu.

– Co jest? – dobiega mnie jego głos.

– Odwal się! – krzyczy Jade.

– Chodź no tutaj, dziewczynko – mówi on. – Powolutku. Bo sam cię wyciągnę.

– Nie! Nie dotykaj mnie!

– W takim razie wyłaż. Bardzo dobrze. A teraz wstań.

Znowu ich widzę. Jade się kuli, Paul stoi nad nią. Jeszcze nie zauważył komórki ukrytej w jej dłoni.

– Kim jesteś? – pyta.

– Nikim. Całkiem nikim.

– To za mało.

– Po prostu od paru tygodni włamuję się do mieszkań okolicy – improwizuje Jade. – Wypuść mnie. Nic nie zabrałam. Nic nie masz.

– Jak się nazywasz? – warczy on.

– Jade. Jade Mitchum.

– Jade Mitchum – powtarza powoli Paul Giller. – Jak się tu dostałaś?

– Otworzyłam zamek.

– Otworzyłaś zamek?

– To straszny szajs.

– Dobrze wiedzieć. – Chwyta ją za ramię i pociąga do okna. – Widzisz kogoś znajomego? – pyta, patrząc w moim kierunku.

Jedną ręką przyciskam lornetkę do oczu, drugą telefon do ucha.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Naprawdę? Nie znasz niejakej Bailey Carpenter? Dlaczego tak trudno mi w to uwierzyć?

– Puść mnie. Wiesz, że Bailey ci nie odpuści. Pewnie w tej chwili dzwoni na posterunek.

– Na ten co wczoraj? – przerywa jej Paul. – Na ten, który zamierzam pozwać, jeśli znowu mi tu naślą gliny? Wątpię, żeby była tak głupia. Ale proszę bardzo, Bailey! – krzyczy w stronę okna. – Dzwon po gliny. Zobaczymy, jak szybko przyjadą tym razem.

Ma rację. Jeśli ktokolwiek wierzył w moje słowa, po wczorajszym incydencie straciłam resztki wiarygodności. Nie ma sensu dzwonić. Policjanci uważają mnie za panikarę; w najlepszym razie za żalowaną ofiarę zespołu wstrząsu pourazowego, w najgorszym za kompletną wariatkę.

– Co to jest? – Głos Paula rozbrzmiewa głośniejsze. – Telefon? Dzwonisz do kogoś? – Giller wyszarpuje go z zaciśniętej dłoni Jade. – Halo? Halo, Bailey? Jesteś tam? – Jego głos wślizguje się w moje ucho jak wąż. – Jesteś. Słyszę twój oddech.

Powiedz, że mnie kochasz.

Boże!

Połączenie zostaje przerwane.

Po chwili światło w mieszkaniu gaśnie.

Płacząc, wkładam bluzę na piżamę i wybiegam z pokoju. Wpycham bose stopy w klapki, biegnę korytarzem i wypadam z mieszkania. Winda przyjeżdża niemal natychmiast i na szczęście nikogo w niej nie ma. Powinnam zadzwonić do Gene'a i powiedzieć mu, że jego siostrzenica ma kłopoty, poprosić, żeby skontaktował się z policją. Mnie gliniarze nie uwierzą, ale z pewnością nie będą się kłócić z asystentem oskarżyciela publicznego. Choć Gene całkowicie podziela zdanie obrońców prawa na mój temat.

Winda staje na pierwszym piętrze; czekam, nie oddychając. Jakiś mężczyzna chce wsiąść, ale zatrzymuje się gwałtownie. Ma koło czterdziestki, mokre siwe włosy i niebieski ręcznik na masywnym karku. Jest ubrany w strój sportowy, pot spływa mu z czoła i skroni.

– Może pani przez chwilę przytrzymać windę? – rzuca. To bardziej polecenie niż pytanie. Ogląda się przez ramię. – Donna, gdzie się podziewasz? Chodź, winda już jest. Ludzie czekają. – Podnosi palec i cofa się o krok

– Bardzo się spieszę.

Mężczyzna jakby mnie nie usłyszał.

– Donna, do cholery, co ty tam robisz?

Pochylam się i wciskam parter tyle razy, aż drzwi zaczynają się zamykać.

– Przepraszam – mamroczę. Oburzona twarz mężczyzny znika, a winda znowu rusza. – Szybciej, szybciej – ponaglę, chcąc już wydostać się z kabiny i biec do mieszkania Paula Gillera.

Powinnam była zadzwonić do Seana, błagać, żeby wezwał policję. Oczywiście znalazłby milion powodów, żeby tego nie robić. Ma w tym wprawę.

W końcu mogłam zadzwonić do Claire, myślę, kiedy winda zatrzymuje się na parterze. I co jej powiedzieć? Że z mojej winy jej jedyne dziecko znalazło się w poważnym, może nawet śmiertelnym niebezpieczeństwie? Nie potrafię. Nie jestem gotowa na jej nie-nawiść. Na razie muszę stanąć na głowie, żeby uratować jej córkę.

Tylko co mogę zrobić?

Odpowiedź jest prosta: wszystko, co się da. Wszystko, czego zażąda Paul Giller.

Mijam biegiem recepcję, niemal przewracając się z powodu tych kłapek.

– Wszystko w porządku? – woła Finn.

– Dzwon na policję! – odkrzykuję i na dźwięk mojego głosu ogarnia mnie jeszcze większa panika. – Powiedz, że na 600 2nd Avenue, w mieszkaniu 2706 jest

włamywacz. – Ale moje słowa zagłusza deszcz i hałasy z pobliskiej budowy, więc nie wiem, czy Finn mnie usłyszał.

Dobiegam do budynku Paula Gillera i prawie przewracam się przed drzwiami wejściowymi. Zginam się wpół, spazmatycznie łapiąc oddech. Nikt mnie nie zauważa. Tych paru przechodniów, którzy mnie minęli, myśli tylko o tym, żeby uciec przed ulewą. Nikt nie zwraca na mnie uwagi, gdy przywieram do ściany przy drzwiach, czekając, aż ktoś wejdzie, żebym mogła się za nim wśliznąć, tak jak Jade. Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do biura Adama Rotha, ale szybko odrzucam ten pomysł. Nie ma szans, żeby zarządca pozwolił mi wejść. A jeśli mnie zobaczy i wezwie policję, zostanę siłą odstawiona na posterunek i nikt nawet nie sprawdzi tego, co mówię, uznawszy to z góry za halucynacje wariatki.

W końcu z budynku wychodzą dwie kobiety z takimi samymi parasolkami w kwiaty. Matka i córka, sądząc po identycznych kwaśnych minach.

– Wiem, mamo, że go nie lubisz – cedzi młodszą przez zaciśnięte zęby – ale to moje życie.

– Które uparłaś się konkursowo spać – ripostuje matka, kiedy mijam je ze spuszczoną głową.

W windzie wybieram dwudzieste siódme piętro i zamykam oczy z wdzięcznością, gdy drzwi szybko się zamykają i kabina rusza w górę.

Po chwili stoję przed mieszkaniem 2706, gotowa na wszystko – na wszystko, czego zażąda Paul Giller – żeby uratować moją siostrzenicę. Jeśli nie jest za późno. Naciskam klamkę. Drzwi otwierają się, a mnie wyrywa się z gardła cichy okrzyk.

Co to znaczy? Że w mieszkaniu nie ma nikogo? Że Giller już zniknął, zabierając Jade? Czy gorzej: że w mieszkaniu znajdę tylko jej zwłoki?

– Wejdz, Bailey – rozlega się głos z głębi mieszkania. – Czekaliśmy na ciebie.

Otwieram drzwi, tłumiąc wzbierający we mnie krzyk, i przechodzę przez próg.

– Zamknij za sobą.

Popycham drzwi nogą, żeby się zatrzasnęły. Serce mi tak łomocze, że pewnie słyhać w całym budynku. W pokoju nie ma żadnych mebli z wyjątkiem dwóch plastikowych krzeseł, o których wspominała Jade.

– Podnieś ręce do góry – ciągnie głos. Uświadamiam sobie, że Paul stoi za mną. Wyobrażam sobie broń w jego ręku, tę samą, z której zastrzelił Elenę. – Wiesz, że teraz cię obszukam – rzuca Paul i czuję jego dłoń, która mnie obmacuje mnie niepewnie.

– Przestań...

– Zamknij się, z łaski swojej – mówi on przesadnie uprzejmym tonem i powoli przesuwając ręką po mojej talii i niżej, z jednego biodra na drugie, po czym wsuwa ją między moje uda.

Ogarnia mnie gwałtowna fala mdłości.

– Proszę...

– Ćśś... – Paul sunie ręką po wewnętrznej stronie moich nóg i zatrzymuje się, docierając do odsłoniętych palców. – Można się zakochać w tych klapkach – rzuca ironicznie, po czym się prostuje.

Powiedz, że mnie kochasz.

– Boże...

– Co Boże?

– To nie ty – szepczę, nie wierząc, że to mówię.

Paul Giller nie jest człowiekiem, który mnie zgwałcił. Właśnie się o tym przekonałam, słysząc z bliska jego głos – zupełnie inny w brzmieniu i akcencie.

Ale skoro nie jest gwałcicielem, to kim do cholery?

Odwracam się do niego.

– Powoli – ostrzega, cofając się o krok.

Ogarnia mnie spokój. To nie jest jakiś obcy bez twarzy, który napadł mnie ciemną nocą, ale człowiek, który pomimo broni w ręce wydaje się bardziej bać mnie niż ja jego. Chłonę każdy szczegół banalnie przystojnej twarzy Paula Gillera. Inaczej niż na zdjęciach na Facebooku, w rzeczywistości wygląda dość przeciętnie, raczej dubler niż gwiazda. Ma w sobie coś zaskakująco niekonkretnego.

– Gdzie Jade?

– Twoja siostrzenica jest w sypialni.

– Chcę ją zobaczyć.

Paul Giller macha bronią w stronę drugiego pokoju.

– Proszę.

Jade siedzi na łóżku, płacze cicho.

– Bailey! – woła na mój widok.

– Nic ci nie zrobił? – Siadam obok niej i biorę ją w ramiona.

– Nie. Kazał mi się tylko nie ruszać z miejsca, bo cię zabije.

– Nie bój się – szepczę w jej włosy. – Wyprowadzę cię stąd. – Odwracam się do Gillera. – Kim jesteś? Dlaczego to robisz? – pytam, usiłując pozbierać te niepasujące do siebie kawałki układanki, którą stało się ostatnio moje życie. A one unoszą się nad moją głową, tuż poza zasięgiem ręki, i nie pozwalają się złapać. – Wiem, że to nie ty mnie zgwałciłeś, więc dlaczego...

– Zgwałciłem? – Paul patrzy na mnie z autentycznym zaskoczeniem. – O czym ty gadasz?

– Musisz mieć jakiś powód – zastanawiam się na głos. Mój umysł stara się na siłę dopasować do siebie garść fragmentów. Jaki motyw może mieć Paul? Wiem, że na ogół chodzi o kwestie osobiste lub finansowe, a ja go nie znam, więc to nie może być sprawa osobista. Chyba że on zna Heatha. I ma to coś wspólnego z długami mojego brata. Czy to możliwe?

– Nie znam żadnego Heatha Carpentera – oznajmia Paul, kiedy zadaję mu to pytanie.

Pytam o Trávisa i słyszę taką samą odpowiedź, to samo zaskoczone spojrzenie świadczy, że chybiłam.

Mój mózg pracuje na przyspieszonych obrotach, jedna myśl goni drugą. Skoro wykluczyłam motyw osobisty, Paul musi mieć powody finansowe. A co może zyskać, biorąc udział w tej dziwacznej szaradzie? To aktor, przypominam sobie, wynajęty pracownik, więc rodzi się pytanie, kto go wynajął.

– Ktoś ci płaci – zgaduję.

Niemal niezauważalny ruch jego brwi potwierdza moje przypuszczenie.

– Nie rozumiem – odzywa się Jade.

Wyjaśniam sytuację w równym stopniu sobie, co jej. Kawałki układanki zaczynają do siebie pasować.

– To aktor. Zapamiętuje kwestie, działa zgodnie ze wskazówkami reżysera, pojawia się na czas, robi, co miał zrobić, i dostaje zapłatę. Potrzebowałeś pieniędzy na spłatę rachunku w szpitalu po tym zapaleniu płuc, tak? – zwracam się do niego.

Nie odpowiada.

– Ktoś ci płaci? – powtarza Jade. – Ale za co?

Paul Giller uśmiecha się do niej.

– Spytaj Bailey. Najwyraźniej wszystko już wie.

– Za wynajęcie tego mieszkania. Za kochanie się z szeregiem pięknych kobiet przed oknem – odpowiadam i kolejne fragmenty układanki wchodzą na swoje miejsce. – Za udawanie, że pobił swoją dziewczynę, za brutalny seks i za odgrywanie urażonej niewinności, kiedy przyjeżdża policja. I za to, żeby udawał, że zastrzelił ją z tej plastikowej broni, którą trzyma.

– Nie jest prawdziwa? – Jade zrywa się na nogi, oburzona.

– Pamiętka z jednego serialu – przyznaje Paul, wzruszając przepraszająco ramionami. Rzuca atrapę na łóżko.

– Cholera – mamrocze Jade. Bierze ją i waży w dłoni, odkrywając, jak bardzo jest lekka. – To wszystko na niby? A ta krew?

– Zawodowa sztuczka. Ale cholernie trudno ją zmyć z szyby, zwłaszcza po ciemku.

– Twoja dziewczyna Elena też bierze w tym udział – mówię. Układanka prawie gotowa.

Paul uśmiecha się pobłaźliwie.

– Wszyscy potrzebują kasy.

– Ile kasy? Kto za tym stoi?

Kto zadałby sobie tyle trudu, by wymyślić i zrealizować tak skomplikowaną intrygę, by wykorzystać moją nadwrażliwość po gwałcie, jeszcze bardziej wytrącić mnie z równowagi, doprowadzić do tego, że zwątpię w swoje zdrowe zmysły?

Kto zyska, kiedy uwierzę, że zwariowałam? Komu zależy na tym najbardziej?

– Zadzwoił do kogoś – rzuca Jade w chwili, gdy wszyscy oglądamy się na odgłos

otwieranych drzwi wejściowych. – Zanim tu przyszedł.

– No, ile można czekać! – woła Paul. Jade wtula się we mnie. – Jesteśmy w sypialni.

I nagle staje się boleśnie jasne, skąd Paul wiedział, kiedy rozpoczynać swoje nocne występy, skąd jego dokładne rozeznanie, kiedy go obserwuję. Wiem, kto mu płacił. I wiem dlaczego.

– Co do cholery jest tak ważne, że musiałam wyjść z pracy? – pyta ostatni kawałek układanki.

Claire.

Serce mi się ściska.

– Mama? – szepcze Jade.

Wszystko krystalizuje się w ułamku sekundy: Claire pewnie wpadła na pomysł tej intrygi podczas pierwszej wizyty. Wykorzystała moją bezbronność, udawała troskę o moje zdrowie i umiejętnie rozgrywała moją nerwicę, niby altruistycznie dbając o mnie, a tak naprawdę podkopując moją wiarę w siebie. W ciągu tygodnia rozkręciła całe przedsięwzięcie: napisała scenariusz, wynajęła aktorów i znalazła plan zdjęciowy.

Heath od początku miał rację. Claire nigdy nie dbała o moje dobro. Interesowały ją tylko moje pieniądze.

Przypominam sobie, że to ona „przypadkowo” zauważyła Paula Gillera, obserwując budynek przez moją lornetkę. To ona rzucała niepokojące uwagi o jego podobieństwie do gwałciciela. To ona dzwoniła do mnie w środku nocy, żebym nie spała podczas wstrząsających występów Paula. To ona odmierzała czas swoich wejść i wyjść, potajemnie dając znak Paulowi, że pora zaczynać. To ona udawała, że stoi po mojej stronie, chytrze kompromitując mnie w oczach policji. To ona odgrywała przyjaciółkę, podporę, kochającą opiekunkę, choć wcale nimi nie była.

Przypominam sobie, jak się zdenerwowała, kiedy zaczęłam na własną rękę śledzić Paula Gillera, kiedy znalazłam go w internecie, kiedy poszłam do jego mieszkania i śledziłam jego i jego dziewczynę, kiedy porozmawiałam z Eleną. Błagała mnie, kazała mi przysiąc, że nie zrobię już nic tak głupio nieostrożnego, tak niebezpiecznego. Pamiętam, jak mnie wzruszyła jej troska.

Tyle że Claire nie martwiła się o mnie.

Czy naprawdę sądziła, że jeśli wmówi mi szaleństwo i uzależni mnie od siebie, z własnej woli oddam jej kontrolę nad moim majątkiem? Czy miała nadzieję, że ze względu na moją niestabilną psychikę sąd uzna, że nie jestem w stanie decydować o sobie i że w trosce o moje dobro należy uczynić moją pełnomocniczką kochającą siostrę?

Nie wiem i – cytując jeden z ulubionych starych filmów mojej mamy – mam to gdzieś.

Choć tak naprawdę odrobinę mi żal, że Claire nie zdołała przeprowadzić swojego

planu. Wolałabym zwariować niż czuć się tak całkowicie i bezwzględnie zdradzona. Patrzę na moją przyrodnią siostrę przez potop łoż.

Na widok mnie i Jade z twarzy Claire odpływa krew. Najwyraźniej tego się nie spodziewała.

– Boże.

– Mama? – powtarza Jade. – Co się dzieje?

– Co one tu robią? – pyta Claire Paula. Tak pobladła, że chyba zaraz zemdleje.

– Twoja córka się tu włamała – wyjaśnia Paul. – Otworzyła ten główniany zamek wytrychem. Jak w telewizji.

– Co ty tu robisz, do cholery?! – krzyczy Claire do córki.

– Co ja tu robię? A ty?! – rzuca Jade. – Zechcesz mi wytłumaczyć, co tu się wyprawia, do kurwy nędzy?

Prawie się spodziewam, że Claire powie: „Jade, opanuj się”, ale ona tego nie robi. Nikt się nie odzywa przez kilka męcząco długich sekund.

– Nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę dzieje – jąka się Claire. – Boże. Tak mi przykro.

– Z jakiego powodu? – pyta Jade.

– Proszę, zrozum, skarbie. Zrobiłam to dla ciebie, żebyś miała to wszystko, czego mnie brakowało.

– Co zrobiłaś, mamó? Powiedz.

– Czego się spodziewasz? – Claire płacze, jej oddech staje się krótki i urywany. – Chcesz przyznania się do winy, tak jak w tych twoich głupich programach?

– Do jakiej winy? – Jade też zaczyna płakać.

– Bailey? – rzuca Claire, jakbym mogła jakoś złagodzić to, co zrobiła, jakoś to naprawić.

– Więc chodziło o pieniądze – mówię. Choć wiem, że to prawda, muszę to powiedzieć na głos. – Wiedziałaś, że Heath nigdy się nie zgodzi na wasze żądania i że ta sprawa będzie się ciągnęła latami, że prawdopodobnie nie wygracie...

– Proszę, postaraj się to zrozumieć. Zawsze miałaś wszystko. Urodę, pieniądze, pałac, ojca, który cię uwielbiał. A ja? Co mnie się dostało? Sobowtór Elvisa! Tyle na ten temat.

– I mam się nad tobą uzalać?

Claire kręci gwałtownie głową.

– Staram się wyjaśnić...

– A Gene i pozostali? Czy oni...

– Nie. To był mój pomysł. – Claire pociera czoło. – Proszę, zrozum. Tu nie chodziło o ciebie. Musisz w to uwierzyć. Jesteś słodką dziewczyną. Bardziej, niż się spodziewałam.

– Gdzie go znalazłaś? – Jade spogląda z niesmakiem na Paula Gillera.

– Był jej pacjentem – uprzedzam Claire.

– Słodka dziewczyna i dobry detektyw – oznajmia moja siostra z zaskakującą nutką dumy. – Nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak dobry.

– Ale skąd miałaś pieniądze, żeby to wszystko rozkręcić? Musiałaś wynająć mieszkanie, zapłacić z góry za pierwszy i ostatni miesiąc ...

– Zadzwoiłam do Gene'a i powiedziałam, że tonę w długach i jeśli nie spłacę moich kart kredytowych, czeka mnie bankructwo. Wiedziałam, że jego duma na to nie pozwoli.

– Na pewno czek ode mnie też pokrył sporo bieżących wydatków. Nawet jeśli odebrałam ci część tej sumy – mówię. – Choć to akurat ci posłużyło, prawda? Wiedziałaś, że nie będę cię podejrzewać o interesowność, skoro ciągle odmawiałaś przyjęcia pieniędzy.

Claire usiłuje patrzeć mi w oczy, ale płacze tak gwałtownie, że wątpię, żeby cokolwiek widziała.

– A posłanie mnie na terapię to już dowód geniuszu. W razie potrzeby miałabyś kolejny argument mojej niepoczytalności.

– Nigdy bym ci tego nie zrobiła, nigdy.

– Musiałaś się nieźle nagimnastykować – ciągnę – żeby przewidzieć mój następny ruch. To nie mogło być łatwe nadążyć za mną. Miotalam się jak szalona.

Claire rozgląda się bezradnie: najpierw patrzy na Jade, która odpowiada jej spojrzeniem pełnym zdumienia i pogardy, potem na mnie.

– Ale nie przyszło ci do głowy, że dojdzie do t e g o – dodaję.

– Nie przyszło mi do głowy, że tak cię pokocham. Ironia losu, jeśli się zastanowić. Jesteś dla mnie więcej niż siostrą. Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam. Może jedyną.

– O w mordę – rzuca Paul Giller. – Nie chciałbym być twoim wrogiem.

– Nie wiesz, ile razy chciałam z tego zrezygnować, ile razy byłam gotowa odwołać to wszystko.

– Ale tego nie zrobiłaś.

– Nie. – Claire wyciera łzy. – Nie zrobiłam. Nie mogłam. Za daleko zaszłam.

– No to dokąd to nas prowadzi? – pyta Paul.

– Właśnie, mamó – dodaje Jade, czerwona z gniewu. – Co teraz?

– Teraz? – Claire unosi ręce w uniwersalnym geście kapitulacji. – Spakujemy się i wracamy do domu. Przez resztę życia będę się starała to odpokutować...

– Odpokutować? – powtarza Paul. – Co ty pleciesz, do cholery?

– To koniec. Zwijamy interes i odwołujemy występy. Nie złamaliśmy żadnego prawa. Może z wyjątkiem Jade, która włamała się do twojego mieszkania.

– A okłamanie policji? – pyta Paul. – A utrudnianie śledztwa?

Claire wyciera ostatnie łzy.

– Jakiego śledztwa? Nikt cię nie podejrzewał o zgwałcenie Bailey. Policjanci przyszli tu na jej prośbę. Za co mieliby cię aresztować? Za obrazę moralności? Wierz

mi, to dla nich strata czasu.

– A co z bezprawnym pozbawieniem wolności i zagrożeniem ciężkim obrażeniem ciała? – Paul zerka na broń na łóżku.

– Pistoletem na wodę? – Claire kręci głową. – Co mogłeś nim zrobić? Zapsikać je na śmierć? – Wzdycha. Kiedy znowu się odzywa, głos ma pusty, głuchy, wyzuty z energii i emocji. – Muszę ci to napisać drukowanymi literami? Nie doszło do prawdziwego przestępstwa, zabójstwa ani oszustwa. To tylko skomplikowany kawał, który trochę się wymknął spod kontroli. Bailey nie wniesie oskarżenia. Przede wszystkim nikt już nie wierzy w ani jedno jej słowo, a poza tym bez względu na to, co o mnie myśli, nie chce narobić Jade kłopotów. A Jade, choć udaje odważną, nie chce znowu wylądować w izbie dziecka. Nie chce też, żeby jej matka wylądowała w więzieniu. Mam rację? – rzuca i nie czekając na odpowiedź, znowu zwraca się do Paula: – Więc idź do domu i zapomnij, że to się wydarzyło. Koniec.

– A gdzie reszta pieniędzy, które obiecałaś?

– Jeśli jeszcze się nie połapałeś, nie będzie pieniędzy.

– Jaja se robisz, tak?

– Nie, zdecydowanie nie robię se jaj.

– Boże, mamó – odzywa się Jade, która dopiero teraz zaczyna przyswajać potworność tego, co się wydarzyło. – Coś ty zrobiła?

– Zrobiłam to dla nas, dla c i e b i e – powtarza Claire.

– Akurat! – krzyczy Jade. – Zrobiłaś to dla siebie! Nie wmawiaj sobie, że było inaczej.

– Nie rozumiesz...

– O, doskonale rozumiem. Rozumiem, że kłamałaś, oszukiwałaś i że nigdy więcej nie chcę z tobą rozmawiać.

– Jade... – Claire wodzi spojrzeniem od córki do mnie. Ramiona jej opadają, w oczach zbierają się nowe łzy. – Bailey, proszę...

Spoglądam długo i uważnie w oczy najstarszej córki mojego ojca. Przypominam sobie wszystko, co dla mnie zrobiła przez minione tygodnie: niezliczone posiłki, które przygotowała, wiele godzin, które spędziłyśmy razem, dobroć, płynące z serca uczucia, które sobie wyznałyśmy.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo mi przykro – mówi ona. – Wiem, że zrobiłam coś strasznego. Mogę mieć tylko nadzieję, że pewnego dnia zdołasz mi przebaczyć.

Myślę o tym, że mogłabym wziąć ją w ramiona i powiedzieć, że tak, rozumiem i że mimo wszystko przebaczam. Tak jak zawsze robiłam z Heathem. Ale Heath jest tylko słaby, nie chciwy. I pomimo wszystkich błędów nigdy mnie nie zdradził. Dlatego nie biorę jej w ramiona i nie zapewniam, że rozumiem.

Uderzam ją mocno w twarz.

Bo nie wszystko można wybaczyć. I nie wybaczam.

Wkrótce potem przyjeżdżają wezwani przez Finna policjanci. Sądząc, że udaremniają włamanie, odstawiają nas wszystkich na posterunek, ale miłosiernie powstrzymują się przed aresztowaniem nas do czasu wyjaśnienia sytuacji.

Niemal natychmiast pojawiają się śledczy Castillo i Dube, podobnie jak oficer Marx, dopiero co po miesiącu miodowym. Dzwonię do Seana; podejrzewam, że będziemy potrzebować prawnika. Dowiaduję się, że ma ważne spotkanie i nie należy mu przeszkadzać. Jego asystentka obiecuje, że zaraz przyśle któregoś z młodszych współpracowników firmy.

Jade i ja, na zmianę, relacjonujemy wydarzenia tego poranka. To, co mówimy, brzmi nieprawdopodobnie nawet w naszych uszach.

– Oszalałyście? – pyta na koniec funkcjonariusz Castillo, unosząc rękę.

Podobnie reaguje mój brat Gene, kiedy wkrótce potem przybywa na posterunek.

– Czy wyście powariowały? – powtarza raz po raz, wysłuchawszy naszych opowieści.

Można mi wiele zarzucić: jestem impulsywna, skłonna do ryzyka, nawet brawury. Ale nie zwariowałam.

– Jesteś pewna, że to nie Paul Giller cię zgwałcił? – pyta oficer Marx, kiedy na parę minut zostajemy same.

– Tak.

– Szkoda. Byłoby miło to zakończyć.

– Jak podróż poślubna? – pytam.

Policjantka uśmiecha się nieśmiało.

– Świetnie. Naprawdę mi się poszczęściło.

Nadal istnieją dobrzy mężczyźni, powtarzam sobie w myślach. Nie wszyscy są źli.

Nie wszystkie kobiety są dobre.

Dochodzi druga po południu, gdy w końcu, bez żadnej ostatecznej decyzji co do ewentualnego oskarżenia, możemy iść do domu.

– Nigdzie z nią nie idę – oznajmia Jade, piorunując wzrokiem matkę, która odwraca się, nie patrząc jej w oczy.

– Jade, na miłość boską – rzuca Gene z westchnieniem desperacji.

– Mam szesnaście lat i nie idę z nią do domu. Nie możecie mnie zmusić.

– Chcesz spędzić noc w izbie dziecka? – pyta Gene. – Na pewno nie pójdziesz do mnie.

– No ja myślę, kurwa, że nie pójde.

– Opanuj się, młoda damo. Nadal mogę cię oskarżyć o włamanie...

– Może zostać ze mną – odzywam się cicho. A potem głośniej, pewniej: – Zostanie ze mną.

Gene wzrusza ramionami i kręci głową.

– Jak chcesz. – Podchodzi do Claire i łapie ją za łokieć. – Co ci odbiło? Coś ty sobie myślała? – Prowadzi ją brutalnie do wyjścia. – Wiesz, jak to może wpłynąć na nasz pozew?

Mało brakowało, a bym się uśmiechnęła. Może by mi się udało, gdybym nie była tak totalnie wyczerpana.

– Dziękuję – mówi Jade, stając obok mnie. – W sumie liczyłam, że to zaproponujesz.

Tym razem naprawdę się uśmiecham.

Jade bierze mnie pod rękę i razem wychodzimy z posterunku.

– Widzę, że ktoś się zadomowił – zauważa Heath, zaglądając do mojego dawnego gabinetu, obecnie znowu przerobionego na drugą sypialnię.

Jest sobota, wpół do dziesiątej wieczorem. Jade mieszka ze mną już trzy miesiące. A może to ja mieszkam z nią? Dowody przejęcia lokalu znajdują się wszędzie: szkolne podręczniki i pisma o modzie zajmują każdą wolną powierzchnię w mieszkaniu, z każdej klamki zwisają dzinsy, w korytarzu poniewierają się znoszone botki na wysokich obcasach. Moje biurko i komputer zostały przeniesione do sypialni, gdzie stoją pod oknem, prawie całkiem zasłaniając widok na mieszkanie, w którym Paul Giller odgrywał dla mnie przedstawienie.

– Jej nowe łóżko przyjedzie w przyszłym tygodniu – oznajmiam, i zastanawiam się, dlaczego mój brat jest taki rozrado-wany.

Właściwie dlaczego miałby nie być? W końcu zaczyna mu się układać. Dostał rolę w serii reklam popularnej sieci siłowni w Miami, z których pierwsza została nakręcona w zeszłym tygodniu. Choć reklamy będą emitowane lokalnie, a nie na cały kraj, co przyniosłoby znacznie większy zysk, dadzą jednak jakiś zarobek i mnóstwo sławy, przynajmniej na południowej Florydzie. Heath jest pewien, że te reklamy – w których prezentuje swoją piękną twarz i szczupłą, wysportowaną sylwetkę – doprowadzą do lepszych wydarzeń, i liczę, że ma rację. Przynajmniej nie sypia już na podłodze u Tralisa i wynajął umeblowane mieszkanie. Skończył też z trawą.

– Muszę wyglądać nie tylko idealnie – wyjaśnił bez śladu fałszywej skromności – ale i zdrowo. Poza tym, jeśli ty mogłaś się pozbierać po tym, co się stało, to ja też mogę spróbować.

Na razie jest dobrze.

– Na pewno się ucieszy, że nie będzie już na tym spać – mówi Heath, padając na sofę. Laptop, który tam leżał, podskakuje w powietrze. – To łamacz kręgosłupów.

– Tylko nie powtarzaj tego Wesowi – ostrzegam.

– Jakiemu Wesowi?

– Recepcjoniście. Jade powiedziała, że sofa jest na sprzedaż, więc przyjdzie na nią spojrzeć.

Heath opiera głowę o fioletową sztruksową poduchę i zamyka oczy.

– No, to co nowego?

Zastanawiam się przez chwilę.

– Niewiele. Moja przyjaciółka Sally przyniosła tu swojego noworodka.

Heath otwiera oczy.

– To ty masz przyjaciółkę?

Śmieję się, choć to niespecjalnie zaskakujące pytanie.

– O dziwo tak. Chyba się nie znacie. Pracuje w kancelarii.

– Jest szansa, że tam wrócisz?

– Najmniejszej. Zastanawiam się nad pracą na własny rachunek.

– Co?

– Wiem. Głupi pomysł.

– Świetny pomysł. „Bailey Carpenter, prywatny detektyw”. Brzmi bosko.

– Jade uważa, że „Bailey Carpenter i wspólnicy” brzmi jeszcze lepiej. Już zaczęła szukać w internecie kursów.

– Co za kobieta – mówi Heath, a ja parskam śmiechem. – Boże, jak dobrze znowu usłyszeć twój śmiech. Jak ja za nim tęskniłem.

– Z każdym dniem jestem silniejsza.

– Nie masz już ataków paniki?

– Czasem – przyznaję. – Ale nie tak często i nie takie gwałtowne. I lepiej sypiam. – Nie mówię mu o rekinach, które nadal pływają moich koszmarach, o ich płetwach sterczących ponad powierzchnią zwodniczo spokojnego morza.

Heath wstaje.

– No dobra, młoda, moje dzieło tutaj skończone.

– Wychodzisz?

– Nie uwierzysz, ale mam randkę. Prawdziwą, nie na jedną noc.

– Coś takiego.

– Nic poważnego. Taka dziewczyna, którą poznałem na planie.

Idę za nim do drzwi.

– A ty? – pyta niepewnie, zatrzymując się w progu. – Myślisz o tym, żeby zacząć się z kimś spotykać?

– Myślę. Ale nie jestem gotowa.

Przypominam sobie Owena Weavera i zastanawiam się, czy nadal będzie chciał się ze mną spotkać, kiedy – jeśli – do tego dojrzeję.

– Będiesz. – Heath bierze mnie w objęcia. – Kocham cię. Pamiętaj, jesteś moją bohaterką.

W oczach stają mi łzy.

– Ja też cię kocham.

Patrzę na niego przez wizjer, kiedy znika w korytarzu. Następnie dwukrotnie przekręcam zamek.

Przecież mój gwałciciel nadal jest na swobodzie.

M ó j gwałciciel, powtarzam w myślach, idąc do sypialni. Jakby był moją własnością, a nie kimś, kto mnie posiadał, kto nadal mnie posiada. M ó j gwałciciel, jakby należał tylko do mnie.

Wątpię w to. Z doświadczenia zawodowego wiem, że nawet gdybym była jego pierwszą ofiarą – co mało prawdopodobne – na pewno nie będę ostatnią. On nie przestanie, dopóki coś lub ktoś go nie powstrzyma.

Przez ostatnie miesiące sporo o tym myślałam. Dowiedziałam się, jacy mężczyźni dopuszczają się gwałtów, jakie mają motywy i pragnienia. Oczywiście przyczyn jest tyle, ilu gwałcicieli, ale okazało się, że mają cechy wspólne: wielu wychowały potulne matki i brutalni ojcowie albo słabi ojcowie i dominujące matki. Do wyboru. Wielu zostało wykorzystanych. Większość ma jakieś kompleksy, często seksualne, choć gwałt nie ma wiele wspólnego z seksem. Tu chodzi o władzę, kontrolę i upokorzenie. Pragnienie zadawania bólu dotyczy wszystkich klas, sfer i ras. Tych mężczyzn łączy jedno: gwałcą, bo nienawidzą.

Powiedz, że mnie kochasz.

Usiłowałam pogodzić te słowa z samym aktem, określić, jaki człowiek żądałby takiego wyznania od kobiety, którą zgwałcił. Rozmawiałam o tym z Elizabeth Gordon. Doszłyśmy do wniosku, że człowiek, który mnie zgwałcił, mógł być często bity przez matkę nawet za najdrobniejsze dziecinne przewinienie, a potem zmuszany do przeprosin i, w ostatecznym akcie upokorzenia, wyznania nieustającej miłości. Kolejna teoria mówiła, że gwałciciel w młodości mógł wielokrotnie widzieć, jak jego ojciec wykorzystuje matkę właśnie w taki sposób. Oba scenariusze są możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne. Oczywiście równie możliwe jest, że nic podobnego się nie wydarzyło, że gwałciciel wychował się w ciepłym, kochającym domu i że jego rodzice pozostają błogo nieświadomi, jakiego potwora stworzyła ich miłość.

I w końcu – czy przyczyny mają jakieś znaczenie? „Dlaczego” liczy się tylko o tyle, o ile prowadzi do „kto”. Mnie interesuje wyłącznie „kto”.

Osuwam się na łóżko, sięgam po pilota i bezmyślnie skaczę po kanałach. Zatrzymuję się na *Śmierci na 1000 sposobów*.

Rzecz w tym, że pewnie nigdy się nie dowiem, kto mnie zgwałcił, że ten mężczyzna na zawsze pozostanie dla mnie bezimienny, że będzie największą niewyjaśnioną zagadką mojego życia.

Ale czasami trzeba się pogodzić z niejasnością. Czasem nie ma innego wyjścia.

Jako detektyw zawodowo wyjaśniający tajemnice nie potrafię tego zrozumieć. Ironiczne zrzędzenie losu sprawiło, że zagadka, którą rozwiązałam, nie miała nic wspólnego z tą, którą chciałam rozwiązać.

Mój gwałt zamaskował wiele rzeczy. Od tygodni zmagalam się z sytuacją odwracającą moją uwagę, sytuacją zainscenizowaną przez przyrodnią siostrę, o dwojakim działaniu. Gwałt nie pozwalał mi zająć się rodzinnymi problemami, a rodzina nie pozwalała mi rozliczyć się z gwałtem.

Elizabeth Gordon – jedyny plus wynikający ze zdrady Claire – pomoże mi dojść do ładu z tymi okropnościami. Ale najpierw muszę zrozumieć, co da się rozwiązać,

a czego nie. Mojej uwagi już nie odwracają fałszywe tropy, które podsuwała mi Claire. Zaczynam widzieć jaśniej.

Powiedz, co widzisz – słyszę głos mojej matki, głos mieszający się z dźwiękami telewizora.

Natychmiast otacza mnie mrok tej strasznej październikowej nocy. Z wygodnej sypialni przenoszę się w środek kłujących krzaków. Oddycham ciepłym powietrzem, łagodny wietrzyk niesie do moich nozdrzy subtelny zapach otaczających mnie kwiatów. Jakie szczegóły przegapiłam? – zastanawiam się, zsuwając się z łóżka i kucając przy nim, by odtworzyć swoje zachowanie z tamtej nocy.

Odruchowo biorę lornetkę z dolnej szuflady nocnej szafki; tamta scena znowu zaczyna mi się wyświetlać przed oczami. Widzę naprzeciwko duże prostokątne okno w narożnym mieszkaniu na drugim piętrze. Od czasu do czasu w polu mojego widzenia pojawia się kobieta. Raz zatrzymuje się przed oknem, wyciągając szyję, jakby mnie zauważyła. Robię się zmęczona, chcę już iść do domu. I wtedy słyszę ten odgłos, czuję nieznaczną zmianę w powietrzu.

Powiedz, co widzisz – powtarza moja matka.

Widzę przez mgnienie sylwetkę średniego wzrostu i średniej budowy, błysk skóry, brązowych włosów, niebieskich dżinsów i czarnych nike'ów z firmowym znaczkiem. Jeszcze raz przeżywam grad ciosów w brzuch i głowę, czuję oblepiający moją twarz materiał poszewki, która spycha mi włosy na twarz i wpija się w oczy, nos i usta.

Dzwoni telefon.

Podskakuję – wyuczony odruch. Oddycham głęboko parę razy, żeby uspokoić na nowo napięte nerwy. Chwytam pilota i ściszam telewizor. Dochodzi dziesiąta, a Jade poszła na imprezę. Pewnie dzwoni, żeby spytać, czy może wrócić później.

Ale numer na wyświetlaczu nie należy do Jade.

Serce podchodzi mi do gardła. Powoli wstaję i zastygam z ręką nad słuchawką, zastanawiając się, czy odebrać. Na ekranie telewizora jakaś kobieta krztusi się plastikową pisanką, którą wzięła za czekoladowe jajko.

– Numer 912... – zaczyna lektor. Wyłączam dźwięk, siadam na łóżku i opieram się o poduszki.

– Cześć – mówię.

– Jak się trzymasz? – pyta cicho Sean.

– Dobrze.

Dlaczego wbrew wszystkiemu, pomimo tego, czego się dowiedziałam, tych kłamstw, faktu, że od miesiący nie kontaktował się ze mną, coś we mnie nadal drży na dźwięk jego głosu, coś we mnie chce się z nim spotkać, spędzić noc w jego ramionach i słuchać zapewnień, że nic się nie zmieniło i że zawsze będzie przy mnie, by mnie kochać, chronić i nie dopuścić, żeby stało mi się coś złego?

Tylko że wcale go przy mnie nie było. Nigdy mnie nie kochał ani nie chronił. Jego ramiona nie osłoniły mnie przed złem. Jak mogłyby osłonić, kiedy umyślnie je cofał?

– Minęło trochę czasu – podejmuje.

– Tak.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że akurat Claire...

– Tak.

– Wydawała się taka miła.

Ludzie rzadko są tacy, jacy się wydają.

– Wszystkich nas oszukała.

Po co dzwoni?

– Słuchaj, fatalnie się między nami porobiło – mówi Sean, odpowiadając na niezadane pytanie. Wyobrażam go sobie, jak się pochyla nad telefonem, ukrywając troskę o moje samopoczucie przed swoją ciężarną żoną. – Cały czas o tobie myślę.

– Ja też myślę o tobie.

– Tęsknię za tobą, Bailey.

– A ja za tobą. – Ogarnia mnie wstyd. Niczego się nie na-uczyłam?

– Pomyślałem, że może wkrótce do ciebie wpadnę...

Tak łatwo byłoby się zgodzić, poddać, zapomnieć.

Ale już zbyt długo się poddawałam. I mam dość życia we wstydzie.

– Nie spodziewasz się wkrótce dziecka?

– To nie ma nic wspólnego z nami.

– Może powinno – rzucam z mocą, zaskoczona, jak łatwo mi to przyszło.

– Bailey...

– Nie chcę cię tu widzieć. Nie chcę, żebyś do mnie więcej dzwonił.

– Chyba nie mówisz poważnie. Jest późno. Jesteś zmęczona...

– A ty jesteś kłamcą i oszustem – odpalam, przypominając sobie, co Jade powiedziała matce. – Zadzwoń do mnie jeszcze raz, a przysięgam, powiadomię twoją żonę. – Odkładam słuchawkę.

Adrenalina pulsuje mi w żyłach, które omal nie eksplodują. Mam ochotę krzyczeć. Jeśli czegoś nie zrobię, zaraz pęknę. Zeskakuję z łóżka i idę do łazienki; staję twarzą w twarz z moim odbiciem w lustrze nad umywalką.

Choć odzyskałam trochę wagi, którą straciłam po gwałcie, i ograniczyłam ilość pryszniców, nadal jestem za chuda, a moje włosy zwisają jak mokra szmatka wokół zbyt szczupłej twarzy. Sean zawsze się nimi zachwycał.

Wystarczający powód, żeby się ich pozbyć.

Idę do sypialni i wyjmuję nożyce z górnej szuflady nocnej szafki, po czym wracam do łazienki i zaczynam ciąć włosy, które niegdyś były dopełnieniem mojej urody. Rzucam je garściami na podłogę. Nie przestaję, dopóki niegdyś bujne loki nie zmieniają się w krótką szczecinę, rozwichrzone wronie gniazdo.

Gdy kończę, upuszczam nożyce na blat i wpatruję się w osłupieniu w swoje dzieło. Energia mnie opuszcza.

– Jasna cholera – szepczę.

Kiedy w filmie cierpiąca bohaterka obcina włosy, jakoś mimochodem uzyskuje fryzurę prosto z prestiżowego salonu, krótką, lecz elegancko i stylowo cieniowaną, jeszcze bardziej twarzową od poprzedniej. W życiu tak nie jest, uświadamiam sobie, patrząc na katastrofę, która jest moim dziełem.

– Jasna cholera – powtarzam. Co innego mogę powiedzieć?

Wyczerpana, padam na łóżko, włączam dźwięk w telewizorze i patrzę, jak kobieta w białej ślubnej bezie wchodzi do rzeki, śmiejąc się radośnie, a fotograf biegnie brzegiem obok niej. Wstrzymuję oddech, przewidując dalszy ciąg. Pamiętam, jak czytałam o nowym trendzie wśród panien młodych, które uparły się robić sobie okropne zdjęcia ślubne. To ironiczne podważenie tradycji stało się nowym szaleństwem. Patrzę, jak wydepta na wodzie suknia panny młodej z wolna przemaka, a jej ciężar bezlitośnie ciągnie przerażoną dziewczynę na dno. Zasypiam, zanim lektor zdąży mi powiedzieć, które miejsce w panteonie *Śmierci na 1000 sposobów* zajmuje tragiczne utonięcie.

Obracam się na bok i zapadam w sen. Biegnę zalaną słońcem ulicą. Ściga mnie kilku mężczyzn bez twarzy. Docieram na skraj morza i wchodzę do wody. Wkrótce moja skłębiona biała spódnica i wysokie fale zaczynają mnie wciągać pod powierzchnię. W oddali widzę tratwę i płynę do niej. Wokół moich stóp gromadzą się rekiny. Coraz szybciej poruszam rękami. Aż do ostatniej chwili nie zauważam, że na tratwie leży mężczyzna. Jego sylwetka wydaje mi się znajoma, choć twarzy nie widzę w oślepiającym słońcu. Mężczyzna wyciąga do mnie rękę w rękawiczce.

– Nie! – krzyczę, miotam się bezsilnie w wodzie, spódnica oplątuje mnie jak taśma klejąca, a ogromna płetwa wyłania się z fal i setki ostrych jak noże kłów wbijają się w moje ciało.

Wtedy się budzę.

– Cholera.

Zerkam na zegarek. Minęło tylko dziesięć minut. Przede mną cała noc koszmarów. Przesuwam dłonią po resztkach włosów i postanawiam w poniedziałek iść do fryzjera. Może coś na to poradzi. Może nie jest tak źle, jak mi się wydaje. Idę do łazienki i jeszcze przeglądam się w lustrze. Jest dokładnie tak źle, jak mi się wydaje.

Ochlapuję twarz wodą, zastanawiam się nad wzięciem prysznic, ale się rozmyślam.

Co kiedyś powiedziała Jade? Że koszmary powracają nie bez powodu?

Co zatem chcą mi przekazać?

– Pewnie, że oglądam za dużo tej cholernej telewizji – mamrocę.

Dzwoni telefon. Tym razem jestem tak pewna, że to Jade, że nawet nie

sprawdzam numeru na wyświetlaczu.

– Nie, nie możesz zostać do dwunastej – mówię zamiast powitania.

– Tu Finn z recepcji – odzywa się znajomy głos. – Wes właśnie przyszedł i prosi, żebym pani powiedział, że jak tylko przebierze się w uniform, przyjdzie spojrzeć na tę sofę.

Zgroza natychmiast zakrada mi się do żołądka. Przełykam rosnącą panikę. Nie bądź niemądra, powtarzam sobie, nie ma się czego bać. Spodziewałaś się wizyty Wesa. Jade umówiła się z nim wiele dni temu.

Ale Jade tu nie ma. Jestem sama.

A do mojego mieszkania zbliża się młody mężczyzna, przy którym zawsze czułam się dziwnie zaniepokojona, młody mężczyzna średniego wzrostu i średniej wagi, młody mężczyzna o brązowych włosach i znajomym głose, młody mężczyzna, którego oddech czasem pachnie płukanką...

– Boże.

– Wszystko w porządku?

Zapomniałam, że nadal trzymam słuchawkę przy uchu.

– Możesz z nim przyjść? – pytam nagle.

– Słucham?

– Proszę. Możesz z nim przyjść?

– Właśnie skończyłem pracę – odpowiada Finn przyciszonym głosem. – Mam spotkanie z dziewczyną...

– P r o s z ę!

– Jasne – zgadza się szybko. – Co mam powiedzieć Wesowi?

– Że też chcesz obejrzeć tę sofę.

– Nie ucieszy się.

– F i n n...

– Dobrze. Nieważne.

– Dziękuję. – Odkładam słuchawkę. Wiem, że robię z siebie idiotkę, że Wes niemal z całą pewnością nie jest człowiekiem, który mnie zgwałcił.

Ale...

Jeśli jest?

Nie mam się czym martwić, perswaduję sobie, idąc korytarzem. Zachowuję się jak paranoiczka, wpadam z jednej skrajności w drugą, z niemożności skupienia się w nadmierne skupienie. Zamiast pogodzić się z tym, co mnie spotkało, uczepiłam się tego mocniej niż kiedykolwiek. Ale to tylko chwilowy regres. Elizabeth Gordon uprzedzała, że powinnam się tego spodziewać, że mój powrót do normalności nie odbędzie się bez przeszkód.

Więc stoję przed drzwiami mieszkania, przygotowuję się na przybycie Wesa i modłę się, żeby Finn mnie nie zawiódł. Widzę przez wizjer, że z windy wysiadają dwaj młodzi mężczyźni, Wes w uniformie, Finn w prywatnym ubraniu. Mój oddech

przypiesza. Otwieram drzwi.

– Słodki Jezu! – wyrywa się Finnowi.

– Co się stało z pani włosami? – pyta jednocześnie Wes.

Ich słowa docierają do mnie z mentolowym oddechem, który prawie mnie powala na marmurową posadzkę. Z wysiłkiem utrzymuję się w pionie.

– Miałam... ochotę na zmianę – mamroczę, wpuszczając ich do środka.

– Zrobiła to pani specjalnie? – wydusza z siebie Wes.

– Ładnie – dodaje Finn słabym głosem. – Inaczej. Tylko trzeba się przyzwycząić.

Wes rzuca mu spojrzenie: „Odbiło ci tak samo jak jej”.

– Jest Jade? – pyta. Nerwowo zerka w głąb korytarza. Mój wygląd najwyraźniej wytrącił go z równowagi.

– Wyszła koło ósmej – wyjaśnia Finn. – Powiedziała, że idzie na imprezę.

– Niedługo powinna wrócić – dopowiadam.

Chwila niezręcznej ciszy.

– Możemy spojrzeć na tę sofę? – pyta Wes.

Powiedz mi, co widzisz – szepcze mi do ucha głos mamy.

Widzę człowieka, który czuje się zdecydowanie skrępowany w schludnie wyprasowanych spodniach khaki i ciemnozielonej koszuli z krótkimi rękawami. Chude ramiona zwisają mu niezdarnie, dłonie są za małe i za delikatne, żeby bez trudu zacisnąć się na moim gardle.

Ale aż za dobrze wiem, że pozory mogą mylić, że aby naprawdę zobaczyć, trzeba zajrzeć pod powierzchnię, dostrzec krążące tuż pod nią rekiny.

– Oczywiście. Jest tam. – Prowadzę ich korytarzem do sypialni Jade.

– Ile pani za nią chce? – pyta Wes, uważnie oglądając sofę.

– Myślałam o trzystu dolarach.

– Okazyjna cena – mówi Finn, przesuwając dłońmi po sztruksowej tapicerce. – Ale kolor mi nie pasuje. – Rzuca mi dyskretny uśmiezek spiskowca.

– Zgodziłaby się pani na dwieście? – pyta Wes.

– Pewnie – odpowiadam szybko. Jest warta co najmniej dziesięć razy tyle, ale jestem prawie gotowa oddać mu ją za darmo, byle tylko pozbyć się go z mieszkania.

– Świetnie. Umowa stoi. – Wes robi ruch, jakby chciał wyciągnąć do mnie rękę, ale potem najwyraźniej zmienia zdanie. – To ja już pójdę do pracy. Proszę dać mi znać, kiedy mogę ją odebrać.

Idzie korytarzem do drzwi.

– Dziękuję – szepczę do Finna, kiedy idziemy za nim.

– Nie ma problemu – odszeptuje, pochylając ku mnie głowę.

Wtedy czuję powiew płukanki w jego oddechu.

To nic takiego, tłumaczę sobie. Pewnie mają butelkę takiego płynu do wspólnego użytku w recepcji, a Finn mi powiedział, że wybiera się na randkę, więc to naturalne, że odświeżył się po pracy. Właśnie skończył zmianę, kiedy prawie

zażądałam, żeby przyszedł z Wesem, dlatego ma na sobie prywatne ubranie, nie uniform, w którym ciągle go widywałam.

Uważnie przyglądam się jego strojowi, od granatowego bawełnianego swetra po ciemnogramatowe džinsy. Wygląda w nim zupełnie inaczej. Serce mi przyspiesza. Nie ma nic złowrogiego ani nawet niezwykłego w fakcie, że Finn nosi džinsy. Który młody mężczyzna ich nie nosi? Zmienił jeden uniform na inny. Mój wzrok sunie niżej, do czarnych sportowych butów. Znaczek Nike mruga do mnie obłeśnie.

Zachłystuję się i odskakuję.

– Co się stało? – pyta Finn. – Wszystko w porządku?

– Jest jakiś problem? – woła Wes z korytarza przed windami.

– Idź do pracy – mówi Finn. – Ja się tu zajmę wszystkim.

Zamyka drzwi.

Po raz pierwszy zauważam, jakie ma duże dłonie.

– Co się stało?

„Wyszła koło ósmej wieczorem” – powiedział o mojej siostrzenicy. – „Mówiła, że idzie na imprezę”. Kto lepiej od niego wie, kiedy wychodzę i wracam? Kto lepiej może śledzić mój każdy ruch?

Finn patrzy na mnie z autentyczną troską w oczach. Uświadamiam sobie, że on nie wie, co się dzieje w mojej głowie. Bo skąd by miał wiedzieć? Od tamtej nocy minęło ponad trzy miesiące. Poczul się bezpieczny, nietykalny. Nie ma pojęcia, co wtedy widziałam, nie ma pojęcia, co widzę teraz.

Powiedz mi, co widzisz.

Widzę niezbyt przystojnego mężczyznę średniego wzrostu i średniej budowy, o brązowych włosach, mężczyznę między dwudziestką a czterdziestką, ubranego w granatowe džinsy i czarne buty ze sławnym znaczkiem Nike.

Ale przecież rozmawiam z nim niemal codziennie. Jak to możliwe, że nie rozpoznałam głosu, nawet jeśli tamtej nocy brzmiał inaczej – jak niskie, wściekłe warknięcie?

Że chyba go rozpoznałam, dochodzę do wniosku w gonitwie myśli, z których każda trwa ułamek sekundy. Przypominam sobie, że za każdym razem ogarniała mnie panika na dźwięk jego głosu w telefonie, że przy każdym spotkaniu z nim czułam lęk. Łączyłam to uczucie z innymi rzeczami dziejącymi się wokół mnie, ale może ten strach stanowił reakcję na n i e g o. Może moja podświadomość od samego początku wiedziała, że to jest człowiek, który mnie zgwałcił.

Powiedz mi, co widzisz, powtarza moja matka.

Spoglądam głębiej.

Widzę rekiny z moich koszmarów krążące mi wokół stóp, ich płetwy zbliżające się coraz bardziej. Wreszcie dociera do mnie, co moje sny usiłowały mi przekazać.

Jego imię – Finn[3].

– Wszystko w porządku? – pyta znowu.

– Tak – mówię cicho.

– Na pewno? Nie wygląda pani za dobrze.

– Zrobiło mi się trochę słabo. – Zmuszam usta do uśmiechu i podnoszę na niego wzrok. – Ale już mi lepiej.

– Trochę pani pobladła.

– Nic mi nie jest. Naprawdę. Powinieneś już iść. Masz plany.

– Mogą poczekać.

– Nie. Proszę. Mam wyrzuty sumienia, że zmusiłam cię, żebyś tu przyszedł. Powinieneś już iść.

Finn wzrusza ramionami.

– Dobrze... skoro jest pani pewna...

– Jestem pewna.

Finn odwraca się do drzwi, waha się, ogląda się przez ramię. Nasze spojrzenia się spotykają.

Wie, że ja wiem.

Robimy ruch jednocześnie, niemal jakby wykonując ustaloną choreografię. On rzuca się na mnie, ja odskakuję poza zasięg jego ramion i biegnę korytarzem do sypialni. On mnie dogania, wyciąga rękę i chwyta za koszulę w chwili, gdy przekraczamy próg. Szarpie mnie, bez trudu obraca i unosi w powietrze. Mój krzyk odbija się od ścian. Jakoś udaje mi się wyszarpnąć z jego chwytu. Wierzgam, rozpaczliwie usiłując unikać jego pięści, jego furii.

– Wiesz, że ci to nie ujdzie płazem – udaje mi się wykrztusić. – Wes wie, że tu jesteś.

– Wie, że zwariowałaś! – krzyczy Finn. – Wszyscy o tym wiedzą. – Podnosi się i staje groźnie nade mną. – A wariaci robią wariackie rzeczy. Rzucają bezpodstawne oskarżenia, atakują ludzi, którzy chcą im pomóc, a wtedy ci ludzie muszą się bronić.

Czy już to sobie zaplanował? Chciał mnie zabić tak, żeby to wyglądało na wypadek?

– Nie miałem wyboru – jęczy żałośnie, jakby już ćwiczył to, co powie policji. – Ona się na mnie rzuciła. Odepchnąłem ją. Upadła... uderzyła się w głowę. – Chwyta mnie za ramiona i podnosi.

Zmuszam ciało, żeby się nie opierało, pozwalam mu obwisnąć bezwładnie, tak jak mnie nauczono na kursach samoobrony. Dopiero gdy już stoję, nagle atakuję, uderzając kolanem w jego krocze. Finn zgina się wpół, łapiąc powietrze. Puszczam mnie. Obiegam łóżko, by wziąć lornetkę, którą tu zostawiłam na podłodze. Wyciągam ku niej rękę; w tej samej chwili Finn znówu na mnie skacze. Zaciskam na niej palce, gdy przygniata mnie do podłogi i odwraca ku sobie. Robię zamach i uderzam go lornetką w skroń.

Cios go oszalał, ale nie pozbawia przytomności. Kiedy dźwigam się z podłogi i dobiegam do łazienki, on chwyta mnie za nogi. Wyciągam rękę, by złapać się blatu

umywalki. Moje palce dotykają nożyc zostawionych na kupce ściętych włosów. Chwytam je, gdy Finn znowu na mnie skacze, sięgając ku mojemu gardłu. Wbijam mu nożyce głęboko w brzuch.

– Ty pieprznęta suko – bełkocze z niedowierzaniem. Osuwa się na podłogę u moich stóp.

Stoję nieruchomo przez parę sekund. Potem wracam do sypialni i dzwonię do recepcji. Proszę Wesa, żeby zadzwonił na 911. Następnie siadam na łóżku i spokojnie czekam na przybycie policjantów i sanitariuszy.

*

Moja siostrzenica przychodzi do domu tuż przed północą. Karetka zabrała Finna, ekipa zbierająca ślady już się zwija. Heath przyjechał natychmiast, gdy do niego zadzwoniłam, i nie odstępuje mnie na krok.

– Jasna cholera – mówi Jade, usłyszawszy od niego, co się stało. – Nie można cię zostawić nawet na minutę.

O drugiej nad ranem policjanci są wreszcie usatysfakcjonowani, a mnie udaje się przekonać Heatha, że może wracać do domu. Pewnie rano znowu będą chcieli mnie przesłuchać, uprzedza mnie oficer Marx, a ja odpowiadam, że nie mam nic przeciwko temu. Możemy to powtarzać, ile tylko jej się spodoba. Ona znowu mnie pyta, czy chciałabym pojechać do szpitala, ja znowu odmawiam. Nie mam nic złamanego. W każdym razie nic, co by wyszło na prześwietleniu.

Choć mężczyzna, który mnie zgwałcił, został aresztowany, nie jestem tak naiwna, by wierzyć, że teraz wszystko cudownie się naprawi. Wiem, że muszę się przygotować na kolejne epizody wstrząsu pourazowego, niektóre znane, inne nowe, spowodowane dzisiejszymi wydarzeniami. Omal nie zabiłam człowieka. I inaczej niż w fantazjach, ten akt nie sprawił mi ani przyjemności, ani satysfakcji. Nadal czuję okropny dźwięk nożyc wchodzących głęboko w ciało Finna.

Wiem, że będą wracać ataki paniki i paraliżu. I że nie uwolniłam się od koszmarów, choć teraz ścigający mnie mężczyzna zyskał twarz. I nazwisko. Rekiny przestaną uparcie krążyć wokół moich stóp.

I wiem coś jeszcze: nie jestem bezsilna, umiem się bronić. Umiem zwyciężyć.

Nie mam pojęcia, kiedy – i czy – znowu poczuje się w pełni normalnie, kiedy zdołam poczuć przyjemność płynącą z doty-ku mężczyzny, kiedy zdołam komuś zaufać. Wiem, że przede mną daleka droga. Elizabeth Gordon i ja będziemy nad tym pracować.

– Co robisz? – pytam, patrząc, jak Jade kładzie się obok mnie.

– Będę z tobą spała, dopóki nie przywiozą nowego łóżka.

– Nie musisz.

– Nie robię tego dla ciebie. Tu jest wygodniej niż na tym legowisku, na którym muszę nocować.

Claire miała rację co do jednego: Jade, choć taka wygadana, nie jest nawet w połowie tak twarda, jaką udaje.

– Jasna cholera – odzywa się po chwili.

Kładę się obok niej.

– Wiem. W głowie się nie mieści.

Jade przytula się do mnie i kładzie mi na biodrze opiekuńczą dłoń.

– Mówiłam o twoich włosach.

Podziękowania

Przygotowanie tej książki do druku nie było łatwe. Jak zapewne większość moich czytelników wie, od czternastu lat wydaję jedną książkę rocznie. Jednak zeszły rok stanowił zakończenie długiego związku z amerykańskim wydawcą, co zakłóciło mój rytm. Z radością ogłaszam, że zaczynam współpracę z wydawnictwem Ballantine Books (którego właścicielem jest Random House) w nadziei, że okaże się długa i owocna. W związku z tym muszę podziękować wielu osobom. Listę rozpoczynają ci, którzy wspierają mnie najdłużej: Brad Martin, Nita Pronovost, Kristin Cochrane, Adria Iwasutiak, Val Gow, Martha Leonard i reszta naprawdę cudownej ekipy z Doubleday w Kanadzie (filia Random House), która służyła mi wyjątkowymi radami, przewodnictwem i zachętami. Zwłaszcza Nita jest wymarzoną redaktorką – troskliwą, pilną i niezwykle inteligentną. Nie przeoczyła niczego, za co jestem jej bardzo wdzięczna. Dziękuję mojej agentce Tracy Fisher i jej asystentowi Jamesowi Munro z William Morris Endeavor, którzy pracują niezmiernie ciężko i przeprowadzili mnie przez ten trudny rok z wdziękiem i taktem, a także moim wydawcom na całym świecie, którzy nieustannie okazują mi ogromne wsparcie i entuzjazm. Choć nie mogę wymienić wszystkich Waszych nazwisk, dziękuję każdemu z Was osobno za cudowną pracę, w tym tłumaczenia i reklamę. Z wieloma z Was nawiązałam mocną więź i uwielbiam Wasze maile, te zawodowe i prywatne. Mam nadzieję, że spotkam się z Wami osobiście, żeby móc jeszcze raz podziękować.

Co do moich nowych amerykańskich wydawców, czy znacie powiedzenie: „wszystko, co stare, staje się nowe”? Wygląda na to, że zatoczyłam pełny krąg. W roku 2000 wydałam powieść *Pierwszy raz*. Moją redaktorką była wówczas Linda Marrow, która potrafiła ogarnąć spojrzeniem całość i odnaleźć wszystkie błędy mojego tekstu. Niestety, pracowałyśmy razem tylko nad tą jedną książką, po czym Linda zmieniła pracę. A teraz, jakby zrzędzeniem losu, znowu się odnalazłyśmy (moja matka mawiała, że rzeczy same się naprawiają) i sytuacja z *Pierwszego razu* się powtórzyła. Linda pozostała cudowną redaktorką, a jej uwagi dotyczące powieści były wnikliwe i trafne. Dlatego dziękuję Ci, Lindo. Cieszę się, że znowu się spotkałyśmy. Dziękuję także jej asystentce Anne Speyer i fantastycznej ekipie z Ballantine. Robicie świetną robotę.

Chcę podziękować mojej wyjątkowej przyjaciółce, Carol Kripke, genialnej psychoterapeutce, z którą się konsultowałam, opisując sesje terapeutyczne. Jeśli brzmi w nich prawda, to dzięki mądrym radom Carol. Odgrywałyśmy te sesje, a ona

prowadziła mnie zdanie po zdaniu. Jeśli czasem wkładam w jej usta słowa, których by nie użyła, to przepraszam i usprawiedliwiam się chwilową niepoczytalnością.

Dziękuję Lawrence'owi Mirkinowi i Beverley Slopen, których nazwiska moi stali czytelnicy z pewnością rozpoznają, ponieważ te osoby towarzyszą mi od tak dawna, że są mi się bliskie jak rodzina. Wasze uwagi, cierpliwość i rady były – i mam nadzieję, że będą – nieocenione. Larry czyta moje książki w miarę ich powstawania i mówi mi, kiedy zmierzam w niewłaściwym kierunku, zanim za bardzo się zapędzę. Bev czyta końcową wersję, a jej świeży – i sokoli – wzrok wyłapuje dokładne to, co trzeba. Oboje znajdują czas w swoim zapełnionym grafiku, by pomóc mi wspiąć się na szczyty moich możliwości. Dziękuję, dziękuję, dziękuję. Kocham Was oboje.

Dziękuję Corinne Assayag, która zaprojektowała moją stronę internetową i nią zarządza. Jesteś nieustannym źródłem świetnych pomysłów, cudowną, pełną oddania osobą, która wspaniale robi to, co robi. Dziękuję, że zawsze jesteś przy mnie. Dziękuję Shannon Micol, która występuje w moim imieniu na Facebooku i Twitterze i również pełni rolę mojej pierwszej czytelniczki. Gdy e-bookowe wersje *Martwej natury*, *Granic uczuć* i *Dobrych intencji* trafią na amerykański rynek i okaże się, że zawierają mniej błędów, które normalnie spotyka się w tym formacie, będzie to efektem niezmiernych wysiłków Shannon.

I w końcu dziękuję mojej cudownej rodzinie: Warrenowi, który od czterdziestu lat (!) jest moim niewiarygodnie wspaniałomyślnym mężem, którego rady czasem mnie drażnią, ale okazują się słuszne (w większości przypadków), moim córkom Shannon i Annie, dwóm najpiękniejszym i najzdolniejszym na świecie młodym kobietom, mojemu zięciowi Courtneyowi, równie kochającemu jak przystojnemu, moim dwóm słodkim wnuczkom, Hayden i Skylar, które wniosły w moje życie mnóstwo radości i sprawiły, że czuję się kochana i ceniona, mojej siostrze Renee, która jest moją najbliższą przyjaciółką, i Aurorze, mojej gosposi od dwudziestu lat, która doskonale się mną zajmuje i zawsze staje na wysokości zadania.

I oczywiście dziękuję Wam, moi czytelnicy. Zawsze mogę liczyć, że wydobędziecie ze mnie to, co najlepsze.